

NOWY MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA

KLEEBERG - OSTATNI GENERAL WRZEŚNIA
BITWA POD KOCKIEM 1939 ROKU

KONFEDERACI BARSCY
Kazimierz Pułaski – piorun wojny



www.polska-zbrojna.pl

HISTORIA

Polska Zbrojna

NR 4 (4) 2017
NR 1 (5) 2018

ISSN 2543-8735

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT)



1918 2018

100. rocznica
odzyskania niepodległości

*Pragnienie wolności
mamy we krwi*



ISSN 25438735 01

9 772543 187380



DO USŁUG ...
SEKTORA WOJSKOWEGO I CYWILNEGO



PEŁEN ZAKRES WSPARCIA
PRZEGŁĄDY
SERWISY
NAPRAWY
MODERNIZACJE



LIDER
W OBSŁUDZE
CZOŁGÓW
LEOPARD



EKSPERT OD POJAZDÓW
PANCERNYCH
GAŚNIENICOWYCH
KOŁOWYCH
I
ZESPOŁÓW NAPĘDOWYCH



JAKOŚĆ POPARTA
WIEDZĄ
PASJĄ
DOŚWIADCZENIEM



ODPOWIEDZIALNY
PARTNER
W BIZNESIE



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.
ul. DĄBROWSKIEGO 262/280
60-406 POZNAŃ
WWW.WZM.PL, e-mail: WZM@WZM.PL
TEL. +48 261 576 112

FOT. Cezary Pomysł



ANNA PUTKIEWICZ REDAKTOR NACZELNY

**NIEWOLA, W KTÓREJ WZRASTAŁY KOLEJNE
POKOLENIA, WYZNACZAŁA JEDEN KIERUNEK
MYŚLI – O ZBROJNYM ODZYSKANIU
SUWERENNOŚCI. STĄD PŁOMIENIE POWSTAŃ,
KTÓRE TRAWIŁY OJCZYZNĘ, I OGIEŃ PODKŁADANY
POD ŻARLIWE POLSKIE SERCA PRZEZ NIE ZAWSZE
ŻYCZLIWE RĘCE. NADZIEJA WOBREW NADZIEI
– TO WIELKI MIT POLSKI, KTÓRY ZMAGA SIĘ
OD WIEKÓW Z RÓWNIIE WIELKĄ POLITYKĄ.**

Pracownicy Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie mozolnie próbują dokonać niemożliwego i odtworzyć losy oryginalnego sztandaru, który w 1918 r. po kilkudziesięciu latach wyjęto z ukrycia i przekazano powstańcom wielkopolskim. Zgodnie z wolą nieznanego twórcy, otrzymać go mieli jedynie żołnierze odrodzonej Polski.

Wywalczona wolność, ten sen wyśniony, jest jednak wówczas zjawiskiem na tyle nieznanym, że trudno przestawić nagle tę wielopokoleniową projekcję skierowaną na zbrojną walkę o niepodległość w ogólnonarodowe myślenie o służbie dla wolnego już kraju. Realna polityka obcych mocarstw zbyt dobrze rozpoznawała nasze mity, za które zawsze gotowi byliśmy płacić najlepszą krwią. „Biliście się niezwykle dzielnie panowie, lecz wynik wojny przesądzony jest już od dwóch tygodni” – taką wymianę zdań z niemieckim oficerem opisał polski jeńiec, żołnierz gen. Franciszka Kleeberga w liście do rodziny. To prawda, bili się znakomicie, taktyka kontruderzeń zastosowana przez Generała zatrzymała pochód niemieckiej dywizji. Przed Kleebergiem – tym zdolnym, ale wyraźnie niedocenianym przed wojną dowódcą, który realizuje energicznie zbyt opieszale rozkazy Wodza Naczelnego – leżą jednak meldunki o braku amunicji, żywności i lekarstw. I kwintesencja samotności i odpowiedzialności dowódcy. Droga do niewoli jest ostatnią drogą polskiego Generała. Ktoś jednak odprowadza ich wzrokiem i na dymiącym wciąż pobojowisku pod Wołą Gułowską przysięga zemstę i zbiera broń.

Niemiecki oficer miał rację – wynik wojny jest ustalony, ale pierwsze pokolenie urodzone w wolnej Polsce myśli wciąż kalkami doświadczeń przodków. Miejscowi chłopcy wiedzą, że broń się jeszcze przyda. Magazynują ją i przechowują z narażeniem życia. Wcześniej organizują przerzut grupy kleeberczyków w Świętokrzyskie. Kolejarze mówią, że w tamtejszych lasach jest już polskie wojsko pod dowództwem mjr. Henryka Dobrzańskiego. Nastolatkiwie ci niebawem znów posiadają lasy. Staną się wartościowymi żołnierzami tworzących się oddziałów Armii Krajowej na Lubelszczyźnie. Będą się bić pod dowództwem mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika” z Niemcami i oddziałami NKWD w ciasnych wąwozach pod Lasem Stockim. Nieśmiertelni polscy zagońcy, których prefiguracją był Kazimierz Pułaski, zdolny oficer liniowy, dowódca, konfederat, drażniący pod jasnogórską twierdzą rosyjskiego płk. Iwana Drewicza na tyle skutecznie, że ten nękany przez polską piechotę uchodzi pokonany. Pułaski nie odpoczywa, dogania własną śmierć na antypodach.

Sędziwy dziś ostatni żołnierz „Orlika”, ów chłopak spod Woli Gułowskiej ściska w rękach lornetkę. To prezent od oficera spod Kocka, któremu pomógł przejść do lasu. „Byliśmy żołnierzami. My chcieliśmy tylko wolnej Polski” – mówi do mnie z mocą. Mity polskie nie mają w sobie niczego mitycznego. Pragnienie wolności mamy we krwi.

Zapraszam do lektury.



OKŁADKA: MARCIN DMOŃSKI/
STUDIO GRAFICZNE WIW

nr 4-1



SPIS TREŚCI

Powstanie styczniowe

KAROL JADCZYK

14 Kadra dowódcza powstania styczniowego

Konfederacja barska

ADAM DANILCZYK

22 Konfederaci – pierwsi powstańcy

Wielcy dowódcy

ANTONI LENKIEWICZ

32 Generał nieustraszonego

PIOTR KORCZYŃSKI

38 Piorun Wojny

Polska sztuka fortyfikacji

PIOTR KORCZYŃSKI

42 Twierdze nie do zdobycia
Rozmowa z Krzysztofem Wielgusem

Strategie

JULIUSZ S. TYM

46 Bitwa pod Kockiem

DOMINIK KĄZMIERSKI

53 Perymetr, czyli jak to
na wojnę było

Generałowie

STEFAN CIARA

54 Ostatni generał września 1939

DOMINIK KĄZMIERSKI

60 Dziwne miejsce

Wojna obronna

MARIUSZ NIESTRAWSKI

62 Lotnictwo Samodzielnej Grupy
Operacyjnej „Polesie”

Z arsenału Muzeum

Wojska Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ

68 Hej, kto Polak na bagnety!

W cieniu historii

PIOTR KORCZYŃSKI

72 Przez Bałkany do Polski
Rozmowa z Andrzejem Kastory

SEBASTIAN LIGARSKI

102 Propaganda muzą stanu
wojennego

Antykomunistyczne podziemie zbrojne

TOMASZ GRENIUCH

77 Henryk Flame „Bartek”

MACIEJ NOWAK

84 Zabić, zasypać, zapomnieć

Uzbrojenie

PIOTR KOCYAN

91 Inżynier Maroszek i jego dzieci

Motoryzacja

JAN TARCZYŃSKI

96 Samochody Marszałka



Zagończycy, śmiałkowie, najemnicy

ANNA PASTOREK

108 Zamorska sława polskiego
konkwistadora

PIOTR KORCZYŃSKI

116 „Sławny Żyd, Polak prawy”

ROBERT SENDEK

122 Bałkańska awantura
polskiego powstańca

ROBERT SENDEK

126 „Draży” droga do Polski

ALEKSANDER SZYCHT

128 Nie żałować życia swego

Wojenne epizody

WOJCIECH KRAJEWSKI

134 Amerykanie w Zamościu

PIOTR SYKUT

140 Ucieczka jachtem „Strzelec II”
do Szwecji

Zapomniane bitwy

ANDRZEJ ŁYDKA

146 Bitwa pod Krzywką

Klub garnizonowy

ANDRZEJ ŁYDKA

150 Asenterować, narukować
i fasować

Ceremoniał wojskowy

MARIUSZ KUBAREK

151 Pogrzeby wojskowe





Sztandary Wojska Polskiego

JAROSŁAW PYCH

156 Chorągwie konfederatów barskich

Pamiętki polskie

TOMASZ ZAWISTOWSKI

158 Sztandar w rękach wroga

Historia mundurów Wojska Polskiego

PAWEŁ ROZDŻESTWIEŃSKI

162 Żołnierze spod Kocka

Wojna i sztuka

M. RENATA WILEWSKA

164 Portret Józefa Piłsudskiego

Orzeł biały

TOMASZ ZAWISTOWSKI

168 Za wierną służbę

Polskie ordery, odznaczenia i odznaki honorowe

TADEUSZ JEZIOROWSKI

172 Medal Pamiątkowy
za Wojnę 1918–1921

77



Historie ocalone

PIOTR KORCZYŃSKI

176 Szwoleżerowie walczą do końca
Rozmowa z Henrykiem Prajsem

Kawalerowie Virtuti Militari

ANNA DĄBROWSKA

181 Testament gruzińskiego oficera

Wielkie kolekcje

ROBERT MARCINKOWSKI

182 Przewodnik po miejscach, których
już nie ma

Notatnik kolekcjonera

ANDRZEJ WITKOWSKI

185 Świat filokartystyki

22

54



42



96



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 845 365, 261 845 685, faks 261 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 846 764;
pzhistoria@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 845 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński, Aleksander Szycht,
tel. 261 845 604;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotodiytor), tel. 261 845 579

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:
Anna Dąbrowska, Maciej Chilczuk, prof. Andrzej Gąsiorowski,
Jarosław Godlewski, dr Grzegorz Jasiński, Mikołaj Kubacki,
płk Mariusz Kubarek, Łukasz Jędrzejczak,
Tadeusz Jeziorowski, prof. Mirosław Lenart,
ppłk Andrzej Łydk, Michał Mackiewicz,
dr Mariusz Niestrawski, dr Adam A. Ostane, dr Konrad Paduszek, dr Marcin Paluch, dr Anna Pastorek,
prof. Waldemar Rezmer, Paweł Rozdżestwieński,
dr Jan Tarczyński, prof. płk Juliusz S. Tym,
dr Krzysztof Wielgus, M. Renata Wilewska,
prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel,
Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Izabela Husarzewska-Tobiasz,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz),
Małgorzata Szustowska, Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

DRUK:
ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Byki, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej. Historia” można składać przez:
www.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel. 542 315 201, 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

NAC PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany
tytułów. Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia” materiałów tekstowych
i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej
portalu polska-zbrojna.pl.

HISTORIA
Polska Zbrojna



Żołnierze Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” na trasie Parczew-Milanów, 29 lub 30 września 1939 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



BOHDAN URBANKOWSKI
POETA, DRAMATURG, FILOZOF

Marzenia prawdziwe i fałszywe

Józef Piłsudski zauważył kiedyś, że „tylko ten człowiek godzien jest nazwy człowieka, który wyznaje swoje idee czynem”. Marzenia bez czynów to frazesy, którymi oszukujemy innych i samych siebie. Od dzieciństwa marzeniem Piłsudskiego była niepodległa Polska. Przyszły Naczelnik wychowywał się na legendach powstania styczniowego i Państwa Podziemnego, na *Pieśni Legionów*, poezji romantyków i powieściach Sienkiewicza. To była Polska, która wbrew historii istniała. Gdy zaczął o nią walczyć – nie miał innych wzorów niż te przekazane w testamentie literatury. Życie Piłsudskiego było wcieleniem polskich legend: filomacka młodość w „Spójni”, romantyczny spisek wymierzony w cara, grożący śmiercią Sybir – powrót i budowa Państwa Podziemnego PPS, walka w Legionach i wiktoria równa wiedeńskiej. Biografia Piłsudskiego wyglądała tak, jakby ją reżyserował Wyspiański – ale to przecież on sam ją reżyserował; poświęcił 50 lat na realizację młodzieńczych marzeń – a była to praca ogromna.

Gdy rozpoczynał działalność, Polska nie istniała na mapie, nie miała siły militarnej, ani organizacji politycznej, zagrożona była jej kultura i religia. Piłsudski wykonał ogromną pracę polityczną: przestawił „internacjonalną”, rozgadana PPS na działalność niepodległościową, stworzył siłę zbrojną jawną (Legiony) i tajną (POW, Oddziały Lotne) zaczął budować pierwsze struktury władzy polskiej (Komisariaty Rządu Narodowego).

Przygotowywane w podziemiu, w tajemnicy przed zaborcami państwo Piłsudski wyprowadził na powierzchnię polskiego życia, oddał Polakom – wyleczonym z lęków i niewolniczej pokory, dumnych ze zwycięstw dokonywanych pod jego dowództwem. Jako nadbudowę spajającą odzyskaną ojczyznę tworzył państwowe *sacrum*, na które składały się: kult bohaterów powstania styczniowego, celebrowanie wymarszu w 1914 r. po niepodległość, duma ze zwycięstw pod Warszawą i nad Niemnem, obchody wiktorii wiedeńskiej, ale i świąt pułkowych oraz uroczyste sprowadzenie prochów Słowackiego do ojczyzny. To praca ogromna, domagająca się kontynuacji.

Mówi się często, że naród to codzienny plebiscyt. Piłsudski odrzuciłby taką definicję, uznałby ją za gadulstwo. Idee wyznaje się czynami i z czynów odczytujemy, jakie kto wartości wyznaje, a jakie tylko deklaruje. Naród to codzienna ciężka praca, niepodległość to codzienna ciężka praca na wielu poziomach życia: politycznym, gospodarczym, kulturowym, oświatowym i religijnym. ■



1 PAŹDZIERNIKA 1936

W Cowes w Wielkiej Brytanii zwodowano niszczyciel ORP „Błyskawica”.

1 PAŹDZIERNIKA 1996

W Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie sztandaru Jednostce Wojskowej GROM.



2-5 PAŹDZIERNIKA 1939

Bitwa pod Kockiem. We wschodniej Polsce, w garnizonach na Polesiu i Nowogrodzynie z oddziałów zapasowych i tyłowych gen. bryg. Franciszek Kleeberg utworzył Samodzielną Grupę Operacyjną „Polesie”. Składała się ona z dwóch improwizowanych dywizji piechoty, dywizji kawalerii i Podlaskiej Brygady Kawalerii. Łącznie liczebność sił polskich ocenia się na ok. 17 tys. żołnierzy. Po sowieckim ataku na Polskę 17 września oddziały Grupy rozpoczęły wycofywanie się na południe. Czołowe oddziały 2 października starły się z niemiecką dywizją zmotoryzowaną wchodzącą w skład XIV korpusu pod dowództwem gen. Gustava Antona von Wietersheim. Gen. Kleeberg po kilkudniowych walkach, mając świadomość, że SGO „Polesie” pozostała jedynym polskim walczącym związkiem operacyjnym, zdecydował o kapitulacji. Bitwa pod Kockiem była ostatnią bitwą kampanii wrześniowej 1939 r. w Polsce.

7 PAŹDZIERNIKA 1641

Hołd Fryderyka Wilhelma Hohenzollerna. Ostatni hołd lenny złożył Fryderyk Wilhelm Hohenzollern, książę Prus Książęcych i elektor Brandenburgii, królowi polskiemu Władysławowi IV. Fryderyk Wilhelm, klęcząc, przysięgał wierność zasiadającemu na tronie w stroju koronacyjnym monarsze polskiemu. Jego zależność lenna od Polski trwała tylko do 1657 r. Osłabiona najazdem szwedzkim Rzeczpospolita zawarła z Prusami Książęcymi traktaty welawsko-bydgoskie, na mocy których książę pruski stał się niezależnym od Polski władcą.



9 PAŹDZIERNIKA 1920

Zajęcie Wilna przez gen. Lucjana Żeligowskiego. Marszałek Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, pochodzący z Wileńszczyzny, zdecydował, aby przeprowadzić operację, polegającą na fikcyjnym buncie 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej pod dowództwem gen. Lucjana Żeligowskiego przeciw rządowi polskiemu.

Dywizja, w której większość stanowili Polacy z Wileńszczyzny, zaatakowała oddziały litewskie i po jednym dniu walk opanowała Wilno.

29 PAŹDZIERNIKA 1944

Wyzwolenie Bredy. 1 Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. bryg. Stanisława Maczka nocą z 27 na 28 października otrzymała od feldmarszałka Bernarda Montgomery'ego rozkaz opanowania Bredy. Polscy żołnierze przeprowadzili koncentryczny atak na miasto. Niemcy próbowali kontratakować. Polakom udało się przełamać opór i wejść do miasta. Do 30 października zniszczono w Bredzie ostatnie punkty oporu nieprzyjaciela. Ludność entuzjastycznie powitała polskich żołnierzy. W witrynach sklepowych pojawiły się kartki z napisami: „Dziękujemy Wam Polacy”. Decyzją Rady Miejskiej żołnierzom polskiej dywizji pancerniej przyznano honorowe obywatelstwo miasta. Powstał tam również polski cmentarz wojenny, na którym w 1994 r. pochowano – wśród polskich żołnierzy poległych w walkach o Holandię – gen. Stanisława Maczka.





3 PAŹDZIERNIKA 1655

Bitwa pod Wojniczem. Stoczona przez oddziały polskie w sile 6 tys. żołnierzy pod wodzą hetmanów: wielkiego Stanisława Potockiego i polnego Stanisława Lanckorońskiego z armią szwedzką liczącą 5,5 tys. ludzi pod wodzą Karola X Gustawa. Choć straty po obu stronach były niewielkie, to jednak bitwa ta zadecydowała o losach Krakowa. Ponadto niedługo po starciu rozpolitykowani żołnierze postanowili przejść na stronę szwedzkiego monarchy, wymuszając zgodę na swoich dowódcach.

4 PAŹDZIERNIKA 1918

Gen. Józef Haller objął naczelne dowództwo Armii Polskiej we Francji. W Brienne w obecności prezesa KNP Romana Dmowskiego i prezydenta Francji Raymonda Poincarégo 22 czerwca uroczysto wręczono chorążym 1 Dywizji Strzelców Polskich sztandary ufundowane przez francuskie społeczeństwo, a sztandar pierwszej polskiej jednostki walczącej u boku Francuzów w I wojnie światowej – Legionu Bajonczyków – prezydent Francji odznaczył Krzyżem Wojennym z palmą. Armia Polska – zwana od koloru francuskich mundurów, w które ją wyposażono – Błękitną Armią do pierwszej połowy 1919 r. rozrosła się do 6 dywizji strzelców wspartych lotnictwem, artylerią i bronią pancerną. Choć jedynie niewielka jej część wzięła udział w walkach przeciw Niemcom na froncie zachodnim, to oddziały te, wyszkolone i wyposażone, przewiezione do Polski wiosną 1919 r., uczestniczyły w wojnie polsko-ukraińskiej o Galicję Wschodnią i polsko-bolszewickiej 1920 r.



5 PAŹDZIERNIKA 1831

Ostatnia bitwa powstania listopadowego. Pod Księciem nad granicą pruską polscy karabinierzy i ułani z 13 Pułku pobili ścigających ich rosyjskich dragonów. Kilka godzin później Wojsko Polskie pod dowództwem ostatniego wodza naczelnego powstania listopadowego gen. Macieja Rybińskiego przekroczyło granicę pruską pod Brodnicą,



10 PAŹDZIERNIKA 1794

Bitwa pod Maciejowicami. Wojska powstańcze pod dowództwem Tadeusza Kościuszki starły się pod Maciejowicami z rosyjskim korpusem gen. Iwana Fersena. Kościuszko, dysponujący mniej licznymi siłami od nieprzyjaciela, spodziewał się posiłkowej dywizji gen. Adama Ponińskiego, co jednak nie nastąpiło. Mimo przewagi rosyjskiej Kościuszko początkowo umiejętnie odpierał ataki nieprzyjaciela, ale ostatecznie pozycji powstańczych przez Rosjan i atak na tyły armii insurekcyjnej doprowadziły do załamania się szeregów powstańczych. Ranny w walce Kościuszko trafił do niewoli, a insurekcyjna armia została rozbita. Bitwa przesądziła o upadku powstania i III rozbiórze Rzeczypospolitej.



25 PAŹDZIERNIKA 1822

Aresztowanie Waleriana Łukasińskiego. Rosjanie zatrzymali przywódcę Towarzystwa Patriotycznego Waleriana Łukasińskiego, którego w 1824 r. skazano – po zdegradowaniu – na dziewięć lat więzienia w twierdzy. Nigdy już nie wyszedł na wolność. Po wybuchu powstania listopadowego wywieziono go jako więźnia stanu do rosyjskiego Szlisserburga. Łukasiński stał się wzorem niezłomnej walki o niepodległość Polski i wiary w ostateczne zwycięstwo.



17 PAŹDZIERNIKA 1863

Romuald Traugutt dyktatorem powstania styczniowego. W powodu braku widocznych pozytywnych efektów walki z Rosjanami dawny podpułkownik armii carskiej Romuald Traugutt ogłosił się dyktatorem powstania. Wprowadził silną, scentralizowaną władzę nad powstaniem, przeprowadzając reformę struktur administracyjnych i reorganizację wojsk powstańczych, co w krótkim czasie zaczęło przynosić pozytywne efekty. Rosjanie, trapiący powstańcze władze, dopiero po ponadpółrocznych wysiłkach wpadli na trop dyktatora, a 10 kwietnia 1864 r. aresztowali go.

4 LISTOPADA 1915

Bitwa Legionów Polskich pod Kostiuchnowką na Wołyniu. Szczególnie ciężkie straty poniósł 3 Pułk Piechoty ppłk. Henryka Minkiewicza w atakach na Wzgórze Cegielniane, które później – w dowód uznania bohaterstwa legionistów – nazwano Polską Górą.



6 LISTOPADA 1657

Układy welawsko-bydgoskie. Traktat zawarty pomiędzy królem polskim Janem Kazimierzem a księciem-elektorem Fryderykiem Wilhelmem, na mocy którego dynastia Hohenzollernów stawała się niezależnymi władcami Prus Książęcych. W przypadku gdyby wymarła linia Hohenzollernów, Prusy Książęce zostałyby wcielone do Rzeczypospolitej. Z biegiem lat książęta-elektorzy umacniali swoją władzę, kładąc podwaliny pod silne i niezależne państwo pruskie, które później stało się jednym z inicjatorów rozbiorów Rzeczypospolitej.



20 LISTOPADA 1943

Początek akcji „Burza”. Komendant Armii Krajowej gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wydał dowódcom okręgów rozkaz o rozpoczęciu skierowanej przeciwko Niemcom akcji „Burza”. Miała ona polegać na prowadzeniu działań dywersyjno-bojowych na tyłach wojsk niemieckich przed wkroczeniem Armii Czerwonej na terytorium przedwojennej Polski.



25 LISTOPADA 1795

Abdykacja króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po upadku powstania kościuszkowskiego 3 stycznia 1795 r. Rosja i Austria doszły do porozumienia w kwestii ostatecznego podziału Rzeczypospolitej. Do konwencji rozbiorowej Prusy przystąpiły dopiero 24 października 1795 r., po długotrwałym kryzysie dyplomatycznym. Aby zachować pozory legalności likwidacji państwa polskiego, caryca Katarzyna II zażądała abdykacji ostatniego króla Polski i wielkiego księcia Litwy Stanisława Augusta, więźnia carskiego wielkorządcy Litwy Nikołaja Repnina. Akt ten pozostawał w sprzeczności z polskim prawem, gdyż od czasów abdykacji króla Jana Kazimierza w 1668 r. sejm zakazał zrzekania się tronu władcom.

30 LISTOPADA 1808

Szarża pod Somosierrą. Podczas hiszpańskiej wojny o niepodległość armia francuska dowodzona przez Napoleona w drodze na Madryt natknęła się na silną pozycję hiszpańskiej armii w wąwozie Somosierra. Początkowo powstrzymano uderzenia cesarskiej piechoty. Do zdobycia kluczowej pozycji cesarz Francuzów skierował 3 szwadron 1 Pułku Szwoleżerów Gwardii Cesarskiej Jana Kozieltulskiego. W brawurowej szarży Polacy zdobyli wszystkie cztery baterie hiszpańskie z 16 armatami, a armia hiszpańska rzuciła się do ucieczki, czyniąc drogę na Madryt otwartą. Szarża ta przeszła na trwałe do legendy polskiego oręża i rozślawiła go w całej Europie. Jest to jedno z najsłynniejszych uderzeń kawaleryjskich w epoce napoleońskiej i w całej historii wojen.





10 LISTOPADA 1444

Bitwa pod Warną. Na przedpolach Warny starły się oddziały węgiersko-polskie, liczące 16 tys. zbrojnych, pod wodzą króla Władysława III i Janosa Hunyadego z wojskami tureckimi w liczbie ok. 50-60 tys. W bitwie zginął monarcha – zabito jego konia, a gdy leżał na ziemi jeden z janczarów obciął mu głowę. Wybuchło zamieszanie, część oddziałów chrześcijańskich rzuciła się do ucieczki. Bitwa została przegrana, ale dużej części armii chrześcijańskiej nie rozbito. Król Władysław III poległ, zyskując od miejsca śmierci przydomek „Warneńczyk”.

11 LISTOPADA 1918

Odzyskanie przez Polskę niepodległości. Po wybuchu rewolucji w Niemczech zwolniono z internowania w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego. W świadomości większości społeczeństwa polskiego był on naturalnym przywódcą narodu. W młodości związał się z Polską Partią Socjalistyczną, w czasie I wojny tworzył Polskie Legiony, walczące u boku Austro-Węgier i Niemiec. Do Warszawy przybył 10 listopada 1918 r. Następnego dnia Rada Regencyjna przekazała mu zwierzchnictwo nad formującymi się oddziałami wojskowymi. Dzień 11 listopada uważany jest za symboliczną datę odzyskania przez Polskę niepodległości. O jej kształt terytorialny przez kolejne trzy lata toczyły się walki. Dzień 11 listopada ustanowiono Świętem Niepodległości ustawą z 23 kwietnia 1937 r. Po II wojnie światowej, w okresie rządów komunistycznych, nie było oficjalnie obchodzone. Obchody przywrócono w 1989 r.



14 LISTOPADA 1920

Józef Piłsudski marszałkiem Polski. Ogólna Komisja Weryfikacyjna przyjęła uchwałę, aby „w dowód czci i hołdu dla Wodza Naczelnego zwrócić się do Niego z prośbą o przyjęcie Najwyższej Godności Wojskowej, stopnia Pierwszego Marszałka Polski”. Zostało to ogłoszone rozkazem L. 1088 wydanym przez ministra spraw wojskowych gen. por. Józefa Leśniewskiego. W dniu swoich imienin Józef Piłsudski dekretem L. 2093 stopień przyjął i zatwierdził. Symbolem władzy marszałka była buława, która w czasach nowożytnych była oznaką władzy hetmańskiej. W okresie międzywojennym stopień Marszałka Polski przyznano jeszcze Ferdynandowi Fochowi i Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi.



28 LISTOPADA 1627

Bitwa pod Oliwą. Zwycięskie starcie polskiej floty w czasie wojny o ujście Wisły z lat 1626-1629. Szwedzką eskadrą w liczbie sześciu okrętów dowodził adm. Nils Göransson Stiernsköld, a polską flotą – składającą się z 10 jednostek – adm. Arend Dickmann. Zwycięstwo odblokowało port gdański do momentu przybycia większych sił szwedzkich. Bitwa pod Oliwą pokazała całej Europie, że Rzeczpospolita potrafi pokonać Szwedów dotychczas rządzących na wodach Bałtyku.

29 LISTOPADA 1830

Wybuch powstania listopadowego. Na wieść o rewolucji w Paryżu i Brukseli oraz o planowanej przez cara Mikołaja I interwencji zbrojnej Piotr Wysocki – przywódca tajnego Sprzysiężenia Podchorążych, stawiającego sobie za cel odzyskanie niepodległości przez Polskę – zdecydował o rozpoczęciu powstania. Powstańcy zajęli warszawski Arsenał i uzbili sprzyjającą im ludność, dzięki czemu ataki wiernych carowi oddziałów na Arsenał odparto. Wniecone w Warszawie powstanie wkrótce ogarnęło całe Królestwo Kongresowe.



1 GRUDNIA 1916

Wkroczenie Legionów Polskich do Warszawy. Do Warszawy 1 grudnia – po raz pierwszy od 1831 r. – wkroczyli żołnierze polscy. Uroczystość zaplanował generał-gubernator warszawski gen. Hans von Beseler i komendant garnizonu warszawskiego gen. Ulrich von Erzdorff. Legioniści, wśród których byli płk Stanisław Szepczycki i Józef Haller przemaszerowali Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem na pl. Saski. Wojsko przeszło przez bramę triumfalną przy ul. Marszałkowskiej, gdzie oczekiwali na nie również sędziwi weterani powstania styczniowego.



5 GRUDNIA 1830

Gen. dyw. Józef Chłopicki ogłosił się dyktatorem powstania listopadowego.

4 GRUDNIA 1942

Powstanie „Żegoty”. W Warszawie powołano konspiracyjną Radę Pomocy Żydom „Żegota”. Działająca w latach 1942-1945 polska organizacja podziemna kontynuowała tradycję założonego przez Zofię Kossak-Szczucką i Wandę Krahelską-Filipowicz Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom.

4 GRUDNIA 1798

Zwycięstwo pod Civita Castellana. Wojska francusko-polskie zatriumfowały nad ponaddwukrotnie silniejszymi oddziałami neapolitańskimi. I Legia, która odegrała znaczącą rolę w tej bitwie, dowodził gen. bryg. Karol Kniaziewicz.

6 GRUDNIA 1656

Traktat w Radnot. W Radnot spotkali się przedstawiciele króla Szwecji Karola X Gustawa, elektora brandenburskiego i księcia pruskiego Fryderyka Wilhelma, księcia Siedmiogrodu Jerzego II Rakoczego, Kozaków Bohdana Chmielnickiego i zbuntowany magnat litewski książę Bogusław Radziwiłł. Podpisano wówczas traktat rozbiorowy Rzeczypospolitej, na mocy którego Szwedom przypadły: Inflanty, Kurlandia, Prusy Królewskie, Kujawy, północne Mazowsze i Żmudź. Chmielnicki miał otrzymać niepodległą Ukrainę, książę Radziwiłł województwo nowogródzkie. Reszta ziem miała przyspać Jerzemu II Rakoczemu jako królowi polskiemu. Układ z Radnot przez wielu polskich historyków i publicystów uważany jest za zapowiedź przyszłych rozbiorów Rzeczypospolitej.



7 GRUDNIA 1925

Liga Narodów przyznała Polsce prawo do utrzymywania straży wojskowej na Westerplatte. We wrześniu 1939 r. siedmiodniowa obrona składnicy przed Niemcami stała się jednym z symboli obrony kraju przed agresją niemiecką.



30 GRUDNIA 1798

Upadek twierdzy Gaeta. Wkrótce po III rozbiore Polski na emigracji we Włoszech zorganizowano Legiony Polskie, z których część wzięła udział, u boku armii francuskiej, w działaniach zbrojnych w wojnie z II koalicją antyfrancuską. Oddziały I Legii Polskiej pod dowództwem gen. bryg. Karola Kniaziewicza zmusiły do kapitulacji neapolitańską twierdzę Gaeta. W fortecy tej znajdowały się dobrze zaopatrzone magazyny; oprócz żywności zdobyto: 70 armat, 22 moździerze i 20 tys. karabinów.



TEKST: JAROSŁAW GODLEWSKI, ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK, MIKOŁAJ KUBACKI
FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE, POLONA.PL

3 GRUDNIA 1800

Bitwa pod Hohenlinden. Podczas wojny Francji z II koalicją siły francuskie walczące nad Renem rozbiły pod Hohenlinden armię austriacką arcyksięcia Jana. Decydujące uderzenie na lewe skrzydło armii habsburskiej wykonała, wchodząca w skład sił francuskich gen. Jeana Moreau, Legia Naddunajska gen. Karola Kniaziewicza. W bitwie odznaczył się ułan Jan Pawlikowski i strzelec konny Côteboeuf, którzy wzięli do niewoli kompanię piechoty austriackiej, oraz por. Telesfor Kostanecki i jego ośmiu ułanów, którzy zdobyli sześć nieprzyjacielskich armat.



3 GRUDNIA 1941

Spotkanie gen. Władysława Sikorskiego z Józefem Stalinem w Moskwie. Rozmowy dotyczyły ewakuacji 25 tys. polskich żołnierzy do Iranu. Podczas spotkania gen. Sikorski poruszył również temat kilku tysięcy polskich oficerów wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r., których dalsze losy były nieznane. Stalin ukrył to, że Polaków z jego rozkazu zabili strzałem w tył głowy funkcjonariusze NKWD wiosną 1940 r.

14 GRUDNIA 1658

Przeprawa na wyspę Alsen. Jednym z najśłynniejszych epizodów kampanii duńskiej była przeprawa wojsk polskich przez cieśninę na wyspę Alsen. Odległość między stałym lądem a wyspą wynosiła 450-500 m, a głębokość dochodziła do ok. 10 m. Zgodnie z legendą i wspomnieniami Jana Chryzostoma Paska, pamiętnikarza i żołnierza, który brał udział w tym wydarzeniu, polska kawaleria w grudniowy mroźny dzień rzuciła się w morze oddzielając wyspę od stałego lądu i, pokonawszy je wpław, rozbiła oczekujących ich na brzegu Szwedów. W rzeczywistości przeprawa nie mogła odbyć się w ten sposób, ponieważ zarówno temperatura powietrza, jak i wody były tak niskie, że człowiek, z powodu wyziębienia organizmu, mógłby przeżyć zaledwie kilkanaście minut. Należy raczej zawierzyć relacji Jakuba Łośia, który również uczestniczył w tej kampanii. Według niego ludzi i część koni przepławiono tratwami i łodziami, a część koni ciągnięto za łańcuchami przepławowymi. Wydarzenie to rozślawiło imię Stefana Czarnieckiego. Wyprawa i przeprawa zapisały się w historiografii polskiej, literaturze, malarstwie oraz zostały upamiętnione w polskim hymnie narodowym.



22 GRUDNIA 1914

Początek bitwy pod Łowczówkiem. I Brygada Legionów pod dowództwem komendanta Józefa Piłsudskiego stoczyła czterodniową bitwę z Rosjanami pod Łowczówkiem. Brygada po zdobyciu wyznaczonego rejonu przeprowadziła pięć szturmów i odparła kilkanaście kontrataków rosyjskich.





Weterani powstania styczniowego (na pierwszym planie) podczas Święta Żołnierza w Warszawie, 15 sierpnia 1936 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kadra dowódcza powstania styczniowego

Po upadku powstania listopadowego 1830–1831 polska armia przestała istnieć, dlatego kadre dowódczą powstania styczniowego 1863–1864 tworzone z ludzi, którzy znali rzemiosło wojenne (dezertersów z obcych armii i dawnych wojskowych) oraz z cywilów wykazujących się znajomością topografii i autorytetem wśród lokalnego społeczeństwa.

KAROL JADCZYK

W styczniu 1863 r. dowództwo powstania styczniowego rozpoczęło walkę z zaborcą rosyjskim w diametralnie odmiennych warunkach od tych, z którymi musieli mierzyć się ich poprzednicy w noc listopadową 1830 r. Wynikało to z faktu, że od ponad 30 lat nie

było rodzimej armii, brakowało broni i przeszkolonych żołnierzy oraz wykwalifikowanej kadry dowódczej, która mogłaby sprawnie pokierować ruchem zbrojnym. Ta ostatnia była tworzona doraźnie ze zbieraniny ludzi legitymujących się jakąkolwiek znajomością rzemiosła wojennego. Grono to uzupełniali do-

wódcy cywile, którzy często braki w elementarnym wykształceniu wojskowym nadrabiali autorytetem i charyzmą wśród lokalnego społeczeństwa oraz znajomością topografii. W związku z tym korpus dowódczy powstania styczniowego 1863–1864 stał się swego rodzaju grupą osób mniej lub bardziej zróżnicowanych pod względem struktury społecznej (pochodzenie: terytorialne, społeczno-zawodowe, narodowościowe) i demograficznej (wiek), nabytych kwalifikacji i doświadczeń wojskowych, typów osobowości i predyspozycji dowódczych.

Pochodzenie terytorialne

Dziś niezwykle trudno oszacować dokładną liczbę dowódców, którzy wzięli udział w działaniach zbrojnych 1863–1864. Gdyby jednak przyjąć trzy kryteria: samodzielne dowodzenie lub współdowodzenie (przynajmniej w jednej bitwie lub potyczce), dowodzenie oddziałem nie mniejszym niż 100 ludzi, a zakres terytorialny ograniczyć do Królestwa Polskiego, wówczas na podstawie dostępnych spisów powstańców wyłania się liczba 239 naczelników partii (oddziałów).

Charakterystyka struktury społecznej i demograficznej tej zbiorowości przedstawiała się niezwykle ciekawie. Gdyby uwzględnić w pierwszej kolejności pochodzenie terytorialne (ze względu na miejsce urodzenia), to najwięcej, bo 100 spośród 239 naczelników partii, przyszło na świat w Królestwie Polskim. Stanowiło to 42% ogółu kadry dowódczej. Spośród pięciu ówczesnych guberni: warszawskiej, radomskiej, lubelskiej, płockiej i augustowskiej dominującą rolę odegrała ta pierwsza. Z jej terenów wywodziło się aż 41 dowódców. Warto też zwrócić szczególną uwagę na rolę Warszawy, z której pochodziło 22 wodzów powstańczych. Spośród bardziej znanych w gronie tym znaleźli się: Michał Heidenreich „Kruk”, Antoni Jeziorański, Kazimierz Błaszczyński „Bończa”, Karol Frycze, Józef Leniecki, Aleksander Littich oraz najprawdopodobniej Zygmunt Chmieleński. Następną – po warszawskiej – gubernią, z której wywodziło się najwięcej dowódców, była najmniejsza pod względem powierzchni gubernia płocka. Pochodziło z niej 19 członków kadry.

Znaczący odsetek w korpusie dowódczym stanowili również naczelnicy partii, którzy przyszli na świat na ziemiach I Rzeczypospolitej wcielonych po 1772 r. do Rosji, Austrii i Prus. Chodzi o włączone: do Rosji Kresy Wschodnie (Kresy Północno- i Południowo-Wschodnie); do Austrii – Galicję (wschodnią i zachodnią) oraz do Prus – Prusy Zachodnie i Wielkie Księstwo Poznańskie (rejencja poznańska i bydgoska). Z Kresów Wschodnich rodem było 29 wodzów powstańczych, co stanowiło 12% ogółu kadry. Przy czym 23 naczelników partii wywodziło się z Kresów Północno-Wschodnich, ►

ZYGMUNT CHMIELEŃSKI

Jednym z najdzielniejszych i najbardziej charyzmatycznych dowódców powstania styczniowego był Zygmunt Chmieleński. Według dwóch rozbieżnych źródeł Zygmunt Adam przyszedł na świat 1 grudnia 1833 r. w Barczącej k. Mińska Mazowieckiego lub 21 grudnia 1833 r. w Warszawie przy ulicy Bednarskiej. Chmieleńscy wywodzili się ze starego mazowieckiego rodu szlacheckiego pieczętującego się herbem Leszczyc. Zygmunt był synem Jana Nepomucena, byłego oficera armii carskiej, właściciela majątku Barcząca i Julii Tyborowskiej. Jego rodzicie – choć dysponowali majątkiem i stać ich jeszcze było na udokumentowanie szlachectwa przed Heroldią Królestwa Polskiego – należeli do kręgu zubożałej szlachty. Niewykluczone zatem, że ów czynnik materialny zadecydował o tym, że Jan Nepomucen, wiedziony swoim przykładem, wybrał dla syna karierę wojskową. W 1844 r. jedenastoletniego Zygmunta umieszczono w rosyjskim Szlacheckim Pułku w Petersburgu, który zmienił później nazwę na Konstantynowski Kadecki Korpus, a następnie Konstantynowska Wojenna Szkoła. W 1854 r. Chmieleński zdał egzamin na praporszczyka (chorążego) armii carskiej i rozpoczął służbę w artylerii. Pierwsze doświadczenia bojowe zdobył podczas wojny krymskiej, choć nie są znane szczegóły jego uczestnictwa w tym konflikcie zbrojnym. Po wojnie wspinał się po kolejnych szczeblach kariery wojskowej. W 1856 r. awansował na podporucznika, a trzy lata później – na porucznika.

ROZBRAT Z ARMIA CARSKĄ

Wieloletnia służba z oficerami i żołnierzami obcej nacji w armii rosyjskiej odcisnęła na Chmieleńskim znaczące piętno. Zaczął stopniowo zatracać swoją tożsamość narodową. Przełomem dla niego był rok 1859, kiedy przyjechał ponownie do Petersburga. Znalazł się pod silnym wpływem Zygmunta Sierakowskiego, Zygmunta Padlewskiego i Jarosława Dąbrowskiego. W Chmieleńskim zaczął się odradzać duch polskości. Znaczący wpływ na niego wywierał brat Ignacy, wówczas jeden z liderów kryształizującej się w Warszawie organizacji spiskowej. Zaczął angażować się w wydarzenia w stolicy, gdzie na początku 1861 r. przeniesiono go wraz z 4 brygadą artylerii. Wreszcie we wrześniu 1861 r. podjął przełomową decyzję – porzucił zniechędzony mundur carski i potajemnie wyemigrował przez Francję do Włoch. W liście z Paryża do brata Ludwika pisał: „Kochany Bracie! Obecny stan rzeczy w Polsce nie pozwala mi dłużej dźwigać tego munduru, który uciska moją pierś polską. Nie mogąc dostać dymisji, zostałem zmuszony wyjechać za granicę [...] rzucam służbę, bo ona nie zgadza się z moim uczuciem i z moim przekonaniem”¹. Gdy w styczniu 1863 r. w Królestwie Polskim wybuchło

powstanie, Chmieleński szybko znalazł się na placu boju. Z czasem Rząd Narodowy powierzył mu dowództwo jednej z partii partyzanckich działających w województwach krakowskim i sandomierskim. Chmieleński był niepozorny i drobnego wzrostu, ale miał wielki autorytet, dzięki któremu zyskiwał bezgraniczny posłuch i szacunek podkomendnych. Ludzie tamtej epoki wspominali w pamiętnikach nietuzinkową postać byłego porucznika artylerii armii carskiej: „Wygląd Chmieleńskiego nie był wcale nakazujący: szczupły, prawie że chuderlawy [...], nie miał wcale rycerskiej miny”².

NIEZŁOMNOŚĆ CHARAKTERU

Natomiast żołnierz Chmieleńskiego Ludomir Grzybowski opisuje swojego dowódcę w następujący sposób: „Powierzchnowość niczego. Wzrostu niskiego, dość szczupły, blondynek, nosił wąsy krótkie. Rysy twarzy regularne, a całość przedstawiała się na rzut oka, ot, taki ruski oficer, co to „słuszaj i spełniaj, bo ja tak chcę – KJ”³. Z relacji świadków tamtej epoki wynika jednak, że Zygmunt był typem człowieka o bardzo silnym charakterze. Surowy wobec siebie i swoich żołnierzy, nie znoślił żadnego sprzeciwu. Jeden z żołnierzy powstańczych tak go scharakteryzował: „Chmieleński [...] na oko niewiele wzbudzał grozy; ale gdy oko jego szafirowe zaiskrzyło się, gdy głosem ostrym i donośnym, czystym a dźwięcznym, zaczął przemawiać do otaczających – poznałeś zaraz siłę, energię i poczułeś niezłomność jego charakteru i męstwo. A cóż dopiero gdy dosiadł konia i na czele swej drużyny, dawał rozkazy i komendę. Każde jego słowo wyrzucone było nie na wiatr, a żołnierz w szeregu nie śmiał okiem mrugnąć, bo za najmniejsze nieposłuszeństwo śmiercią karał. [...] Pomimo jednak całej srogości podkomendni kochali go i w ogień byli iść za nim gotowi”⁴. Cechami, którymi Chmieleński szczególnie imponował swoim żołnierzom, były bystrość umysłu, niezłomność, zachowanie zimnej krwi na polu walki i wielka odwaga: „W bitwach był nieporównany, odważny, jeździł przeważnie en carrière [galopem, w szybkim tempie – KJ]. Przebiegał z jednego skrzydła na drugie, zagrzewał i dodawał odwagi [...], sam z siebie dawał przykład. Nie chował się, ani myślał o tym, że lada chwila kula go trafi”⁵.



Zygmunt Chmieleński

FOT. POLONA.PL

a jedynie sześciu z Kresów Południowo-Wschodnich. W zaborze austriackim urodziło się 22 dowódców powstańczych, z czego 11 w Galicji zachodniej, a dziewięciu we wschodniej. W przypadku dwóch dowódców nie udało się ustalić, z którego rejonu Galicji pochodzili. Nieznacznie mniejsza, bo dwudziestojednoosobowa grupa pochodziła z Zaboru Pruskiego. Z Prus Zachodnich wywodził się zaledwie jeden dowódca, reszta z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Na rejencję poznańską przypadło 13 wodzów, na bydgoską zaś czterech. W trzech przypadkach rejencji nie udało się ustalić. Wreszcie 19 dowódców powstania styczniowego urodziło się we Francji, w Rosji (bez Kresów Wschodnich), Austrii (bez zaboru austriackiego), Prusach (bez zaboru pruskiego), we Włoszech i w Szwajcarii. Grupa ta stanowiła 8% ogółu członków korpusu dowódczego. W gronie tym, oprócz

DOWÓDCY POWSTANIA - PODZIAŁ ZE

Królestwo Polskie – 100 dowódców



cudzoziemców, znaleźli się również Polacy urodzeni we Francji: Ludwik Mierosławski, Bronisław Gasztowtt, Apolinary vel Apollo Młochowski oraz w Rosji: Józef Hauke „Bosak”, Aleksander Taniewski „Tetera”, Paweł Suzin i Walery Mroczkowski. Dowodzi to, że pochodzenie terytorialne nie zawsze szło w parze z narodowością. Z powodu braku danych nie udało się ustalić pochodzenia terytorialnego 48 naczelników partii (20%).

Pochodzenie narodowościowe

Nie mniej interesująco rysuje się kwestia pochodzenia narodowościowego dowódców zrywu styczniowego. Dominowali Polacy, którzy stanowili 88% ogółu kadry (210 dowódców). Nie udało się określić narodowości 13 osób. Ponadto w gronie naczelników partii w latach 1863–1864 znalazło się 16 dowódców obcokrajowców. W grupie cudzoziemców było trzech Włochów: Stanislao Elbano Bechi, Luigi Navone i Camillo Lencisa; trzech Węgrów: Aladar Palfy v. Novelli, Petz v. Pütz i niejaki Rajmund; dwóch Francuzów: Henri Soudeix i Leon Young de Blankenheim; dwóch Rosjan: Mitrofan Podhaluzin i Nicolas Ladislav Postolski „Gozdawa”; Ukrainiec (Rusin) – Mikołaj Neczaj; Żyd – August Rosner; Chorwat – Piotr Szhmeiss v. Szmajc; Niemiec – Julian Rozenbach v. Rosenbach i Szwajcar – Ludwik Bardet v. Bardette. Obcą narodowość przypisać należy również Pawłowi

Bogdanowi v. Bogdanowowi, choć – ze względu na rozbieżności w źródłach – jego nacji nie udało się jednoznacznie określić. Mówiąc o narodowości, nie sposób pominąć faktu, że wśród 210 wodzów narodowości polskiej znalazło się kilkudziesięciu dowódców o cudzoziemskim rodowodzie. Mieli oni korzenie: niemieckie – Michał Heidenreich „Kruk” (syn spolonizowanego Niemca i Francuzki), bracia Edward i Gustaw Habichowie, Karol Frycze (niem. Fritsch v. Fritsche), Wacław Steinkeller, Józef Alojzy Seyfried, Julian Karol Benedykt Nadmiller (Nathmüller), Aleksander Littich (Lüttich); włoskie: Juliusz Dżianott v. Dżianota i Narcyz Figietty; francuskie: Edmund Callier i Bronisław Deskur i żydowskie – Antoni Jeziorański. Cudzoziemskim rodowodem legitymowali się również: gen. Józef Hauke „Bosak”, wywodzący się z flamandzkiej rodziny van der Haacken, a także Karol Kalita de Brenzenheim, dr Józef Dworaczek i Tytus Jan O’Byrn de Lassay, których przodkowie przybyli na ziemię polskie odpowiednio z: Inflant Polskich, Czech i Irlandii. Wreszcie Adolf Amort „Murdelio” określany mianem „spolaczanego Serba czy Węgra”.

Naturalnie nie należy mieć wątpliwości co do ich oddania sprawie Polski. Właściwie tylko ich obco brzmiące nazwiska wskazywały na to, że są cudzoziemcami.

Pochodzenie społeczne

Pod względem pochodzenia społecznego dominowali w korpusie dowódczym przedstawiciele dwóch warstw: ►

WZGLĘDU NA MIEJSCE URODZENIA

41

gubernia warszawska
– 41 dowódców
17,2% ogółu,
w tym: Warszawa – 22

19

gubernia płocka
– 19 dowódców
7,9% ogółu

40

gubernie: radomska,
lubelska, augustowska
– 40 dowódców

Tereny Rzeczypospolitej wcielone po 1772 r. do Rosji, Prus i Austrii – 91 dowódców, w tym:

Kresy Wschodnie – 29 dowódców,
w tym: Kresy Północno-Wschodnie
– 23, Kresy Południowo-Wschodnie – 6

29

zabór austriacki – 22 dowódców,
w tym: Galicja zachodnia – 11
Galicja wschodnia – 9
pochodzenie nieustalone – 2

22

zabór pruski – 21 dowódców
Prusy zachodnie – 1
Wielkie Księstwo Poznańskie
– 18 dowódców, w tym:
rejencja poznańska – 13
rejencja bydgoska – 4
pochodzenie nieustalone – 3

21



Chmieleński, mimo że był wojskowym regularnej armii, miał wyjątkowy talent do prowadzenia wojny partyzanckiej. W czasie kilkumiesięcznej kampanii zbrojnej stoczył kilkanaście znaczących bitew z wojskami carskimi, z czego wiele zwycięskich. W końcu maja 1863 r. wkroczył do Królestwa Polskiego i podporządkował się płk. Kazimierzowi Błaszczyńskiemu „Bończy”. Po rozbiciu 18 czerwca 1863 r. jazdy „Bończy” pod Górąmi zorganizował w powiecie olkuskim oddział liczący około 200 ludzi. Kampanię zbrojną rozpoczął od zwycięstwa 6 lipca 1863 r. pod Janowem, gdzie rozgromił dwie rotę rosyjskiego Białozierskiego Pułku Piechoty. W przeciwieństwie do wielu innych dowódców powstańczych Chmieleński starał się przejmować inicjatywę i działać zaczepnie, wykorzystując przy tym zaskoczenie. Efektem tego były w 1863 r. liczne starcia jego oddziału z wojskami carskimi: Rudniki (28 lipca), Obiechów (14 sierpnia), Biała (18 sierpnia), Przedbórz (3 września), Cierno (22 września), Wawrzyn (23 września), Czarna (24 września), Metchów (30 września), Oksa (20 października), Kwilina (21 października), Ocieski (28 listopada), Sprowa (4 grudnia) i Bodzechów (16 grudnia).

Podkomendni byłego oficera rosyjskiego zwracali przede wszystkim uwagę na jego pomysłowość, spryt i umiejętność wychodzenia z najtrudniejszych opresji. Nawet bardzo krytyczny wobec powstania Walery Przyborski stwierdził: „Dzięki tym przymiotom [niepospolitej energii i żelaznej wytrwałości – KJ] bojował blisko przez pół roku, rozbić się zupełnie nie dał i odegrał w powstaniu w Krakowskim i Sandomierskim rolę pierwszorzędą”¹.

Prowadzoną z wielką wytrwałością kampanię zbrojną Zygmunt Chmieleński zakończył 16 grudnia 1863 r. starciem pod Bodzechowem. Ciężko ranny, osaczony przez kozaków dostał się do niewoli rosyjskiej. Przewieziono go do Radomia, oddano pod sąd wojenny i zdegradowano do stopnia szeregowca oraz pozbawiono wszelkich praw politycznych i skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 23 grudnia 1863 r. w Radomiu.

¹ J. Jarzębowski, *Mówią ludzie roku 1863. Antologia nieznanych i mało znanych głosów ludzi współczesnych*, Londyn 1963, s. 49.

² B. i J. Anc, *Z lat nadziei i walki 1861–1864*, Brody 1907, s. 91.

³ L. Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, W. Caban i Z. J. Adamczyk (oprac.), Kielce 1994, s. 91.

⁴ W. Zapółowski, *Pamiętniki z roku 1863–1870*, t. I, Wilno 1913, s. 73.

⁵ L. Grzybowski, *Opis powstania polskiego w roku 1863 i 1864 w województwie krakowskim*, W. Caban i Z. J. Adamczyk (oprac.), Kielce 1994, s. 92, 94.

⁶ W. Przyborski, *Dzieje 1863 roku*, t. IV, Kraków 1905, s. 258–259.

inteligencji (w tym tzw. inteligencji wojskowej) i ziemiaństwa. Inteligencję reprezentowało aż 160 wódzów partyzanckich, co stanowiło prawie 67% ogółu kadry, status ziemianina miało zaś 45 dowódców, czyli 19% ogółu. Tak wysoki odsetek inteligencji wynikał z włączenia do niej 97 oficerów w służbie czynnej. Inteligencja wojskowa w większości legitymowała się szlachecko-ziemiańskim pochodzeniem. Pozostałych 63 dowódców reprezentujących inteligencję cywilną przynależało do różnych grup zawodowych. Było wśród nich: 20 przedstawicieli tzw. inteligencji technicznej (inżynierowie, geometryści), 15 funkcjonariuszy administracji dóbr ziemskich, siedmiu urzędników administracji państwowej i wymiaru sprawiedliwości, sześciu nauczycieli, czterech lekarzy, czterech księży, trzech artystów i ludzi pióra, dwóch drukarzy oraz dwóch studentów i aplikantów. W przypadku ziemian 36 osób było właścicielami majątków na prawach pełnej własności, ośmiu dzierżawcami, natomiast statusu majątku jednego dowódcy nie udało się ustalić. Średnio obszar własności ziemskiej wahał się od 300 do 3 tys. mórg. Właścicielami majątków o takiej powierzchni było 30 spośród 45 dowódców dysponujących dobrami ziemskimi.

Wiek

Średnia wieku badanej populacji była jak na kadrę dowódczą wyjątkowo niska, gdyż wynosiła zaledwie 34 lata, co wyliczono na podstawie danych 191 dowódców, których wiek udało się ustalić. W sporadycznych przypadkach występowały jednak znaczące rozpiętości. Na przykład najstarsi naczelnicy partii partyzanckich: ks. Walenty Nawrocki, Paweł Nencki, Wincenty Reklewski, Józef Śmiechowski mieli odpowiednio: 71, 69, 67 i 65 lat, podczas gdy najmłodsi: Edward Chądzyński – 18, Leon Frankowski, Zygmunt Napoleon Rzewuski „Krzywda” i Walerian Ostrowski po 20 lat. W korpusie dowódczym w latach 1863–1864 prym wiodli mężczyźni w sile wieku, czyli od 26. do 35. roku życia, którzy stanowili ponad 36% całej kadry (87 dowódców). Młodych komendantów do 25. roku życia było 40; w wieku od 36 do 45 lat – 36; od 46 do 60 lat – 22, a wódzów powyżej 60. roku życia zaledwie sześciu. Nie udało się ustalić wieku 48 naczelników partii.

Kwalifikacje i doświadczenia wojskowe

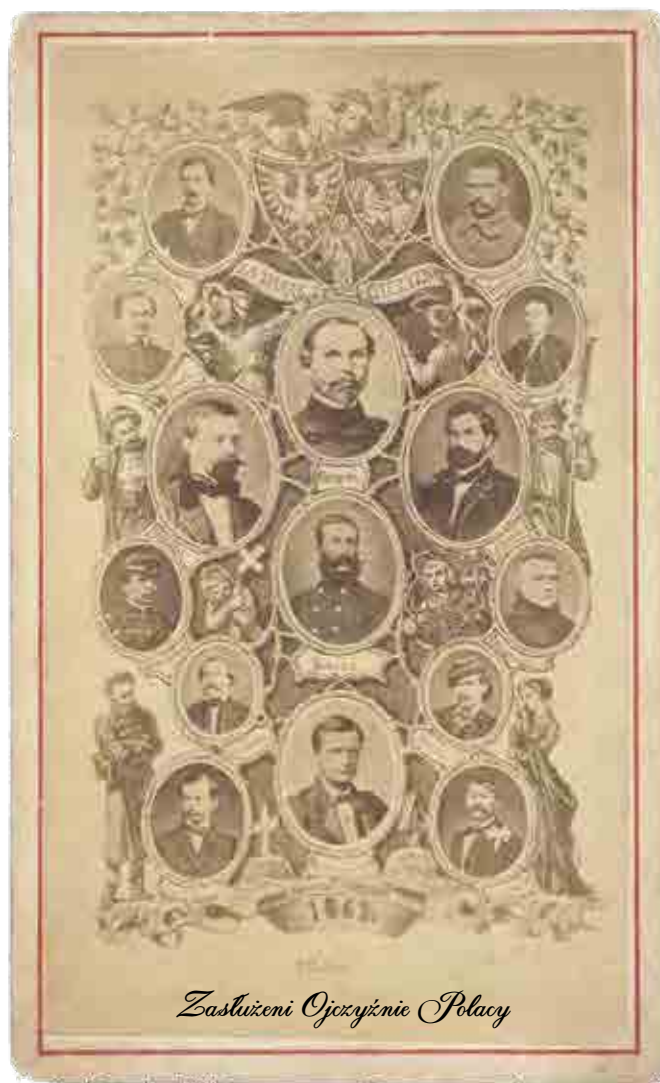
Członkowie kadry dowódczej zrywu styczniowego mieli różne kwalifikacje i doświadczenia wojskowe. Można pokusić się o porównanie, że różnorodność typów i rodzajów broni stosowanych przez powstańców odpowiadała wielorakości doświadczeń wojskowych nabytych przez przyszłych wódzów powstania i mnogości formacji, w których pełnili służbę. Lwią część stano-

wili dawni żołnierze i oficerowie armii państw zaborczych, których było nieco ponad 45% ogółu kadry (108 dowódców). W grupie tej ze zrozumiałych względów – działania zbrojne toczyły się na obszarze zaboru rosyjskiego – prym wiodli wojskowi z armii carskiej – 71 osób. Mundur armii austriackiej nosiło wcześniej 23, a armii pruskiej – 14 wódzów powstańczych. Do najwyższych rang wojskowych doszło pięciu oficerów armii carskiej: Józef Hauke „Bosak”, który w 1862 r. został awansowany na stopień pułkownika, oraz Michał Heidenreich „Kruk”, Aleksander Taniewski „Tetera”, Ignacy Wysocki „Żaczek” i Aleksander Lenkiewicz „Lander”, którzy otrzymali stopnie podpułkowników. W gronie dowódców noszących niegdyś mundur armii carskiej znalazło się 11 wojskowych, którzy zdobyli cenne doświadczenie w prowadzeniu wojny partyzanckiej w bojach z plemionami górali kaukaskich (głównie Czerkiesów): Matwiej Bezkiszkin, Józef Hauke „Bosak”, Feliks Kołyszko, Władysław Kononowicz, Wincenty Wanert, Zygmunt Koskowski, Karol Jastrzębski, Walerian Remiszewski, Hipolit Zawadzki, Hipolit Jaworski i Antoni Turchetti. Natomiast kilku oficerów armii austriackiej praktykę bojową zdobyło we Włoszech w 1859 r.

Drugą najliczniejszą grupę – po byłych podoficerach i oficerach armii państw zaborczych – stanowili dowódcy bez przygotowania wojskowego. W gronie 41 wódzów byli ludzie różnych profesji. Do najbardziej znanych zaliczali się: Kajetan Cieszkowski „Ćwiek”

i Tomasz Kolbe – ziemianie; Józef Jankowski – rządcą majątku; Karol Frycze i Ignacy Mystkowski – inżynierowie budowy kolei; Walery Wróblewski – leśniczy; Karol Krysiński – leśniczy lub ślusarz; Marcin Borelowski „Leleweł” – blacharz lub studniarz; Władysław Cichorski „Zameczek” – geometra; Stanisław Brzóska i Józef Czajkowski – księża oraz Władysław Czarkowski i Józef Dworzaczek – lekarze.

Kilkunastu najstarszych wiekiem dowódców powstania styczniowego było weteranami powstania listopadowego 1830–1831. Część z nich kończyła szkoły oficerskie i rozpoczynała służbę wojskową jeszcze w czasach Armii Królestwa Polskiego. Zaliczali się do nich między innymi: Ludwik Mierosławski, Józef Śmiechowski, Antoni Rajmund Garczyński, Aleksander Czarnecki, Józef Jagmin, Kazimierz Oborski, Jan Aleksander Andruszkiewicz, Kazimierz Dahlen, Oswald Radziejowski, Jakub Jasiński, Józef Konstanty Ramotowski „Wawer”, Wincenty Reklewski, Aleksander Waligórski, Józef Wysocki oraz



FOT. POLONA.PL

być może Dionizy Czachowski. Niektórzy z nich kontynuowali kariery wojskowe, służąc w obcych armiach i uczestnicząc w konfliktach zbrojnych (Wiosna Ludów 1848–1849, wojna krymska 1853–1856). Dla innych jedynym doświadczeniem bojowym do 1863 r. był udział w wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r.

W korpusie dowódczym zrywu styczniowego znalazło się również 13 uczestników Wiosny Ludów. Z wyjątkiem Ludwika Mierosławskiego, który walczył we Włoszech i Niemczech, byli to weterani walk w Wielkopolsce i na Węgrzech: Apolinary Kurowski, Polikarp Dąbkowski, Józef Dworzaczek, Józef Łakiński, Kajetan Słupski, Edward Dunajewski, Juliusz Nadmiller, Wiktor Dobrosielski, Antoni Jeziorański, Walenty Lewandowski, Walery Kozłowski i Józef Wysocki. Doświadczenie bojowe pierwszych było znikome, gdyż ograniczało się do dwutygodniowych walk w Wielkim Księstwie Poznańskim. Na ich tle lepiej wypadali żołnierze armii honwedów, którzy walczyli o wolność Węgier.

Młodsze pokolenie reprezentowało 13 wychowanków Polskiej Szkoły Wojskowej w Genui i Cuneo, spośród których do bardziej znanych należeli: Teodor Cieszkowski, Józef Oxiński, Roman Rogiński, Aleksander Littich, Walery Mroczkowski i Robert Skowroński. Wreszcie korpus dowódczy powstania styczniowego uzupełniało grono 34 Polaków i cudzoziemców, którzy pełnili służbę wojskową w innych niż zaborcze armiach europejskich i pozaeuropejskich. W kręgu tym znalazło się 14 Polaków – oficerów wojsk tureckich: Aleksander Czarnecki, Antoni Rajmund Garczyński, Józef Jagmin, Zygmunt Jordan, Eugeniusz Kazimierz (mylnie Ludwik) Oborski, Tomasz Wierzbicki, Aleksander Matuszewicz, Władysław Miśkiewicz, Michał v. Karol Marecki, Narcyz Figietty, Faustyn Gryliński, Dionizy Cetkowski, Jan Markowski, Pankracy Wodziński; dziewięciu żołnierzy armii francuskiej i francuskiej Legii Cudzoziemskiej: Léon Young de Blankenheim, Henri Soudeix, Edmund Callier, Franciszek Budziszewski, Stefan Malczewski, Bronisław Gasztowtt, Józef Romocki v. Rumocki, Józef Popowski i Ludwik Bardet; dziewięciu armii włoskiej i legionów Giuseppe Garibaldiego: Stanislao Bechi, Luigi Navonne, Camillo Lencisa, Piotr Doliński, Kazimierz Wolski, Ludwik Michalski, Anastazy Władysław Mossakowski, Piotr Tampicki i Władysław Wilkoszewski. Ewenement w korpusie dowódczym stanowili Ludwik Żychliński – podoficer (chorąży) Nowojorskiego Pułku Kawalerii podczas wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych oraz Andrzej Denisewicz – oficer armii serbskiej. Spośród wymienionych spore doświadczenie bojowe z wojny krymskiej miała część oficerów armii sułtańskiej. Ponadto ciekawą praktyką mogli się pochwalić byli wojskowi Legii Cudzoziemskiej, którzy walczyli we Włoszech i Meksyku oraz z plemionami Kabylów w Algierii.

Niektórzy członkowie kadry dowódczej mieli duże doświadczenie i wysokie kwalifikacje wojskowe zdobyte w trakcie służby w dwóch lub więcej formacjach. Na przykład Aleksander Czarnecki, Antoni Rajmund Garczyński, Józef Jagmin i Eugeniusz Kazimierz Oborski jeszcze w powstaniu listopadowym mieli niższe rangi oficerskie, a w czasie wojny krymskiej otrzymali nominacje na stopień majora w armii tureckiej. Garczyński służył w Legionie Polskim gen. Józefa Bema w Portugalii, potem walczył w Hiszpanii w armii karlistów przeciw wojskom królowej Marii Krystyny Sycy-

lijskiej i podczas Wiosny Ludów 1848 r. w Wielkopolsce. Jagmin był uczestnikiem kampanii na Węgrzech w latach 1848–1849, a Oborski odbył pięcioletnią służbę w wojsku belgijskim. Natomiast Franciszek Budziszewski i Edmund Callier, po krótkim epizodzie w armii pruskiej, przez pięć lat służyli w szeregach Legii Cudzoziemskiej, a wieloletni wojskowy austriacki – przyszedł dzielny płk Karol Kalita „Rębajło” – swoją służbę rozpoczął w Legionie Polskim gen. Józefa Wysockiego na Węgrzech. Największe doświadczenie miał jednak Michał v. Karol Marecki, który po ukończeniu w 1848 r. Szkoły Podchorążych w Wiedniu zbiegł na Węgry i służył w armii honwedów. Wzięty do niewoli, spędził pięć lat w armii austriackiej, z której w 1854 r. zdezerterował i wstąpił do 2 Pułku Kozaków Sułtańskich przy armii tureckiej. W szeregach tegoż Pułku wziął udział w wojnie krymskiej 1853–1856, a po jej zakończeniu ruszył z Teofilem Łapińskim na wyprawę na Kaukaz, by tam w latach 1857–1859 wspierać Czerkiesów w walkach z armią carską. Po powrocie trafił do Włoch, gdzie w 1860 r. walczył w szeregach legionów Giuseppe Garibaldiego na Sycylii, a później w legii granicznej w Kalabrii i Abruzji. Nim trafił do Królestwa Polskiego, w którym toczyły się walki powstania styczniowego, 15 lipca 1863 r. uczestniczył w słynnej bitwie pod Kostangalią w Rumunii.

Charakter, poglądy i wartości moralne

Członkowie kadry dowódczej powstania styczniowego mieli różne charaktery i osobowości oraz wyznawali różne poglądy i wartości moralne. W korpusie „leśnych” wodzów 1863–1864 byli ludzie prawi i uczciwi, gorący patrioci gotowi do największych poświęceń dla dobrej sprawy narodowej. Byli dowódcy o poglądach prawicowych i lewicowych „czerwieńców” lub też o upodobaniach pośrednich. Łączyło ich to, że rezygnowali z karier wojskowych, intratnych stanowisk, szczęścia rodzinnego dla walki o niepodległość kraju. Były też osoby mniej uczciwe i gorliwe w pełnieniu swoich obowiązków wobec ojczyzny, przesyczone pychą i skłonne do intryg, a do tego pozbawione talentów wojskowych i męstwa. Oprócz dowódców dezzerterujących z placu boju i wodzów uzależnionych od alkoholu, byli i tacy, którzy wykorzystywali powstanie do rabowania. Wydaje się jednak, że przeważali ludzie, którzy poświęcali całą swoją energię i dorobek życia w imię słusznej sprawy.

KAROL JADCZYK, doktor adiunkt Działu Zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Specjalizuje się w biografistyce i historii wojskowości powstania styczniowego. Autor książki *Dowódcy powstania styczniowego*. Portret zbiorowy i artykułów o tematyce powstania publikowanych na łamach czasopism: „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Historica”, „Przeglądu Historyczno-Wojskowego” oraz „Niepodległość i Pamięć”, współautor pracy *Powstanie styczniowe w Łodzi i regionie. Studia i materiały*.



**Weteran
powstania
styczniowego**

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

www.polska-zbrojna.pl

Polska Zbrojna

NR 1 (861) STYCZEŃ 2018

INDERS 417 459 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



450 ml
życia

Honorowi
krwiodawcy
w mundurach

DOWODZENIE

ERA LIDERÓW

MISSION COMMAND, CZYLI ZARZĄDZANIE
PRZEZ CELE W POLSKIM



Stulecie
odzyskania
niepodległości
z **POLSKĄ ZBROJNĄ**





Konfederaci – pierwsi powstańcy

Dokonując oceny konfederacji barskiej, wyraźnie trzeba rozdzielić rzeczywiste motywy głównych liderów od postawy rzesz szlacheckich z zapalem walczących pod sztandarami konfederacji.

ADAM DANILCZYK

W Barze na Podolu 28 lutego 1768 r. zawieszono konfederację w obronie „wiary i wolności”. Wiary, gdyż według konfederatów zagrażały jej prawa nadane innowiercom na sejmie repninowskim; wolności – ponieważ zagrażał jej dyktat Rosji (choć nie przeszkadzał on barzanom przy organizowaniu konfederacji radomskiej), reformy sejmu konwokacyjnego i król. Konfederacja barska w założeniach jej twórców miała być „poprawieniem” konfederacji radomskiej „skrzywdzonej” przez rosyjską ingerencję i „gwałty”. Marszałkiem kon-

federacji został Michał Krasiński. Akt związku kasował wszystkie wymuszone postanowienia i ustawy sejmu, a także przywracał zniesione wcześniej prawa.

Repin i misja Mokronowskiego

Pierwsze informacje o wydarzeniach w Barze, które dotarły do Warszawy, były niepewne i niepotwierdzone. Po ich otrzymaniu Nikołaj Repnin wstrzymał ewakuację wojsk zaplanowaną na kwiecień i wymusił na królu zwołanie Rady Senatu, aby ta wraz ze Stanisławem Augustem zwróciła się o pomoc wojsk rosyjskich, co też się stało

Kazimierz
Pułaski pod
Częstochową,
mal. Józef
Chelmoński.

*Fragment „Pieśni konfederatów barskich”
Juliusza Słowackiego*

„Nigdy z królami nie będziem w aljansach
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach
– Słudzy Maryi.

Więc choć się spęka świat, i zadrzy słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą
– Choćby na smokach wojska latające,
Nas nie zatrwożą.”

26 marca 1768 r. Jednocześnie zdecydowano się na wysłanie do Baru emisariusza, który miał podjąć starania, aby zażegnać konflikt. Wybór padł na gen. Andrzeja Mokronowskiego, osobę związaną z dawnym stronnictwem republikańskim. Niezależnie od tej misji Repnin wysłał do Baru swego emisariusza ppłk. Wołkova. Być może, nie znając początkowo determinacji konfederatów, ambasador liczył na porozumienie z jej przywódcami, wszakże dość dobrze z nimi nie tak dawno współpracował. Przemawiały też za tym rozkazy wydane wojsku – Repnin wprowadził błyskawicznie wydatki o przesunięciu wybranych oddziałów w pobliże Baru, nakazał jednak dowódcy rosyjskim, aby unikali walki z konfederatami.

Powstrzymanie się od aktywniejszych działań do czasu powrotu gen. Mokronowskiego, a także korzystne położenie Baru, odległe od centrum i uniemożliwiające tym samym szybkie kontruderzenie rozproszonych wojsk rosyjskich, dały konfederatom kilka tygodni cennego spokoju. W tym czasie zajęto się organizacją sił zbrojnych, wysyłano posłańców do poszczególnych ziem i powiatów z informacjami o konfederacji i hasłami zagrzewającymi do współudziału. Niewątpliwym sukcesem było przekonanie części żołnierzy wojsk ko-

ronnych stacjonujących na terenach południowo-wschodnich do legalności i słuszności powstałego związku, co w znaczący sposób wzmocniło konfederację. Już w pierwszych dniach istnienia konfederacji przejęto pięć chorągwi koronnych z partii podolskiej. Nie udało się przekonać do rokoszu dowodzącego tym zgrupowaniem regimentarza Tadeusza Dzieduszyckiego, ale przystąpił za to do konfederatów dowódca partii ukraińskiej Ignacy Woronicz, a za nim podległe mu wojsko w sile 600 żołnierzy.

Ponieważ misja Mokronowskiego nie przyniosła rezultatów, w połowie kwietnia doszło do pierwszych starć między konfederatami a oddziałami rosyjskimi. Napływające z głębi kraju oddziały rosyjskie coraz bardziej uszczelniały i skracaly kordon, który miał odciąć Podole od pozostałych województw i zapobiec rozprzestrzenianiu się konfederacji. Starokonstantynów obronił się przed Rosjanami, ale na początku maja w bitwie pod Ułanowem rozbito konfederatów, którzy ponieśli przy tym olbrzymie straty (ok. 1000 zabitych). Kilka dni później porażkę w Podhajcach poniósł podcasy litewski Joachim Potocki, po czym został zmuszony do szukania schronienia w Mołdawii. Na początku czerwca Rosjanie zdobyli klasztor w Berdyczowie, gdzie do niewoli wzięto ponad 1300 konfederatów; spiesząc w sukurs obrońcom klasztoru odsiecz rozbito pod Wiernyhorodkiem, gdzie życie oddało ok. 800 konfederatów. Finałem tej kampanii było opanowanie Baru. Wojsko rosyjskie wspierał w tym zadaniu Franciszek Ksawery Branicki, który przybył pod Bar na czele wojsk koronnych.

Po krótkich, ale zaciętych, walkach 19 czerwca 1768 r. zdobyto miasto i zamek. Główni liderzy – Józef Pułaski i Michał Krasiński przeprawili się przez Dniestr, szukając schronienia po drugiej stronie granicy.

Wydawało się, że rozbięcie oddziałów konfederackich i zdobycie Baru będzie końcem konfederacji, tym bardziej że województwa ukraińskie ogarnęły i zaczęły pustoszyć powstanie chłopskie – koliwyszczyna. Tymczasem brak informacji o jej klęskach oraz liczne propagandowe pisma i plotki głoszące sukcesy barzan doprowadziły do zawiązywania lokalnych związków w kolejnych prowincjach Rzeczypospolitej: Wielkopolsce i Małopolsce. Nie miały one wielkiego zasięgu i były szybko rozpraszane przez oddziały rosyjskie, a kapitulacja Krakowa w sierpniu 1768 r. zapobiegła i w tym rejonie dalszemu rozprzestrzenianiu się konfederacji. Jej płomień wybuchł z kolei pod koniec sierpnia w Wielkim Księstwie Litewskim, rozchodząc się w kolejnym miesiącu po poszczególnych powiatach. Podobnie jak w przypadkach wcześniejszych, stopniowo została spacyfikowana, a sytuacji nie zmieniło nawet przystąpienie do konfederacji największego i najbogatszego w księstwie magnata Karola Stanisława Radziwiłła „Panie kochanku”.

DEPOZYT MUZEUM IM. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO W WARSZAWIE, WŁASNOŚĆ MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE



Zawiedzione nadzieje na sojusze

Przywódcy konfederacji zrozumieli, że bez pomocy i wsparcia innych państw konfederacja nie odniesie sukcesu. Liczono głównie na Saksonię z racji wcześniejszych związków politycznych i świeżo przegranej elekcji; Francję, prowadzącą w poprzednich latach aktywną działalność dyplomatyczną nad Wisłą, oraz Turcję, głównego wroga Rosji, z którą stosunki nowego władcy nie układały się najlepiej. Dwa ostatnie państwa były naturalnymi sojusznikami w walce z Rosją, gdyż tworzyły tzw. system południowy. System ten, w skład którego wchodziła jeszcze Austria i Hiszpania, rywalizował na scenie europejskiej z tzw. systemem północnym, którego główny trzon stanowiły Rosja i Prusy i należały do niego także Anglia i Dania oraz były luźno związane Szwecja i Rzeczpospolita.

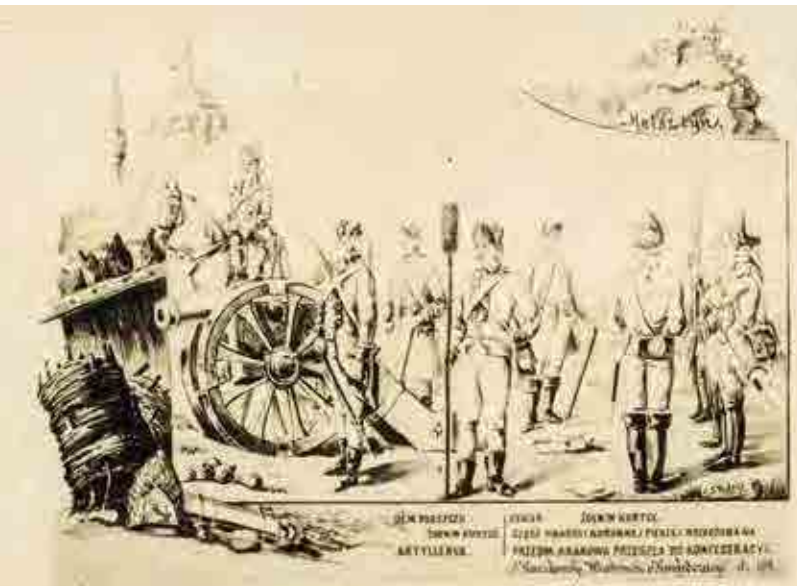
Najbardziej pożądanym sojusznikiem konfederatów była Porta, ze względu na bliskość granicy i stosunki z Rosją. Repnin, obawiając się jej wystąpienia w obronie konfederatów, rozkazał unikać jakichkolwiek starć mogących sprowokować interwencję tego mocarstwa, a żołnierze rosyjscy mieli zakaz zbliżania się do granic Turcji na odległość nie mniejszą niż 15 mil. Później, przy biernej postawie Porty, dystans ten zmalał do 5 mil. W pierwszych miesiącach konfederacji Turcja zachowywała rezerwę wobec wydarzeń w Rzeczypospolitej, jednakże naruszenie granicy tureckiej przez Kozaków i pogrom w Bałcie wpłynął na zmianę tej postawy. Porta 6 października 1768 r. wypowiedziała Rosji wojnę.

Ponieważ okres zimowy nie sprzyjał prowadzeniu działań zbrojnych, oba państwa poświęciły najbliższe miesiące na koncentrację wojsk i zapewnienie im odpowiedniego zaopatrzenia, a także opracowywanie planów prowadzenia przyszłej kampanii. Główne działania miała prowa-

dzić dowodzona przez księcia Aleksandra Golicyna 1 armia, która po koncentracji jednostek miała rozlokować się w województwach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Wiosną 1769 r. armia ta, licząca początkowo 45 tys., potem powiększona do 60 tys. żołnierzy, rozpoczęła działania ofensywne wkraczając na Podole, a po przejściu Dniestru przystąpiła do oblężenia Chocimia. Z powodu opieszałości dowodzącego dopiero we wrześniu udało się pokonać armię turecką pod Chocimiem, a zdobycie Jass w dalszym czasie otworzyło Rosjanom drogę do Mołdawii i Wołoszczyzny. Zwycięstwa te w znacznym stopniu ukształtowały dalszy stosunek Petersburga do Rzeczypospolitej.

Wybuch „wojny polskiej” w znaczący sposób wpłynął na dalszy rozwój konfederacji barskiej. Na płaszczyźnie politycznej przejawiało się to w decyzji Stanisława Augusta o odwołaniu Franciszka Ksawerego Branickiego wraz z wojskiem i ponownym zbliżeniu do Familii. Monarcha wraz z wujami upatrywał w wojnie turecko-rosyjskiej szansę na wyrwanie się od rosyjskiej zależności. Na płaszczyźnie militarnej było to wycofanie przez Rosjan z poszczególnych prowincji polskich i Wielkiego Księstwa Litewskiego do województw południowo-wschodnich aż 21 pułków rosyjskich; nad Wisłą i w Wielkim Księstwie pozostawiono ich jedynie dziewięć oraz ok. 2 tys. Kozaków. Dzięki temu wiosną 1769 r. konfederaci mogli wznowić działalność, sprzyjało to również odradzaniu się lokalnych związków.

Konflikty zarówno w ścisłym kierownictwie, jak i lokalnych konfederacjach sprawiły, że sprzyjających okoliczności nie wykorzystano. Jeszcze w 1768 r. wybuchł ostry konflikt o naczelne dowództwo między przebywającymi w Mołdawii Józefem Pułaskim a Joachimem Potockim i Michałem Krasińskim. Zwycięsko wyszli z niej magnaci,



ale spór spowodował rozłam wśród przebywających tam konfederatów i podział wojska – część wierna Pułaskiemu pozostała przy nim i nie podporządkowała się nowemu regimentarzowi. Pogłębianie konfliktu doprowadziło do zatrzymania Pułaskiego i osadzenia go pod strażą w chocimskiej twierdzy. W Małopolsce wiosną 1769 r. minęła na rywalizacji o regimentarstwo między Marcinem Lubomirskim a Józefem Bierzyńskim, który rozbijał podległe księciu oddziały, a nawet zajął jego obóz.

Niezależnie od tych sporów w łęczyckim, sieradzkim, na Pomorzu i Mazowszu powstawały lub odradzały się lokalne konfederacje, czemu niewątpliwie sprzyjała mała liczebność wojsk rosyjskich. Chwilowy spokój wykorzystywano na sprawy organizacyjne, a w przypadku Wielkopolski także na dynamiczną rozbudowę sił zbrojnych. Litwę, w której brakowało – po spacyfikowaniu Karola Stanisława Radziwiłła – charyzmatycznego przywódcy, poruszyła wyprawa Pułaskich.

Latem 1769 r. ruszyli na ziemię Wielkiego Księstwa Litewskiego i doprowadzili do skonfederowania szlachty brzeskiej. Swoimi zwycięskimi potyczkami z Rosjanami zachęcili do skonfederowania się szlachtę nowogrodzką i wołkowyską; zaczęto zawiązywać lokalne konfederacje w innych województwach i powiatach. Rozszerzeniu na całą Litwę przeszkodziła klęska konfederatów dowodzonych przez regimentarza Józefa Bierzyńskiego pod Białymstokiem i także brak porozumienia między dowódcami z Korony a Litwinami; ci ostatni wkrótce zostali zmuszeni przez Rosjan do szukania schronienia w Prusach Wschodnich.

Tymczasem wybuch wojny rosyjsko-tureckiej sprawił, iż król z Czartoryskimi dostrzegli szansę wyrwania Rzeczypospolitej z rosyjskich wpływów. W Warszawie jesienią 1769 r. na rozpoczętej 30 września i obradującej

przez kilka dni Radzie Senatu, postanowiono o wysłaniu przedstawicieli do Rosji, Holandii i Anglii. Plany wysłania do Petersburga miecznika litewskiego Andrzeja Ogińskiego z żądaniem wycofania wojsk rosyjskich, wynagrodzenia szkód przez nich poczynionych i zniesienia wymuszonych ustaw ostatniego sejmiku zakończyły się niepowodzeniem – Katarzyna II odmówiła przyjęcia jego poselstwa. Również poseł Tadeusz Burzyński, który wyruszył do Hagi i Londynu, szybko przekonał się, że państwa te myślą jedynie o własnych interesach i nie zamierzają interweniować w sprawach polskich. Co więcej, inicjatywa polskiego ministerium wywołała kontrakcję ze strony Rosji. Panin rozważał możliwość detronizacji Stanisława Augusta i zastąpienia go innym polskim kandydatem, a Katarzyna II nałożyła sekwestr na majątki ministrów polskich – Stanisława Lubomirskiego, Michała Czartoryskiego, Antoniego Przeździeckiego i Jana Borcha. Ostrość wykonania jej rozkazów zaskoczyła nawet zagranicznych obserwatorów polskiej sceny politycznej. Brutalność nie tylko miała służyć ukaraniu «buntowniczych» ministrów, ale także odstraszać podobne inicjatywy na przyszłość. Rosja przypominała Polakom, kto w tym układzie politycznym jest mocarstwem, a kto państwem od niego zależnym.

Inicjatywa w Warszawie niemal zbiegła się z niezwykle ważnym dla istnienia konfederacji wydarzeniem. W Białej, na pograniczu austriackim, 31 października 1769 r. ukonstytuowano Generalność, która 11 grudnia 1769 r. postanowiła zalimitować obrady i przenieść się do Preszowa, gdzie 5 stycznia 1770 r. wznowiono działalność. Marszałkami generalnymi zostali: koronnym Michał Krasiński, litewskim Michał Jan Pac; na regimentarzy powołano: koronnego Joachima Potockiego i litewskiego Józefa Sapie-

hę, krajczego litewskiego; sekretarzem został Ignacy Bohusz. Wydano pierwsze uniwersały, które potwierdziły słabą znajomość i rozeznanie kierowników konfederacji w aktualnej sytuacji politycznej. Między innymi unieważniono uchwały Rady Senatu w Warszawie oraz wyznaczone przez nią poselstwa, powołano wojska Korony i Litwy pod rozkazy Generalności, wezwano Komisję Skarbową, aby z aktami zgłosiła się do posłuszeństwa w ciągu czterech tygodni. Jednocześnie postanowiono wysłać na placówki zagraniczne do państw przyjaznych konfederacji własnych przedstawicieli.

Już początek prac Generalności ukazał jej największe słabości – niezgodę, różnicę opinii i interesów. Poszczególne sesje miały na klótniach i wzajemnych oskarżeniach, najmniejszy spór lokalny przemieniał się w zawziętą walkę. Każdy z magnatów miał własnych stronników, ale w kwestiach dotyczących wspólnych interesów czy poglądów łączono siły i zawierano sojusze. Wkrótce dał się zauważyć wyraźny podział na dwa obozy: rządzący i opozycyjny. Pierwszym kierował m.in. marszałek Michał Pac wspierany przez bp. Adama Krasińskiego, drugim podskarbi Teodor Wessel za pomocą swoich popleczników, gdyż formalnie nie należał do związku.

Animoze wśród członków Generalności często przekładały się na będących pod ich wpływem poszczególnych dowódców konfederackich. Ta rywalizacja i klótnie w połączeniu z brakiem dyscypliny i karności dezorganizowały i osłabiały wartość bojową wojsk konfederackich. Skutki były tragiczne, np. skłócenie ze sobą Michał Dzierżanowski, Józef Bierzyński i Rafał Tarnowski nie mogli bronić Krakowa, który jesienią dostał się w ręce Rosjan.

Generalność, mając świadomość niekarność i dużej swobody poszczególnych dowódców, postanowiła skoncentrować główne siły w obozie generała i marszałka lu-

belskiego Adama Szaniawskiego, który miał nad nimi objąć tymczasową komendę. Nie spełnił on jednak pokładanych nadziei. Najpierw 12 grudnia 1769 r. poniósł srogą porażkę pod Sulejowem, gdzie życie oddało kilkuset konfederatów, a ponad miesiąc później, 20 stycznia 1770 r., w bitwie pod Dobrą jego oddział doszczętnie rozbito, zginęło ponad 1500 konfederatów. Szaniawski został ranny i dostał się do niewoli.

Kontynuatorem woli regimientarza okazał się Ignacy Malczewski. Wykorzystując obecność głównych oddziałów rosyjskich na zachodzie, na czele kilku tysięcy konfederatów, przez Łowicz ruszył na Warszawę. Jego marsz zablowali Rosjanie pod dowództwem Piotra Golicyna, który w bitwie pod Błoniem 14 lutego pokonał wielkopolskie zgromadzenie. Po klęsce Malczewskiego oddziały rosyjskie, wraz ze zbliżającą się wiosną, rozpoczęły oczyszczanie Wielkopolski z konfederatów. Już w marcu zajęły Poznań i bez większych problemów rozgromiły wielkopolskie oddziały konfederatów, osłabionych klótniami swoich dowódców. Dużo groźniejszy dla wielkopolskiej prowincji od rosyjskiej ofensywy okazał się jednak kordon pruski. Rozciągnięty przez króla pruskiego w 1768 r. kordon sanitarny przebiegał na linii słupów granicznych. Po zajęciu przez Austrię Ślądecczyny w 1770 r. został on jednakże przesunięty aż pod Poznań. Ostatecznie w listopadzie 1771 r. obejmował stolicę Wielkopolski, następnie Gniezno, a wiosną kolejnego roku Kujawy. Rozpoczęto planową, rabunkową akcję wywożenia zboża, porywano rzemieślników i chłopów, nakładano olbrzymie kontrybucje, zarzucano kraj fałszywą monetą doprowadzając w ciągu kolejnych miesięcy jedną z najbogatszych prowincji Rzeczypospolitej do ruiny. Wszelkie noty protestacyjne ministerium polskiego oraz Stanisława Augusta, który w sprawie nadużyć osobiście pisał do Fryderyka II, nie przynosiły rezultatów – król



pruski bezwzględnie wykorzystywał słabość pogrążonego w wojnie domowej państwa. W takich warunkach odrodzenie konfederacji na tych terenach było niezwykle trudne i miało znaczenie jedynie symboliczne.

Sytuacja militarna konfederacji zaczęła ulegać poprawie po przybyciu z końcem lipca 1770 r. do Preszowa francuskiego oficera płk. Charles'a François Dumourieza. Z jego inicjatywy utworzono Radę Wojenną odpowiedzialną za sprawy związane z wojskiem, w skład której weszło sześciu konsyliarzy. Od swego zwierzchnika we Francji zażądał przysłania oficerów różnych rodzajów broni i kanonierów. Po przybyciu do Polski pełnili oni rolę instruktorów. Za jego też radą opanowano Lanckoronę, a potem Bobrek i Tyniec – twierdze te, ze zdobytą przez Pułaskiego Jasną Górą, miały być oparciem dla konfederatów i służyć za podstawę do dalszych działań operacyjnych. Pułkownik podjął również próbę zmodernizowania sił zbrojnych konfederacji – podzielił wojsko na pięć korpusów (komend) i nakazał formowanie oddziałów piechoty, które w pierwszej kolejności miały stanowić załogi wspomnianych twierdz.

W sprawach związanych z wojskiem pojawiły się w konfederacji pozytywne sygnały dające nadzieję na bardziej planowe i skuteczniejsze niż dotychczas działania. W kwestiach politycznych przywódcy konfederacji poczynili miły krok przybliżający ich do kręski. I tak 13 października 1770 r. ogłoszono akt bezkrólewia, w którym z rozrzewnieniem wspominano czasy „słodkiego panowania Augusta III”. Przecistawiono im okres panowania Stanisława Augusta, w którym „płacz, nędza, ubóstwo, spustoszenie, zabójstwa, gwałt, niewola”, a samego króla określono jako intruza i uzurpatora tronu polskiego. Tym samym przekreślono jakąkolwiek szansę porozumienia z królem. Pomimo

ponaddwuletniego istnienia konfederacji i pasma klęsk jej przywódcy nie mogli zrozumieć tego – co było oczywiste nawet dla wspierających ich Francuzów – że militarne i polityczne pokonanie Rosjan było możliwe tylko przy całkowitym zjednoczeniu wszystkich stronnictw politycznych w kraju i współpracy z monarchą.

Wiosną 1771 r. rozpoczęła się źle dla konfederatów, głównie za sprawą gen. mjr. Aleksandra Suworowa, który rozpoczął ofensywę na południu. Przyszły pogromca Turków i Francuzów 26 kwietnia 1771 r. pod Szreńskiem rozbił konfederatów pod dowództwem Józefa Sawy Calińskiego, 21 maja pokonał Dumourieza pod Lanckoroną, a 3 czerwca odniósł zwycięstwo w bitwie z oddziałem Kazimierza Pułaskiego.

Zapewne od całkowitej – zważywszy na morderczą skuteczność Suworowa – klęsk konfederacji na południu uchroniły ich wydarzenia w Wielkim Księstwie Litewskim. Tam do walki niespodziewanie przystąpił hetman wielki litewski Michał Kazimierz Ogiński, który na czele komputowych żołnierzy rozbił rosyjski oddział pod Bezdzieżem. Było to pierwsze i ostatnie zwycięstwo hetmana. Chociaż próby zdobycia Nieświeża i Słucka zakończyły się niepowodzeniem, to aktywność zgrupowania Ogińskiego przyciągnęła uwagę rosyjskich dowódców, w tym Suworowa. Forsownym marszem ruszył on w kierunku zgrupowania hetmana, po czym w nocy z 21 na 22 września zaskoczył nocnym atakiem stacjonujących w Stołowiczach konfederatów i mimo ich dwukrotnej przewagi liczebnej odniósł zwycięstwo. Klęska Litwinów przypieczętowała upadek konfederacji. Oddziały konfederatów utrzymały się jedynie w Wielkopolsce, w znacznej mierze dzięki koncentracji wojsk rosyjskich na Litwie oraz w kilku twierdzach na południu.



Ryngraf Sawy-Calińskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

FOT. MUZEUM IM. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO W WARSZAWIE

*Krzyż i konfederatów barskich*

Próba porwania Stanisława Augusta

Jesienią 1771 r. doszło do niezwykle ważnego wydarzenia, które odcisnęło znaczące piętno zarówno na sytuacji konfederatów, jak i dalszej postawie króla Stanisława Augusta wobec próby jego porwania. Zamach prawdopodobnie przygotował Kazimierz Pułaski, a głównymi wykonawcami byli: Stanisław Strawiński, rotmistrz zakroczymski Walenty Łukawski i Jan Kuźma. Głównym inicjatorem miał być Strawiński, który na przełomie lipca i sierpnia podsunął ten pomysł staroście wareckiemu. Już kilkanaście dni później Pułaski wydał rozkaz komendantowi zakroczymskiemu Walentemu Zembrzuskiemu i Józefowi Czachorowskiemu, aby użyczyli Strawińskiemu część swoich oddziałów, a we wrześniu uzyskano zgodę samej Generalności na przeprowadzenie zamachu. Doszło do niego 3 listopada 1771 r., gdy król wracał wieczorem z wizyty u chorego kanclerza Michała Czartoryskiego. Grupa kilkudziesięciu konfederatów rozpendziła królewską świtę, sam monarcha otrzymał cios pałaszem w głowę, a strzał pistoletu Kuźmy osłabił mu twarz. Wsadzono króla na wierzchowca i ulicami Miodową i Długą ruszono w stronę wałów. Początkowo porywaczy było 36, po sforsowaniu fosy zostało ich tylko siedmiu, a w Marymoncie już tylko Stanisław August i Jan Kuźma. Królowi udało się przekonać porywacza do zwrócenia wolności, a po zatrzymaniu się w młynie między Marymontem a Burakowem wysłał młynarza z informacją do gen. Karola Cocceiego. Ten po otrzymaniu wiado-



FOT. ZBIORY OJCÓW KAPUCYNÓW, KLASZTOR W NOWYM MIEŚCIE NAD PILICĄ

Portret Marka Jandolowicza, duchowego przywódcy konfederacji barskiej

mości przybył ze 150 gwardzistami i odprowadził króla do zamku.

Podniesienie ręki na monarchę spowodowało falę krytyki ze strony obcych mocarstw, a także niechęć części społeczeństwa w kraju. Konfederacja, wbrew optymizmowi jej kierowników, dogorywała. Przybycie Antoine'a Ch. Viomenila, który miał zastąpić Dumourieza, wraz z kilkoma francuskimi oficerami nie mogło już znacząco poprawić sytuacji konfederatów. Viomenil przede wszystkim zajął się aprowizacją znajdujących się w rękach konfederatów zamków i planowaniem kampanii na przyszły rok. Było to jednak minimum, które pozwalało tym nielicznym ogniskom konfederackim przetrwać przez kolejnych kilka miesięcy. Zdobycie Wawelu w lutym 1772 r. było niezwykle spektakularnym, ale ostatnim znaczącym zwycięstwem konfederatów.

Wczesną wiosną 1772 r. los konfederacji był już przypieczętowany, podobnie jak los Rzeczypospolitej. Konfederacja musiała zakończyć się klęską z wielu powodów – ostatecznym było podpisanie konwencji rozbiorowej przez Rosję, Prusy i Austrię.

Generalność otrzymała pierwsze informacje o rozbiorze od wojewody Antoniego Jabłonowskiego 18 kwietnia 1772 r. Na zwołanym posiedzeniu nie ujawniono tej wiadomości, wspomniano jedynie o żądaniu Austrii nakazującym, pod groźbą wypowiedzenia azylu, zawarcie zgody z Stanisławem Augustem. W związku z tymi informacjami podjęto decyzję o wysłaniu do Wiednia marszałka Paca i upoważniono go do prowadzenia rozmów z kanclerzem Wenzlem Kaunitzem w sprawie ewentualnego porozumienia

z królem. Po jego wyjeździe mimo kolejnych niepokojących sygnałów nie tracono optymizmu – uważano, że Austria szykuje się do wojny z Prusami, a wojska tureckie zwyciężają nad Rosjanami. Liczono też na pozytywne efekty misji Paca. Tymczasem była ona z góry skazana na niepowodzenie, gdyż wbrew sytuacji politycznej Pac ignorował możliwość rozbioru i nie zmieniał wrogiej postawy wobec króla; zawczasu też sam założył, że porozumienie nie dojdzie do skutku. Po przybyciu do stolicy Austrii nie spotkał się nawet z wysłannikiem króla, Andrzejem Ogińskim, a żądania Kaunitza natychmiastowej kapitulacji przed królem i Rosją odrzucił. Do Cieszyna powrócił w połowie maja, ale dopiero po trzech dniach, 18 maja 1772 r. miała miejsce ostatnia oficjalna rada Generalności, na której Pac poinformował o nieuchronności rozbioru. Nie podjęto żadnych uchwał, a w nocy z 19 na 20 maja doszło z inspiracji Paca do sekretnego spotkania, w którym wzięli udział ci członkowie Generalności, którzy podobnie jak on byli przeciwni ugodzie i zamierzali kontynuować działalność, nawet na emigracji, co miało zachować ciągłość konfederacji. W ciągu kilku następnych dni przywódcy barscy zaczęli rozjeżdżać się w różne strony – regimenterz koronny Joachim Potocki skierował się przez Wiedeń do Wenecji, Karol Stanisław Radziwiłł do Pragi, a następnie Frankfurtu nad Menem, Ogiński do Żyliny, a stamtąd do Wiednia i Paryża, Sapiehowie do Opawy i dalej do Strasburga, gdzie przybył z czasem także sekretarz Generalności Ignacy Bohusz. Ze względu na nieprzychylność dworu wiedeńskiego większość z nich spotkała się dopiero w lipcu w Braunau w Bawarii (skąd w listopadzie przeniesiono się do miasta Landshut), gdzie mimo szczątkowego składu, próbowano kontynuować działalność.

Kapitulacja

Oddziały konfederackie w kraju pozostawiono samym sobie. Jeszcze 23 maja Joachim Potocki, całkowicie ignorując sytuację polityczną i położenie konfederacji, w wydanym manifestie nakazywał komendantom oddziałów ich powiększanie i terminowe wypłacanie żołdu. Również Generalność nie wydała rozkazu o rozwiązaniu oddziałów i zaprzestaniu walki; przywódcy konfederacji, sami bezpieczni za granicą, uważali, że lepiej zostawić załogi twierdz nieuchronnemu losowi niż splamić honor rozkazem ich poddania. Wobec takiej postawy komendanci sami podejmowali decyzje, co czynić dalej. Józef Zaremba już na początku maja uznał dalszą walkę za bezcelową i postanowił pojednać się z królem, a wraz z nim kapitulowała część jego oddziałów. Druga część przeszła pod dowództwo Kazimierza Pułaskiego, który zamierzał stworzyć osobną konfederację wojskową i stanąć na jej czele. Sławny

dowódca, widząc zbliżający się koniec konfederacji, opuścił jednak w ostatnich dniach maja Częstochowę i przez Śląsk udał się do Saksonii. W tym samym czasie na południowe ziemie Rzeczypospolitej wkroczył korpus austriacki, liczący 30 tys. żołnierzy, przesądzając ostatecznie o losie konfederacji w Małopolsce. Kolejno w ręce przyszłych zaborców przeszły konfederackie twierdze. Bobrek poddał się pod koniec maja Rosjanom, Lanckorona skapitulowała 8 czerwca przed Austriakami, podobnie Tyniec, dotychczas skutecznie broniący się przed wojskami rosyjskimi. Najdłużej opór stawiała Jasna Góra, której komendant zdecydował o wysłaniu delegacji bezpośrednio do Warszawy w celu ustalenia warunków kapitulacji. Po dzielnej obronie skapitulowano 18 sierpnia 1772 r.

Dokonując podsumowania konfederacji barskiej, wyraźnie trzeba rozdzielić dwie kwestie – rzeczywiste motywy głównych liderów od postawy rzesz szlacheckich z zapalem walczących pod sztandarami konfederacji. Porywani hasłami obrony wiary i wolności przelewali krew, oddając często ojczyźnie to, co najcenniejsze – życie. Ci zaś, którzy przeżyli, przetarli krwawy szlak na Sybir, stając się symbolem walki z Rosją i poświęcenia za kraj, symbolem, który w przyszłych, trudnych latach niewoli był inspiracją dla kolejnych pokoleń Polaków.

Żołnierz barski

Nestor polskiej historiografii XVIII w. i jednocześnie autor podstawowej monografii konfederacji barskiej Władysław Konopczyński stwierdził, że żołnierz barski to głównie ochotnik – powstaniec idący na plac «z Boga ordynansu». Taką armię chciał zapewne sam postrzegać, a wraz z nim społeczeństwo, w którym konfederacja barska była symbolem walki ze zniechęcającym ciemniwcą. Obrazek ten bardziej jednak pasuje do powstańca styczniowego niż konfederata barskiego. Trzon wojsk konfederackich zasilali w znacznej mierze żołnierze zawodowi, mówiąc współczesnym językiem, wcześniej wchodzący w skład wojsk komputowych Rzeczypospolitej Obojga Narodów i milicji magnackich. Werbunek do szeregów konfederackich – szczególnie w Wielkopolsce i na Mazowszu – był ściśle określony i zaplanowany. Na mieszkańców nakładano obowiązki wystawienia i wyposażenia żołnierzy. Rekrut musiał przybyć do obozu nie tylko z pełnym wyposażeniem konia (kulbaka, lederwerk, czaprak), ale i swoim (kurtka, żupan, szarawary, koszule, buty). Dodatkowo musiał być wyposażony w broń i jeszcze powinien być zaopatrzony w półroczny żołd. Przykładem może być ziemia zakroczymska, w której specjalnie wydany uniwersał precyzował najdrobniejsze szczegóły: „Człek młody, pewny i zdatny, mundur dla niego, żupan i katanka granatowa z karmazynowymi kłapami. Sza- ▶

rawary granatowe z karwaszami karmazynowemi, mituk na kulbakę granatowy z szamerunkiem karmazynowym, czapka tatarska pikowana z wierzchem czerwonym, płaszcz granatowy z czerwonymi wypustami, pas, pludry, koszul dwie, torba do obroku, butów para z ostrogami, karabin, para pistoletów w olstrach, flint-pas, ładownica, szabla krzywa dobrał, ładunków w ładownicy 20, a 40 do skarbu, koń, valoris czerw. zł 10, kulbaka pod mituk¹.

W ikonografii utrwalił się obraz konfederata w stroju polskim, z konfederatką i ryngrafem na piersi. Rzeczywiście wśród uczestników ruchu barskiego popularnością cieszyły się wspomniane ryngrafy, jednak co do umundurowania kwestia była bardziej złożona. W pierwszym okresie konfederacji znaczącą część jej wojsk stanowili zawodowi żołnierze armii koronnej i magnackie milicje, a więc formacje, które jeszcze przed przystąpieniem do związku były jednolicie umundurowane i uzbrojone. Także nowo formowane jednostki często, jeśli rekrutacją zajmował się kompetentny oficer, miały ustalone krój i kolor munduru. Na przykład w Wielkopolsce obowiązywały granatowe kurtki, czerwone żupany i rajtuzy, wełniane pasy siatkowe, czapki z wysokimi baranami, łosiowe ładownice i flint-pasy biało farbowane. Pułk Ignacego Malczewskiego nosił kurtki paliowe, żupany i rajtuzy zielone. Piechota była umundurowana na wzór niemiecki: rejzrok biały, kamizelka i pludry czerwone, na nogach buty, na głowie kapelusz w trzy rogi. Oficerowie ubrani byli stosownie do swojej rangi. Jak odnotował ówczesny kronikarz wydarzeń Jędrzej Kitowicz: „Oficerowie tak konni jak piechotni lśnili się od złota i srebra: w haftowanych mundurach, w czapkach złotem lub srebrem haftowanych, w kapeluszach suto galonowanych, w szterfach na przepych bogatych z czerwonego jedwabiu i srebra w siatkę dzierzganych, z kutasami masyfowymi, w szlufach na obu ramionach srebrnych masyfowych, które do dziś dnia zostały w wojsku, jako też kurtki i rajtuzy, które od konfederacji wznowione, stały się strojem wojska polskiego”².

Natomiast konfederaci brzescy mieli występować w kontuszach z trupa główką po lewej stronie, a napisem „Jezus Maria” po prawej, czerwonych żupanach; pocztowi w niebieskich mundurach z białymi obszlęgami.

Z uzbrojenia każdy oficer i konfederat miał parę pistoletów w olstrach, karabinek i szablę. Na uzbrojenie konfederata w Wielkopolsce składał się karabin z bagnetem i krótki pałasz. Ładownica była czarna skórzana, na pasie łosiowym, farbowanym żółtą gliną. Używano różnych rodzajów broni palnej. Popularne, ze względu na powszechność występowania, były rusznice myśliwskie używane wcześniej do polowań. Z czasem uzbrajano się w lepszą broń, zdobywaną w walce

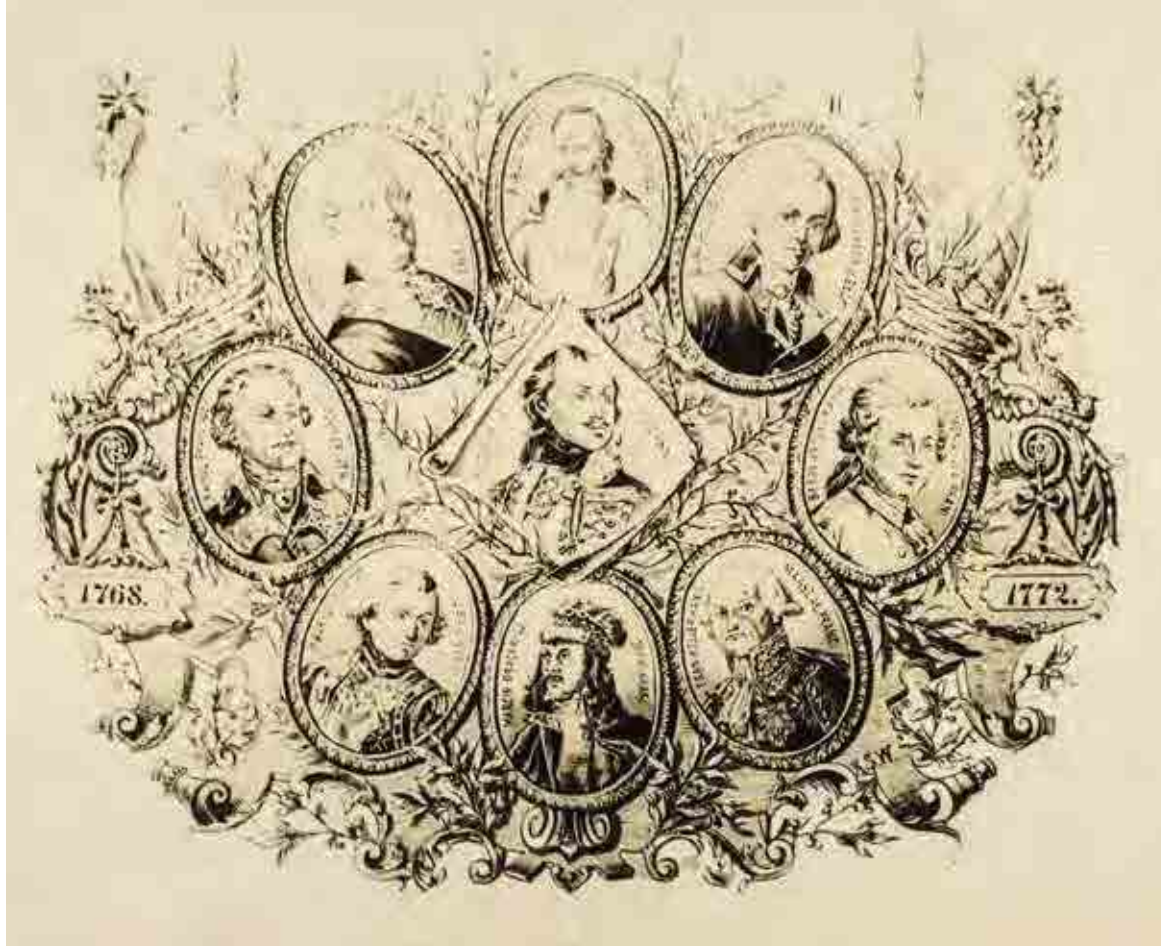
z wojskiem rosyjskim, przejmowaną od wojsk koronnych oraz rekwirowaną w bogatszych majątkach szlacheckich i magnackich.

Artyleria konfederacka, zapewne w wyniku konfiskat, przedstawiała się dość pokaźnie, przynajmniej pod względem ilości. Tylko do października 1769 r. Rosjanie zdobyli na konfederatach ok. 300 armat, w każdej większej bitwie zdobywając średnio po kilka czy kilkanaście. Wyjątkiem były zdobycze w Nieświeżu – 60 dział, Stanisławowie – 47 dział. Część z nich była do końca wojny wykorzystywana przez wojsko rosyjskie. Liczba armat w wojskach konfederackich nie przekładała się na siłę ognia, większość z nich była przestarzała, a co ważniejsze brakowało wyszkolonych artylerzystów, którzy mogliby wykorzystać odpowiednio tę broń na polu bitwy.

Konfederaci, podobnie jak wojsko regularnej armii, otrzymywali żołd. W 1769 r. w Wielkopolsce było to: dla pułkownika miesięcznie 30 czerwonych zł, rotmistrza 18 czerwonych zł, porucznika 10 czerwonych zł, chorążego 6 czerwonych zł, towarzysza 48 złotych polskich, wachmistrza 48 złotych polskich, kaprała 16 złotych polskich, pocztowego 12 złotych polskich, koniuszego 72 złotych polskich, trębacza 24 złotych polskich, felczera 60 złotych polskich. Wymienione sumy nie oznaczały jednak, że żołd w takiej wysokości zawsze docierał do żołnierzy. Zależało to w znacznej mierze od zaradności marszałków poszczególnych konfederacji prowincjonalnych, efektywności ściągania podatków, aktualnego układu sił, a także uczciwości dowódców. Nieoceniony Jędrzej Kitowicz pisał, że płaca ta „wielu z prostych towarzyszy i gemejnow często nie dochodziła, gdy oficerowie, ich traktamenta w karty i na debosz bezkarnie przemarnowawszy, z kwater na kredyt nigdy nie zapłaconym żywić się im kazali”³.

Finanse, podobnie jak w przypadku każdej armii, stanowiły istną zmołę przywódców konfederacji. Wydatki dotyczyły nie tylko żołdu, ale obejmowały również zakupy mundurów, oporządzenia, broni. Tylko sam Kazimierz Pułaski od końca października 1769 r. do lipca 1770 r. wydał na ten cel dla swego oddziału 118 330 złotych polskich. Oporządzenie i broń w trudnych warunkach bojowych i pogodowych zużywały się o wiele szybciej niż w pokojowych, wymuszając często naprawę czy wymianę. Łowczy koronny dowodzący oddziałami wiernymi królowi Franciszek Ksawery Branicki narzekał w liście do króla, że „dzień deszczu to takiego błota narobi w teraźniejszym czasie, że konie wyżej kołan w błocie stoją”⁴. W rachunkach regimentarza Józefa Zaremby duże sumy za naprawę mundurów, lenungów, broni są stałym elementem. Duże kwoty pochłaniała aprowizacja. W pierwszych miesiącach konfederacji jej oddziały rzeczywiście radziły sobie dobrze, gdyż kraj nie

FOT. POLONA.PL



był jeszcze wyeksploatowany. Przemarsze oddziałów polskich i rosyjskich, brak stałych magazynów z zaopatrzeniem, żywienie się na koszt społeczeństwa doprowadziło do огоłocenia ziem. A zapotrzebowanie na artykuły żywnościowe zgromadzić liczących niejednokrotnie po kilka tysięcy osób było bardzo duże, np. w jednym z ordynansów regimentarz Józef Bierzyński żądał z czterech zagród (gospodarstw), dwóch korcy owsa, pół wozu siana, jedną czwartą korca krup tatarczanych, jedną czwartą mąki żytniej, tyleż pszennej, 2 kur, 1 gęsi, 15 jaj. Z folwarków, gdzie są krescencje, po 10 beczek piwa, 60 korcy owsa, 50 wozów siana, 15 korcy mąki pszennej, tyleż żytniej, 10 korcy krup, 4 korcy jagieł, po 4 tłuste woły, 4 karmne wieprze, po 15 „ćwiartówek” masła, 6 kop sera, po kopie kur, pół kopy gęsi, 10 kop jaj, wódki przepalanej po garncu.

Gros wojsk konfederackich stanowiła jazda. Wśród szlachty panowało przekonanie o jej wyższości na polu bitwy, stąd proporcje były miazdzące i w przybliżeniu wynosiły 95 proc. do 5 proc. Piechota była formacją nieliczną, używaną głównie do obrony fortec. Dokładne podanie sił konfederatów jest niemożliwe. Wynika to nie tylko z braku archiwum Generalności, ale także z wielu innych przyczyn: oddziały były często rozpraszane niedługo po ich powstaniu (przykład z Wielkopolski), konfederaci z rozbitych oddziałów przechodzili do innych lub tworzyli nowe, żołnierze wojsk koronnych często zmieniali strony raz przechodząc na stronę konfederatów, to znów króla.

Biorąc pod uwagę duże rozproszenie rosyjskich garnizonów, w większości bitew oddziały konfederackie miały przewagę, której nie potrafiono jednak wykorzystać. Wojsko konfederackie, mimo olbrzymiego zapалу i woli walki, w starciu z regularnymi, ostrzelanymi i wyćwiczonymi oddziałami rosyjskimi musiało ponieść klęskę. Walnie przyczyniła się do tego niekompetencja dowódców lub prywatne animozje. Tym jaśniej jednak uwidoczniły się na tym tle osoby wykazujące duży talent organizacyjny oraz wojskowy: Józef Zaremba, Ignacy Malczewski, Józef Sawa Caliński. Największy podziw wśród współczesnych zyskał jednak Kazimierz Pułaski. Odważny, energiczny, inteligentny potrafił skutecznie walczyć z rosyjskimi jegrami budząc szacunek wroga. Poczynając od obrony Berdyczowa, przez rajd po Litwie i obronę Częstochowy stworzył mit szlacheckiego zaścianka, niepokonanego obrońcy wiary i ojczyzny. ■

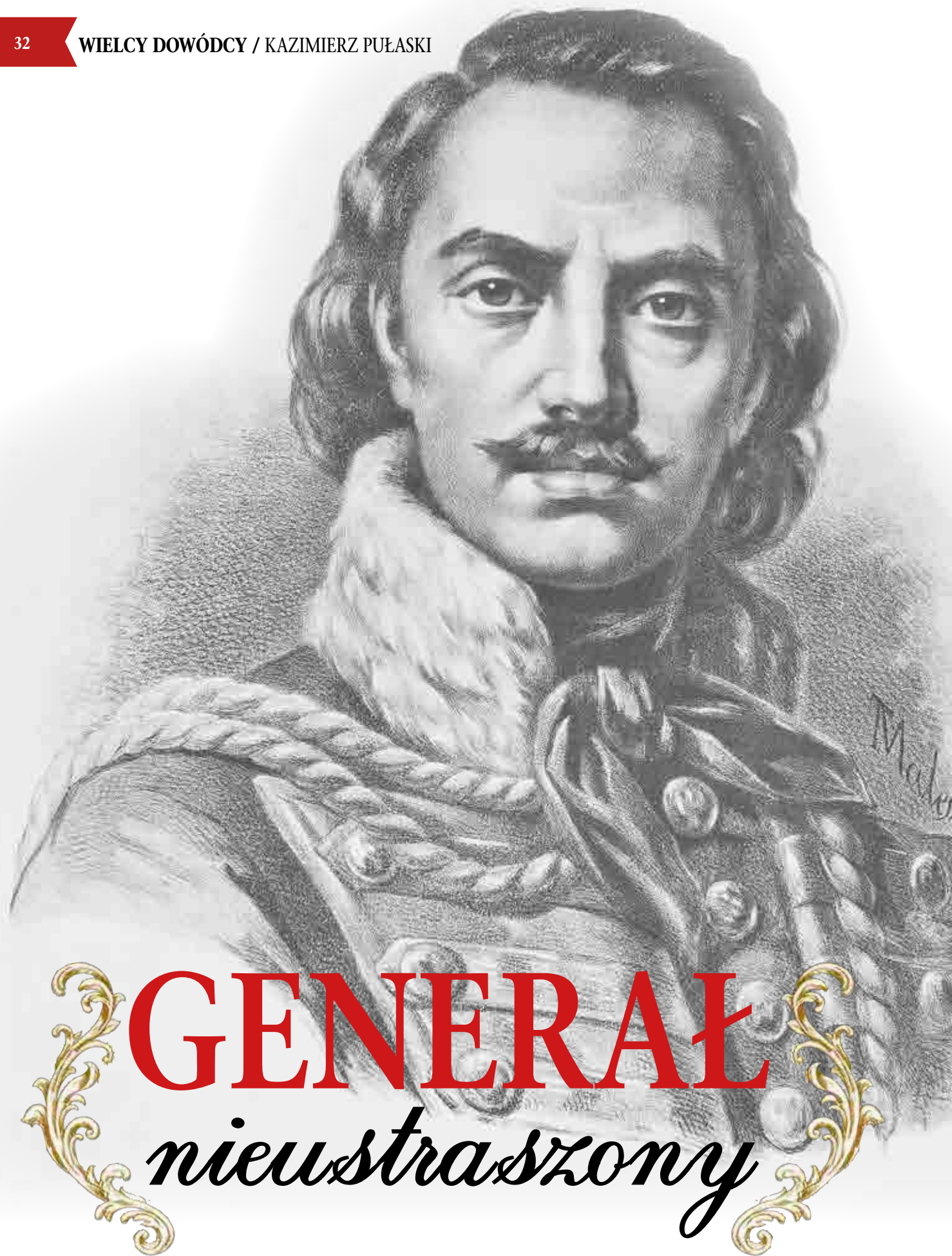
ADAM DANILCZYK, doktor, pracownik naukowy Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się historią polityczną Rzeczypospolitej drugiej połowy XVIII w. (głównie stosunków polsko-rosyjskich), edycją źródeł i historią wojskowości w czasach panowania Stanisława Augusta. Badacz archiwaliów rosyjskich z tego okresu (wieloletnie kwerendy w archiwach rosyjskich). Aktualnie pracuje nad monografią o wojskowości konfederacji barskiej i o stosunku Rosji wobec Rzeczypospolitej w latach 1791-1793.

¹ W. Konopczyński, *Konfederacja barska*, t. II, Warszawa 1991, s. 821.

² J. Kitowicz, *Pamiętniki*, t. I, wydał W. Zawadzki, Lwów 1882, s. 192.

³ Tamże, s. 193.

⁴ Franciszek Ksawery Branicki do Stanisława Augusta 14 IX 1768, *Konfederacja Barska. Korespondencja między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim, łowczym koronnym w roku 1768*, wydał L. Gumplowicz, Kraków 1872, s. 100.



Na ołtarzu wolności dwóch narodów złożył ofiarę z majątku i życia. Kazimierz Pułaski herbu Ślepowron – bohater walk o niepodległość społeczeństwa polskiego i amerykańskiego, jeden z dowódców i marszałek konfederacji barskiej, generał i bohater wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

ANTONI LENKIEWICZ

Pod koniec lutego 1768 r. w małym miasteczku Bar, na rosyjsko-tureckim pograniczu Rzeczypospolitej, zaroїło się od koni i zdecydowanej na podjęcie walki z wojskami rosyjskimi młodzieży szlacheckiej. W klasztorze Karmelitów, którego przeorem był ks. Marek Jandołowicz (1713–1804), 29 lutego zaprzysiężono i ogłoszono uroczyste akt konfederacji. W długich, bo ponad trzy wieki trwających zmaganiach Polski z „rosyjskim parciem na Zachód”, konfederacja barska była pierwszym, najdłuższym trwającym – cztery lata, i najbliższym zwycięstwa niepodległościowym powstaniem. Rosja zrozumiała w tym czasie, że sama Polski ani „połknąć”, ani „strawić” nie może i dla swoich zaborczych zamiarów znaleźć musi silnych sojuszników.

Marszałek konfederacji barskiej

Trzy wartości, w imię których podjęto walkę, to: *Pro Fide, Lege et Patria* (Za wiarę, prawo i Ojczyznę). Postanowiono rozniecić wiele ognisk konfederacji, a gdy zadzwonią podkowy sprzymierzonych Turków, którzy zaatakują Rosję, ruszyć z całą siłą wiary i zapału, aby wypędzić wojska rosyjskie z granic Rzeczypospolitej – tak streścić można cele konfederacji barskiej. Nie jest prawdą, że konfederaci sprzeciwiali się reformom politycznym, że przesiąknięci byli duchem fanatyzmu religijnego i anarchii.

Toczone przez konfederatów walki miały charakter działań partyzanckich. Właśnie wówczas zabłysnął talent Kazimierza Pułaskiego, najzdolniejszego z konfederackich partyzantów. W kwietniu 1768 r. dowodził on pierwszą potyczką swoich oddziałów z przednią strażą wojsk carskich, walczył pod Starokonstantynowem na Ukrainie. Następnie z 700 konfederatami i 800 cywilami przetrwał 17 dni oblężenia Berdyczowa, trzykrotnie odpierając szturmy wojsk rosyjskich, aż do kapitulacji

13 czerwca 1768 r. Dowodził z Józefem Pułaskim w bitwie pod Orzechowem 3 listopada przeciw armii rosyjskiej pod dowództwem Aleksandra Suworowa.

Na początku 1769 r. coraz bardziej ograniczony przez czterotysięczny korpus rosyjski pod dowództwem gen. Lwa Izmaiłowa Pułaski zamknął się w Okopach Świętej Trójcy – twierdzy nad Dniestrem na Podolu. Rosjanie 8 marca rozpoczęli zmasowany i jednoczesny atak na Żwaniec i Okopy. Osaczeni powstańcy bronili swoich pozycji bohatersko. Część konfederatów uratowała się – pod osłoną nocy przebiegli stromą, niebezpieczną ścieżką na drugą stronę rzeki, gubiąc rosyjski pościg.

KAZIMIERZ PUŁASKI 1745-1779

Zginął w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych, ale do walki tej zaprowadziła go batalia o niepodległość Rzeczypospolitej. Uzyskał staranne wykształcenie w teatyńskim Collegium Nobilium w Warszawie i po zdobyciu pierwszych doświadczeń wojskowych w stolicy Kurlandii Mitawie (obecnie Jelgawa na Łotwie) stał się jednym z głównych bohaterów konfederacji barskiej (1768–1772) – pierwszego niepodległościowego powstania.

Rys. na s. 32. Tytus Maleszewski,
Kazimierz Pułaski, litografia, 2 poł. XIX w.,
Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce

Obóz w Barwinku

Pułaski przeszedł do Turcji, potem na Podole, a następnie pod Barwinek. Był czołowym dowódcą wojskowym, prowadził zaciągi i zorganizował pod Barwinkiem jeden z największych obozów konfederackich. Jerzy Marcin Lubomirski powierzył mu funkcję regimentarza krakowsko-sanockiego i sandomierskiego. Podczas bitwy na polach między Miejscem (dziś: Miejscem Piastowym) a Rogami k. Krosna 6 kwietnia

1769 r. Pułaski został ranny. Wkrótce przebił się ze swoim oddziałem na Litwę i Ruś i wzniecił tam powstanie antyrosyjskie.

W lipcu 1769 r. Kazimierz Pułaski dowodził zwycięską bitwą pod Kukielkami i pod Słonimem. Maszerując przez Szczuczyn, Stawiski i Łomżę dotarł do Ostrołki, gdzie zebrana szlachta łomżyńska zawiązała konfederację. Tam, 3 sierpnia, w kościele parafialnym obrano go marszałkiem ziemi łomżyńskiej. Złożył wówczas przysięgę na wierność Rzeczypospolitej oraz obrony praw i swobód obywatelskich, a także wiary katolickiej.

We wrześniu 1770 r. marszałek łomżyński dowodził siłami konfederackimi w sile ok. 2,5 tys. pieszych i kon-



S. Rasey, *Kazimierz Pułaski*, XIX w., miniatura akwarelowa, Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce

Medal „Freedom Founders” z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki, gen. Washingtona i Kazimierza Pułaskiego, L. Kawecki, 1976 r., brąz, Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce



Medal „Father Of American Cavalry”, 1929 r., brąz, Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce

nych żołnierzy. Dowiedział się wówczas, że wojska rosyjskie pod dowództwem płk. Iwana Drowicza postanowiły zająć Jasną Górę, jako jedną ze znanych twierdz. Szybszy i skuteczniejszy był jednak Pułaski, który, pozostawiając odwody, ze znaczną częścią wojsk 8 września wkroczył do Częstochowy. Było to wielkim sukcesem i inspiracją dla tych, którzy wahali się, czy przystąpić do konfederacji. Od 11 września Pułaski pospiesznie przygotowywał obronę przed atakiem wojsk rosyjskich, którego należało się spodziewać.

Pierwsza bitwa pod Częstochową

Ostatni dzień 1770 r. był dniem pierwszej bitwy pod Częstochową. Zza wzgórz od strony Kłobucka wynurzyła się awangarda wojsk rosyjskich. Nie czekając na nadciągnięcie dalszych sił, Pułaski rozpoczął walkę utrudniającą wojskom rosyjskim zajmowanie dogodnych pozycji i opóźniającą ich marsz. Przez wiele godzin trwały walki. „Koncert” rosyjsko-pruskich armat, który wieczorem osiągnął swoje apogeum, rozpoczął się 3 stycznia. Okazało się jednak, że ani działa carcy, ani moździerze króla pruskiego nie mogą zniszczyć murów jasnogórskiej twierdzy. W następnych dniach skuteczność rosyjsko-pruskiej artylerii zupełnie została skompromitowana. Rosjanie, nie zdecydowawszy się na następny atak, 16 stycznia 1771 r. rozpoczęli odwrót.

W dniu Matki Boskiej Gromniczej, 2 lutego, odbyła się na Jasnej Górze podniosła uroczystość. Wszystkich najbardziej ofiarnych obrońców twierdzy, wśród nich Kazimierza Pułaskiego, odznaczono Krzyżem Konfederatów Barskich. Zwycięska obrona jasnogórskiego klasztoru przyniosła Pułaskiemu rozgłos i uznanie nie tylko w Polsce. Pisano o nim w prasie francuskiej, niemieckiej, holenderskiej i angielskiej.

Wielka popularność Kazimierza Pułaskiego, o której aż z Rotterdamu pisała 19 lipca 1771 r. Anna Jabłonowska, niepokoiła wielu. Najbardziej jednak nie mogła się podobać wykonawcom i zwolennikom rosyjskiego panowania w Polsce. Skuteczną intrygą przeciw konfederacji barskiej, w którą uwierzy-

ła niestety większość ówczesnych obywateli Rzeczypospolitej, był rzekomy zamach konfederatów na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jako inspiratora tego zamachu, skazanego później na śmierć, wskazano Kazimierza Pułaskiego, który kandydował w tym czasie na stanowisko naczelnego wodza wojsk konfederackich.

Nie zobaczył on już nigdy rodzinnej ziemi, na której walczył przez przeszło cztery lata, przemierzając ją śmiałymi rajdami, nie unikając walki, szukając każdej okazji, by w boju spełnić patriotyczny obowiązek.

W walce o niepodległość USA

W czerwcu 1777 r. Kazimierz Pułaski wyruszył do Ameryki, by wziąć udział w walkach o niepodległość Stanów Zjednoczonych. „Hrabia Pułaski z Polski, oficer znany w całej Europie z odwagi i walki o wolność swojego kraju z przeważającymi siłami Rosji, Austrii i Prus, może być bardzo użyteczny w naszej służbie”¹ – pisał z Paryża 29 maja 1777 r. polityk amerykański Benjamin Franklin do pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych George’a Washingtona. Sytuacja była groźna, bo Anglicy zajęli właśnie Nowy Jork. Pułaski, omijając to miasto, udał się do głównej kwatery Washingtona, która mieściła się w Pensylwanii w Neshominy Falls. Zdołał go zainteresować swoimi projektami zorganizowania kawalerii, wykorzystania jeńców z armii angielskiej i zorganizowania szeroko zakrojonego ruchu partyzanckiego.

Pułaski swoje propozycje skierował do Kongresu Kontynentalnego. Washington poparł jego podanie. Kongres 15 września 1777 r. mianował go dowódcą amerykańskich lekkich dragonów w randze generała brygady. W ten sposób gen. Pułaski objął dowództwo nad całą konnicą w armii amerykańskiej. Kongres upoważnił go do dowodzenia niezależnym legionem podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych w marcu 1778 r. Przez wiosnę i lato 1779 r. Pułaski werbował, organizował i szkolił zarówno kawalerię, jak i żołnierzy piechoty. Następnie, 25 sierpnia 1778 r., Legion Pułaskiego przemaszerował przed pełnymi podziwu członkami Kongresu w Filadelfii.

Gen. Pułaski już wtedy miał opinię nieustraszonego dowódcy. Legionista pochodzący z Hesji opisał generała jako: „nielekąjącego się niczego na świecie”. Pułaski wykazał się



1



2

1. Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce. Fot. I. Dziedzicki
2. Pomnik Kazimierza Pułaskiego w Warce-Winiarach podczas obchodów Dnia Kazimierza Pułaskiego w 2016 r., autor pomnika K. Danilewicz, 1979 r. Fot. R. Donica

brawurą, doświadczeniem i militarnymi umiejętnościami w bitwie pod Brandywine Creek, gdzie śmiałym atakiem na wojska nieprzyjacielskie uratował Washingtona przed brytyjską niewolą.

Jednym z głównych zadań Pułaskiego było odcięcie od zajętej przez Anglików Filadelfii zaopatrzenia dla armii angielskiej i przejmowanie go dla wojsk powstańczych. Na początku października Washington zbliżył się do Filadelfii, chcąc tym manewrem powstrzymać i opóźnić marsz wojsk angielskich pod dowództwem gen. Williama Howe'a i Charlesa Cornwallisa. Gdy armia znużona pochodem rozłożyła się przy ogniskach i spała, Pułaski – zgodnie ze swym partyzanckim zwyczajem – z niewielkim oddziałem objeżdżał okolice. Nie spodziewanie natknął się na przednią straż kolumny nieprzyjacielskiej gen. Howe'a.

Amerykani nie wiedzieli, że wojska angielskie są tak blisko i że grozi im niebezpieczeństwo. Pułaski zachował przytomność umysłu i zimną krew. Kazał swojemu oddziałowi pozorować kontratak i alarmować dowódców amerykańskich, a sam pogalopował do kwatery głównej. Zameldował, że natychmiast musi się widzieć z Washingtonem. Zdenerwowany sceptycznymi uwagami jego adiutanta, głośno wyraził oburzenie. W drzwiach stanął Washington, wysłuchał meldunku i rozkazał zarządzić alarm.

Pułaski poprowadził kilkuset żołnierzy w kierunku najmniej zagrożonego odcinka i odrzucił nieprzyjaciela. W ten sposób późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych i część armii dowodzona przez niego bezpośrednio uniknęli niewoli, a być może i śmierci. W innych brygadach zabrakło czujnej straży. Pierwszą rozbito, a druga musiała uciekać w nieładzie.

Kazimierz Pułaski odznaczył się bohaterstwem w wielu bitwach: w Germantown, Little Egg Harbour, Minising, Charleston i Savannah. Walczył „za wolność waszą i naszą”. Zginął w imię tych ideałów, dowodząc szturmem wojsk francuskich i amerykańskich na brytyjskie fortyfikacje w Savannah. Bitwa była zwycięska, ale Pułaski został ranny i zmarł dwa dni później, 11 października 1779 r. na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego Wasp. Miał wówczas zaledwie 32 lata.

Pamięć o bohaterze

W Polsce imię Pułaskiego nosi wiele szkół i ulic. W 1967 r. otwarto w dawnym dworku Pułaskich w Warce Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego. W dwusetną rocznicę śmierci w 1979 r. w parku przy tym muzeum odsłonięto pomnik bohatera zaprojektowany przez rzeźbiarza Kazimierza Danilewicza. Drugi odlew – kopię tego samego pomnika - przekazano jako dar społeczeństwa Polski dla Polonii w Buffalo.

W Stanach Zjednoczonych kultywowana jest pamięć bohatera wojny o niepodległość Ameryki. Gen. Washington otrzymał szablę Pułaskiego. Wydał specjalny rozkaz ku czci bohaterskiego Polaka, który oddał życie za wolność USA. W rozkazie z 17 listopada 1779 r. napisał, że hasło „Pułaski” ma mieć odzew „Polska”. Szczątki generała spoczęły u stóp monumentu wzniesionego na jego cześć przez wdzięczne amerykańskie społeczeństwo w miejscu jego ostatniej bitwy.

W 1929 r. szczególnie uroczysto obchodzono w Polsce i Stanach Zjednoczonych 150 rocznicę śmierci Pułaskiego. Prezydent USA Herbert Clark Hoover w specjalnej proklamacji ogłosił: „Niniejszym upraszam obywateli Stanów Zjednoczonych o to, by uczcili jedenasty dzień października, rocznicę śmierci Generała Brygady Kazimierza Pułaskiego, bohatera wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, biorąc udział w ćwiczeniach



**Józef Brandt,
Konfederaci
barscy 1875 r.
olej na płótnie,
Muzeum
Narodowe
w Warszawie,
w ekspozycji sta-
łej Muzeum
im. Kazimierza
Pułaskiego
w Warce**

i ceremoniach w szkołach, kościołach i innych stosownych ku temu miejscach i co więcej niniejszym zarządzam, by tego dnia flaga Stanów Zjednoczonych została odpowiednio wyeksponowana na wszystkich budynkach rządowych w Stanach Zjednoczonych”.

Od tego czasu dzień 11 października obchodzony jest w USA jako święto federalne Dzień Pamięci Generała Pułaskiego (General Pulaski Memorial Day). Imieniem Pułaskiego nazwanych jest w Stanach Zjednoczonych dziesiątki miast, mostów, ulic i parków. Przed Białym Domem w Waszyngtonie stoi jego konny pomnik, a w Savannah w stanie Georgia erygowano imponujący monument.

Po 2005 r. rozpoczęła się procedura nadania Pułaskiemu honorowego obywatelstwa USA. Senat i Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych 19 marca 2007 r. przyjęły jednomyślnie uchwałę w tej sprawie, a 8 października 2009 r. Amerykański Kongres jednogłośnie nadał pośmiertnie honorowe obywatelstwo Kazimierzowi Pułaskiemu, polskiemu bohaterowi amerykańskiej wojny o niepodległość. W czasie debaty nad rezolucją kongresmani podkreślali, że standardy przyznawania honorowego obywatelstwa ich kraju są bardzo wysokie. Pułaski został jednym z siedmiu cudzoziemców, którym nadano ten zaszczytny tytuł.

Postać Kazimierza Pułaskiego kojarzona jest z istotnymi, zarówno dla historii Polski, jak i Stanów Zjednoczonych, wydarzeniami drugiej połowy XVIII w., które zaważyły na dalszych losach narodów: polskiego i amerykańskiego. W obu przypadkach podstawowym celem bohaterskich działań generała była walka o niepodległość. W pierwszym z nich chodziło o podtrzymanie niepodległości Rzeczypospolitej, coraz bardziej zagrożonej ze strony Rosji. W drugim – o jej wywalczenie przez powstający spod dominacji brytyjskiej nowy naród amerykański.

Aktualny pozostaje rozkaz pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych George’a Washingtona, że hasło „Pułaski” ma mieć odzew „Polska”. Temu hasłu trzeba i można służyć także przez lepsze rozumienie drogi, którą do swojej nieśmiertelności szedł Kazimierz Pułaski, a Polska do sytuacji, w której stała się strategicznym sojusznikiem USA w Europie. ■

ANTONI LENKIEWICZ, historyk, dr nauk prawnych, działacz opozycji niepodległościowej, wieloletni więzień polityczny w okresie PRL-u, publicysta, autor wielu artykułów i publikacji książkowych dotyczących historii Polski i walk niepodległościowych, a także biografii Mikołaja Kopernika, Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Pułaskiego, Naczelnym Wodzów II RP, Kawalerów Krzyża Niepodległości

¹ W. Michałowski, *Teki Sarmatów*, Piastów 2009.

HISTORIA

polskaZbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
prenumerata@zbrojni.pl
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Piorun Wojny

Amerykanie mówili o Kazimierzu Pułaskim, że traktował niebezpieczne stanowiska jak największe zaszczyty. Ten nieustraszony kawalerzysta, dziedzic husarskiej tradycji nie tylko oddawał idei wolności duszę i serce, ale i własne fundusze. To budziło największe zdumienie w jego nowej ojczyźnie.

Kazimierz Pułaski
pod Savannah,
mal. Włodzimierz
Łuski, 1893 r.



PIOTR KORCZYŃSKI

Czasami nieszczęśliwa miłość determinuje całe życie człowieka. Czyni z niego koszmar, doprowadza do samobójstwa lub... daje sławę i laury bohaterstwa, choć często bohater pozostaje samotny do końca życia. Dziwnym zrzędzeniem losu ten drugi scenariusz był udziałem dwóch generałów, którzy przeszli do historii jako bohaterowie Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Amerykańskiej jednocześnie – Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Kościuszko bezskutecznie zabiegał o rękę Ludwiki, córki hetmana polnego litewskiego Józefa Sylwestra Sosnowskiego. Bez majątku i stanowiska nie miał co marzyć o wybrance serca, więc wyjechał szukać szczęścia w Ameryce.

Pozornie większe szanse miał pochodzący z majątniejszej rodziny Kazimierz Pułaski. Ten przystojny i wykształcony młodzien w 1759 r. na weselu siostry poznał starościankę nowomiejską Franciszkę Krasińską. Oboje przypadli sobie do gustu, ale los bywa złośliwy i nieprzewidywalny. Piękną Franciszką niespodziewanie zainteresował się syn króla Augusta III Sasa, książę Kurlandii – królewicz Karol. Oszłomiona takim awansem rodzina Krasińskich bez wahania oddała mu rękę córki. Trzeba przyznać, że Kazimierz nie miał szczęścia do koronowanych głów już od wczesnej młodości. By być bliżej ukochanej, wstąpił na służbę do księcia Karola.

Konfederacki zagończyk

Niestety, poza piękną żoną książę Karol nie miał wtedy zbyt wielu powodów do radości. W tym bowiem czasie caryca Katarzyna zamierzała przejąć panowanie w Kurlandii i oddać jej tron swemu faworytowi hr. Ernestowi Bironowi. Pułaski na dworze w Mitawie był świadkiem coraz większego panoszenia się Rosjan w Rzeczypospolitej. Początkowo August III Sas próbował się opierać naciskom carycy, ale w końcu spasował i oddał jej Kurlandię bez jednego wystrzału. Książę Karol wraz z Franciszką musieli opuścić Mitawę. Ta hańba wywołała wstrząs u Kazimierza tym większy, że wzorem dlań był jego ojciec Józef – nieprzejednany przeciwnik Rosjan. To on na groźby Repnina, że przy pomocy wojska zmusi Polaków do posłuszeństwa, miał odpowiedzieć: „Niech stanie 100 tysięcy [wojska – PK], naród wolny krew przeleje!”¹. Kiedy 4 marca 1768 r., w dzień św. Kazimierza, patrona rycerstwa polskiego, w miasteczku Bar szlachta zawiązała antymoskiewską konfederację, Józef wraz z trzema synami: Franciszkiem, Kazimierzem i Antonim stanęli w jej pierwszych szeregach.

Jako konfederat Kazimierz Pułaski zdobył wielką sławę wojenną. Śledząc zarówno jego wojnę podjazdową, jak i udane obrony w okrażeniu, zwłaszcza osławioną obronę Częstochowy, można odnieść wrażenie, że to na nim Hen-

ryk Sienkiewicz się wzorował, tworząc postać płk. Andrzeja Kmicica w *Potopie*. Wiele ich łączyło – jak Kmicic Szwedom, tak Pułaski Rosjanom szarpał podjazdami szeregów, a i niejedną armatę zagwoździł. Kiedy płk Iwan Drewicz wysłał do Pułaskiego parlamentarzystę z propozycją poddania twierdzy jasnoogórskiej, ten im odpowiedział: „Powiedzieć Drewiczowi, że jeśli chce się ocalić, niech każe złożyć broń pod murami fortecy”². Był też Pułaski uparty i nieustępliwy, nawet jeśli musiał się cofać. Sam wódz naczelny armii rosyjskiej, gen. Aleksander Suworow miał stwierdzić, że wymykanie się Pułaskiego z jego siodeł to „arcydzieło”.

Rosyjscy generałowie, nie mogąc pokonać w polu polskiego zagończyka, postanowili wyeliminować go w inny sposób. Do dziś historycy spierają się, czy Pułaski naprawdę chciał porwać i targnąć się na życie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, czy była to misterna intryga agentów rosyjskich. Pułaskiego jako „królobójcy” zmuszeni byli się wyrzec wszyscy jego dotychczasowi towarzysze broni – konfederaci, żołnierze, francuscy doradcy w szeregach konfederacji! Jak trędowaty nagle został sam – bez pieniędzy i przyszłości. A jednak nie załamał się. W przebraniu kupca wyjechał za granicę, do Drezna. Tropiony przez rosyjskich agentów przeniósł się do Paryża, gdzie w czerwcu 1773 r. dotarła do niego wieść, że sąd królewski uznał go winnym i wydał na niego wyrok śmierci. Nieustrudzony banita uciekł wtedy do Turcji. Na ziemi nieprzejednanego wroga carów zaplanował, aby sformować z Polaków legion, ale Turcy w wojnie z Rosją ponosili klęskę za klęską i w 1774 r. podpisali upokarzający pokój. Pułaski znowu stanął pod ścianą. Nie spasował jednak i nielegalnie przedostał się do Francji. Tutaj miał szczęście spotkać osobę, dla której jego „królobójstwo” nie było zbrodnią, wręcz przeciwnie – atutem „prawdziwego republikanina”. Człowiekiem tym był amerykański dyplomata Benjamin Franklin, do którego doszła wieść o sławie wojennej Pułaskiego. Nie omieszkał przekonać go do wyjazdu za ocean. Nie było to trudne, gdyż Pułaski wiedział, że w Europie nic dobrego już go nie czeka.

„Piorun” zza oceanu

Franklin w liście do swego szefa Jerzego Waszyngtona tak rekomendował polskiego oficera: „Hrabia Pułaski z Polski, oficer znany w całej Europie z odwagi i walki o wolność swojego kraju z przeważającymi siłami Rosji, Austrii i Prus, może być bardzo użyteczny w naszej służbie”³. Pułaski szybko udowodnił, że Franklin nie przesadzał w liście. „Hrabia” wylądował w Marblehead pod Bostonem 23 lipca 1777 r. i wydawało się, że wraz z przybyciem na „nowy kontynent” jego zła passa minęła. Już po miesiącu od zejścia na ląd wyposażony w pełnomocnictwa od Waszyngtona i La Fayette’a pisał do Kongresu: „pragnę otrzymać jed- ▶



Parada Pułaskiego w Nowym Jorku, 10 lipca 1937 r. Widoczny sztandar Polskiej Centrali Robotniczej w Ameryce i flaga amerykańska.

na kompanię ochotników z rangą, która by mnie upoważniała do dowodzenia całą dywizją, gdy na to zasłużyę [...]. Chciałbym uzyskać stanowisko, na którym byłbym zależnym jedynie od Głównego Dowództwa Armii”⁴. Z tych słów przebija pewność siebie i poczucie własnej wartości. W ślad za nimi idą równie szybko czyny. We wrześniu pod Brandywine na czele 30 jeźdźców śmiałym kontratakiem uratował wycofującą się armię Jerzego Waszyngtona przed niechybnym pogromem z rąk nacierających Brytyjczyków. Cztery dni po bitwie, 21 września, amerykański Kongres Kontynentalny mianował Pułaskiego generałem brygady i dowódcą amerykańskiej kawalerii.

W kolejnych potyczkach i bitwach Pułaski zyskał miano „Pioruna Wojny”. Ale jednocześnie rozpoczął drugą batalię, nie mniej emocjonującą od tej na froncie, a często o wiele trudniejszą. Kawaleria Stanów Zjednoczonych z czasów wojny o niepodległość nie była taką formacją, jaką można sobie wyobrazić, patrząc na „niebieskie kurtki” z lat wojny secesyjnej i późniejszych wojen z Indianami. Teoretycznie Pułaski obejmował dowództwo nad czterema pułkami



Uroczystość ku czci generała i bohatera wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki Kazimierza Pułaskiego, otwarcie tzw. Łasku Pułaskiego w Chicago, 13 lipca 1939 r. Uczestnicy uroczystości przy kamieniu z tablicą ku czci Kazimierza Pułaskiego.

jazdy, w praktyce oddziały te były rozproszone po całej armii i wykorzystywane do doraźnych, pomocniczych celów. Nie mówiąc już o ich słabym wyszkoleniu, marnych wierzchowcach i brakach w wyposażeniu.

Ojciec kawalerii

Gen. Pułaski opracował dla Waszyngtona plan reorganizacji kawalerii, ale nie był to dobry czas dla reformatora. Ciężka zima, choroby i głód trapiły armię amerykańską. Memoriał Pułaskiego utknął w którymś z departamentów. Co gorsza, jego podkomendni zaczęli sarkać na dowódcę, bo nie chciał im dać spokoju na leżach zimowych. Często nie rozumieli lub udawali, że nie rozumieją angielszczyzny obcokrajowca. Przyszły ojciec amerykańskiej kawalerii był rozgoryczony niechęcią okazywaną mu coraz wyraźniej przez jego własnych oficerów. Nie poddawał się jednak i tym przeciw-

nościom. Wystąpił wreszcie z projektem powołania niezależnej jednostki kawalerii – pod własnym sztandarem, ufundowanym sumptem dowódcy. Kongres przychylił się do propozycji 28 marca 1778 r. – taką genezę miał Legion Pułaskiego.

Po półrocznej akcji werbunkowej Legion liczył 330 ludzi, ale i tutaj szybko dopadły Pułaskiego kłopoty. W Kongresie nie wszystkim było w smak, że eksponowane stanowiska w armii zajmują obcokrajowcy. Politycy ci za chłopca do bicia obrali sobie najsłynniejszego wśród obcych oficerów – Pułaskiego. Pod ich dyktando Kongres nie chciał zatwierdzić wydatków Legionu, oskarżając generała o malwersacje finansowe. Przybyły do Filadelfii oficer płatniczy formacji Józef Baldeski bronił dowódcy i podkreślał w raporcie: „Hrabia Pułaski wydał na Legion co najmniej 50 tys. dolarów własnych pieniędzy, które nie są wliczone do tych rachunków”⁵. Zapewniał, że jeśli nawet okaże się, iż wystąpiły jakieś nieprawidłowości, generał gotów jest spłacić je z własnej kasy.

Wzorem dawnych hetmanów polskich – Jana Zamoyskiego, Jana Chodkiewicza czy Stanisława Żółkiewskiego – Pułaski opłacał swe wojsko z własnej kasy, byleby tylko mogło walczyć w polu. Szokował tym znajomych oficerów, ale Kongresowi to i tak nie wystarczało. Po nie do końca udanym chrzcie bojowym Legionu pod Egg Harbor 15 października 1778 r. (jeden z oficerów Legionu uciekł do Brytyjczyków i zdradził im pozycje „buntowników”) kongresmeni skrytykowali Pułaskiego i postulowali znieść niezależność jego oddziału. Dla generała tego było już za wiele, chwycił więc za pióro i pisał bez ogródek: „Z pewnością nie mieliście człowieka bardziej wam oddanego, a może i najzdolniejszego, w waszej służbie, wszystkie narzekania na cudzoziemców winny by ustać, bo inaczej ci cudzoziemcy porzucą waszą republikę”⁶.

Kongres w odpowiedzi chciał wysłać Legion do walki z Indianami nad rzekę Delaware. Pułaski nie zgodził się, aby walczyć z rdzennymi mieszkańcami Ameryki. Pod koniec listopada napisał list do Waszyngtona, że pragnie podjąć akcję partyzancką na południu. W grudniu prosił o to samo Kongres, deklarując, że podporządkuje się dowództwu innego generała. Wreszcie uparty Polak dopiął swego. Na początku 1779 r. wyruszył ze swą konnicą do Południowej Karoliny. Ciągłe kłopoty z pieniędzmi, brak zaopatrzenia i rekrutacji do Legionu nie mijały, ale dla Pułaskiego najważniejsze było to, że może walczyć. Brytyjczycy, oblegając Charleston, żądali kapitulacji. Pułaski się temu sprzeciwiał, szarpiąc oddziały nieprzyjaciela podjazdami. Niestety w ciągłych walkach tracił też ludzi – w czerwcu zostało mu pod komendą już tylko 180 żołnierzy. Nie próżnowali także wrogowie generała w Filadelfii. Wytoczono mu proces sądowy. Pułaski replikował, że przybył, by walczyć o wolność, by móc po wojnie zostać w wolnym kraju jako jego wolny obywatel. Na zarzuty



FOT. ANTYKWARIAT ATTICUS

Kazimierz Pułaski i George Washington, mal. A. Szyk, 1935 r.

o sprzeniewierzenie pieniędzy publicznych odpowiedział, że jego własna gaża generalska od kilku miesięcy nie jest wypłacana. „Nikt nie policzył jego własnych pieniędzy włożonych w organizację Legionu. Ponieważ nie uchylił czoła przed mocarzami Europy i tutaj tego nie uczyni”⁷ – pisał Józef Baldeski do Kongresu.

W angielsko-francuskiej ofensywie jesienią 1779 r. gen. Pułaski ze swym Legionem był w przedniej straży armii gen. Beniamina Lincolna maszerującej na Savannah. Tutaj pod morderczym ogniem brytyjskich dział gen. Kazimierz Pułaski ruszył do ostatniej szarży. Uratował amerykańsko-francuskie wojska od zupełnej rozszypki. Ojciec amerykańskiej kawalerii, ranny kartaczem, zmarł 11 października 1779 r. na pokładzie brygu „Wasp”. Generał zmarł na morzu – jakby opatrność chciała podkreślić, że jego czynów właściwie nie doceniono ani w pierwszej, ani w drugiej ojczyźnie. Na to trzeba było czasu, choć pierwszy gest uznania dla gen. Kazimierza Pułaskiego wykonał prezydent Waszyngton bardzo szybko. Kiedy dotarła do niego wieść o bohaterskiej śmierci generała, w swym obozie wojskowym wyznaczył wartom hasło „Pułaski”, a odzew „Polska”. ■

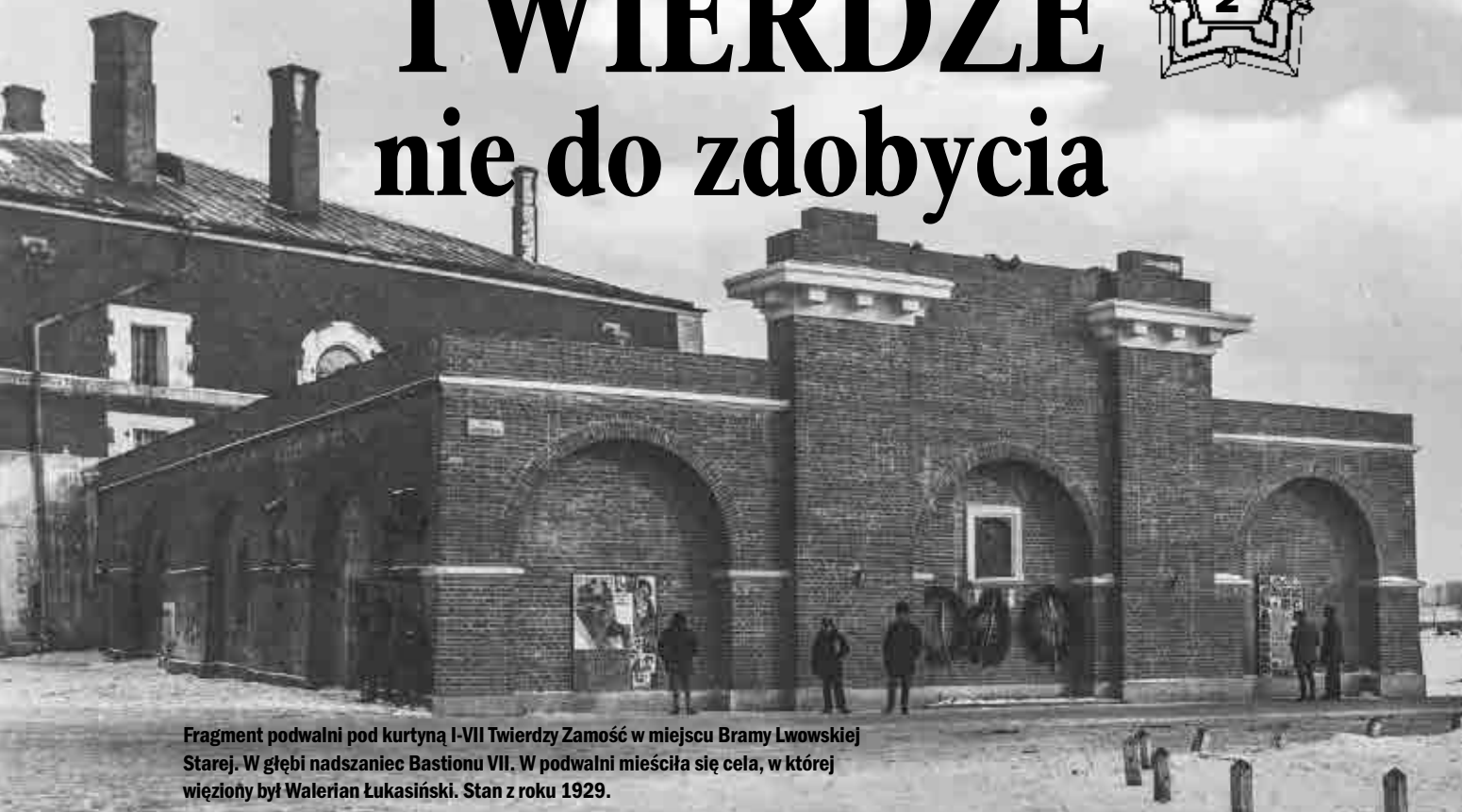
PIOTR KORCZYŃSKI, redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna Historia”, publicysta. Autor książek: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939-1945*, *Herbarz szlachty polskiej*, *Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

¹ W. Konopczyński, *Kazimierz Pułaski. Życiorys*, Kraków 1931, s. 419. ² Tamże.

³ W. Michałowski, *Teki Sarmatów*, Warszawa 2009, s. 30. ⁴ J. Drohojowski, *Polacy w Ameryce*, Warszawa 1976, s. 23. ⁵ Tamże, s. 25. ⁶ Tamże, s. 26. ⁷ Tamże, s. 27.



TWIERDZE nie do zdobycia



Fragment podwalni pod kurtyną I-VII Twierdzy Zamość w miejscu Bramy Lwowskiej Starej. W głębi nadszaniec Bastionu VII. W podwalni mieściła się cela, w której więziony był Walerian Łukasiński. Stan z roku 1929.

**„W dzisiejszym znaczeniu twierdza jest superstrukturą przeplatającą się przez strukturę miasta”
– mówi dr Krzysztof Wielgus.**



KRZYSZTOF WIELGUS
dr inż. architekt,
pracownik Instytutu
Architektury Krajo-
brazu Politechniki Kra-
kowskiej im. Tadeusza
Kościuszki, członek
Komitetu Kopca
Kościuszki.

Po utracie niepodległości przez Polskę zaborcy budowali na jej terytorium twierdze nie tylko z myślą o ochronie swych nowych granic, ale też z obawy przed polskimi powstaniem. Nagle na Warszawę, Kraków i Poznań padł długi cień fortów i cytadeli, w których załogi czekały tylko na rozkaz do bombardowania lub pacyfikowania zbuntowanych. Od tego czasu słowo twierdza zaczęło się Polakom źle kojarzyć. Czy można jednak wskazać pozytywne strony powstania tylu umocnionych obiektów w granicach polskich miast lub w nich sąsiedztwie?

Nie wszystkie twierdze miały taki żandarmerijny charakter. Możliwość spacyfikowania zajętego kraju oczywiście istniała, ale głównie

dotyczyła twierdz rosyjskich, na drugim miejscu – niemieckich. Cytadela Warszawska jest zdecydowanie przykładem fortyfikacji przeciwpowstańczej. Późniejsza rosyjska Twierdza Warszawa z lat osiemdziesiątych XIX w. takiej funkcji już nie pełniła. Opisuując czasy zaborów, podkreślić należy, że Polska stanowi pewnego rodzaju wielkie muzeum w otwartej przestrzeni, fortyfikacji w ogóle, a fortyfikacji nowożytnej w szczególności. Oprócz fortyfikacji polskiej mamy fortyfikację napoleońską, austriacką, pruską – w znaczeniu jeszcze z okresu przedrozbiorowego, następnie fortyfikację rosyjską, znowu austriacką – austro-węgierską, pruską XIX w., fortyfikację I wojny światowej, a idąc dalej – fortyfikację polską międzywojenną, sowiecką, niemiecką, potem



z okresu II wojny światowej, a następnie zimnej wojny. Przegląd i zasób rzadko spotykany gdzie indziej.

XIX stulecie – wiek pary i żelaza – to także złota era fortyfikacji...

Tak, wiek XIX jest czasem dwóch rewolucji przemysłowych. Pierwszej, która korzeniami sięgała końca XVII w. i drugiej z połowy XIX w. Twierdze są taką samą emanacją rozwoju technicznego jak przemysł, kolej, budowa parowych transatlantyków. Twierdze dziewiętnastowieczne są pomnikami epoki industrialnej, np. Kraków, nie będąc miastem przemysłowym, stał się jednym z największych konsumentów produkcji przemysłowej całej Europy Środkowej i Wschodniej. Wspomniana opresyjność twierdz wynikała zaś nie tylko ze złej woli zaborców, ale również z obiektywnych warunków technicznych i taktycznych ówczesnej fortyfikacji. Jeszcze w drugiej połowie XIX w. artyleria gładkolufowa miała stosunkowo nieduży zasięg, więc linie fortyfikacji, fortyfikacji poligonalnej, poligonalno-bastionowej otaczały centra miast dość ciasnymi pierścieniami; generowały mniej lub bardziej restrykcyjne ograniczenia budowlane, których mieszkańcy miast nie przyjmowali z entuzjazmem. Powodowało to bowiem drożyznę i spekulację gruntami wewnątrzmijskimi, choć równocześnie dyscyplinowało zabudowę. Miasta przemysłowe, które nie były twierdzami, takie jak Łódź, rozwijały się wówczas żywiołowo i chaotycznie. Ujęte żelazną ręką fortyfikacji Poznań, Kraków, Toruń i Przemyśl rozwijały się w sposób planowy.

W 1912 r. twórca idei miast ogrodów, Anglik Ebenezer Howard, powiedział, że Kraków jest ogrodem z naturalnego rozwoju, bo widział Planty, drugą obwodnicę, zarys trzećiej i zielone pasma dróg radialnych, wyprowadzających

Fort wieżowy Nr 31 „St. Benedict” – „Fort Świętego Benedykta”. Stan przed przebudową na cele mieszkalne.

Rys. Joanna Piekło, Jadwiga Śródulska-Wielgus

z miasta. A przecież w większości były to dawne i wówczas jeszcze funkcjonujące inwestycje militarne, które były zielonymi pierścieniami miasta.

Fortyfikacja austriacka, a później austro-węgierska, mimo że nie najliczniejsza na ziemiach polskich, to odegrała rolę szczególną. Była ona najmniej represyjna w stosunku do polskiego społeczeństwa i polskich miast, stała się swobodną akademią dla Polaków w służbach technicznych armii, nieocenionych w rodzących się siłach zbrojnych II Rzeczypospolitej. Była też najbardziej nowatorska, zaawansowana technicznie, zróżnicowana pod względem lokalizacji, struktury i formy, wreszcie racjonalna i ekonomiczna. Austro-Węgry – mimo obiegowej opinii ukształtowanej na podstawie powieści Jarosława Haszka – były państwem może dziwnym z dzisiejszego punktu widzenia, ale jednak demokratycznym i dalekim od militarystyki. Wydatki na cele wojskowe, w tym na fortyfikacje, wcale nie były duże, a przecież trzeba było umocnić i adriatyckie wybrzeże, i pogranicze z Serbią, i alpejskie przełęcze, i leżący za Karpatami obszar manewrowy Galicji. Ówczesne mocarstwa przemysłowe wcale nie spieszyły się do udzielania licencji naddunajskiemu sojusznikowi lub potencjalnemu wrogowi. Toteż przemysł, w tym zbrojeniowy, monarchii Franciszka Józefa I rozwijał się z konieczności nieco osobliwymi, własnymi ścieżkami, kładąc podwaliny dzisiejszej kulturze technicznej Czech, Austrii, Węgier, Polski, Chorwacji, Słowenii i innych krajów współczesnej Europy Środkowo-Wschod-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



**Wysadzona
22 marca 1915 r.
wieża pancerna
dla 15 cm haubicy
M.94 na głównym
forcie pancernym
Twierdzy Przemyśl.**

niej. Dorobek ten ogniskował się głównie we flocie i w fortyfikacjach. Adriatyckiej floty spod czerwono-biało-czerwonej bandery nie ma od wieku. Fortyfikacje Krakowa, Przemyśla, Lwowa, Puli, Trydentu i Kotoru istnieją dalej jako wielkie, przestrzenne zabytki inżynierii środkowoeuropejskiego horyzontu kulturowego XIX i XX w. Nie apoteozują militarystom żadnego z istniejących mocarstw, stanowią memento krwawych walk fortecznych Wielkiej Wojny. W ich murach służyli: Ludwig Wittgenstein, Georg Trakl, Géza Gyóni, Ferenc Molnar, Stanisław Pigoń, Wincenty Witos, Wojciech Kossak i wiele innych ważnych postaci. Nie jest więc dziwne, że złożono wnioski o wpis miasta i Twierdzy Przemyśl na listę Pomników Historii RP. Rozpoczynają się także, wspierane przez parlamenty krajów Grupy Wyszehradzkiej, wstępne starania o transgraniczny, seryjny wpis fortecy zmarłej monarchii na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO jako wspólnego dobra historii, techniki i zabytkowego krajobrazu tych krajów. Twierdze te nie były kierowane przeciwko miastom. Były to już fortyfikacje należące do, kolejnego po poligonalnym, systemu fortowego. Twierdze pierścieniowe, takie jak Kraków i Przemyśl w Galicji, Warszawa, Modlin, Dęblin, Osowiec i Brześć w „Przysławskim kraju”, Toruń, Poznań i Grudziądz w Prusach, były wielkimi twierdzami fortowymi. Wszystkie forty były odwrócone tyłem, a więc najsłabszą częścią, do miasta. Nie wynikało to z miłości Austriaków do krakowian, Rosjan do warszawiaków czy Prusaków do poznańców, powód był czysto wojskowy. Gdyby potencjalny nieprzyjaciel zdobył fort, nie mógłby obrócić armat, żeby bombardować miasto, natomiast artyleria forteczna mogła łatwo rozstrzelać część koszarową zdobytego fortu. Twierdze pierścieniowe końca XIX w. nie stanowiły więc do-

ślowego militarnego, politycznego i przestrzennego żelaznego gorsetu dławiącego polskie miasta. W wyniku rewolucji w artylerii – największej na razie w historii – polegającej na przejściu od archaicznych gładkolufowych dział ładowanych od przodu do odtylcowych, gwintowych, strzelających wydłużonym pociskiem eksplodującym (z ich wielkim dramatycznym debiutem, czyli wojną francusko-pruską 1871 r.), pierścienie fortów dosłownie zniknęły za horyzontem. Twierdza nie mogła mieć już średnicy 4–6 km, lecz 20 km. Forty w Krakowie, Modlinie, Warszawie były lokowane na dalekich przedmieściach albo w okolicznych gminach. Krwiobiegiem twierdzy stał się układ drogowy, maskowany za pomocą zieleni. Pojawiły się również kolejki polowe do budowy i utrzymania fortów. Zawsze była to wielka inwestycja państwowa, dająca przede wszystkim dobry zarobek przy budowie. Kolejnym pozytywnym aspektem było bogacenie się przedsiębiorców, a często i mieszkańców okolic za sprawą stałego, dobrze płatnego zatrudnienia.

A jak wyglądały załogi twierdzy?

Pułki forteczne, musiały reprezentować wyższy poziom niż pułki piechoty. Artylerzysta forteczny nie był prostym żołnierzem; musiał umieć pisać, rachować, posługiwać się nowoczesną wówczas techniką. Dobrym przykładem jest tutaj 2 Morawsko-Galicyski Pułk Artylerii Fortecznej stacjonujący w Krakowie. Dlaczego morawsko-galicyski? Ponieważ w większości służyli w nim synowie górników i kolejarzy z Moraw, Śląska Cieszyńskiego i Krakowa. W monarchii austro-węgierskiej po stworzeniu państwa federalnego w 1867 r. powstała możliwość kariery wojskowej, również dla Polaków, także w wojskach inżynieryjnych. Pojawiło się dużo znakomitości, takich jak komendant Twierdzy Przemyśl gen. Julian Adolf Roszkowski, komendant Twierdzy Kraków feldmarszałek Józef Turnau i wielu innych. Najlepszym przykładem jest pułkownik, później generał, Emil Gołogórski, urodzony we Lwowie, absolwent Politechniki Lwowskiej, Politechniki Wiedeńskiej, znakomity inżynier, przez jakiś czas pracujący w biurze ewidencyjnym, czyli w wywiadzie austro-węgierskim. Projektował wiele fortów pancernych Twierdzy Kraków. Po 1918 r. był pierwszym dowódcą Okręgu Wojskowego „Galicja”, który organizował m.in. odsiecz dla Lwowa, inicjatorem budowy pierwszych polskich pociągów pancernych, pierwszym generalnym inspektorem wojsk technicznych II RP. Jego



Rekonstrukcja fortu pancernego IXa „Przy Krzyżu” Twierdzy Przemyśl. Rys. Krzysztof Wielgus

zasługą są m.in. samochody pancerne na podwoziach Forda model T, doskonale radzące sobie z czerwoną kawalerią w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Umarł za szybko, w 1921 r. Mowę nad jego grobem wygłosił marszałek Józef Piłsudski. W pierwszym numerze „Bellony” zamieszczono ogromny artykuł o osiągnięciach gen. Gołogórskiego. Takich ludzi było wielu, również na średnim poziomie technicznym, a także wśród wykonawców. Jednym z największych przedsiębiorców zajmujących się budową Twierdzy Przemyśl był krakowski przedsiębiorca od robót ziemnych Benedykt Chuwes.

Rzeczywiście, twierdze to jednak przede wszystkim obiekty wojskowe, o czym sąsiadującym a nimi miastom boleśnie przypominała I wojna światowa.

Rzeczywiście twierdza ściągała na miasto nemezis, zagrożenie w czasie wojny. Zarówno chroniła je, jak i była dla jego ludności zapowiedzią nieszczęść lub ewakuacji związanych z oblężeniem. Twierdza Kraków odegrała strategiczną rolę w Wielkiej Wojnie. Dzięki niej obeszło się bez zniszczeń miasta – choć nie bez zniszczeń okolicznych wsi – i bez gehenny ludności cywilnej. W Przemyślu było niestety inaczej. Trzeba też pamiętać, że samo istnienie fortyfikacji stanowiło jednak rodzaj polisy ubezpieczeniowej dla mieszkańców, dającej nadzieję, że ich miasto nie zostanie zdobyte i ograbione w sposób zupełnie barbarzyński. Było jasne, że nieprzyjaciół będzie musiał zatrzymać się przed umocnieniami twierdzy. Twierdze odgrywały ogromną rolę psychologiczną.

A dzisiaj są przede wszystkim ogromnym zasobem zieleni. Twierdza Kraków to jest 1083 ha najpiękniejszych terenów zielonych na wzgórzach wokół miasta. Dyscyplinę zabudowy utrzymano dzięki zarządowi wojskowemu, a dzisiaj państwowemu bądź samorządowemu w miejscach, które już dawno zabudowałiby deweloperzy. Twierdze to wielkie muzea techniki, nie tylko militarnej. To również miejsca pamięci walk z obu wojen światowych, również męczeństwa, np. w Forcie Krzesławickim Twierdzy Kraków



Widok perspektywiczny Bastionu III „Kleparz” w stanie z ok. 1887 r. wraz z ukazaniem jego struktury wewnętrznej. Na rysunku stanu historycznego naniesiono realizowaną ścieżkę zwiedzania. Rys. Wojciech Rymsza-Mazur, Arkadiusz Sordyl, Izabela Krzyszkowska, Krzysztof Wielgus, „Fundacja Polish Heritage”

w okresie międzywojennym zainstalowano antenę nasłuchową, która wychwytywała m.in. komunikaty słynnej Enigmy. W sąsiednim Forcie 49 Dłubnia znajdowała się stacja nasłuchowa. Ten sam Fort Krzesławicki był miejscem kaźni przede wszystkim inteligencji z Małopolski, którą na początku II wojny światowej rozstrzeliwało niemieckie Einsatzgruppen. Wiele fortów krakowskich przysłużyło się jako miejsce przygotowywania tzw. bibuły, i w czasie okupacji, i w okresie poprzedzający stan wojenny, i w czasie stanu wojennego.

Twierdza w dzisiejszym znaczeniu jest superstrukturą przeplatającą się przez strukturę miasta; to nie tylko forty. Politechnika Krakowska mieści się w dawnych koszarach im. Arcyksięcia Rudolfa, Biblioteka Wojewódzka w Krakowie – w dawnych koszarach im. Cesarza Franciszka Józefa, zaś Wydział Stomatologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego – w koszarach artylerii fortecznej. Szpital wojskowy w Krakowie nieziemiennie rezyduje w pięknych, secesyjnych budynkach garnizonowego szpitala Twierdzy Kraków. Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila” znajduje się w obiekcie dawnego zespołu aprowizacyjnego Twierdzy Kraków. Sukcesja funkcji w architekturze, czyli współczesne wykorzystanie dawnych budowli i terenów, jest dziedzictwem i zarazem ogromną szansą, nie do końca jeszcze spożytkowaną. To są pozytywne strony istnienia twierdzy, z których obecnie korzystamy i będą to robić następne pokolenia. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński



Bitwa pod Kockiem

Ostatnia bitwa kampanii 1939 r. rozgrywała się między 2 a 5 października 1939 r. Stoczyły ją oddziały wchodzące w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” dowodzonej przez gen. bryg. Franciszka Kleeberga.

JULIUSZ S. TYM

Gdy w marcu 1939 r. polski Sztab Główny określał strukturę ugrupowania bojowego Wojska Polskiego, w planie operacyjnym „Z” próżno było szukać związku operacyjnego noszącego nazwę SGO „Polesie”. SGO „Polesie” była improwizowanym związkiem operacyjnym, który powstał z potrzeby chwili, w jednym z kulminacyjnych punktów kampanii 1939 r., z nadwyżek rezerwistów oraz ochotników skupionych w ośrodkach zapasowych rozwiniętych na terenie Okręgu

Korpusu IX, czyli na Polesiu. Warto przypomnieć, że wielkie jednostki stacjonujące w tym okręgu – 9, 20 i 30 Dywizja Piechoty (DP) oraz Nowogródzka Brygada Kawalerii (BK) – zmobilizowano w ramach mobilizacji alarmowej ogłoszonej 23 marca 1939 r. jako pierwsze w Wojsku Polskim, a latem przewieziono w rejon operacyjnego rozwinięcia. Na Polesiu pozostały wyłącznie ich ośrodki zapasowe, a ponadto flotylla rzeczna na Prypeci i oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Gdy pękła obrona na linii Narwi

W drugim tygodniu kampanii 1939 r. pękła polska obrona na linii rzeki Narwi, a oddziały niemieckie znajdowały się już pod Lwowem i Warszawą. Wkrótce czołowe elementy niemieckiego XIX Korpusu Armijnego gen. Heinza Guderiana podeszły pod twierdzę Brześć nad Bugiem, której broniły oddziały gen. Konstantego Plisowskiego. Dopiero 16 września 1939 r. Naczelny Wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz wydał dowódcy Okręgu Korpusu IX gen. Franciszkowi Kleebergowi rozkaz do obrony Polesia, w celu osłony od północy obszaru tzw. przedmościa rumuńskiego. Następnego dnia gen. Kleeberg wydał rozkaz dla czterech zgrupowań taktycznych, które już wcześniej utworzył z oddziałów rozmieszczonych na Polesiu – „Kobryń”, „Drohiczyn Poleski”, „Jasiódła” oraz Zgrupowanie Korpusu Ochrony Pogranicza i Marynarki Wojennej. W tym czasie Dowództwo Okręgu Korpusu IX kończyło proces przekształcania się z organu terytorialno-administracyjnego zajmującego się sprawami mobilizacji, administrowania rezerwami, zaopatrzeniem, oświatą i problematyką bezpieczeństwa wojsk w organ dowodzenia wojskami w polu.

Jednocześnie zarysował się kolejny punkt kulminacyjny kampanii – 17 września 1939 r. rozpoczęła się bowiem agresja sowiecka. To spowodowało, że w następnych dniach zgrupowania taktyczne podporządkowane gen. Kleebergowi zmuszone były prowadzić działania opóźniające przeciwko zarówno oddziałom niemieckim w rejonie Kobrynia, gdzie opór stawiało Zgrupowanie „Kobryń”, jak i oddziałom sowieckim próbującym wtargnąć na Polesie, gdzie ciężar walk z armią sowiecką spoczywał na oddziałach Brygady KOP „Polesie” oraz flotyli rzecznej, nazywanej niekiedy Flotyllą Pińską. Gen. Kleebergowi 19 września 1939 r. podporządkowały się resztki Podlaskiej Brygady Kawalerii dowodzonej przez gen. bryg. Ludwika Kmicic-Skrzyńskiego.



Żołnierze polscy
pod Kockiem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Utworzenie SGO „Polesie”

Mając na uwadze niekorzystną zmianę położenia, 20 września 1939 r. nad ranem gen. Kleeberg wydał rozkaz odwrotu na południe, w rejon pomiędzy Kowlem a Włodawą. W trakcie tego odwrotu, równoległe do toczonych walk z czołowymi elementami wojsk sowieckich, nastąpiła reorganizacja dotychczasowych zgrupowań taktycznych. Zgrupowanie „Kobryń” płk. Adama Eplera, którego trzon stanowił Ośrodek Zapasowy 30 Dywizji Piechoty, przekształciło się w 60 Dywizję Piechoty „Kobryń”, a wykorzystując zgrupowanie „Drohiczyn Poleski”, powstałe z Ośrodka Zapasowego 20 Dywizji Piechoty, utworzono 50 Dywizję Piechoty „Brzoza”, której dowództwo objął płk w st. spocz. Ottokar Brzoza-Brzezina. W dniach 25–27 września 1939 r. wojska gen. Kleeberga przekroczyły Bug w rejonie Włodawy. Dysponując takimi siłami, 27 września 1939 r. o godz. 17.00 gen. Kleeberg wydał rozkaz organizacyjny L.1/27/Op. o utworzeniu SGO „Polesie” i jednocześnie potwierdził artykułowany już wcześniej zamiar marszu na Warszawę. W tym celu już poprzedniego dnia 50 DP rozpoczęła marsz w kierunku Parczewa. Gen. Kleebergowi 29 września 1939 r. podporządkowało się Zgrupowanie Kawalerii „Zaza”, nazwane tak od przydomka dowódcy Suwalskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego, a składające się z Suwalskiej BK i części Podlaskiej BK. Sam generał podległe siły określał jako zgrupowanie „Zaza”, a później jako grupa „Zaza”. Termin Dywizja Kawalerii „Zaza”, który pojawił się w historiografii polskiej, był określeniem na wyrost. W tym momencie całość sił SGO „Polesie” można było szacować na ok. 18 tys. żołnierzy – 27 batalionów piechoty (pułków kawalerii), 38 dział polowych i 35 działek przeciwpancernych.

W tych dniach Podlaska BK opóźniała oddziały sowieckie próbujące nacierać na kierunku Wisznice – Jabłoń, co oznaczało, że przeciwnik ten znalazł się w odległości ponad 30 km na zachód od Bugu i usiłował przeciąć w rejonie Parczewa kierunek marszu SGO „Polesie”. W walki z tym przeciwnikiem zaangażowały się również oddziały 60 DP „Kobryń”.

Pierwsze walki z nowym przeciwnikiem

Zamiarem gen. Kleeberga było, aby 1 października 1939 r. nastąpiło przemieszczenie SGO „Polesie” w rejon pomiędzy Radzyniem Podlaskim, Kockiem i Wojcieszkowem, co ogłosił w rozkazie operacyjnym L.4/30/Op. wydanym 30 września 1939 r. o godz. 13.00. Tymczasem wykrucie niemieckich pododdziałów rozpoznawczych prowadzących działania rozpoznawcze na północ od Kocka spowodowało, że w godzinach wieczornych pierwotna koncepcja uległa zmianie. Główną osią działania SGO „Polesie” stał się kierunek Czemierniki – Borki – Wola Ossowicka. Na południe od tej osi Grupa „Zaza” miała związać walką niemieckie elementy rozpoznawcze, a jednocześnie opa-



XIX Korpus gen. Heinza Guderiana

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

nować rejon Wola Gułowska, Leonardów oraz Talczyn, Tereba, Ruda. Jednocześnie 50 DP „Brzoza” miała połowę oddziałów przenieść w rejon Talczyn. Zamiarem gen. Kleeberga było osiągnięcie rejonu Radoryż Kościelny, Okrzeja, Adamów, Wola Gułowska. Następnego dnia Grupa „Zaza” miała prowadzić działania rozpoznawcze na kierunku Ryki – Dęblin – Maciejowice, a 50 DP „Brzoza” w kierunku na Kock i Łysoboki.

W tym położeniu 2 października 1939 r. doszło do serii walk spotkaniowych pomiędzy Kockiem na wschodzie a Wolą Gułowską na zachodzie z oddziałami niemieckiej 13 Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej (DPZmot) dowodzonej przez gen. Paula Otto z XIV Korpusu Armijnego gen. Gustawa von Wietersheima, która liczyła wówczas ok. 16 tys. żołnierzy i była uzbrojona w 30 samochodów pancernych, 68 dział polowych i 63 działa przeciwpancerne. Oddziały niemieckie przemieszczały się z zachodu w kierunku Kocka. Punkt ciężkości tych walk stanowił rejon wsi Serokomla, który był broniący przez Brygadę Kawalerii „Plis” płk. Kazimierza Plisowskiego z Grupy „Zaza”. Aktywna obrona polska, charakteryzująca się dobrze przeprowadzonymi kontratakami, odrzuciła kolejne natarcia niemieckiego III batalionu 93 pułku piechoty 13 DPZmot. Jednocześnie w rejonie Talczyń, Kocka oddziały 50 DP „Brzoza” zatrzymały natarcie przeciwnika, biorąc do niewoli ok. 200 jeńców i zdobywając ważne dokumenty, w tym mapę z nanieśionymi kierunkami niemieckiego natarcia. W tym czasie Podlaska BK ubezpieczała siły główne SGO „Polesie” w rejonie Radoryża Kościelnego, Krzywdy, a 60 DP „Kobryń” kontynuowała przemieszczanie na kierunku: Borki – Wola Ossowińska – Wojcieszków – Horodzieszka.



Dowódca SGO „Polesie” gen. bryg. Franciszek Kleeberg podczas kapitulacji, 6 października 1939 r.

Zgrupowanie ppłk. Kazimierza Gorzkowskiego, składające się z trzech batalionów 50 DP „Brzoza” oraz BK „Edward” płk. Edwarda Milewskiego z Grupy „Zaza” z rejonu Serokomla, Józefów, 3 października 1939 r. w godzinach przedpołudniowych wykonało natarcie na Charlejew broniący przez niemiecki 33 pułk piechoty. W celu ubezpieczenia tego natarcia od wschodu kolejny batalion 50 DP „Brzoza” nacierał na kierunku Kock – Poizdów. Natarcie główne powiodło się tylko częściowo, obezwładniono baterię niemieckiej artylerii, jednak nie udało się opanować pośredniego obiektu natarcia – wsi Poznań, a tym bardziej obiektu głównego – Charlejowa.

Napoleoński sposób prowadzenia bitwy

Wówczas gen. Kleeberg podjął decyzję zrealizowania pierwotnego zamiaru i ześrodkowania sił głównych

w rejonie kompleksu leśnego pomiędzy Adamowem, Horodzieszką i Wolą Gułowską. W tym celu oddziały 60 DP „Kobryń” miały ubezpieczyć ten rejon od zachodu. Zgrupowanie Kawalerii „Zaza” miało rozwinąć system obrony w rejonie Grabów Szlachecki, Lipiny, Helenów, Wola Gułowska, Czarna. Był to rejon kluczowy dla powodzenia działań SGO „Polesie”, rozciągniętej pomiędzy Grabowem Szlacheckim a Kockiem. Oddziały BK „Plis” zostały zluzowane w rejonie Serokomla przez improwizowane bataliony piechoty „Olek” i „Wilk” składające się z żołnierzy z różnych oddziałów, w tym marynarzy fartyli rzecznej. Natomiast 50 DP „Brzoza” miała zerwać styczność bojową z przeciwnikiem i nocnym marszem osiągnąć rejon Adamów, Burzec, Krzywda, a po odtworzeniu zdolności bojowej przygotować obronę tego rejonu.

Myślą przewodnią gen. Kleeberga było wykonanie manewru po liniach wewnętrznych w celu rozegrania

Punkt ciężkości zmagania 4 października 1939 r. przesunął się w rejon Woli Gułowskiej, gdzie w godzinach przedpołudniowych pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty 13 DPZmot wykonały uderzenie na kierunku Charlejew – Budziska – Wola Gułowska, dążąc do rozcięcia ugrupowania bojowego Grupy „Zaza”. Natarcie niemieckie uwikłało się w walki o kolonię Zarzecze, gdzie rozmieszczono jako ubezpieczenie bojowe szwadron 2 pułku ułanów Grochowskich. Pomimo dobrego wykorzystania wszystkich przedmiotów terenowych do organizacji obrony przewaga niemiecka spowodowała, że pododdział ten pod naciskiem przeciwnika musiał opuścić Zarzecze i wycofał się do Woli Gułowskiej. Wówczas piechota niemiecka, korzystając z silnego wsparcia ciężkiej broni maszynowej i artylerii polowej, przekroczyła wąską i płytką tego lata rzeczkę Czarna i wdarła się w zabudowania Woli Gułowskiej, włamując się w ugrupowanie BK „Plis”. W wielu miejscach doszło do walki

„NIC SOBIE NIE MAMY DO ZARZUCENIA. ZACHOWALIŚMY HONOR ŻOŁNIERSKI DO KOŃCA. KIEDYŚ, GDY OJCZYZNA ZAŻĄDA OD NAS RACHUNKU, BĘDZIEMY MOGLI ODPOWIEDZIEĆ NA KAŻDE PYTANIE.”

walki zgodnie z napoleońskim sposobem prowadzenia bitwy. Gen. Kleeberg ocenił, że Grupa „Zaza” dysponowała potencjałem, który umożliwiał zarówno utrzymanie rejonu Woli Gułowskiej, jak i użycie jego części w natarciu, które miało rozciąć ugrupowanie niemieckiej 13 DPZmot w rejonie styku centrum jej ugrupowania bojowego ze skrzydłem, które znajdowało się najbliżej spodziewanej drogi odwrotu. Niestety ocena gen. Kleeberga była nazbyt optymistyczna. Utrzymanie rejonu pomiędzy Grabowem Szlacheckim a Czarną, czyli pasa o szerokości 12 km, wymagało znacznych sił, co spowodowało, że Grupa „Zaza” zmuszona była do przyjęcia rozciągniętego, płytkiego ugrupowania kordonowego, bez odwodu. Płaski teren nie sprzyjał organizacji obrony, a jedyną przeszkodę terenową stanowiła wąska rzeczka Czarna. Co prawda tego dnia w komunikacie niemieckiego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu można było przeczytać, że 13 DPZmot: „odpiera głównymi siłami natarcie polskiego związku wszystkich rodzajów broni pod Kockiem i na północny zachód od niego. Walki jeszcze nie zakończone”¹, jednakże porównanie potencjałów obu walczących stron wskazywało na rosnącą przewagę wojsk niemieckich, tym bardziej, że z kierunku północno-zachodniego zbliżały się czołowe elementy niemieckiej 29 DPZmot dowodzonej przez gen. Joachima Lemelsena.

na bagnety. Pododdziały niemieckie opanowały kościół w Woli Gułowskiej, a następnie cmentarz położony 700 m na zachód, już we wsi Turzystwo. Zdołano także wyprzeć z zajmowanych stanowisk pododdziały 5 pułku ułanów zasławskich, które broniły wschodniej części wsi. Ok. godz. 13.00 rozpoczął się polski kontratak, który doprowadził do opanowania cmentarza. Jego kontynuowanie było utrudnione ze względu na ogień niemieckiej artylerii, którym wycofujący się w stronę kościoła Niemcy odgradzili się od Polaków. Dopiero w godzinach wieczornych na kierunek Turzystwo – Wola Gułowska wprowadzone zostały bataliony 60 DP „Kobryń”, które zluzowały pododdziały BK „Plis”. Niestety zaporą ognio- wa niemieckiej artylerii pomiędzy cmentarzem a kościołem uniemożliwiała kontynuowanie kontrataku.

Tego dnia oddziały 50 DP „Brzoza” osiągnęły rejon Adamów, Burzec, Krzywda. Niestety bataliony tej dywizji zostały zmuszone niemalże z marszu zająć rejon obrony i przygotować system obrony, ponieważ elementy rozpoznawcze przeciwnika zdołały rozpoznać to przemieszczenie i prowadziły aktywne działania rozpoznawcze, chcąc przeniknąć w ugrupowanie bojowe dywizji. W ślad za nimi nadciągały pododdziały 66 pułku piechoty 13 DPZmot. W tym czasie Podlaska BK, 3 pułk strzelców konnych z Grupy „Zaza” oraz kawaleria dywizyjna 60 DP „Kobryń” stoczyły wiele walk z elementami rozpoznawczymi niemieckiej 29 DPZmot. ►



Gen. Franciszek Kleeberg
w niewoli niemieckiej

OSTATNI ROZKAZ GENERAŁA

Z dalekiego Polesia, znad Narwi, z jednostek, które się oparły w Kowlu demoralizacji – zebrałem Was pod swoją komendą, by walczyć do końca. Chciałem iść najpierw na południe – gdy to się stało niemożliwe – nieść pomoc Warszawie. Warszawa padła, nim doszliśmy. Mimo to nie straciliśmy nadziei i walczyliśmy dalej, najpierw z bolszewikami, następnie w 5-dniowej bitwie pod Serokomlą z Niemcami. Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu. Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą karność, wiem, że staniecie, gdy będziecie potrzebni. Jeszcze Polska nie zginęła! Powyższy rozkaz przeczytać przed frontem wszystkich oddziałów.

Dowódca SGO „Polesie”
(-) Kleeberg
gen. bryg.⁴

A. Wesołowski, *Końcowe walki generała Franciszka Kleeberga w świetle dziennika wojennego niemieckiej 13 Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej*, w: SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 4, *Dywizja „Brzoza”*, Warszawa 2015, s. 554.

Natarcie 60 DP „Kobryń”

Wieczorem gen. Kleeberg przeprowadził odprawę z dowódcami wielkich jednostek, na której podał plan walki na następny dzień. Zamierzał on rozciąć ugrupowanie bojowe niemieckiej 13 DPZmot i bić przeciwnika częściami niszcząc kolejne zgrupowania taktyczne. W tym celu 60 DP „Kobryń” wzmocniona BK „Edward” otrzymała zadanie wykonania natarcia na kierunku Helenów – Talczyn, a jednocześnie przecięcia linii komunikacyjnych przeciwnika w rejonie Łysoboki.

Pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty 13 DPZmot 5 października 1939 r. ok. godz. 8.00 rozpoczęły natarcie na rejon obrony oddziałów 50 DP „Brzoza” i BK „Plis” pomiędzy Konorzatką a Adamowem. W toku ciężkich walk pododdziały niemieckie zdołały opanować Adamów i Gułów, co pozwoliło wprowadzić do walki pododdziały prawoskrzydłowego 33 pułku piechoty, które rozwinęły natarcie na kierunku Wojcieszków – Burzec na lewe skrzydło 50 DP „Brzoza”. Pododdziały niemieckiego 66 pułku piechoty podjęły próbę oskrzydlenia obrony BK „Plis” oraz batalionów „Wilk” i „Olek”. Pomimo znacznej przewagi wroga strona polska utrzymała zajmowane pozycje, załamała natarcie lewoskrzydłowych sił głównych 13 DPZmot, uniemożliwiając ich manewr na lewe skrzydło 60 DP „Kobryń”. W tym czasie 50 DP „Brzoza” wykonała kontratak, który został przez przeciwnika

odparty. W godzinach popołudniowych jeden z batalionów 60 DP „Kobryń” wykonał kontratak w celu poprawy położenia oddziałów BK „Plis”.

Działania przeciwnika wykorzystały bataliony 60 DP „Kobryń”, które w godzinach przedpołudniowych opanowały Wolę Gułowską, Helenów i Sobiska. Niemiecki III batalion 66 pułku piechoty 13 DPZmot zdołał kontratakiem odzyskać Sobiska, lecz został zatrzymany na linii rzeki Czarna. Późnym popołudniem natarcie tego batalionu na Helenów załamało się, a bataliony 60 DP „Kobryń” opanowały Budziska. Natomiast BK „Edward” i batalion piechoty opanowały kolejno wsie: Niedźwiedź, Ferdynandów, Charlejew i Poznań, gdzie obezwładniono niemiecką artylerię na stanowiskach ogniowych. Niemiecki III batalion 66 pułku piechoty i I batalion 93 pułku piechoty znalazły się w bardzo trudnym położeniu. Dowódca 13 DPZmot gen. Otto zmuszony był użyć swoich ostatnich odwodów – pododdziałów 4 batalionu pionierów oraz kompanii z 15 batalionu karabinów maszynowych.

W godzinach popołudniowych Podlaska BK w rejonie Wróblina, Radoryż Kościelny załamała natarcie 15 i 71 pułku piechoty 29 DPZmot. Zagrożona obciążeniem od południa w godzinach wieczornych zerwała styczność bojową z przeciwnikiem i odeszła na prawe skrzydło 60 DP „Kobryń”.

Efektom natarcia 60 DP „Kobryń” i BK „Edward” było rozciągnięcie ugrupowania niemieckiej 13 DPZmot, zadanie jej oddziałom dużych strat i wyjście na jej tyły. Ten niewątpliwý sukces został przekreślony meldunkiem kwatermistrza SGO „Polesie” ppłk. dypl. Kazimierza Stawiarskiego o stanie zaopatrzenia – amunicja została wyczerpana, zabrakło także środków opatrunkowych, co spowodowało, że nie było szans na kontynuowanie walki. Dodatkowo dowódca 50 DP „Brzoza” zameldował wieczorem, że jego oddziały następnego dnia nie będą zdolne do walki.

Po sukcesie kapitulacja

W związku z tym w nocy z 5 na 6 października 1939 r. zapadła decyzja o kapitulacji. Dowódca Grupy „Zaza” gen. Podhorski początkowo odmówił kapitulacji i chciał przebiegać się na południe, jednak pod wpływem meldunków o stanie oddziałów zmienił decyzję. Możliwość prowadzenia przez kawalerię dalszych działań wzbudziła duży niepokój Niemców. Próbę przebiecia się podjął jedynie 3 pułk strzelców konnych dowodzony przez ppłk. dypl. Jana Małysiaka, jednak został rozbity w nocnej zasadzce w rejonie wsi Kalinowy Dół.

Wojska SGO „Polesie” skapitulowały 6 października 1939 r. Do niewoli oddało się 1255 oficerów, w tym czterech generałów, 15 605 podoficerów i szeregowców – razem 16 860 żołnierzy. Stronie niemieckiej przekazano 20 dział, 205 karabinów maszynowych, 10 200 karabinów i karabinków, 5000 koni oraz 54 samochody. Polskie straty bezpowrotne, które ustalono, wynosiły 324 zabitych, w tym 66 oficerów i podchorążych; ponadto 20 żołnierzy zmarło z ran w szpitalu w Radomiu. Nigdy nie określono liczby rannych. Straty niemieckiej 13 DPZmot wynosiły 82 zabitych (w tym ośmiu oficerów), 242 rannych (w tym 10 oficerów) oraz 191 zaginionych (w tym czterech oficerów). Gen. Kleeberg w czasie pożegnania z dowódcą 60 DP „Kobryń” płk. Eplerem powiedział: „Nic sobie nie mamy do zarzucenia. Zachowaliśmy honor żołnierski do końca. Kiedyś, gdy Ojczyzna zażąda od nas rachunku, będziemy mogli odpowiedzieć na każde pytanie”². Wydał też swój ostatni rozkaz do żołnierzy SGO „Polesie”.

Przez cały okres PRL-u był on fałszowany przez władze komunistyczne, które starały się ukryć przed narodem polskim prawdę o sowieckiej agresji w 1939 r. Dlatego cenzura usunęła ostatnią część trzeciego akapitu rozkazu zaczynającą się od słów „najpierw z bolszewikami”. Z tego samego powodu tematyka ostatniej bitwy kampanii 1939 r. nie była obiektem szerszych badań historycznych. Dopiero w grudniu 1989 r. ukazała się monografia SGO „Polesie” autorstwa Jana Wróblewskiego. Praca ta powstała w drugiej połowie

lat osiemdziesiątych, a została oddana do składu w listopadzie 1988 r., kiedy obowiązywały jeszcze wszystkie ograniczenia narzucone przez komunistyczne władze.

Dziś w niepodległej Polsce, gdy badacze dziejów oręza polskiego mogą bez problemu wyjeżdżać za granicę i korzystać z zasobów archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie czy niemieckiego Bundesarchiv-Militärarchiv we Freiburgu, polskie placówki archiwalne – Centralne Archiwum Wojskowe wspólnie z londyńskim Instytutem Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego w latach 2013–2016 wydały sześciotomową edycję źródeł do dziejów SGO „Polesie” zredagowaną przez dr. Andrzeja Wesołowskiego, obejmującą 830 dokumentów i relacji.

Oceniając bitwę pod Kockiem z wojskowego punktu widzenia, podkreślić należy, że gen. Kleeberg konsekwentnie dążył do zrealizowania postawionego celu – rozbicia 13 DPZmot. W wytworzonym położeniu nieustannie dążył do zapewnienia swoim wojskom swobody działania. Działania SGO „Polesie” charakteryzowały się aktywnością, czyli nieustannym dążeniem do narzucenia swojej woli przeciwnikowi. Cały czas poszukiwano optymalnego położenia wojsk własnych w stosunku do przeciwnika, realizując w ten sposób zasadę manewrowości. Była to zarazem droga do realizacji zasady koncentracji wysiłku i ekonomii sił. Działania SGO „Polesie” stanowiły zaskoczenie dla przeciwnika – Niemcy pod Serokomlą 2 października 1939 r. byli przekonani, że napotkali oddziały sowieckie. W całej bitwie niezwykle istotną rolę odegrało Zgrupowanie Kawalerii „Zaza”, co zgodnie podkreślają do dziś wszyscy żyjący uczestnicy tych walk. Zwracali na to uwagę również Niemcy, stanowczo domagając się zapewnienia, że kawaleria polska również złoży broń 6 października 1939 r. Dla niemieckiej 13 DPZmot walki toczono od 2 do 6 października 1939 r. były najcięższymi w kampanii 1939 r. W dzienniku wojennym dywizji zapisano, że oddziały polskie „dzielnie walczyły w najwaściwszym znaczeniu tego słowa”³. Niemiecki historyk tego związku taktycznego nazwał je „bardzo ciężką i poważną próbą wytrzymałości” w obliczu przeciwnika, którego cechował „zdumiewający duch bojowy”⁴. ■

JULIUSZ S. TYM, płk dr hab. prof. nadzw., dyrektor Instytutu Strategii Wojskowej w Wydziale Wojskowym Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy.

¹ *Wojna obronna Polski 1939. Wybór źródeł*, Warszawa 1968, s. 691.

² A.J. Epler: *Ostatni żołnierz polskiej kampanii roku 1939*, Sekcja Oświaty i Kultury Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie, Tel Aviv 1942, s. 88.

³ D. Hoffman, *Die Magdeburger Division. Zur Geschichte der 13. Infanterie und 13. Panzer-Division 1939–1945*, Magdeburg 1999, s. 81–82.

⁴ *Z dalekiego Polesia... Dokumenty Samodzielnej Grupy Operacyjnej gen. Franciszka Kleeberga z walk w dniach 18 IX – 6 X 1939*, wybór i opracowanie Tadeusz Krawczak, Warszawa 1996, s. 75.

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Perymetr, czyli jak to na wojence było

W wojskowym nazewnictwie, oficjalnej nomenklaturze fachowców związanych zawodowo z armią, tytułowe słowo oznacza „pole widzenia żołnierzy od punktu obserwacji do najdalej wysuniętego punktu na horyzoncie”. W czasie wojen XX w., szczególnie II wojny światowej, pojęcie to nabrało dla zwykłych żołnierzy nowego znaczenia.

DOMINIK KAŹMIERSKI

Kilka lat temu miałem zaszczyt rozmawiać z jednym z byłych podkomendnych gen. Franciszka Kleeberga, kombatantem bitwy pod Kockiem. I rozmowa nasza, a właściwie wspomnieniowy monolog szacownego weterana, zahaçała o perymetr właśnie. Na moje pytanie, kiedy po raz pierwszy z bliska zobaczył niemieckich żołnierzy, weteran odpowiedział, że... gdy szedł do niewoli. Wytlumaczył, że walka polegała wcześniej głównie na siedzeniu w okopach. Na horyzoncie była atakująca piechota niemiecka. Ale żołnierz nie widział przecież twarzy przeciwnika. Były to tylko czarne, długie, ruszające się punkciki. Strzelec brał taki punkcik na cel i strzelał. Jeśli punkcik zniknął, znaczy przeciwnik dostał i przewrócił się, czyli trafiony. Jak był dalej, to pudło i trzeba było celować lepiej za drugim razem.

Żołnierz ów dotknął tutaj szczegółu, przez dzisiejszego człowieka raczej niezauważanego, lecz w latach II wojny światowej szalenie istotnego. Otóż podczas owego strasznego konfliktu po raz pierwszy bodaj w dziejach dały o sobie znać zdobyte techniki w straszliwy sposób zastosowane w walce. A żołnierz tracił człowieczeństwo, stawał się częścią masy rzucającej do walki. Prawdziwym „mięsem armatnim”.

To już nie były średniowieczne, rycerskie potyczki przeciwników stawających w szranki, każdy pod własnym, widocznym z dala herbem i barwą. To też nie wojny XVIII i XIX stulecia, gdy piechurzy stawiali naprzeciw siebie w niewielkiej odległości, niemal twarzą w twarz, i na rozkaz dowódcy ładujący broń i strzelający salwą. Nawet coraz rzadziej potykający się w bezpośredniej walce na bagnety jak w I wojnie światowej na polach Flandrii, czy podczas „Die Schlacht bei Brze-

ziny”. We wrześniu 1939 r. każdy był tylko „punkcikiem” wspomnianym przez byłego żołnierza Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”.

W wojnie totalnej liczyła się masa ludzka i materiałowa, którą można było rzucić na front. Nawet wyszkolenie i przewaga technologiczna mogły mieć drugorzędne znaczenie. Boleśnie przekonali się o tym Niemcy dwa lata po wrześniowych bojach w Polsce. Podczas walk na froncie wschodnim hitlerowscy dowódcy alarmowali swoje naczelne dowództwo, że potężne straty, które zadawali Sowietom, były niemal natychmiast przez tamtych odnawiane. Wyszukowanie i wyposażenie czerwonoarmistów się nie liczyło. Chodziło bardziej o ich liczbę, która wydawała się nieprzebrana. A do perfekcji nowoczesną sztukę walki opanowali Amerykanie, wierni zasadzie, że lepiej by przelało się milion litrów ropy i wystrzelono milion pocisków, niż miałyby się przelać choćby kropla krwi amerykańskiego żołnierza. Bo to nie on ma zginąć za swoją ojczyznę. To przeciwnik ma zginąć za swoją.

Gdy się o tym pamięta, to słowa zapisane w ostatnim rozkazie gen. Kleeberga nabierają nowego brzmienia: „Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. [...] Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. [...] wiem, że staniecie, gdy będziecie potrzebni.”¹

¹ <http://phw.org.pl/ostatni-rozkaz-gen-kleeberga-do-zolnierzy-sgo-polesie/> [dostęp: 18 grudnia 2017].



**FRANCISZEK
KLEEGERG**

**URODZIŁ SIĘ W 1888 R.
W TARNOPOLU**
w rodzinie Emiliana i Józefiny
z domu Kuschée. Wychowywał się
w patriotycznej atmosferze.
Na zdjęciu w latach 1905-1908
w Wojskowej Akademii Technicznej
w Mödling.



OSTATNI GENERAL WRZ

Wkrótce, bo 1 lutego 2018 r. przypada 130. rocznica urodzin gen. Franciszka Kleeberga, jednego z najwybitniejszych polskich dowódców XX w.

STEFAN CIARA

Jego nazwisko uważano za niemieckie, ale korzenie rodzinne generała sięgały podobno XVII w., kiedy to jego antenat – szwedzki żołnierz nie powrócił po potopie szwedzkim za Bałtyk, lecz osiadł w Polsce. Przyszły dowódca SGO „Polesie” urodził się w 1888 r. we wschodniogalicjskim Tarnopolu, w rodzinie Emiliana i Józefiny z domu Kuschée.

Wychowywał się w patriotycznej atmosferze. Ojciec Emilian jako piętnastoletni chłopak uciekł z domu, by wstąpić do partii Mariana Langiewicza, dyktatora powstania styczniowego, a następnie służył w armii austro-węgierskiej jako

oficer kawalerii. Właśnie domowa atmosfera sprawiła, że dwaj synowie Emiliana Kleeberga wybrali karierę wojskową. Młodszy brat Franciszka – Juliusz był w II Rzeczypospolitej m.in. attaché wojskowym w Paryżu, a następnie wieloletnim dowódcą 6 Samodzielnej Brygady Kawalerii, przemianowanej w 1937 r. na Podolską Brygadę Kawalerii; w tymże roku został generałem brygady.

Edukacja

Pierwszym etapem wojskowej edukacji Franciszka Kleeberga był Korpus Kadetów w Hranicach na Morawach.



Przegląd pułku przez dowódcę
Okręgu Korpusu nr IX gen. bryg.
Franciszka Kleeberga. Baranowice,
6 lipca 1938 r.

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE (3)



EŚNIA 1939

Uczyli się tu żołnierskiego rzemiosła m.in. tak znani przyszli generałowie, jak: Józef Haller, Tadeusz Kutrzeba i Tadeusz Rozwadowski. Po zdaniu egzaminu dojrzałości młody Kleeberg rozpoczął w 1905 r. studia na Wydziale Artylerii. Wojskowej Akademii Technicznej w Mödling na południu Wiednia. Absolwentami tej elitarnej uczelni byli także wspomniani już oficerowie oraz Stanisław Szeptycki. Po ukończeniu Akademii w 1908 r. w stopniu podporucznika służył w jednostkach artylerii, ciesząc się uznaniem przełożonych, którzy poparli jego dalsze studia w Wyższej Szkole Wojennej Sztabu Generalnego.

Na frontach Wielkiej Wojny

Rozpoczęte w 1913 r. studia przerwał wybuch I wojny światowej. Nadszedł oto czas weryfikacji wiedzy teoretycznej w twardych, bojowych warunkach pracy sztabowej na froncie serbskim i w Karpatach. Weryfikacja owa wypadła pomyślnie dla świeżo upieczzonego oficera, skoro pół roku po wybuchu wojny, w lutym 1915 r., awansował do stopnia kapitana. Wkrótce potem przeniósł się do Legionów

Polskich, w których służył na odpowiedzialnym stanowisku zastępcy szefa sztabu Komendy Legionów. Przeszedł legionowy szlak bojowy, walcząc pod Jastkowem na Lubelszczyźnie, a następnie pod Kuklami na Wołyniu oraz nad rzekami: Stochodem i Styrem.

W lutym 1917 r. powierzono mu stanowisko zastępcy dowódcy 1 Pułku Artylerii Legionów, stacjonującego w Górze Kalwarii, a latem tegoż roku, kiedy miał 29 lat, awansowano go do stopnia majora. Awans ten wiązał się z przeniesieniem służbowym do Garwolina, na kolejne samodzielne już stanowisko dowódcy kursu wyszkolenia artylerii. Tę serię sukcesów zahamowało przeniesienie do sztabu jednostki piechoty walczącej na froncie włoskim, była to kara za złożenie w kwietniu 1918 r. wniosku o zmianę obywatelstwa z austriackiego na polskie.

W II Rzeczypospolitej

Po rozpadzie Austro-Węgier pod koniec 1918 r. Franciszek Kleeberg wrócił do walczącej o granice odrodzonej Rzeczypospolitej. Jako szef sztabu Dowództwa „Wschód”, kierowanego przez gen. Rozwadowskiego, uczestniczył w walkach z Ukraińcami o Lwów i Małopolskę Wschodnią. Za zasługi otrzymał Krzyż Virtuti Militari V klasy oraz awans na podpułkownika w grudniu 1918 r. i na pułkownika od 1 czerwca 1919 r. Przy tej okazji Kleeberga ocenił ówczesny wiceminister spraw wojskowych gen. Kazimierz



Komendant Legionów Polskich gen. Stanisław Puchalski odznaczający kpt. Włodzimierza Ostoję-Zagórskiego Orderem Żelaznej Korony w obecności oficerów sztabu. W pierwszym rzędzie: z prawej kpt. Franciszek Kleeberg i ppłk Henryk Minkiewicz, z lewej kpt. Juliusz Kleeberg (trzeci), kpt. Zygmunt Dzwonkowski, płk Marian Januszajtis, w głębi widoczny por. Alojzy Przedziecki. Legionowo na Wołyniu, 14 marca 1916 r.

Sosnkowski jako zdolnego, pracowitego i sumiennego oficera, podkreślając jego dużą wiedzę teoretyczną. Pozyję wykształconego oficera tak wysokiego szczebla, mimo młodego wieku – 31 lat, ugruntowała w następnym roku publikacja w miesięczniku „Bellona” pionierskiego artykułu *O organizacji artylerii*. Postulował on w nim konieczność zmotoryzowania transportu sprzętu artyleryjskiego.

Wziął też naturalnie udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., m.in. jako szef sztabu Grupy Operacyjnej gen. Kazimierza Raszewskiego. Nie tylko otrzymał czterokrotnie Krzyż Walecznych, ale po raz kolejny potwierdził opinię solidnego oficera. W raporcie gen. Raszewskiego brzmiała ona następująco: „Wzorowy oficer, wypełnia stanowisko szefa sztabu ku mojemu zupełnemu zadowoleniu. Pozyskał sobie sympatię i uznanie podwładnych w bardzo trudnych warunkach. Charakter wyrównany, formy towarzyskie bardzo dobre. Okazywał wielki talent organizacyjny, bardzo dobre wiadomości w służbie frontowej”¹.

Po wojnie powierzono mu dowództwo 14 Dywizji Piechoty w Poznaniu. Kształcił się nadal w Wyższej Szkole Wojennej, a w latach 1924-1925, podczas półtorarocznych studiów w École Supérieure de Guerre, zapoznał się z francuską sztuką wojenną w większym stopniu niż wojsko polskie wykorzystującą artylerię i broń pancerną. Pisał o tym w listach do bliskiego znajomego mjr. Stanisława Rostworowskiego z Dowództwa Okręgu Generalnego w Poznaniu: „Wszak w najwyższej prawie wojskowej uczelni, jaką jest Ec. Sup. de Guerre główny nacisk położono na technikę. Jest jednak jedno, ale u nas za słaba



Dowództwo Armii „Wschód”. Grupa oficerów, od lewej siedzą: płk dr Godlewski, płk Obertyński, gen. Tadeusz Rozwadowski, ppłk Kleeberg, płk Alfred Halban; stoją I rząd: kpt. Maślanka, por. Dzieduszycki, mjr Kurowski, mjr Więckowski, kpt. Orzechowski, płk Korolewicz, kpt. Świącicki, por. Kiełczyński, mjr Żurowski, mjr Kawiński, kpt. Matkowski, kpt. Janicki, N.N., kpt. Włodarski; II rząd: por. Obertyński, por. Słowiczek, por. Dura, kpt. Szwarcer, por. Klink, por. Müller, por. Gierzyński, por. Marczewski, kpt. Hartley, kpt. Perini-Camillo.

broń, a z tego powodu też po części niezbyt zgłębiona technika bojowa. Wszak jak dotąd aktywna dywizja piechoty w najlepszym razie rozporządza 9 bat. a[rtyleirii] p[olowej] i ew[entualnie] 3 bat. a[rtyleirii] c[iężkiej]. I to wszystko, gdyż jeden pułk artylerii mając na całe WP, to chyba nic. Na czołgi nie mamy co liczyć, pułk jeden po dwóch poważniejszych akcjach się zużyje, a nie wiem, czy w kraju możemy budować nowe. Lotnictwo jest w zaczątkach, choć w [gen. Włodzimierzu – SC] Zagórskim widzę duże gwarancje, że będzie się rozwijało”².

Kleeberg nie podzielał zatem opinii wielu dowódców wojny 1920 r., z samym Józefem Piłsudskim na czele, o tym, że kolejna wojna będzie miała podobny przebieg i charakter jak poprzednia.

Generalski awans

Studia we Francji owocowały kolejnymi entuzjastycznymi opiniami przełożonych: „Inteligencja żywa i otwarta, rozległe wykształcenie ogólne, solidna wiedza wojskowa, duża zdolność topograficzna. Te zalety wykorzystane zostały przez jego żywe zainteresowanie dla wszystkich kwestii przez jego wielką zdolność do pracy”³ – pisał gen. Julien Dufieux. Zdobyta wiedza i umiejętności sprawiły, że po powrocie znanego Sekwany Kleeberga powołano na stanowisko II dyrektora nauk w Wyższej Szkole Wojennej. Tym samym potwierdził, że należy do ścisłego grona najlepiej wykształconych oficerów armii II Rzeczypospolitej.

W czasie przewrotu majowego opowiedział się po stronie rządowej, choć jako kwatermistrz w sztabie



Wizyta bp. Władysława Bandurskiego (na schodach) w Komendzie Legionów podczas świąt Bożego Narodzenia. Obok biskupa po jego prawej: płk Zygmunt Zieliński, Konstanty Srokowski – sekretarz generalny Naczelnego Komitetu Narodowego (z brodą), rtm. Włodzimierz Ostoję-Zagórski, niżej kpt. Juliusz Kleeberg, N.N., kpt. Franciszek Kleeberg. Po lewej biskupa stoja: płk Wiktor Grzesicki, ppłk Władysław Sikorski, niżej kpt. Zygmunt Dzwonkowski. Legionowo na Wołyniu, grudzień 1915 r.

gen. Rozwadowskiego nie brał bezpośrednio udziału w walkach. W marcu 1927 r. przeniesiono go do Grodna na stanowisko dowódcy stacjonującej tam 29 Dywizji Piechoty. Ocenionego przez komendanta Wyższej Szkoły Wojennej gen. Kazimierza Dziwanowskiego jako wybitnego oficera Sztabu Generalnego i pracownika naukowego, odsunięto jednak od wpływu na kluczowe decyzje dotyczące Wojska Polskiego. Miał za sobą wprawdzie chlubną bojową przeszłość legionową, ale nie służył w elitarnym I Brygadzie Legionów Polskich, lecz w III Brygadzie.

W dobie rządów sanacji przekonał się na własnej skórze, jak wielkie to miało znaczenie. Otóż podczas zorganizowanych w 1927 r. wielkich manewrów to właśnie młody płk Kleeberg okazał się znacznie lepszym dowódcą niż zasłużony gen. bryg. Stefan Dąb-Biernacki, którego niepowodzenie ośmieszyło w oczach żołnierzy. Świadkiem tej porażki legendarnego oficera I Brygady był sam marszałek Józef Piłsudski, który natychmiast awansował Kleeberga do stopnia generała brygady od 1 stycznia 1928 r. Gen. Dąb-Biernacki zapamiętał to upokorzenie, a okazja do rewanżu miała pojawić się niebawem.

Dla Franciszka Kleeberga był to ostatni awans za życia. O odsunięciu na boczny tor absolwenta trzech akademii wojskowych, żołnierza z lat 1914-1920, kawalera Orderu Virtuti Militari, Polonia Restituta i francuskiej Legii Honorowej, zadbała koteria legionowa, nazwana sitwą przez mjr. dypl. Tadeusza Grzeszkiewicza, oficera Dowództwa Okręgu Korpusu nr IX w Brześciu nad Bugiem, a podczas wojny 1939 r. szefa Oddziału Operacyjnego Dowództwa

Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”. Natomiast Stefana Dąb-Biernackiego awansowano od 1 stycznia 1931 r. na generała dywizji i to z pierwszą lokatą w korpusie generałów. Dąb-Biernacki był całkowitym przeciwieństwem Franciszka Kleeberga. Powszechnie uważany za człowieka brutalnego i ograniczonego, wierzył w rozstrzygającą rolę szabel, bagnatów i... nóg piechura, niechętny modernizacji armii. Jako inspektor armii w Wilnie gen. Dąb-Biernacki był odpowiedzialny za ciężkie pobicie Stanisława Cywińskiego i innych dziennikarzy oskarżonych o obrazę pamięci Józefa Piłsudskiego za słowa: „Polska jak obwarzanek, jak powieźdźka pewien kabotyń”. Podczas wojny obronnej 1939 r. Dąb-Biernacki dwukrotnie opuścił walczące pod jego komendą oddziały. Za ten czyn gen. Władysław Sikorski zdegradował go do stopnia szeregowca.

Memoriał do Najwyższych Władz Wojskowych

Pozostając generałem brygady, Franciszek Kleeberg awansował w sierpniu 1936 r. z dowódcy dywizji na dowódcę Okręgu Korpusu nr III w Grodnie. W 1938 r. został dowódcą mniej ważnego, bo niegraniczonego z III Rzeszą ani z Litwą, OK nr IX w Brześciu nad Bugiem. Na podstawie doświadczeń z pracy w Grodnie i Brześciu opracował *Memoriał do Najwyższych Władz Wojskowych*, zawierający m.in. postulat dostosowania granic jednostek administracji cywilnej do wojskowej. Niestety, trafne wnioski zawarte w tym opracowaniu nie stały się ani przedmiotem rozważań ani decyzji najwyższych czynników państwowych.

Podczas kilkuletniej działalności na stanowiskach dowódczych w Grodnie i Brześciu nad Bugiem gen. Franciszek Kleeberg dał się poznać jako wymagający przełożony, pozyskujący autorytet u podwładnych sprawiedliwym i życzliwym postępowaniem, a nie – brutalnym drylem.

Wojna obronna 1939 r.

W pierwszym tygodniu wojny obronnej 1939 r. terytorium dowodzonego przez gen. Kleeberga OK nr IX pozostało we względny spokój; było co najwyżej nękane nalotami Luftwaffe. Sytuacja zmieniła się, kiedy 8 września przybył do Brześcia Wódz Naczelny marszałek Edward Śmigły-Rydz. Następnego dnia powołał on Samodzielną Grupę Operacyjną „Polesie” z zadaniem prowadzenia działań osłonowych przeciw nacierającym coraz intensywniej od północy oddziałom Wehrmachtu. W OK nr IX nie było wystarczającej liczby żołnierzy, zwłaszcza broni, by sformować oddaną pod komendę Kleeberga armię. Po reorganizacjach i wcieleniu żołnierzy z rozbitych jednostek w skład SGO wchodziły dwie dywizje piechoty, Dywizja Kawalerii „Zaza”, Podlaska Brygada Kawalerii, eskadra lotnicza oraz mniejsze jednostki złożone z marynarzy Floty Pińskiej i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Zła sytuacja wojenna spotęgowana fatalnym dowodzeniem przez marszał-

ka Śmigłego-Rydza, a wreszcie także opuszczeniem przez nich i najwyższe władze terytorium Rzeczypospolitej w wyniku agresji sowieckiej 17 września sprawiły, że postawione przed SGO zadanie osłony odwrotu wojsk polskich w kierunku przedmościa rumuńskiego stało się niewykonalne. SGO „Polesie” rozpoczęła odwrót w kierunku południowo-zachodnim. Generał i jego sztab potrafili zorganizować, mimo beznadziejnej sytuacji, całkiem sprawne wojsko. Gdy oddziały SGO przechodziły przez miejscowości zamieszkałe przez Polaków, ci wyrażali szczerą radość, że widzą zdyscyplinowane oddziały, a nie bezładną hałastę zdemoralizowanych maruderów. Podtrzymaniu wysokiego morale sprzyjało zarządzanie codziennych apeli w jednostkach połączone z odśpiewaniem pieśni *Boże coś Polskę*. Podczas odwrotu staczano większe i mniejsze potyczki z Niemcami i dywersyjnymi grupami, zwłaszcza na południowo-zachodnim Polesiu zamieszkanym głównie przez Ukraińców. Już po przejściu we Włodawie na zachodni brzeg Bugu oddziały SGO stoczyły dwie poważniejsze bitwy z oddziałami Armii Czerwonej: pod Jabłoniem i Milanowem k. Parczewa. Jeńcy sowieccy wzięci w tych bitwach do niewoli zostali – na ich gorące prośby – wcieleni za zgodą gen. Kleeberga do SGO. O zadziwiającym przebiegu ich przesłuchania płk Adam Epler pisał następująco: „Reakcja ich była niespodziewana. Jeńcy zaczęli błagać, aby ich nie odsyłać. Zaczęły się skargi na stosunki w kraju i w wojsku. Opowiadali o nędzy, o złym traktowaniu. [...] Na stosunki w wojsku skarżyli się: w praktyce była przepaść między nimi, a ich przełożonymi. Nawet ich bito. [...] Słuchał też ich własny oficer: nie był chyba zbudowany. Dziwiliśmy się wszyscy. Spodziewaliśmy się raczej fanatyzmu i braku krytycyzmu. Bili się przecież dobrze i bardzo ofiarnie. Gdy już wyczerpali swe wszystkie argumenty zaczęli prosić, aby ich wcielić do polskich oddziałów. [...] przysięgali, że będą nam wierni i pójdą wszędzie z nami”⁴.

Bitwa pod Serokomlą

Generał jako legalista odrzucił – zgłaszane przez podwładnych – propozycje ogłoszenia się Wodzem Naczelnym. Nie skorzystał też z propozycji ewakuacji samolotem, wypowiadając słynne słowa: „Wojna jest przegrana, ale honor żołnierza nie jest przegrany. Mam żołnierzy pod swoją komendą i nie opuszczę ich”⁵. Nie zgodził się także na przejście do konspiracji. Zamierzał iść na odsiecz Warszawie, a kiedy stolica skapitulowała, podjął próbę przebicia się do miejscowości Stawy k. Dębłina, by zaopatrzyć się w tamtejszych magazynach wojskowych w broń, amunicję, umundurowanie, konserwy i pójść w Góry Świętokrzyskie, by kontynuować walkę w partyzantce. W rejonie Kocka zagroziły mu drogie zmotoryzowane dywizje Wehrmachtu. Mimo wyczerpania marszem i przewagi nieprzyjaciela SGO zadały Niemcom porażkę pod Serokomlą. Bój toczył się od 2 do 5 października 1939 r. Ostatniego dnia, o 100 km od



pola walki, w Alejach Ujazdowskich odbywała się defilada zwycięstwa w obecności samego Adolfa Hitlera. Jeden z uczestników bitwy pod Kockiem, pchor. Leon Kalinowski, opisał bardzo charakterystyczny jej epizod: „Pewnego dnia, w czasie bitwy pod Kockiem, w której brałem udział, gen. Kleeberg otrzymał od gen. Podhorskiego telefoniczną wiadomość, że jego ułani krechowscy wzięli do niewoli ważnego Niemca. Był nim kpt. Kumo von Dornhagen. Generał Kleeberg polecił go dostarczyć do swojej kwatery i odbył z nim rozmowę. Kiedy go przyprowadzono, początkowo dumny Prusak okazywał mu jawną niechęć, wrogość i pogardę, ale kiedy usłyszał w ustach naszego generała wspólną mowę niemiecką, i to w sentymentalnej tonacji wiekańskiej, kiedy dowiedział się, że generał skończył Najwyższe Studia Wojskowe w słynnej akademii w Mödlingu w Wiedniu, gdzie kapitan również studiował i obaj mieli tych samych profesorów, pękła w nim skorupa germańskiej pychy, zerwał się z krzesła i zawołał z radością. – Ależ panie generale, wszak jesteśmy kolegami szkolnymi. Mnie też uczył słynny profesor Clausewitz. Od tej chwili aż do końca rozmowy jeniec odzyskał dobry humor i w dalszej rozmowie wyraził szczerze zdziwienie, że tak znakomity i wykształcony generał walczy bezcelowo z gigantyczną potęgą Hitlera. – Panie generale – mówił z naciskiem – Wobec tak szalonej przewagi liczebnej i technicznej armii niemieckiej, co pan zamierza osiągnąć z garstką swoich strażników? Przecież wniosek jest jeden, dalsza walka jest beznadziejna. To płytki wniosek – odrzekł generał Kleeberg. – Pański i mój profesor Clausewitz w swoim wiekopomnym dziele sztuki wojennej już w pierwszym tomie, o ile pan pamięta, pisze tak: «Jeśli się zniszczy siły zbrojne przeciwnika i zdobędzie jego kraj, to dotąd nie można uważać wojny za skończoną, dopóki wola nieprzyjaciela nie zostanie złamana



Kpt. Franciszek
Kleeberg oraz
kpt. Juliusz Kleeberg.
10 marca 1916 r.

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

na, dopóki naród nie zostanie zmuszony do poddania się». Tego nauczone mnie kapitanie w Mödling. Cytat z dzieła Clausewitza był tak wierny i słuszny, że trudno mu było zaprzeczyć, ale kapitan nie ustępował i zaczął z innej beczki. – A może pan generał nie zna całokształtu obecnej sytuacji. Rząd Polski i naczelne dowództwo opuściło granice kraju, Warszawa... – Wiem – przerwał mu generał. – Skapitulowała. – Modlin i Hel, ostatnie polskie punkty oporu. – Nieprawda. Na własnej skórze przekonał się pan, kapitanie, że nie były to ostatnie punkty polskiego oporu, skoro dostał się pan do naszej niewoli. – Pan generał upiera się wbrew sztuce wojennej. – Ciągłe pan zaczyna z tą sztuką. Ja wiem, co pana tak trapi. Moje niemieckie nazwisko, studia w Wiedniu. Pan się zastanawia, czy ja walczyć po właściwej stronie. – Przepraszam panie generale, ale o tym właśnie myślę, czy nie nęca pana generała inne sztandary, zwycięskie. – Upewniam pana, że nie nęca mnie żadne inne sztandary. Rodzina Kleebergów jest zresztą pochodzenia szwedzkiego, a czyje sztandary będą ostatecznie zwycięskie, to się okaże. Oczywiście nie jutro, ani pojutrze. Może za dwa, trzy lata, może za cztery. – I pan generał wierzy w pomoc Anglii i Francji? Z nimi wkrótce zawrzemy pokój. – Ja wierzę w patriotyzm polski. – To nie jest żadna siła. – Myli się pan. To jest bardzo realna siła i przekona się pan. Ale kapitanie Dornhagen, nie będę pana dłużej zatrzymywał, żegnam! Kapitan zerwał się, zasalutował i odszedł. Po chwili do izby wszedł pułkownik Łapicki, szef sztabu Samodzielnej Grupy Operacyjnej Polesie. – Co macie dziś na obiad? – zapytał generał. – Rano udało mi się kupić gęś, chyba się już dogotowała. Panie generale, czy można jeńca nią poczęstować? – Oczywiście – rzekł generał wesoło. – Niech zje nawet całą”⁶.

Mimo sukcesów bojowych, wobec wyczerpania się zapasów amunicji, żywności i środków opatrunkowych, a także w związku z ogólną sytuacją generał podjął decyzję o kapitulacji ostatniej dużej jednostki Wojska Polskiego niepokonanej przez Niemców. Wedle kompetentnych opinii historyków działania SGO należą do najwybitniejszych w całej wojnie obronnej tak pod względem dowodzenia i manewru, jak i zwartości wewnętrznej, zważywszy że w składzie SGO walczyły jednostki zapasowe oraz oddziały zdziesiątkowane uprzednimi krwawymi bojami.

Przed frontem oddziałów SGO odczytano ostatni rozkaz (tekst na s. 50), jeden z najpiękniejszych, z tych wydanych przez polskich dowódców.

Generał prosił Niemców, by po złożeniu broni oficerowie pozostali przy swych podkomendnych żołnierzach jeszcze przez jedną dobę „ze względów moralnych”. Niemieckie dowództwo, przyjmując kapitulację, nie kryło szczerzego podziwu dla męstwa i ofiarności polskich żołnierzy. Jednakże warunki kapitulacji były twarde: generał trafił do oflagu w twierdzy Königstein k. Drezna. Przez cały okres uwięzienia zachowywał się z wielką godnością, jak przystało na polskiego oficera. Nie zgodził się na spotkanie i rozmowę z komendantem oflagu dopóki ziemie polskie były pod niemiecką okupacją. Z powodu przebytej przed laty czerwonki stosował co jakiś czas ścisłą głodówkę, na którą jednak nie pozwolono mu w oflagu, karmiąc go siłą. Sytuacja ta i choroba serca przyspieszyły śmierć generała, która nadeszła w szpitalu wojskowym w Weisser Hirsch k. Drezna 5 kwietnia 1941 r.

W 1943 r. Prezydent RP na Uchodźstwie Władysław Raczkiewicz awansował Franciszka Kleeberga pośmiertnie do stopnia generała dywizji. W 30. rocznicę bitwy pod Kockiem prochy generała sprowadzono do Polski i pochowano wśród jego żołnierzy na cmentarzu w Kocku. Jego imię i godną najwyższego uznania patriotyczną postawę upamiętniono w muzeach w Kocku i Woli Gułowskiej, a także w nazwach ulic i szkół. W obchodach rocznicy śmierci generała oraz bitwy pod Kockiem uczestniczy wielu przedstawicieli Wojska Polskiego, bowiem gen. Kleeberg jest wzorem dla współczesnej kadry zawodowej naszej armii. ■

STEFAN CIARA, emerytowany profesor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania badawcze: historia Polski XVII-XX w., dzieje Lwowa, archiwistyka i jej historia, biografistyka. Wybrane publikacje: *Kariera rodu Weiherów 1560-1657*, *Senatorowie i dygnitarze koronni w drugiej połowie XVII w.*, *Archiwa a uniwersytety w Krakowie i Lwowie w latach 1878/1879-1918*.

¹ Cyt. za J. Pożarowszczyk, *Kleeberg. Generał bez skazy*, Kock 2017, s. 14.

² S. Rostworowski, *Listy gen. bryg. Franciszka Kleeberga do płk. Stanisława Rostworowskiego: październik 1924 – lipiec 1940 roku*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy”, t. 16 (67)/2 (252), 2015, Meudon, Seine-et-Oise, 8 II 1925, s. 145-146.

³ Cyt. za J. Pożarowszczyk, *Kleeberg...*, s. 18.⁴ A. Epler, *Ostatni żołnierz polski kampanii 1939 roku*, Londyn 1943, s. 61-62.⁵ W. Kowalski, *Bitwa pod Kockiem – ostatni bój kampanii 1939 r.*, <http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/bitwa-pod-kockiem-ostatni-boj-kampanii-1939-roku> [dostęp 17 grudnia 2017].⁶ Ks. Leon Kalinowski, *Wspomnienia o generale Franciszku Kleebergu*, Narodowe Centrum Kultury, <http://swiadkowiehistorii.pl/relacje.php?a=swiadek&id=34> [dostęp 17 grudnia 2017].

Twierdza Königstein
Obraz Bernarda Belotto,
ok. 1756 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dziwne miejsce

Gdy umilkły wrześnie działa, zakończyły się boje, rozpoczął się czas niewoli i jenieckiej poniewierki. Dla gen. Franciszka Kleeberga i wielu innych polskich dowódców pierwszym miejscem tułaczey wędrówki był Oflag IV B Königstein.

DOMINIK KĄŻMIERSKI

Nikt raczej położonej w Górach Żytawskich warowni nie zaliczy *stricto* do dziejów polskiej wojskowości, a jednak miejsce to w niewiarygodnie dziwny sposób przeplata się z naszą historią.

Nie godło Niemiec, ale polski biały orzeł i litewska pogoria w kartuszu nad główną bramą witają turystów odwiedzających ten jeden z ważniejszych punktów na turystycznej mapie dzisiejszej Saksonii. Polskich śladów w twierdzy Königstein jest zresztą znacznie więcej.

Godła Rzeczypospolitej Obojga Narodów widnieją także nad wejściami do wielu innych budynków twierdzy. Ba, są nawet umieszczone na armatach ustawionych na blankach murów obronnych. A więc bardziej polskie to miejsce, czy niemieckie?

To pytanie nasuwa się, gdy stoi się na owych blankach i podziwia zapierający dech w piersiach widok doliny Łaby, który się stamtąd rozpościera. Z pewnością to samo pytanie zadawali sobie także polscy jeńcy, jak bowiem wiadomo, dawny ogród królewski i właśnie owe mury obronne wyznaczono dla polskich jeńców oficerów jako więzienny spacerniak. Wrześniowi oficerowie nie byli jednak pierwszymi polskimi jeńcami, którzy przebywali w tym miejscu.

Dzieje saksońskiej warowni są bowiem nierozdzielnie związane z czasami panowania w I Rzeczypospolitej królów z dynastii Wettinów – Augusta II Mocnego i jego syna Augusta III Sasa. To za panowania tego pierwszego twierdzę gruntownie zmodernizowano, przekształcając w miejsce w ówczesnych czasach nie do zdobycia. Wów-

czas to jako więźniowie przebywali tam Polacy, którzy w ten czy inny sposób narazili się polsko-saksońskiemu władcy. Więźniami twierdzy Königstein byli m.in.: Jakub Ludwik Sobieski, Konstanty Władysław Sobieski i Jan Stanisław Jabłonowski.

Później dzieje warowni toczyły się różnie. Związki z Polską to jeszcze czasy epoki napoleońskiej. Wszak król saksoński to także książę warszawski, władca ówczesnego państwa polskiego, aż do klęski roku 1812.

Niespełna 130 lat później zaś w jej murach pojawił się gen. Kleeberg i jego towarzysze niedoli. Dlaczego właśnie to miejsce wybrano na ich obóz jeniecki? Czy ówczesne władze nie skojarzyły napotykanym tam niemal na każdym kroku śladów wspólnej polsko-saksońskiej przeszłości z polskimi jeńcami? A może Polaków umieszczono tam właśnie z tego powodu? Trudno dzisiaj na to odpowiedzieć. Faktem jest, że oficerowie Wojska Polskiego przebywali tam około pół roku po zakończeniu wojny obronnej 1939 r. Po klęsce Francji ich miejsce zajęli oficerowie francuscy, dla których polsko-saksońskie ślady były raczej bez znaczenia. Polaków przeniesiono do obozu jenieckiego w Murnau.

I znów powraca nieznośne pytanie: twierdza Königstein to bardziej niemieckie miejsce, czy polskie? ■

DOMINIK KĄŻMIERSKI, historyk, dziennikarz. Autor artykułów publikowanych m.in. w „Nowym Państwie”, „Dzienniku. Polska, Europa, Świat”, Biuletynie „Kombatant”, „Uważam Rze. Historia”.

P U Ł K O W N I K M I C H A Ł R O H D E



#RycerzeBialoCzerwonej

By dobrze rozumieć tradycję i właściwie okazywać jej szacunek, trzeba dojrzeć, uważa płk Michał Rohde, prawnuk gen. dyw. Franciszka Kleeberga. Dla kleeberczyków biało-czerwona była bezcenna, byli jej rycerzami.

My też możemy do nich dołączyć!



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Por. pil. Jerzy Orzechowski (z prawej)
i por. obs. Lucjan Fijuth przy samolocie
RWD-8. Kraków, czerwiec 1934 r.

Lotnictwo Samodzielnej Gr

Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” była konglomeratem najróżniejszych jednostek i oddziałów wojskowych. Franciszkowi Kleebergowi podlegali piechurzy, kawalerzyści, artylerzyści, ale także żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, marynarze Floty Pińskiej oraz... lotnicy.

MARIUSZ NIESTRAWSKI

Najważniejszym oddziałem lotniczym w składzie SGO „Polesie” były pozostałości 13 Eskadry Obserwacyjnej. Kampanię polską 1939 r. eskadra ta rozpoczęła w składzie SGO „Narew”, a 13 września otrzymała rozkaz podporządkowania się Frontowi Północnemu. Polecenie nie miało większego znaczenia. Gdy rozkazy dotarły na lotnisko, eskadra nie miała bowiem już spraw-

nych samolotów. Przebazowano ją 18 września na lotnisko Wielick k. Kowla i tam dowództwo nad nią przejął por. pil. Edmund Piorunkiewicz.

Ostatni lotnicy 1939 r.

O świcie 21 września eskadra Piorunkiewicza odjechała kolumną ubezpieczoną do Kowla. Rankiem następnego dnia natknęła się tam na żołnierzy Armii

Czerwonej, którzy żądali poddania się. Piorunkiewicz zarządził pospieszny odwrót do Małotyty, a później do Włodawy. Przed dojściem do drugiej z tych miejscowości patrolie przyniosły informację o zajęciu miasta przez niemiecki oddział, który był wprawdzie nieduży, ale jednak miał samochody pancerne. Piorunkiewicz zaryzykował i zarządził atak. Wysłał 24 września jeden z plutonów na łodziach przez Bug, by zaatakował Włodawę od zachodu. Tymczasem reszta sił miała zaatakować od wschodu. Grupa wschodnia nie zdążyła jednak wejść do walki, gdyż Niemcy cofali się już przed grupą zachodnią. We Włodawie eskadrę zreorganizowano w zmotoryzowaną kompanię strzelecką, saperzy pod dowództwem sierż. pchor. Józefa Nowickiego naprawili most, a Piorunkiewicz, wysyłając patroli we wszystkich kierunkach, zdołał nawiązać łączność z dowodzącym Dywizją „Brzoza” płk. Ottokarem Brzozą-Brzezina.

Por. Piorunkiewicz 25 września zameldował się u gen. Kleeberga. Tego dnia w rejonie majątku Adamopol, 6 km na zachód od Włodawy, odnaleziono dwumiejscowy samolot treningowy PWS-26. Miał podziurawione skrzydła i zdarte z fragmentu steru płótno, ale Piorunkiewicz mimo to zdecydował się wypróbować

jednak parę dni później - eskadrę wzmocniły dwa samoloty szkolne RWD-8, którymi przylecieli dwaj piloci: pchor. Wojciech Matz i kpr. Zaleśny.

Wszystkie trzy samoloty eskadry Piorunkiewicza były pozbawione uzbrojenia. Teoretycznie zadaniem eskadry było rozpoznanie i mogłaby ona się bez tego uzbrojenia obyć, ale rosnąca frustracja związana z rezultatem kampanii nakłaniała do prób rewanżowania się Niemcom. Z tego względu „obserwatorzy” eskadry brali niekiedy na loty granaty ręczne, a także fiński pistolet maszynowy Suomi. W żadnym razie nie mógł on zapewnić obrony przed atakiem nieprzyjacielskiego lotnictwa zarówno niemieckiego, jak i radzieckiego w związku z tym zadania w powietrzu starano się wykonywać o świcie i tuż przed zachodem słońca, gdy ryzyko napotkania powietrznego intruza było stosunkowo niewielkie.

W powietrzu...

Dwa pierwsze zadania w powietrzu dla SGO „Polesie” wykonano już 25 września. Kolejne trzy loty eskadry przeprowadziła następnego dnia. Rozpoznaniu poddano Parczew i Suchowolę, które znajdowały się ok. 60 km na wschód od lotniska. Po uznaniu Sucho-

upy Operacyjnej „Polesie”

maszynę w locie i dopiero później przekazać ją swoim mechanikom. Samolot umożliwiał wykonywanie zadań w powietrzu, więc Edmund Piorunkiewicz zaproponował dowódcy SGO „Polesie” odtworzenie eskadry, która przyjęła nazwę 13 Eskadry Szkolnej. Jej zadaniem miały być w pierwszej kolejności loty rozpoznawcze. Problemem był personel latający. Jedynym pilotem wojskowym w eskadrze był wówczas jej dowódca. Ponieważ obserwatorów nie było w ogóle, to ich funkcje mieli pełnić: ppor. rez. Konstanty M.J. Radziwiłł, który dołączył do eskadry 19 września, oraz por. Józef Wodnicki i por. Kazimierz Jarzyna – obaj dołączyli do eskadry 22 września.

Po odnalezieniu samolotu PWS-26 eskadrę przeniesiono do Adamopola. Piorunkiewicz włożył wiele wysiłku, by pozyskać więcej samolotów. Udało się znaleźć leciwe liniowe Potezy, ale były one bezużyteczne; bez części zamiennych nie dało się ich naprawić w polu. Szczęście podkomendnym Piorunkiewicza dopisało

woli za bezpieczny teren przebazowano tam 13 Eskadrę Szkolną. PWS-26 po raz pierwszy wyleciał rankiem 27 września, a po raz drugi po południu. Tego samego dnia w Wyrkach, w sztabie gen. bryg. Franciszka Kleeberga odbyła się odprawa, w której uczestniczył por. Piorunkiewicz. Na rozkaz dowódcy SGO „Polesie” kolejnego dnia eskadra wykonała trzy loty rozpoznawczo-łącznikowe. W ich trakcie załogi musiały lądować w terenie przygodnym, by jak najszybciej przekazać rozkazy poszczególnym sztabom.

Eskadra przeprowadziła następne trzy loty 29 września. Koło Marynina załoga – por. pil. Edmund Piorunkiewicz i por. Józef Wodnicki – zaatakowała niemiecką kolumnę zmotoryzowaną poruszającą się na trasie Wojciechów – Piaski – Chełm. Pchor. pil. Wojciech Matz został natomiast ranny w piętę podczas wykonywania lotu łącznikowego. Tego dnia nieprzyjacielskie lotnictwo zaatakowało lotnisko eskadry w Suchowoli pod Parczewem. Z tego względu zarządzono odprawę, ►

13 ESKADRA OBSERWACYJNA

Na kształcie polskich wojsk lotniczych w okresie dwudziestolecia międzywojennego widoczne piętno odcisnęła wojna polsko-bolszewicka. Teoretykom lotnictwa II RP nie umknęło to, że jednym z ważniejszych zadań polskich eskadr w 1920 r. było utrzymywanie łączności pomiędzy sztabami wielkich jednostek taktycznych i związków operacyjnych. Najlepiej do tego nadawały się samoloty lekkie, o krótkim starcie i lądowaniu. Konieczność utrzymania niewielkiej masy wymusiła rezygnację z opancerzenia i ograniczenie uzbrojenia. Nie było to problemem, ponieważ uważano, że w przyszłej wojnie spotkania w powietrzu będą należały do rzadkości.

Tego rodzaju koncepcje doprowadziły do utworzenia w polskich bazach lotniczych plutonów towarzyszących. W drugiej połowie 1930 r. taki pluton

powstał w warszawskim 1 Pułku Lotniczym. Manewry potwierdziły zasadność tworzenia lotnictwa towarzyszącego i na początku lutego 1934 r. w Warszawie 13 Eskadrę Liniową przekształcono w 13 Eskadrę Towarzyszącą.

Od maja 1939 r. 13 Eskadrę Towarzyszącą dowodził kpt. obs. Lucjan Fijuth, a Eskadrę przebrojono w tym czasie w samoloty RWD-14 Czapla. W nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 r. w Eskadrze kpt. Fijutha ogłoszono alarm. Postawiona w stan gotowości bojowej jednostka zmieniła nazwę na 13 Eskadra Obserwacyjna. Według planów mobilizacyjnych wyposażona w siedem samolotów RWD-14 Czapla i dwie maszyny łącznikowe RWD-8 Eskadra miała działać na korzyść SGO „Narew”. Już od 1 września Czaple latały w pasie przygranicznym. Dwa dni później Eskadra utraciła pierwszą załogę. Poświęcenie nie było jednak daremne, w tych dniach wykryto dużą niemiecką kolumnę pancerno-motorową.

Na początku drugiego tygodnia września, w związku z odwołaniem wojsk polskich, przed lotnikami Eskadry stało nowe zadanie: wyszukiwanie obszarów nadających się do wykorzystania na lotniska polowe.

13 września Eskadra formalnie weszła w skład Frontu Północnego. Kpt. Fijuth wystartował na poszukiwanie sztabu frontu. Powrócił z rozkazami, ale samoloty jego podkomendnych zdążyły odlecieć z dotychczasowego lotniska. Pracowały one później dla Dowództwa Obrony Łucka. Do 17 września 13 Eskadra Obserwacyjna wykonała 45 zadań w powietrzu, wśród nich było 10 lotów łącznikowych.

Kpt. Fijuth przyłączył się do spotkania w Ciecierzynie rzutu kołowego Eskadry. Maszerującą kolumnę 18 września napotkał por. pil. Edmund Piorunkiewicz. Kpt. Fijuth odleciał na jego samolocie i już nie wrócił. Na czele 13 Eskadry Obserwacyjnej stanął por. Piorunkiewicz.

na której Piorunkiewicz powziął zamiar znalezienia nowego lotniska. Jego przeprowadzony w tym celu lot zakończył się jednak niepowodzeniem.

Ostatniego dnia września lotnictwo SGO „Polesie” wykonało trzy loty rozpoznawcze i łącznikowe, połączone z lądowaniem w terenie przygodnym. Dowódca eskadry wraz z kpr. Zaleśnym wykonywali na RWD-8 zadanie rozpoznania Lublina. „Obserwator” zabrał do kabiny 8 granatów i pistolet maszynowy. Nad Lubartowem lotnicy natrafili na sznur niemieckich ciężarówek, które obrzucili granatami i ostrzelali z Suomi. Spaliły się trzy. Zaskoczeni Niemcy starali się strącić erwidziaka, ale skończyło się tylko na 36 przestrzelinach. Personel eskadry znów przygotowywał się do перебазowania na nowe lotnisko.

Zaczynał się październik, a nad Podlasiem i Lubelszczyzną w dalszym ciągu na niebie pojawiały się białoczerwone szachownice. Eskadra wykonała dwa loty 1 października. Jeden z pilotów poleciał w stronę Dębli. Załogę drugiej maszyny stanowili por. pil. Piorunkiewicz i por. Konstanty Radziwiłł. Mieli oni rozpoznawać na północ od polskiego ugrupowania, wzdłuż drogi Radzyń Podlaski – Biała Podlaska. W ciągu pół godziny dolecieli do Radzyna Podlaskiego. Na skrzyżowaniu szosy z linią kolejową Parczew – Łuków napotkali trzy niemieckie samochody pancerne. Nie mieli granatów, więc ostrzelali tylko trochę z pistoletu maszynowego, aby wy-

wołać zamieszanie w niemieckich szeregach. W trakcie ataku przeciwnik przestrzelił im przewód paliwowy i lotnicy musieli lądować przymusowo. Żołnierze Wehrmachtu nie wzięli ich jednak do niewoli, gdyż prawdopodobnie płonąca chatę i stóg siana wzięli za wybuch polskiego samolotu. Piorunkiewicz zdołał zatelefonować na lotnisko i poprosić o przysłanie motocykla z przyczepą. Lotnicy powrócili na lotnisko. W tym czasie niemieckie lotnictwo ostrzelało rzut naziemny eskadry w Parczewie i zbombardowało lotnisko w Suchowoli. W reakcji na to eskadrę przeniesiono na lądowisko między rzeką Tyśmienicą a miejscowością Tarkawica.

Pierwsze akordy bitwy pod Kockiem zaczęły brzmieć 2 października. W rejonie miejscowości Serokomla doszło do walk między jednostkami Dywizji Kawalerii „Za-za”, a niemiecką 13 Dywizją Piechoty (zmotoryzowaną). Dla stworzenia sobie obrazu sytuacji gen. Franciszek Kleeberg wysłał swych lotników dla rozpoznania przeciwnika naciskającego na dywizję gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego. Polski samolot pojawił się nad Przytoczem, Wolą Gułowską, a nawet Krzywdą. Dowódca SGO „Polesie” z niepokojem spoglądał też na drogę prowadzącą do Lublina. Obawiał się bowiem, że z tamtego kierunku jego zgrupowanie może zostać atakowane przez niemiecką 4 Dywizję Piechoty. Dlatego wydał rozkaz por. Piorunkiewiczowi, by następnego dnia rozpoznał on sytuację na drodze prowadzącej





Pięciu żołnierzy niemieckich oglądających zdobyty polski samolot treningowy PWS-26.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

z Kocka do Lublina. W powietrze ok. godz. 10 wzniesi się por. pil. Edmund Piorunkiewicz z por. Józefem Wodnickim. Pomny doświadczeń z 1 października Piorunkiewicz trzymał swój samolot bardzo nisko, aby w razie napotkania nieprzyjaciela pozostawić wrogiej obronie przeciwlotniczej jak najmniej czasu na strzelanie. Na wysokości 70 m PWS pomknął nad Kock, tam z kierunku Serokomli lotnicy słyszeli kanonadę. Kawalerzyści Dywizji „Zaza” i piechurzy 50 DP zmagali się z niemiecką 13 DP (zmot). Nad Kockiem Piorunkiewicz skręcił na południe, na Lubartów. Przelatując nad Firlejowem, polscy lotnicy zauważyli na podwórku szkolnym cztery samochody ciężarowe i kilka motocykli. Nie mieli już amunicji do pistoletu maszynowego, ale Wodnicki rzucił trzy granaty między niemieckie ciężarówki. Celem tego lotu miało być jednak stwierdzenie, czy polskie ugrupowanie było zagrożone przez 4 DP. Załoga samolotu kontynuowała więc lot nad Lubartów, starając się dociec, czy napotkana kolumna zmotoryzowana była czołówką 4 DP. Głównych sił dywizji nie zauważono jednak ani na drodze, ani w okolicznych lasach. Dowódca lotnictwa SGO „Polesie” mógł więc zameldować swemu zwierzchnikowi, że od Lublina nie zbliża się żadna wielka jednostka taktyczna, a zaobserwowana i „zbombardowana” kolumna w Firlejowie była najprawdopodobniej oddziałem rozpoznawczym 13 DP (zmot). Tego dnia samoloty improwizowanej eskadry

pojawiały się ponadto nad miejscowościami położonymi w zasadzie wokół całego polskiego ugrupowania. Na zachodzie były to: Serokomla, Michów i Kamionka, na północy: Radzyń Podlaski i Bezwola, na wschodzie: Jabłoń i Krzywowierzba, a na południu – Ostrów Lubelski.

Lotnicy Piorunkiewiczza 4 października wykonali dwa loty mające na celu określenie położenia sił niemieckich. Udało się wówczas zaobserwować niemieckie posiłki w postaci piechoty zmotoryzowanej i artylerii. W czasie jednego z lotów por. pil. Edmund Piorunkiewicz i ppor. Konstanty Radziwiłł zostali zaatakowani przez nieprzyjacielski samolot myśliwski. PWS powrócił na lotnisko, ale mechanicy stanęli przed trudnym zadaniem załatania niezwykle licznych dziur po pociskach.

Następnego dnia, o godz. 8.30 odbyło się ostatnie rozpoznanie powietrzne 13 Eskadry Szkolnej. Krótki, ledwie piętnastominutowy lot wykonał por. Piorunkiewicz na ostatnim sprawnym samolocie eskadry – wysłużonym PWS-26. W czasie swej misji pilot oddalał się od lotniska na zaledwie 10-12 km. Wieczorem na lotnisko przybył z prowiantem por. Józef Wodnicki, który poinformował o planowanej kapitulacji SGO „Polesie”.

Od 25 września do 5 października 13 Eskadra Szkolna wykonała dla sztabu gen. bryg. Franciszka

Kleeberga 46 lotów rozpoznawczych i łącznikowych. Ostatni lotnicy polskiego września „przy okazji” zadań rozpoznawczych kilkakrotnie obrzucali nieprzyjaciela granatami i ostrzelali go z pistoletu maszynowego. Powolne polskie maszyny dwukrotnie dopadło nieprzyjacielskie lotnictwo myśliwskie, ale za każdym razem lotnikom dopisywało szczęście i powracali na lotnisko, choć raz bez samolotu. W eskadrze służyło siedmiu pilotów: por. pil. Edmund Piorunkiewicz, pchor. pil. Wojciech Matz, pchor. pil. Jan Bander, pchor. pil. Wieczorek, kpr. pil. Zalesny, plut. rez. mech. Antoni Kulikowski (pilot turystyczny) oraz szer. rez. Stanisław Łąski (pilot turystyczny, kierowca Maurycego Zamoyskiego). Wśród podkomendnych Piorunkiewicza nie było wyszkolonych obserwatorów, ich zadania wykonywali oficerowie piechoty: por. rez. Józef Wodnicki, jednocześnie zastępca dowódcy eskadry i dowódca 1 plutonu, latał jako obserwator; por. rez. Kazimierz Jarzyna, dowódca 2 plutonu, który latał ja-

ko łącznik; oraz ppor. rez. Konstanty Radziwiłł, dowódca 3 plutonu, latał jako obserwator.

... i na ziemi

Zasługi ludzi Piorunkiewicza w kampanii polskiej 1939 r. nie ograniczają się wyłącznie do powietrznej służby rozpoznawczej i łącznikowej. Poza wspomnianym personelem latającym w Eskadrze służyło przecież jeszcze prawie 300 ludzi, w tym ok. 20 mechaników. Z konieczności rzut kołowy 13 Eskadry Szkolnej stał się jednostką bojową, działającą jako „grupa zmotoryzowana”. Grupa – dzięki samochodom ciężarowym w improwizowany sposób uzbrojonym w karabiny maszynowe – sprawnie mogła być przerzucana i spełniała rolę mobilnego odwodu. Samochody z zamocowanymi karabinami maszynowymi wykorzystywano też do obrotu przeciwlotniczej.

13 Eskadra Szkolna została rozwiązana 6 października 1939 r. Każdemu z żołnierzy wydano 20 zł i puszkę

EDMUND STANISŁAW PIORUNKIEWICZ 1903–1989

Urodził się 16 listopada 1903 r. w Warszawie. Kiedy miał niespełna 21 lat, rozpoczął służbę w 1 Pułku Lotniczym w Warszawie. Od 1931 r. do 1933 r. uczęszczał do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Był absolwentem VII Kursu dęblińskiej Szkoły Orląt (z czwartą lokatą). Został skierowany do 5 Pułku Lotniczego w Lidzie, gdzie do grudnia 1935 r. służył w 51 Eskadrze Liniowej. Lata 1936–1937 spędził w 13 Eskadrze Towarzyszącej. W 1937 r. otrzymał awans na porucznika, a w następnym roku został kierownikiem Referatu Badania Wypadków Lotniczych w Dowództwie Lotnictwa. Kiedy rozpoczynała się II wojna światowa, miał przydział do Eskadry Sztabowej.

Od 1 do 5 września 1939 r. wykonał dwa loty, rozpoznawczy i łącznikowy, na Lublinie R.XIII. Od 6 do 12 września latał ponownie na Lublinie R.XIII oraz myśliwskim P.7. W tym czasie przeprowadził kolejne dwa loty rozpoznawcze i dwa łącznikowe. Po ewakuacji Dowództwa Lotnictwa zgłosił się do dowódcy obrony Warszawy gen. bryg. Waleriana Czumy, który wy-

dał mu rozkaz odejścia z Eskadrą do południowej Polski. Piorunkiewicz 13 września wykonał dwustukilometrowy lot z Powsinka do Krasnegostawu, następnego dnia przeleciał do Tomaszowa Lubelskiego, 15 września – do Lwowa. Przeniósł się 16 września najpierw do Chodorowa, a stamtąd do Stanisławowa. Ze Stanisławowa 17 września odleciał do Dżurowa.

Wraz z por. pil. inż. Stanisławem Riessem 18 września wyleciał na samolocie Lublin R.XIII z Dżurowa do Wielickiej k. Łucka dla ratowania samolotu PZL.46 Sum. Z Wielickiej wykonał lot rozpoznawczy na RWD-8. Napotkał rzut kołowy 13 Eskadry Obserwacyjnej prowadzony przez kpt. obs. Lucjana Fijutha. Z Wielickiej odlecieli wówczas por. Riess z załogą na Sumie oraz kpt. Fijuth na Lublinie. Por. Piorunkiewicz. Kpt. Fijuth nie wracał, więc por. pil. Edmund Piorunkiewicz przejął dowództwo nad osieroconą Eskadrą, zaczął formować załogi i na sprawnych samolotach wysyłał je do południowej Polski. Kontynuował to następnego dnia. Potem, wycofując się przed Armią Czerwoną, poprowa-

dził eskadrę do Włodawy. Po odnalezieniu sprawnych samolotów wykonał od 25 września do 5 października 25 lotów dla sztabu SGO „Polesie”.

Po bitwie pod Kockiem trafił do niemieckiej niewoli. Już 7 października w rejonie Poizdowa uciekł z kolumny marszowej. Dziesięć dni później dotarł do Warszawy, gdzie w nocy z 6 na 7 listopada 1939 r. aresztowali go Niemcy. Trafił do obozu karnego Hoyerswerda w Saksonii. Po uzyskaniu prawa jeńca wojennego został przeniesiony do Oflagu IX C w Rotenburgu nad Fuldą. Od kwietnia do czerwca 1940 r. przebywał w Oflagu XIB Brunszwik, skąd przeniesiono go do Oflagu IIC Woldenberg (dziś Dobiegniew). Po wyzwoleniu obozu przez Armię Czerwoną w lutym 1945 r. przedostał się do Warszawy.

Do 1951 r. pracował w administracji państwowej. Zmarł 16 września 1989 r. w Warszawie. Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Był odznaczony m.in. Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.



konserw. Broń, mniejszy sprzęt i dokumenty przekazano mieszkańcom wsi na przechowanie. Większy sprzęt spalono. Ostatni samolot – PWS-26 – spalił bądź ukrył w puszczy szer. rez. Stanisław Łąski. Oficerowie i podoficerowie przebrali się w ubrania cywilne i otrzymali stosowne zaświadczenia od burmistrza Kocka.

Kolejną eskadrą walczącą pod komendą gen. Franciszka Kleeberga była 2 Eskadra Zapasowa. Utworzono ją 6 września na lotnisku Okęcie w Warszawie. Skupiała pracowników Państwowych Zakładów Lotniczych. Na dowódcę Eskadry wyznaczono por. rez. Karola Rojka, a stanowisko jego zastępcy sprawował ppor. rez. Witold Obrycki. Na początku wojny Eskadra znalazła się w Mińsku Mazowieckim, a stamtąd ruszyła na wschód. Potykając się z Niemcami, dotarła do Cegłowa. Po nieudanym ataku na tę miejscowość wycofała się na południowy wschód. Po drodze personel Eskadry startł się jeszcze z podjazdem kawaleryjskim Armii Czerwonej.

Po dotarciu na teren gen. bryg. Franciszka Kleeberga por. rez. Rojek zdecydował się włączyć swoją Eskadrę do SGO „Polesie”. Zaś 2 Eskadra Zapasowa weszła w skład 9 kompanii III batalionu 180 Pułku Piechoty (50 DP). Dowódcami kompanii byli ppor. rez. obs. pil. inż. Henryk Jackowski, który zginął 3 października, oraz kpt. pil. Zdzisław Bruszewski. Kompania 2 października stanowiła osłonę boczną polskiego ugrupowania. Znalazła się w ogniu artylerii, ale nie przysporzyła jej ona strat. Dzień później lotnicy 2 Eskadry Zapasowej uczestniczyli w krwawych walkach w Adamowie. Poszli do natarcia bez wsparcia artylerii i – podobnie jak cała 50 DP – zostali zmasakrowani ogniem dział i karabinów maszynowych.

W 2 Eskadrze Zapasowej znajdowało się ok. 200 ludzi. Służyli tam inżynierowie, technicy, rzemieślnicy, piloci rezerwy i obserwatorzy. Wśród żołnierzy Eskadry nie brakowało znanych osób. Byli wśród nich: przedwojenny pracownik Instytutu Badań Technicznych Lotnictwa i biura konstrukcyjnego Państwowych Zakładów Lotniczych inż. Bogdan Werner, a także konstruktor PZL, który po II wojnie światowej zasłynął jako twórca samolotów TS-8 Bies i TS-11 Iskra, inż. Tadeusz Sołtyk. Ranny pod Kockiem został inż. Kazimierz Głębski – także przedwojenny pracownik PZL. Po II wojnie światowej był wykładowcą na Politechnice Warszawskiej, a później pracował w Instytucie Lotnictwa i Wojskowej Akademii Technicznej.

Z warszawskiej bazy lotniczej wywodzili się również żołnierze służby czynnej 1 Pułku Lotniczego, którzy kilka dni przed wybuchem II wojny światowej ukończyli kurs pilotażu w Oborach k. Konstancina. W grupie tej służyło ok. 60 ludzi. Ich dowódcą był por. pil. Mieczysław Bartłomiej Sadowski, który od stycznia 1938 r.

był komendantem Ośrodka Pilotażu w Oborach. Zastępcą Sadowskiego był por. pil. Stanisław Jan Kosteki. Na początku września 1939 r. rozpoczęli oni ewakuację swych podkomendnych z Warszawy na południowy wschód. Już w miejscowości Baniocha żołnierze musieli wysiąść z pociągu i dalej iść pieszo, kierując się na Kowel. Na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski podkomendni por. Sadowskiego 18 września dołączyli do Dywizji „Brzoza” (późniejszej 50 DP). Włączono ich w skład 179 Pułku Piechoty.

We wszystkich oddziałach SGO „Polesie” służyło łącznie ok. 700 lotników. W walkach pod wsią Krzywda i w bitwie pod Kockiem życie stracili m.in.: wykładowca Szkoły Podchorążych Lotnictwa o profilu technicznym por. rez. doc. dr Witold Billewicz, instruktor Centrum Wyszczolenia Lotnictwa nr 1 w Dęblinie kpr. pil. Grzegorz Lewandowski, inżynier, absolwent Politechniki Warszawskiej szer. rez. Mieczysław Rozwadowski oraz oficerowie i żołnierze 1 Pułku Lotniczego: por. rez. inż. Edward Kotarski, ppor. techn. Zdzisław Kielbański, kpr. rez. pil. Kazimierz Murawski, kpr. rez. Kazimierz Dec i szer. rez. Józef Kiciński.

Bardzo różnie potoczyły się losy oficerów i żołnierzy, którzy przeżyli hekatombę pod Kockiem. Większość trafiła do niemieckiej niewoli, jak np. Edmund Piorunkiewicz, Mieczysław Sadowski, Stanisław Kosteki. Niektórym udało jej się uniknąć. Wspomniany inż. Bogdan Werner w latach okupacji służył w Armii Krajowej. Podobnie ułożyły się losy sierż. pil. mech. Piotra Długosza, który także był w AK, a wcześniej w Związku Walki Zbrojnej. Długosz zginął w czasie powstania warszawskiego w sierpniu 1944 r. Inni, m.in.: dowódca kompanii lotników ze 180 PP kpt. pil. Zdzisław Bruszewski, a także por. rez. obs. Aleksander Ruciński i plut. pchor. rez. pil. Stanisław Juchniewicz, przedarli się na wschodnie ziemie II RP, gdzie aresztowało ich NKWD i zamordowało wiosną 1940 r. w Katyniu. Więzienia NKWD nie udało się też uniknąć plut. pil. Janowi Henrykowi Janczakowi. Jednakże na mocy traktatu Sikorski – Majski opuścił on Związek Radziecki i trafił do polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii. Do Polskich Sił Powietrznych przedostał się też – nie przez ZSRR, ale przez Węgry, Bułgarię, Jugosławię i Francję – plut. pil. Marian Wójcik, który w bitwie pod Kockiem był w mieszanej kompanii Batalionu „Olek”. Późniejsze losy lotników SGO „Polesie” były więc tak różnorodne jak różnorodny był skład jednostek gen. bryg. Franciszka Kleeberga. ■

MARIUSZ NIESTRAWSKI, absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. W latach 2010-2014 pracownik Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Od 2015 r. w Muzeum Narodowym Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie.

Hej, kto Polak NA BAGNETY!

Umiejętność bicia się na bagnety i gotowość do ataku na białą broń od wieków uznawano za wyraz bojowej sprawności. W tym elemencie walki polska infanteria zawsze się wyróżniała, z równym powodzeniem bijąc Rosjan, Austriaków, Niemców i... Brytyjczyków.

MICHAŁ MACKIEWICZ

Do schyłku XVII w. zachodnioeuropejską wojskowość zdominowały formacje muszkietersko-pikinierskie. Choć znaczenie broni palnej sukcesywnie się zwiększało, to pikinierzy pozostawali niezbędnym składnikiem piechoty, stanowili bowiem jedyną skuteczną osłonę dla muszkietarów, zwłaszcza w sytuacji zagrożenia szarżą jazdy. Pojawienie się w drugiej połowie XVII w. bagnetu zachwiało tym schematem, a podział na muszkietarów i pikinierów zniknął na zawsze – odtąd każdy żołnierz miał być identycznie uzbrojony w muszkiet lontowy lub karabin skałkowy i bagnet.

300 lat historii

Ojczyzną bagnetu jest Francja, a sama nazwa pochodzi od miejscowości Bayonne, gdzie na początku go produkowano. Masywne i długie sieczno-kłujące klingi miały drewnianą lejkowatą rękojeść, którą zatykano w lufie niczym szpunt, przeistaczając muszkiet w poręczną broń drzewcową. Strzelcy mogli sami, stojąc rzecz jasna w zwartym szyku, skutecznie się bronić lub też atakować. Zasadniczą wadą bagnetów szpuntowych był brak możliwości oddania strzału, dlatego na początku XVIII stulecia upowszechnił się bagnet tulejowy, stalowy, zazwyczaj o wąskiej głowni sposobnej tylko do kłucia, osadzany na, a nie w lufie. Dzięki temu żołnierz mógł nie tylko prowadzić ogień z karabinu, ale także go łado-

wać. Złote czasy bagnetu to oczywiście wieki XVIII i XIX. Atak z jego wykorzystaniem należał do zasadniczego elementu taktyki piechoty. Z tego okresu pochodzi słynna fraza – „kula głupia, bagnet zuch” – wypowiedziana przez rosyjskiego feldmarszałka Aleksandra Suworowa. Tymczasem gwałtowne, brawurowe natarcia z bagnetami, których pełne są opisy bitew choćby z epoki napoleońskiej, rzadko kiedy kończyły się równie zajadłym starciem wręcz, a straty zadane bagnetem stanowiły zazwyczaj tylko ułamek całości. Po prostu jedna ze stron zazwyczaj ustępowała pola, szukając sposobności do zatrzymania atakujących palbą karabinową lub ostrzałem artyleryjskim. Do lat sześćdziesiątych XIX w. tulejowe bagnety kłujące bezwzględnie dominowały, potem znaczną popularność zdobyły bagnety sieczne (m.in. o imponujących głowniach jatağanowych) z klasyczną rękojeścią i jęczmieniem, z rozmaitymi systemami zatrząsków lub blokad. Pojawienie się pod

Grenadier (karabinier) z kompanii wyborczej Pułku Strzelców Pieszych uzbrojony w rosyjski karabin skałkowy wz. 1808 z bagnetem.



koniec XIX w. nowoczesnej broni strzeleckiej, precyzyjnej i co najważniejsze szybkostrzelnej, musiało doprowadzić do ograniczenia roli bagnetu na polu walki. Tymczasem największe armie świata weszły w XX w. doskonale co prawda uzbrojone – w wielostrzałowe karabiny i broń maszynową – ale zupełnie zacofane pod względem taktyki. Dopiero wstrząs wywołany początkiem I wojny światowej, kiedy falowe ataki piechoty rodem z epoki napoleońskiej doprowadziły do niewyobrażalnych ofiar, uświadomił wszystkim, że epoka bagnetu definitywnie dobiegła końca. Tym bardziej, że w walce okopowej praktyczniejsze okazały się pistolet, saperka i granat niżli długaśny bagnet. Pozostał on rzecz jasna elementem uzbrojenia, ale długość główni uległa skróceniu (choć bywały od tej reguły wyjątki). Po II wojnie upowszechniły się bagnety spełniające także rolę noży bojowych i praktycznych narzędzi pola walki, tak jak sowiecki bagnet do AK-47, który złączony z pochwą stawał się nożycami do cięcia drutu. Szermierka na bagnety pozostała stałym elementem szkolenia, wyrabiając u żołnierzy ducha zaczepnego. Nie należy też zapominać, że pomimo unowocześnienia pola walki bagnet może się okazać w pewnych sytuacjach orężem pierwszoplanowym, np. w przypadku braku amunicji strzeleckiej czy granatów oraz podczas gwałtownego, przełamującego ataku z zaskoczenia na najbliższą odległość. Do najsłynniejszych szarż przeprowadzonych po 1945 r. należą: nocne starcie na wzgórzach otaczających Port Stanley podczas brytyjsko-argentyńskiej wojny o Falklandy w 1982 r. oraz brawurowy atak Szkotów z pułku The Argyll and Sutherland Highlanders wykonany w 2004 r. podczas II wojny w Zatoce Perskiej. W wyniku tego ostatniego zabito w walce wręcz kilkudziesięciu rebeliantów, nie ponosząc strat.

Od Maciejowic do Bitwy Warszawskiej

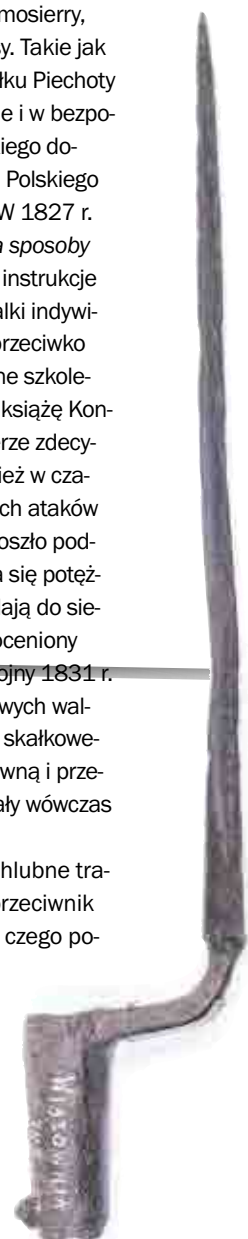
Bagnet na trwałe wrył się także w polską tradycję wojskową. Wysokie walory bojowe cechowały piechotę schyłku I Rzeczypospolitej, a jeden z najbardziej heroicznych bojów stoczyli żołnierze Tadeusza Kościuszki, w tym słynni działurzy (żołnierze Regimentu 10 Pieszego Koronnego), w obronie wzgórza pałacowego pod Maciejowicami. Biegłością w szermierce na bagnety odznaczyli się legioniści Jana Henryka Dąbrowskiego, a potem żołnierze Księstwa Warszawskiego. Do legendy przeszedł brawurowy atak, poprowadzony osobiście przez księcia Józefa Poniatowskiego, na grobli falenckiej w trakcie bitwy pod Raszynem. W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie zachowała się bezcenna pamiątka, niemy świadek batalii z 1809 r. – bagnet od karabinu skałkowego wz. 1798 – w taką broń wyposażeni byli wojacy austriackiego księcia Ferdynanda d'Este. Pokazem bojowej sprawności Polaków była także kampania na Półwyspie Iberyjskim. I choć

kojarzymy ją głównie ze szwoleżerami spod Somosierry, także piechota odnosiła spektakularne sukcesy. Takie jak pod Fuengirolą w 1810 r., gdzie żołnierze 4 Pułku Piechoty odparli wielokrotnie liczniejsze wojska brytyjskie i w bezpośrednim ataku wzięli do niewoli nieprzyjacielskiego dowódcę lorda Andrew Blayneya. Pułki Królestwa Polskiego nie ustępowały tym z okresu napoleońskiego. W 1827 r. ukazał się drukiem regulamin *Nauka podająca sposoby bicia się na bagnety*, zawierający drobiazgowo instrukcje i tablice poglądowe. Uczono w nim zarówno walki indywidualnej, jak i w zwartym szyku kompanijnym; przeciwko piechocie i jeździe, w ataku i w obronie. Żmudne szkolenie, do którego dużą wagę przywiązywał wielki książę Konstanty, przyniosło efekty i w 1831 r. nasi żołnierze zdecydowanie górowali nad Rosjanami, którzy przecież w czasach wojen napoleońskich słynęli z brawurowych ataków na białą broń. Do najbardziej zaciętych starć doszło podczas batalii grochowskiej: „W Olszynie wznawia się potężny bój. Dzielni przeciwnicy o kilka kroków strzelają do siebie, kłują się bagnetami i tłuką kolbami”¹. Nieoceniony Tokarz za najbardziej zacięty bój na bagnety wojny 1831 r. uznał starcie pod Białoleką. Pamiątką po zimowych walkach o Warszawę są dwa rosyjskie bagnety do skałkowego karabinu wz. 1808, odnalezione pod Wiązowną i przechowywane w zbiorach MWP. Obie armie używały wówczas identycznej broni.

Odrodzone Wojsko Polskie kontynuowało chlubne tradycje przodków. W wojnach o kształt granic przeciwnik nie mógł dotrzymać pola naszym piechutom, czego potwierdzenie znajdujemy w opracowaniu *Czerwona Armia Bolszewicka*, napisanym na podstawie doświadczeń z walk lat 1918–1920: „O ile dawniej dzięki dobremu wyszkoleniu wojska rosyjskie miały dużo skłonności do ataku na bagnety, o tyle obecnie, bolszewicy zdradzają niepowstrzymaną chęć do ucieczki, gdy są przez nas atakowani na bagnety. Przyczyną tego poza brakiem odpowiedniego wyszkolenia, jest duży niedobór u bolszewików bagnatów. W ciągu całej obecnej kampanii, spotkać się można było jedynie z kilkoma wypadkami ataków lub kontrataków bolszewickich na bagnety”².

Bagnet dla Wojska Polskiego

W latach 1918–1921 uzbrojenie naszej armii przedstawiało imponującą mozaikę wzorów, typów i rodzajów. Dotyczyło to rzecz jasna także indywidualnej długiej broni strzeleckiej, a więc i bagnatów. Mimo postępującego procesu unifikacji, zwłaszcza w obrębie jednostek



BAGNET ROSYJSKI

Bagnet do rosyjskiego karabinu skałkowego odnaleziony na poboju z 1831 r.



BAGNET wz. 24

Polski bagnet wyprodukowany w fabryce „Perkun”.

pierwszoliniowych, poza nowoczesnymi niemieckimi karabinami i karabinkami systemu Mausera, francuskimi Berthierami i austriackimi Mannlicherami, niektóre oddziały dysponowały bronią niestandardową, a często w dodatku zupełnie przestarzałą. Po zakończeniu walk przyszedł czas na standaryzację uzbrojenia. Z początku w krakowskiej Zbrojowni nr 2, zlokalizowanej w poaustriackich zakładach artyleryjskich, rozpoczęto wytwarzanie bagnetów do kb/kbk Mannlichera. Ostateczny wybór systemu Mausera jako standardowej broni strzeleckiej sprawił, że produkcji tego wzoru zaniechano po wykonaniu 20 tys. sztuk. Należało czym prędzej wprowadzić do produkcji bagnet pasujący do broni niemieckiej, tym bardziej, że braki były kolosalne.

Mimo ślamazarnie postępującej produkcji nowych karabinów Mausera w warszawskiej Fabryce Karabinów na stanie Wojska Polskiego znajdowało się prawie 290 tys. poniemieckich kb/kbk systemu 98 oraz rosyjskich Mosinów przerobionych u nas na amunicję 7,92 mm i zaopatrzonych w mauserowską obsadę do bagnetu. Brakowało do nich prawie 170 tys. bagnetów. Uwzględniwszy rezerwę, niedobór oszacowano na 200 tys. sztuk. Pozostawało pytanie – jaki to ma być bagnet? Wybór był niełatwy. Niemcy używali bowiem wielu rozmaitych modeli różniących się konstrukcją, a nade wszystko długością głowni. Pod koniec I wojny światowej królowały jednak dwa – wz. 98/05 o 375 mm głowni oraz krótki wz. 84/98 z 253 mm. Ten pierwszy, z uwagi na imponujące maczetowe ostrze, nazywano popularnie „liściem”. Drugi natomiast był nowoczesnym bagnetem nożowym, lżejszym i wygodniejszym, przypominającym późniejsze noże bojowe. Sprawę wyboru standardowego bagnetu dla Wojska Polskiego przesądził w 1922 r. Szef Departamentu I Piechoty gen. bryg. Stanisław Wróblewski: „Wyposażenie piechura w bagnet tak ciężki, jaki jest niem. bagnet «liściasty» uważam w ogóle za zupełnie zbędne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że do walki wręcz przychodzi bardzo rzadko, a nawet w tym wypadku o rezultacie decyduje nie bagnet, ale siły moralne walczącego.

Z tego punktu widzenia każdy bagnet należy uważać za przeżytek. Chcąc jednak dać piechurowi do ręki broń białą, która w pewnych wypadkach, np. w walce okopowej, mogłaby okazać się potrzebną, jestem za wyposażeniem piechoty w krótki bagnet jedno- lub obosieczny”³. Tym

samym niemiecki wz. 84/98 stał się pierwowzorem broni produkowanej w Polsce.

W drugiej połowie 1923 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych zleciło wyprodukowanie 200 tys. sztuk bagnetów wz. 98. Połowa produkcji przypadła Zbrojowni nr 2 w Krakowie, zaś druga prywatnej warszawskiej wytwórni „Perkun”. Krakowski bagnet, ochrzczony z czasem wz. 22, uznawano za nieudany i po ukończeniu zamówionej partii produkcja w Zbrojowni nr 2 nie była już kontynuowana. Bagnet wytwarzany równolegle w warszawskim „Perkunie” (wz. 24, potem wz. 27) okazał się produktem znacznie doskonalszym. Do końca lat dwudziestych polska wersja bagnetu do Mausera, podobnie jak i niemiecki pierwowzór, miała tzw. jednopunktowe mocowanie. W rękojeści znajdował się podłużny kanał odpowiadający szynie (obsadzie) pod spodem lufy karabinu; broń blokowana była sprężynującym zatrzaskiem mieszczącym się w głowicy rękojeści. Nowy wzór (wz. 28/29), którego produkcję uruchomiono także w radomskiej Fabryce Broni, miał tzw. pierścień jelca, który przy nakładaniu na karabin nachodził na wylot lufy zapewniając solidniejsze, dwupunktowe mocowanie.

Na wrześniowych szlakach

Chociaż w procesie szkolenia żołnierza II Rzeczypospolitej bezwzględnie najważniejszym elementem była nauka strzelania, to nie zaniedbywano walki wręcz, w której „zażartość, błyskawiczność działania żołnierzy, ich męstwo i zupełne poświęcenie się odgrywają decydującą rolę” – jak podkreślano w przedwojennym *Regulaminie Piechoty*. Doprecyzowano w nim także znaczenie bagnetu: „jest środkiem rozstrzygającym przy każdym nagłym zetknięciu się z przeciwnikiem, gdy na strzał nie ma czasu. W lesie, a szczególnie w ciemności bagnet staje się głównym środkiem walki. Ogień jest wtedy mało skuteczny, niweczy zaskoczenie i łatwo dezorientuje wszystkich. Podstawą siły natarcia jest żywiołowa chęć każdego strzelca dostania się za wszelką cenę do walki wręcz z przeciwnikiem”⁴. Charakter zmagania w kampanii 1939 r. sprawił, że zawarte w regulaminie zasady walki pierś w pierś znalazły szerokie zastosowanie.

Cofająca się znad Bugu 1 Dywizja Piechoty gen. bryg. Wincentego Kowalskiego 11 września 1939 r. zbliżyła się do zajętego przez

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE (2)



Żołnierz 6 Pułku Strzelców Podhalańskich uzbrojony w karabin Mauser wz. 98 z nałożonym bagnietem wz. 29.

Niemców Kałuszyna. 44 Pułk z 11 Dywizji Piechoty Wehrmachtu zagradzał polskiej jednostce jedyną drogę odwrotu. Nasi żołnierze mieli ją sobie wyrąbać w walce na bagnety. O drugiej w nocy 12 września 6 Pułk Piechoty Legionów ruszył do natarcia. Uczestniczył w nim por. Michał Schmal: „Nasze tyralierki walczyły ponownie w starciu wręcz z Niemcami przed szosą biegnącą przez wzg. 194,8. Walka jest krótka i gwałtowana. Niemcy odgryzają się ostro; kłuci bagnietami i bici kolbami, usiłują uciekać. Znowu niesamowita kotłownina i huk naszych granatów obronnych. To już nie natarcie, lecz rzeź”⁵. Wzgórze zdobyto, potem Polacy odbili miasto. Bataliony 44 Pułku Piechoty przestały istnieć, a będąca postrachem Niemców Eiserne Division mogła kontynuować marsz. Po wojnie, decyzją londyńskiej Kapituły Orderu Virtuti Militari, 6 Pułk Piechoty uhonorowano prawem do umieszczenia na sztandarze wstęgi z napisem „Wyróżniony za niezwykłe męstwo w kampanii 1939 w Polsce”. Takich epizodów w kampanii wrześniowej było więcej. Żołnierze armii II Rzeczypospolitej okazali się godnymi spadkobiercami piechurów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Polskie relacje obfitują w opisy gwałtownych starć, toczonej najczęściej w trakcie prób wyrwania się z okrążenia, czy też podczas lokalnych kontrataków, w których przewagi naszych żołnierzy były aż nadto wyraźne. Ppor. Janusz Wolski z 5 Pułku Ułanów wspominał: „Niemcy prawie nigdy nie przyjmowali z nami walki na białą broń, jak również, o ile było możliwe unikali walki w nocy i w lesie”⁶. Kiedy już doszło do zwania, przeciwnik rzadko kiedy wychodził z niego zwycięsko: „Ruszymy. Biją nasze granatniki. Wszystko idzie jak na pokazowych ćwiczeniach – wspominał walki pod Tumem Kazimierz Piekarczyk z 56 Pułku Piechoty. – Współdziałanie elementów

ognia i ruchu doprowadzone do perfekcji. Chłopcy posuwają się skokami. Dochodzimy na odległość szturmową. Salwa granatami i uderzamy bagnietami. W tej walce Niemcy nie mogą nam sprostać. Szaleje tu kapral Patrias. Obok poległych od kul Niemców padają dalsi od bagnietów, reszta podnosi ręce do góry”⁷. Poza wspomnianymi walkami o Kałuszyn najsłynniejszym chyba epizodem związanym z użyciem bagnietów w kampanii 1939 r. była bitwa pod Jaworowem. Nocą z 15 na 16 września żołnierze 11 Karpackiej Dywizji Piechoty wyrąbywali sobie tędy drogę odwrotu na Lwów. Czynili to tak skutecznie, że znajdujące się na kierunku natarcia pododdziały doborowego zmotoryzowanego Pułku SS „Germania” przestały niemal istnieć, tracąc przy tym cały ciężki sprzęt.

Przewagi polskich żołnierzy w walce wręcz wydają się nie podlegać dyskusji. Niemniej jednak przychodzi smutna konstatacja o przewadze technologicznej Wehrmachtu, zwłaszcza przytłaczającej sile ognia, która sprawiła, że niemiecki piechur nie musiał walczyć z przeciwnikiem pierś w pierś, aby wykonać taktyczne założenia i ostatecznie wygrać wojnę. Blitzkrieg nie wymagał bagnetu.

MICHAŁ MACKIEWICZ, absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Dziale Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego. Zajmuje się m.in. ewolucją broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor licznych publikacji z dziedziny broniostwa, historii wojskowości i muzealnictwa.

¹ S. Barzykowski, *Historia powstania listopadowego*, t. II, Poznań 1883, s. 385.

² S. Rowecki, S. Elterlein: *Czerwona Armia Bolszewicka: (jej organizacja, wartość i taktyka)*. Opracowane na podstawie doświadczeń bojowych z 1918-20 r., Drukarnia D-wa 4 Armii, 1920, s. 15.

³ M. Mackiewicz, *Bagnety*, seria: *Wielki Leksykon Uzbrojenia wrzesień 1939*, t. 88, Warszawa 2016, s. 26-27. ⁴ Tamże, s. 57-58.

⁵ 6 Pułk Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego w Kampanii Wrześniowej 1939 r., relacja Michała Schmala, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, nr 4 (142), 1992 s. 103.

⁶ Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego,teczka BI 17C.

⁷ E. Makowski, K. Młynarz (wybór i oprac.), *Dni klęski, dni chwały. Wspomnienia Wielkopolan z Września 1939*, Poznań 1970, s.165.



ANDRZEJ KASTORY, profesor nauk humanistycznych. Od 1986 r. związany zawodowo z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Krakowie (obecny Uniwersytet Pedagogiczny). Prodzikan (1987-1990) oraz dwukrotnie dziekan (1990-1996) Wydziału Humanistycznego. Był również kierownikiem Katedry Historii Najnowszej Powszechnej na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie.

Przez Bałkany do Polski

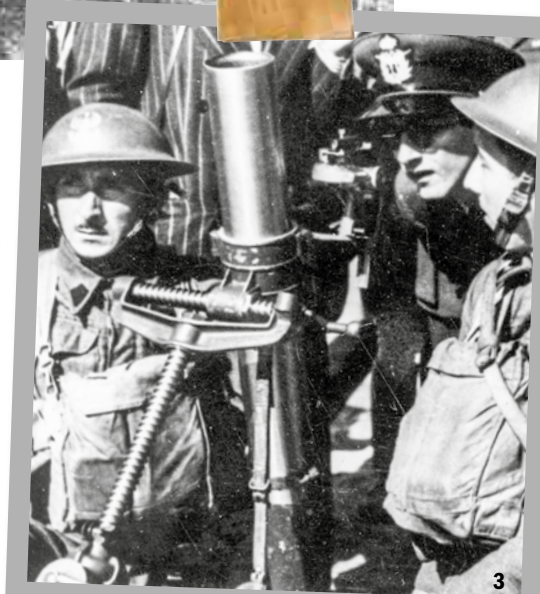
**„W sytuacji, w jakiej był rząd polski na uchodźstwie i polskie dowództwo wojskowe, potwierdzała się stara prawda, że pragnienie jest ojcem myślenia”
– mówi prof. Andrzej Kastory.**

Nazwa Yenice bardzo niewielu ludziom w Polsce coś mówi. A mało brakowało, by niewielkie tureckie miasteczko było dziś wymieniane w podręcznikach do historii jako miejsce, w którym odmieńczył się losy II wojny światowej, w tym Polski. W nocy z 30 na 31 stycznia 1943 r. w Yenice doszło do spotkania brytyjskiego premiera Winstona Churchilla z jego tureckim odpowiednikiem İsmetem

İnönü. Wtedy Churchillowi udało się wreszcie uzyskać od premiera Turcji obietnicę przystąpienia do wojny, co uczyniłoby z Bałkanów pierwszoplanowy teatr działań wojennych. Wielu historyków podkreśla, że Churchill miał wszystkie atuty: brytyjskie zwycięstwa w Afryce, zgodę Franklina Roosevelta na otwarcie frontu bałkańskiego na konferencji w Casablance i... zwycięstwo sta-



1. Widok na miasto i port w Splicie, 1945 r.
2. Premierzy Winston Churchill i Władysław Sikorski przed frontem polskiej kompanii reprezentacyjnej. Między nimi idzie gen. Gustaw Paszkiewicz, 1943 r.
3. Król Jugosławii Piotr II Karadziordziewicz wizytujący polskich żołnierzy w Wielkiej Brytanii, 1943 r.



lingradzkie, które uświadomiło zachodnim aliantom, że Sowieci mogą w przyszłości zagrozić ich interesom w Europie. A jednak nic z tych planów nie wyszło. Dlaczego?

Żeby odpowiedzieć na pytanie, czy możliwe było otwarcie frontu na Bałkanach w latach II wojny światowej, należy mieć na uwadze ówczesną sytuację na froncie afrykańskim. Tobruk padł 21 czerwca 1941 r. Dwa dni później Niemcy stanęli na granicy z Egiptem. Winston Churchill był wówczas w Waszyngtonie. Klęska brytyjskiej armii oznaczałaby przejęcie przez Niemców kontroli na Kanałem Sueskim. W tej sytuacji Franklin Roosevelt postanowił wesprzeć Brytyjczyków w Afryce mimo niechęci doradców wojskowych, którzy nie bez racji oceniali, że desant w Afryce przekreśli możliwość podjęcia działań na wybrzeżu francuskim w 1943 r.

Desant sił brytyjskich i amerykańskich w Afryce – operacja „Torch” – rozpoczął się 12 listopada 1942 r. Mimo sukcesu wojsk brytyjskich w pobliżu egipskiej

granicy w bitwie pod El-Alamein (23 października – 4 listopada) walki w Afryce trwały do maja 1943 r. Jeszcze w styczniu 1943 r. postanowiono, że po usunięciu Niemców z Afryki siły sojusznicze dokonają desantu na Sycylię (operacja „Husky”). Churchill optował za Sycylią – brano pod uwagę również Sycylię – mając na uwadze bezpieczeństwo żeglugi pomiędzy Gibraltarem a Aleksandrią. Operacja „Husky” rozpoczęła się 11 czerwca 1943 r. Churchill zapowiadał rychłe zajęcie Rzymu, podjęcie marszu na północ, udzielenie pomocy „patriotom bałkańskim”. Miał oczywiście na uwadze jugosłowiański ruch oporu. Jednakże nadzieje

Churchilla, że przez Włochy uda się wdrzeć do Francji, Austrii i na Bałkany, okazały się zupełnie nierealne. Do Rzymu siły sojusznicze wkroczyły dopiero 4 czerwca 1944 r.

Nie zgadzam się z tezą, że wszystkie atuty miał Churchill. Turcja nie zamierzała rezygnować z neutralności. Jej postawę zmienić mogłyby jedynie sukcesy sojuszników zachodnich we wschodnim basenie Morza Śródziemnego i na Bałkanach. W Casablance w styczniu 1943 r. Roosevelt wbrew swoim generałom zgodził się na operację we Włoszech, w żadnym wypadku nie przystał na operację na Bałkanach. Nieudolnie prowadzone działania na Półwyspie Apenińskim uniemożliwiły dotarcie sił sojuszniczych przez przełęcz lublańską na Bałkany. Wreszcie wszelkie nadzieje na rozwijanie operacji so-

juszniczych w rejonie Morza Śródziemnego rozwiąły decyzje podjęte w Teheranie (28 października – 2 listopada 1943 r.). Pierwszego dnia obrad Roosevelt postawił Józefowi Stalinowi pytanie: czy Rosjanom odpowiadałoby zwiększenie siły uderzenia we Włoszech i atak na Bałkany, czy ewentualnie podjęcie działań na Morzu Egejskim z zamiarem wciągnięcia Turcji do wojny? Stalin odparł, że najlepszym miejscem do ataku dla sił anglo-amerykańskich jest północna lub północno-zachodnia Francja. Churchill za najpilniejsze uznał zajęcie Rzymu i tamtejszych lotnisk oraz podjęcie działań w rejonie Dunaju, wspieranie partyzantów Josipa Broza Tity, wciągnięcie Turcji do wojny i otwarcie szlaków czarnomorskich dla dostaw dla Rosji. Pytał Stalina: „Czy nasze plany dotyczące wschodniej części basenu Morza Śródziemnego byłyby dostatecznie interesujące dla rządu sowieckiego, nawet gdyby pociągnęły za sobą opóźnienie operacji «Overlord» o dwa miesiące?”¹. Stalin optował jednak, by operację „Overlord” uznać za najważniejszą w 1944 r. We Włoszech, mówił,

1. Włoskie czołgi M 14/41 z niemiecką obsadą w pościgu za jugosłowiańskimi partyzantami, Bośnia, sierpień 1944 r.

2. Niemcy naprawiający drogę nad Adriatykiem wysadzoną przez partyzantów jugosłowiańskich.

Na pierwszym planie włoska czołg CV35, grudzień 1943 r.



1

że należałoby przejść do defensywy, nawet gdyby miało to oznaczać rezygnację z zajęcia Rzymu.

Wreszcie 30 listopada 1943 r. postanowiono, że operacja „Overlord” rozpocznie się w maju 1944 r. Towarzyszyć temu miały operacje pomocnicze w południowej Francji. Stalin zapowiedział podjęcie w tym samym czasie sowieckiej ofensywy. To w istocie zapewniało Rosji w wypadku powodzenia ich ofensywy wyłączną kontrolę nad Europą Środkową, Bałkanami i dorzeczem Dunaju. Co więcej, Churchill w rozmowie ze Stalinem wyraził zgodę na zmianę polskiej granicy wschodniej. „Nie zamierzam lamentować z powodu Lwowa”² – mówił na posiedzeniu 1 grudnia. Przy tym niepokój Churchilla wywoływały nie tyle sukcesy sowieckie w wojnie z Niemcami, co obawa przed sowiecką bezczynnością, czy nawet czymś gorszym. Już po bitwie stalingradzkiej miały jeszcze miejsce kontakty sowiecko-niemieckie na niskim szczeblu na temat ewentualnego wyjścia Rosji z wojny. Stalin ostrzegał Churchilla, że nastroje w Armii Czerwonej uzależnione są od powodzenia inwazji we Francji. Zaznaczył, że przy braku zmian w wojnie europejskiej w 1944 r. kontynuowanie walki przez wojska sowieckie może się okazać sprawą niezwykle trudną. Żołnierze są zmęczeni. Mogą nawet odnieść wrażenie, że zostali opusz-

czeni. Ówczesną sytuację Wielkiej Brytanii oddaje refleksja Churchilla po zakończeniu konferencji teherańskiej: „Siedziałem mając z jednej strony wielkiego rosyjskiego niedźwiedzia z wyciągniętymi łapami, a z drugiej wielkiego amerykańskiego bizona. Pomiędzy nimi dwoma siedział biedny mały angielski osiołek, ale tylko on wiedział, która droga prowadzi do domu”³. Churchill nie mógł już niczego swoim sojusznikom narzucić.

Czy w takim razie słusznie inicjatywa bałkańska premiera Churchilla postrzegana jest jako jedyna poważna próba przyjścia polskiemu sojusznikowi z pomocą przez otwarcie drugiego frontu na Bałkanach i wyzwolenie Polski przed zajęciem jej przez Armię Czerwoną?

Odpowiedź na to pytanie mieści się w dużej mierze w odpowiedzi na pierwsze. Można jedynie dodać, że wszelkie inicjatywy Churchilla, których celem było wprowadzenie do Europy Środkowej wojsk sojuszniczych nie miały na celu pomocy „polskiemu sojusznikowi”, lecz raczej ratowanie wpływów Zachodu na tym terenie. Churchill obstawał przy zachowaniu przez Polskę niepodległości, a sojusz z 25 sierpnia 1939 r., który w tajnym protokole zawierał formułę dotyczącą granic, traktował jako uciążliwy legat odzie-



2

dziczony po rządzie Neville'a Chamberlaina. Troską zarówno Churchilla, jak i Roosevelta nie była perspektywa wpływów Rosji w Europie Środkowej, lecz jej udział w wojnie z Niemcami, a w przyszłości i z Japonią. Jeszcze 6 stycznia 1945 r., w warunkach załamującej się już niemieckiej ofensywy w Ardenach, Churchill prosił Stalina o przyspieszenie ofensywy na wschodzie i wcale nie troszczył się wówczas o Polskę. Prośba została spełniona i po półrocznej przerwie na polskim froncie Rosjanie przystąpili do ofensywy 12 stycznia 1945 r. Ten „wielkoduszny gest Stalina” nie ułatwiał sojusznikom targów ze Stalinem na konferencji jałtańskiej.

W jakim stopniu Polacy zdawali sobie sprawę, że bałkańska gra Churchilla może przynieść naszemu krajowi wyzwolenie? Czy na przykład w sztabie Naczelnego Wodza istniały plany operacyjne na wypadek ofensywy alianckiej przez Bałkany? Hipotetycznie można założyć, że zamiast we Włoszech żołnierze gen. Władysława Andersa lądowaliby w adriatyckich portach, a tak 2 Korpus Polski skończył jak Legiony Polskie gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, które nie urzeczywistniły słów Marzuka Dąbrowskiego „z ziemi włoskiej do Polski”.

Warto mieć na uwadze, że w sytuacji, w jakiej był rząd polski na uchodźstwie i polskie dowództwo wojskowe,

potwierdzała się stara prawda, że pragnienie jest ojcem myślenia. Na przykład gen. Władysław Sikorski był gotów wysłać formacje polskie na front norweski (Narwik), by następnie wesprzeć Finów w wojnie z Sowietami. Podobnie władze polskie gotowe byłyby zaangażować się na Bałkanach. Były przy tym w pełni zależne pod każdym względem od Brytyjczyków. Jednocześnie perspektywa lądowania w portach adriatyckich powinna uświadomić wszystkim skalę trudności tej operacji. Parę lat później brytyjski admirał John Edelsten, składając wizytę Titowi we wrześniu 1951 r., za najważniejszą sprawę w organizowaniu pomocy dla jugosłowiańskiej armii z portów w głąb kraju uznał transport wymagający co najmniej sześciu dni i wykorzystania na trudnych górskich drogach oślich grzbietów w warunkach pokojowych. Desant sojuszniczy możliwy byłby jedynie przez Saloniki. Czyli – podobnie jak we Włoszech – byłby to mozolny marsz na północ w terenie kontrolowanym przez Niemców. Operacja na Bałkanach na pewno nie byłaby łatwiejsza niż na Półwyspie Apenińskim.

Paradoksalnie na próbach otwarcia frontu bałkańskiego najwięcej chyba zyskał Tito, którego partyzantkę Brytyjczycy zaczęli wspierać kosztem czetników gen. Dragoljuba Mihailovića. Z jakiego powodu Brytyjczycy pomagali jugosło-

wiańskim komunistom, wiedząc, że wzmacniają przez to wpływy Stalina w południowej Europie?

Być może perspektywa frontu bałkańskiego była korzystna dla Tity. Churchill, chcąc być lepiej informowany, już maju 1943 r. wysłał do jego sztabu Williama Deakina. A przekonany, że główny wysiłek walki z Niemcami podejmują raczej partyzanci Tity, 8 stycznia 1944 r. poinformował go o przerwaniu pomocy dla czetników kierowanych przez gen. Dragoljuba Mihajlovića, ministra obrony w jugosłowiańskim rządzie na uchodźstwie, i przerzuceniu jej na partyzantów Tity. Liczył, że uda mu się doprowadzić do porozumienia pomiędzy Titą a królewskim rządem na uchodźstwie. Tito pomoc przyjmował, nie zaciągając jakichkolwiek zobowiązań politycznych. Ponieważ żadne operacje w rejonie Bałkanów nie miały być podjęte, Churchill podjął dość desperacką próbę ratowania brytyjskich wpływów w negocjacjach ze Stalinem. W październiku 1944 r. udał się do Moskwy. Na spotkaniu 9 października oświadczył: „Wasze armie znajdują się w Rumunii (od sierpnia 1944) i w Bułgarii (od września 1944). My mamy tam interesy, misje, agentów. Czy odpowiadałoby Panu 90% przewagi w Rumunii z zachowaniem dla nas 90% w Grecji, powiedzmy w Jugosławii stosunek fifty fifty”⁴. Churchill wspominał: „Gdy słowa te były tłumaczone, napisałem na skrawku papieru: Rumunia dla Rosji 90%, inni 10%; Grecja – Wielka Brytania (w porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi), 90%, Rosja 10; Jugosławia fifty fifty, Węgry 50:50, Bułgaria: Rosja 75%, inni 25 %”⁵. W następnych dniach toczyły się zażarte dyskusje między Anthonym Edenem a Władysławem Mołotowem, przypominające istny targ kupców dywanów. W ich efekcie pozostawiono Rosji 90 proc. w Rumunii, w Bułgarii i na Węgrzech. W Jugosławii wpływy miały być podzielone pół na pół, a w Grecji Anglosasom pozostawiono 90 proc. To była jedyna „operacja bałkańska”, którą Churchillowi udało się przeprowadzić. Brytyjczycy w tym momencie nie mieli wojsk na Bałkanach. Do Aten pierwsze oddziały brytyjskie przybyły bowiem 14 października. Grecja formalnie znalazła się poza sowiecką strefą wpływów, choć Brytyjczycy musieli podjąć wysiłek stłumienia komunistycznej rewolty, czemu Stalin przyglądał się bezczynnie. W Jugosławii pół na pół mogło sugerować zgodę Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego na pewną formę neutralności. Nie dysponując na Bałkanach żadnymi siłami, Churchillowi i tak udało się wiele osiągnąć, zwłaszcza zamykając Rosjanom drogę do portów śródziemnomorskich.

Niewątpliwie prezydent Roosevelt najbardziej po krzyżował plany bałkańskie Churchilla. Początkowo w Casablance dał zielone światło temu projek-

towi, ale w Teheranie stanął po stronie Stalina, który wskazał aliantom plażę północnej Francji jako miejsce otwarcia drugiego frontu. Czy nie widział różnicy między umocnieniami Wału Atlantyckiego a plażami Adriatyku i Morza Śródziemnego?

Oczywiście rola Roosevelta była decydująca. Churchill w rozmowie z gen. Charlesem de Gaulle'em w styczniu 1944 r. mówił: „Jestem przywódcą silnego, niepokonanego narodu. A mimo to moją pierwszą myślą po przebudzeniu jest, jak zadowolić prezydenta Roosevelta, a drugą jak sobie zjednać marszałka Stalina”⁶. To oddaje sytuację Wielkiej Brytanii w koalicji. Poza tym nie można patrzeć na wydarzenia z lat 1943 i 1944 z perspektywy późniejszej zimnej wojny. Celem sojuszników było pokonanie Niemiec i Japonii, a od konferencji w Casablance obowiązywała zasada bezwarunkowej kapitulacji. Wylądowanie tych państw ze sceny politycznej musiało być czymś zastąpione. Stąd koncepcja Roosevelta „czterech policjantów” stojących na straży ładu powojennego. Rolę tę pełnić miały Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki, Wielka Brytania i Chiny. Dominowała więc, zwłaszcza w polityce Stanów Zjednoczonych, zasada współpracy, a nie rywalizacji. Jeszcze po kapitulacji Niemiec ceniono sobie za oceanem współpracę ze Stalinem, mając na uwadze wojnę z Japonią, która – jak oceniano – trwać mogła jeszcze wiele miesięcy, a samych Amerykanów kosztować ok. 600 tys. żołnierzy. Sytuację tę zmieniła dopiero udana próba z bombą atomową w lipcu 1945 r.

Jednak gra o Bałkany nie skończyła się całkowitym zwycięstwem Stalina, gdyż dość nieoczekiwanie dla wszystkich Tito wyforował się spod jego kurateli. Sowiecki dyktator wycofał się również z poparcia komunistów w wojnie domowej w Grecji. Czy to osłodziło Churchillowi poczucie klęski na Bałkanach, czy raczej zostało dopisane do listy, którą otwiera nieszczęsna operacja w Gallipoli w 1917 r.?

Sądzę, że – biorąc pod uwagę realny układ sił – to Churchillowi udało się uzyskać na Bałkanach sporo. A co do Tity i jego wyzwolenia się spod kurateli Moskwy, to problem jest bardzo złożony. Przede wszystkim nie sądzę, aby to „wyzwolenie” było pragnieniem Tity. Jego ambicje szły o wiele dalej. To one skłoniły Stalina do próby jego usunięcia. Później Tito już tylko się ratował, a sposób, w jaki to czynił, dowodził jego szczególnych politycznych talentów. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

¹ Teheran – Jalta – Poczdam. Dokumenty konferencji szefów rządów trzech wielkich mocarstw, Warszawa 1970, stenogram posiedzenia 28 listopada 1943 r., s. 9.

² Teheran – Jalta – Poczdam..., wyd. cyt., stenogram z 1 grudnia 1943 r. s. 78; Winston Churchill, *Druga wojna światowa*, tom V, ks. 2, Gdańsk 1996, s. 78.

³ John Charmley, Churchill. *The End of Glory. A Political Biography*, London 1995, s. 548.

⁴ Winston Churchill, *Druga wojna światowa*, wyd. cyt., t. VI, ks. 1, s. 236-237. ⁵ Tamże.

⁶ Andrzej Kastory, *Winston Spencer Churchill*, Wrocław 2004, s. 303.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

**HENRYK
FLAME**

**URODZIŁ SIĘ 15 GRUDNIA
1918 R. WE FRYSZTACIE
NA ZAOLZIU**, które było wówczas terytorium spornym między odradzającą się Polską a Czechami. Jego ojciec Emeryk Flame był maszynistą kolejowym, matka Maria zajmowała się domem i wychowaniem dzieci: Ireny, Henryka, Elżbiety i Józefa.

HENRYK FLAME

„BARTEK”

*Broni nie złożę,
walczyć nie przestane*

Harcerz, pilot myśliwca, żołnierz, uchodźca, partyzant, wreszcie komendant zgrupowania partyzanckiego. Henryk Flame był modelowym przykładem tragicznego pokolenia Kolumbów, bezkompromisowych patriotów, rówieśników II Rzeczypospolitej.

TOMASZ GRENIUCH

W lipcu 1920 r. mocarstwa zachodnie przyznały Zaolzie z Frysztatem Czechosłowacji. Rodzina Flamów opuściła rodzinny dom i wyemigrowała do odrodzonej Rzeczypospolitej. Repatrianci z Zaolzia uzyskali w Polsce szczególne przywileje. Za deklarowaną polskość byli wygnani z ojczyznej ziemi, dlatego rząd chciał im zadośćuczynić. Emeryk natychmiast otrzymał dobrze płatną pracę na kolei w Dziedzicach i służbowe mieszkanie. To pozwoliło mu dobrze wykształcić dzieci i w 1930 r. wybudować dwukondygnacyjny dom w pobliskich Czechowicach. W domu Flamów kultywowano tradycje patriotyczne. Emeryk ochotniczo uczestniczył w walkach z Czechami o Zaolzie w 1919 r. Jako powstaniec i repatriant był dla miejscowej społeczności przykładem patrioty. Jego matka – Maria Flame – wychowywała dzieci w duchu religii katolickiej. Nie mały wpływ wywarł również Dom Rekolekcyjny Jezuitów znajdujący się niedaleko mieszkania Flamego. Młody Henryk był tam ministrantem i lektorem.

Harcerz

W czasach szkolnych Henryk wstąpił do Orląt Związku Strzeleckiego. Była to organizacja młodzieżowa wzorowana na harcerstwie i stanowiła kuźnię kadr dla sanacyjnego Związku Strzeleckiego. Młodzieży wpajano wartości patriotyczne i propaństwowe zgodnie z tzw. Prawem Orląt. Henryk osiągnął w organizacji stopień junaka, gdy był zastępcą drużynowego.

Nie dziwi więc, że pod wpływem takich wskazówek pełnoletni Henryk podjął decyzję o wstąpieniu do wojska.

Pilot myśliwca

W listopadzie 1936 r. Henryka Flamego skierowano do 2 Pułku Lotniczego w Krakowie. Po ukończeniu szkolenia w kompanii rekruckiej otrzymał przydział do 22 Eskadry Lotniczej. Dowództwo Pułku 19 grudnia podjęło decyzję o skierowaniu go na badania lekarskie w Instytucie Ba-

dań Lekarskich Lotnictwa w Warszawie jako kandydata na pilota i strzelca samolotowego. Badania, orzekające o predyspozycji kandydata do latania, Flame przeszedł 8 stycznia 1937 r. z wynikiem pozytywnym. Po powrocie z Warszawy do podkrakowskich koszar w Rakowicach, na podstawie wydanego orzeczenia, 13 stycznia przydzielono go do plutonu szkolnego obsługi samolotów ze specjalizacją mechanika samolotowego. Specjalizację tę ukończył 24 kwietnia z wysoką, drugą bądź trzecią, lokatą i decyzją dowódcy 2 Pułku Lotniczego płk. Edwarda Le-

wandowskiego skierowano go do pułkowej szkoły pilotażu w eskadrze treningowej 2 Pułku Lotniczego. Był to dwunastomiesięczny intensywny cykl szkolenia pilotażu. Adeptci zaliczali kurs szybowcowy, a następnie latali samolotami typu RDW-8, PWS-18 i PWS-26. Kurs kończył się tzw. ostrym strzelaniem na poligonie na Pustyni Błędowskiej zwykle na dystansie 100 m. Po ukończeniu pułkowej szkoły pilotażu szer. Henryk Flame awansował na stopień starszego szeregowca.

Za wzorowy przebieg służby

i bardzo dobre wyniki płk Lewandowski 16 sierpnia skierował st. szer. Henryka Flamego na I Kurs Specjalizacji Myśliwskiej w Wyższej Szkole Pilotażu w Grudziądzu. Delegowanie do Grudziądza otrzymywali jedynie najlepsi absolwenci pułkowych szkół pilotażu z całego kraju. Z 2 Pułku Lotniczego na jesienny podoficerski Kurs Wyższego Pilotażu odleciało we wrześniu 1937 r. jedynie dziewięciu pilotów. Trzymiesięczny kurs obejmował m.in. sztukę akrobacji i symulację walk powietrznych na myśliwcach typu PZL P.7a. Zakończył się 15 listopada uroczystym apelem, podczas którego jego uczestnicy otrzymywali patent instruktora lotnictwa i odznakę specjalizacji lotniczej. Po powrocie do macierzystej jednostki Flamego mianowano kapralem i otrzymał przydział do 123 Eskadry Myśliwskiej. Prawdopodobnie 15 kwietnia 1939 r. wyjechał na II kurs specjali-



zacji myśliwskiej prowadzony przez Centrum Wyszakolenia Lotnictwa nr 1 w Dęblinie. Był to wiosenny cykl przeznaczony dla oficerów. Kończył się 15 czerwca 1939 r. skokiem ze spadochronem. W lipcu 1939 r. Flame wrócił do 123 Eskadry Myśliwskiej z promocją na podchorążego. Był m.in. instruktorem lotnictwa na lotnisku w Aleksandrowicach pod Bielskiem. Jego błyskotliwą karierę wojskową przerwał wybuch wojny.

Chrzest bojowy

W przeddzień wybuchu wojny, 31 sierpnia 1939 r. o godz. 14.00, dowódca 123 Eskadry Myśliwskiej kpt. Mieczysław Olszewski otrzymał rozkaz o przebazowaniu jednostki na warszawskie lotnisko Okęcie. Na miejscu powiadomiono go o przydziale jego eskadry do Brygady Pościgowej z zadaniem obrony Warszawy. Samoloty odleciały na polowe lotnisko w Poniatowie k. Jabłonnej. Do pierwszej walki 123 Eskadra podeszła 1 września o godzinie 9.00. Wśród pilotów nie było jednak kpr. Henryka Flamego. Chrzest bojowy przeszedł po południu tego samego dnia, walcząc w kluczu por. Erwina Kawnika. Obie maszyny zostały uszkodzone. Flame awaryjnie lądował pod Zakroczymem i utracił swój PZL P.7a. Od tego momentu znajdował się w dyspozycji dowódcy jednostki, oczekując na przydział nowego samolotu. Jednak na skutek braku maszyn i niedoborów paliwa lotniczego Flame nie uczestniczył już w walkach. W nocy z 6 na 7 września Brygada Pościgowa rozpoczęła ewakuację, w większości samochodami, na lubelski węzeł lotnisk. Jednostkę 10 września przebazowano na Wołyń, 12 września wróciła ona pod Lublin. W pobliskim Dęblinie otrzymała nowe samoloty oraz paliwo i mogła prowadzić loty rozpoznawcze.

Niefortunnie zaczęła się tutaj służba Flamego, gdyż tego samego dnia w czasie patrolu za-

brakło mu benzyny i musiał swym PZL P.7a lądować 15 km od lotniska polowego Łuszczów. Z pomocą pilotowi przyleciał por. Stanisław Chałupa w RWD-8. Mała rozmokła łąka, na której usiadł samolot, niezbyt nadawała się do startu. Wobec tego por. Chałupa zostawił mniej doświadczonemu koledze swój RWD-8, a sam na pezetce z trudem oderwał się od ziemi. W tym czasie kpr. Flame, startując na grząskim i miękkim terenie, nie opanował maszyny i rozbił samolot o drzewo. Ponieważ na miejscu było auto z obsługą mechaników, Flame wrócił na lotnisko, gdzie jednak nie zastał już załogi, a jedynie rozkaz ponownego przelotu na Wołyń.

Na wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich 17 września na terytorium Rzeczypospolitej ostatnie ocalałe maszyny 123 Eskadry Myśliwskiej odleciały do Rumunii, natomiast Flame podążał ku granicy rzutem kołowym razem z grupą podchorążych z Dębłina. Prawdopodobnie konwój, w którym znajdował się Flame, ostrzelali 17 września pod Stanisławowem ukraińscy dywersanci. Dlatego żołnierze skierowali się ku granicy węgierskiej, którą przekroczyli 19 września, przechodząc przez Przełęcz Tatarską. Na terytorium węgierskim internowano ich i 24 września 1939 r. osadzono w obozie Nagykáta.

W internowaniu

Rząd Polski na Uchodźstwie pod przewodnictwem gen. Władysława Sikorskiego natychmiast podjął się ewakuacji internowanych żołnierzy do Francji, gdzie tworzone armię polską. W tym celu przy konsulacie polskim w Budapeszcie powołano tajne Biuro Ewakuacyjne o kryptonimie „Ewa”. W operację zaangażowało się brytyjskie Ministerstwo Wojny, któremu zależało zwłaszcza na ewakuacji pilotów. Do końca września 1939 r. przedstawicielstwo polskie w Budapeszcie wytypowało 286 pilotów, których w 14 kontyngentach jeszcze do końca października miano ewakuować. Wśród nich znalazł się również kpr. pchor. Henryk Flame. Każdy z nich otrzymał fałszywy paszport i na jego podstawie miał przedostać się do Aten. Koszt podróży pokrywali w całości Brytyjczycy. Z greckiego portu w Pireusie polskich uciekinierów miał zabierać na pokład brytyjski statek SS „Patris” i dostarczać na Malte, skąd piloci mieli być kierowani do Francji. Pierwszy kontyngent, składający się z 14 pilotów, szczególnie ewakuowano już 4 października 1939 r. Henryk Flame znalazł się dopiero w 12 kontyn-

ZGRUPOWANIE ODDZIAŁÓW LEŚNYCH

 W Zgrupowaniu Oddziałów Leśnych VII Okręgu NSZ od maja 1945 do marca 1947 r. służyło ponad 320 żołnierzy. W tym okresie grupy wypadowe przeprowadziły ok. 340 akcji zbrojnych, skutecznie destabilizując proces wprowadzania komunizmu w regionie, likwidując m.in. komórki PPR, których członkowie, jak za okupacji niemieckiej, byli zmuszeni przejść do konspiracji. W walce poległo ponad 50 partyzantów, 24 zostało rozstrzelanych, a ponad 100 zamordowano podczas operacji „Lawina”.

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ (2)



1. Kadra Zgrupowania NSZ, od lewej: kpt. Henryk Flame „Bartek”, st. sierż. Romuald Czarnecki „Piccolo”, por. Jan Przewoźnik „Rys”. Wiosna 1946 r. 2. Kpt. Henryk Flame „Bartek” w rozmowie ze swoim zastępcą por. Janem Przewoźnikiem „Rysiem” pod gajówką na polanie Przysłop pod Baranią Górą. Wiosna 1946 r.

gencie przeznaczonym do ewakuacji pod koniec października 1939 r.

Ewakuację pierwszych 10 kontyngentów przeprowadzono bez przeszkód. Władze węgierskie, przychylnie nastawione do Polaków, nie kwestionowały fałszywych paszportów, tolerując zorganizowany przerzut za granicę doświadczonych pilotów. Jednak pod silnym naciskiem ambasadora III Rzeszy w Budapeszcie Otto von Erdmannsdorffa, za niepokojonego zaistniałą sytuacją, oficjalne czynniki węgierskie, zwłaszcza Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Oddział II Sztabu Głównego (wywiad), zdecydowały się na kontrakcję, która zbiegła się w czasie z ewakuacją 12 kontyngentu, w którym znalazł się Flame. W konsekwencji przeciwdziałania Węgrów pilotów zatrzymano i odesłano z powrotem do obozu internowania, a ich paszporty zarekwirowano. Wobec zaistniałej sytuacji kpr. Flame postanowił zbiec z obozu na własną rękę, co zrobił prawdopodobnie w listopadzie 1939 r. Po kilku dniach został jednak schwytany, przekazany władzom niemieckim i osadzony w Stalagu XVII A Kaisersteinbruch w Austrii. W obozie jeńckim spędził zimę przełomu lat 1939 i 1940. Kazano

mu tam budować m.in. baraki dla nowych jeńców. W tym czasie Śląsk Cieszyński, gdzie mieszkał Flame, wcielono do III Rzeszy, a jego mieszkańców poddano spisowi, na mocy którego stawali się obywatelami niemieckimi. Flame na podstawie wypełnionego kwestionariusza osobowego, jako mieszkaniec ziem wcielonych do III Rzeszy, prawdopodobnie na wiosnę 1940 r. został zwolniony z obozu i wrócił do domu.

Partyzant i żołnierz NSZ

Po powrocie do Czechowic Flame podjął pracę w parowozowni na dworcu kolejowym w pobliskich Dziedzicach. Od razu włączył się w działalność konspiracyjną. Zorganizował Harcerską Armię Krajową (HAK), w której znaleźli się miejscowi harcerze, którym przewodził przed wojną. Organizacja miała charakter wywiadowczy. Przywdzianie munduru kolejarza ułatwiło przyszłemu „Bartkowi” pracę wywiadowczą. Nawiązał kontakt z placówką Armii Krajowej w Lublińcu, do której dostarczał meldunki m.in. na temat ruchu transportów wojskowych jadących na wschód. Ze względu na represyjną politykę narodowościową pro-

wadzoną przez Niemców na terenach bezpośrednio przyłączonych do III Rzeszy rodzina Flammów przyjęła III grupę volkslisty. Było to zresztą zgodne z polityką prowadzoną przez Rząd Polski na Uchodźstwie, który za pośrednictwem biskupa diecezji śląskiej ks. dr. Stanisława Adamskiego przekonywał, żeby na Górnym Śląsku przyjmować volkslistę w celu uniknięcia zagłady biologicznej. Okres ten tak wspomina siostra Henryka Elżbieta: „Niemcy zaczęli nas dzielić na Polaków i Niemców. My znaleźliśmy się na liście do wysiedlenia. Mama, jak każda matka,

bała się o rodzinę i zaczęła przynaglać do przyjęcia folkslisty III grupy do odwołania. Ja miałam opory, Henryk natomiast orzekł, że to nas może uratować, a on da sobie radę”².

Jesienią 1943 r. zagrożony powołaniem do Wehrmachtu Henryk Flame zaczął się ukrywać. Wcześniej dokonał aktu sabotażu wypuszczając na pełnej parze lokomotywę na obrotnicę kolejową na stacji w Dziedzicach. Zniszczyła ona urządzenie, w konsekwencji czego ruch kolejowy na strategicznym węźle został na kilka dni poważnie ograniczony. Flame w ostatniej chwili wyskoczył z pędzącej już lokomotywy, pozostawiając na miejscu katastrofy kartkę z oświadczeniem, że jest to osobisty protest obywatela III Rzeszy, który zniechęcił Adolfa Hitlera.

Początkowo Flame ukrywał się u znajomych gospodarzy i budował konspiracyjną sieć kwaterunkową. Na skutek częstych obław zbiegł do lasu i wstąpił do oddziału partyzanckiego „Barania Góra” dowodzonego przez pchor. Mariana Wartha de Weydenthała „Urbana”. W oddziale przyjął pseudonim „Grot” i po śmierci dowódcy objął komendę nad kilkusobową grupą. Jego zastępcą został Jan Przewoźnik „Ryś”, ścigany przez Niemców za rozbrojenie na dziedzińskim dworcu żołnierza Wehrmachtu. Gdy Śląsk Cieszyński stał się strefą przyfrontową, oddziały leśne, które działały w masywie Baraniej Góry, zaczęły infiltrować sowieccy dywersanci. Z tego powodu wielu dowódców partyzanckich podjęło współpracę z komunistami, ujawniając swoje struktury. Jedyną niezdekonspirowaną grupą pozostał oddział „Grot”. Wykorzystali to sztabowcy IV Okręgu Krakowskiego Narodowych Sił Zbroj-

nych sondujący sytuację na Śląsku Cieszyńskim. W obliczu sowieckiej ofensywy region ten w planach NSZ stał się bowiem bazą przerzutową na Zachód. Dzięki temu Henryka Flamego „Grot” 28 października 1944 r. oficerowie z ośrodka krakowskiego zaprzysięgli na żołnierza NSZ.

Zgodnie z wytycznymi dowództwa NSZ grupa „Grot” przeczekala przejście frontu w konspiracyjnych kwaterach. W lutym 1945 r. do Dziedzic weszły jednostki Armii Czerwonej, a grupa „Grot” zorganizowała pierwszy posterunek Milicji Obywatelskiej, którego komendantem – wbrew protestom miejscowych komunistów – został Henryk Flame. Taktyka infiltracji organów nowej władzy była zgodna z linią polityczną przyjętą przez podziemie niepodległościowe. Na Śląsku Cieszyńskim NSZ od samego początku infiltrował tworzącą się strukturę komunistycznego aparatu represji, skutecznie paraliżując jego działalność w pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez komunistów.

W lesie

W maju 1945 r. Flame otrzymał informację, że komuniści chcą go aresztować. Zdezertował zatem 5 maja i z całą obsadą posterunku uciekł do lasu. Dowództwo NSZ było przygotowane na to; także Flame, gdy był komendantem posterunku, gromadził broń i amunicję. Okoliczna ludność przynosiła na posterunek poniemieckie uzbrojenie z pól bitewnych, a Flame skwapliwie ukrywał je w zamaskowanych arsenałach. „Grot” po ucieczce do lasu zmienił pseudonim na „Bartek” i zaczął tworzyć zręby oddziałów leśnych. Pierwsze obozowisko leśne założył na Wzgórzu Rastocznym pod Baranią Górą. Pierwszą akcją zbrojną przeprowadził 13 maja 1945 r. Oddział dowodzony przez ppor. Jana Przewoźnika „Rysia” rozbił posterunek MO i placówkę UBP w Zabrzegu. W starciu, po obu stronach, byli pierwsi zabici. W tym samym czasie w Gliwicach powołano VII Okręg Śląski NSZ, którego główną siłą zbrojną został oddział „Bartka”. W październiku 1945 r. bezpośredni przełożony „Bartka” por. Jerzy Wojciechowski „Jerzy” „Om” ze sztabu VII Okręgu zredagował wytyczne dla oddziałów leśnych NSZ, które w formie rozkazu odczytano żołnierzom Flamego:

„Ślubujemy! Nie złożyć broni, ani zaprzestać walki, dopóki banda bolszewicka nie ujdzie z naszego kraju, a wraz z nią wszyscy jej służalcy i hołdownicy”³.



FOT. TOMASZ GRENIUCH

*Ryngraf
z Matką
Boską
Czesłochowską,
należący
do Henryka
Flamego*

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



**Henryk Flame „Bartek”
zastrzelony
w Karczmie
„U Czyłoka”
w Zabrzegu,
1 grudnia
1947 r.**

Jednocześnie por. „Om” wezwał wszystkie luźne dotychczas grupy w terenie do podporządkowania się jednolitemu dowództwu.

„Bartek”, zgodnie z wytycznymi, podzielił rozrastający się oddział na pięć drużyn Akcji Specjalnej, które zeszyły w doliny przygotowując się do zimy. W tym czasie „Bartkowi” podporządkował się liczący ponad 50 żołnierzy Samodzielny Oddział Leśny im. „Szarego” dowodzony przez ppor. Antoniego Bieguna „Sztubaka”. „Bartek” meldował przełożonym, że pod rozkazami ma już 100 partyzantów. Dowództwo VII Okręgu NSZ planowało zmniejszyć stany zbyt licznych ich zdaniem oddziałów leśnych, przerzucając części ludzi do miejsca stacjonowania Brygady Świętokrzyskiej w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Pierwszą próbę przerzutu podjęto już we wrześniu 1945 r. „Bartek” sprzeciwił się jednak tym planom, a pomysł ostatecznie upadł w styczniu 1946 r., gdy on utracił kontakt z przełożonymi.

Komendant

„Bartek” zdany na własne doświadczenie, jako zawodowy oficer, mianowany przez dowództwo NSZ na stopień porucznika, wiosną 1946 r. zaczął tworzyć na Śląsku Cieszyńskim wielostopniową strukturę konspiracyjną o charakterze wojskowym, której komuniści nie mogli rozbić obławami. Utworzył sztab partyzancki, koordynujący działania grup wypadowych – mobilnych kilkunastoosobowych

oddziałów operujących w dolinach, te z kolei dzieliły się na „piątki bojowe”, tzw. sekcje. W kulminacyjnym momencie w dolinach działało jednocześnie 12 grup wypadowych, w których walczyło ponad 220 żołnierzy, dobrze umundurowanych, uzbrojonych i wyszkolonych. „Bartek” duży nacisk stawiał na wyszkolenie rekrutów. Werbowano przede wszystkim ludzi mających doświadczenie bojowe. W grupach wypadowych znajdowało się kilkunastu dezertów z formacji mundurowych MO, Wojsk Ochrony Pogranicza i Wojska Polskiego, kilku żołnierzy przed wojną odbyło zasadniczą służbę wojskową, a największą grupę partyzantów z przeszkoleniem wojskowym ze względu na specyfikę regionu i jego mieszkańców stanowili żołnierze Wehrmachtu. Byli to przeważnie dezertery, którzy po odbyciu szkolenia i wysłaniu na front przechodzili na stronę aliantów i po wojnie wracali do domów. Żołnierze byli uzbrojeni w broń maszynową niemiecką i zdobywaną w rozbijanych posterunkach MO i umundurowani w battle dressy, które żołnierze NSZ rekwirowali u repatriantów z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Zgrupowanie Oddziałów Leśnych VII Okręgu NSZ posługiwało się własnym godłem – była to tarcza z białym orłem w koronie na czerwonym polu z wpisanym monogramem NSZ w rogach tarczy, pod godłem znajdowały się skrzyżowane gałązki jodły. Taką naszywkę z tarczą żołnierze nosili na lewym rękawie munduru na wysokości ramienia. Partyzanci na piersi przypinali ryngrafy

maryjne, a w wojskowe czapki wczepiali pióra sokoła bądź głuźca.

Komendantem wszystkich grup był oczywiście por. Henryk Flame „Bartek”, a członkami sztabu ppor. Jan Przewoźnik „Ryś” – zastępca dowódcy, st. sierż. Józef Machaj „Sęp” – szef Akcji Specjalnej i st. sierż. Józef Kołodziej „Wichura” – szef ds. propagandy i informacji, do którego zadań należało redagowanie ulotek antykomunistycznych.

Komendant „Bartek” zorganizował 3 majaw 1946 r. uroczysty apel podległych mu oddziałów, który postanowił zwieńczyć demonstracją siły NSZ. Pod szczytem Baraniej Góry, na polanie Przysłop stanęło niemal 200 żołnierzy. Por. Flame w przemowie podkreślił, że walczą o wielką narodową i katolicką Polskę, a zwycięstwo jest blisko. Następnie oświadczył: „Zamanifestujemy naszą wolę służenia Ojczyźnie w dniu Święta Królowej Polski”⁴.

Po uroczystym obiedzie żołnierze zeszli do Wisły prowadzeni przez ppor. Jana Przewoźnika „Rysia”, zastępcę komendanta, dosiadającego konia. Sam „Bartek” pozostał w obozie pod Baranią Górą, gdzie czekał na raport. Tymczasem ponad 70 partyzantów przeszło w marszu ubezpieczonym pod willę „Niespodzianka” w Wiśle, gdzie ppor. „Ryś” przeprowadził przegląd grup. Po drodze mieszkańcy wręczali partyzantom kwiaty, a konia ppor. „Rysia” ozdobiono wieńcem. Pozostali żołnierze, pod dowództwem ppor. „Sztabaka”, stanowili obstawę przemarszu, odcinając drogi dojazdowe do miasteczka. Komuniści nie interweniowali, ponieważ zaskoczyła ich defilada. Tajni współpracownicy nie donieśli w porę o koncentracji zgrupowania. Była to zasługa wzmożonej aktywności grup wypadowych, zwłaszcza „Śmiertelnych”, „Burza” i „Błyskawica”, które swymi akcjami sparałizowały komunistów w regionie. Akcje wykonywane były niemal codziennie, a ich cel stanowili: zidentyfikowani członkowie PPR, konfidenci i byli współpracownicy gestapo, których karano chłostą, a w uzasadnionych przypadkach likwidowano. Na mocy wyroków Sądu Organizacyjnego NSZ zastrzelono ok. 60 renegatów.

Dru ga koncentracja

Pod koniec lipca 1946 r. w masywie Baraniej Góry odbyła się druga koncentracja NSZ, na którą przybyło ponad 120 partyzantów. Przemówił wówczas do nich ks. mjr Rudolf Marszałek „Opoka”, kapelan zgrupowania. Był on kurierem. Z Brygady Świętokrzyskiej NSZ przywiózł m.in. rozkazy nominacyjne. „Bartek” otrzymał stopień kapitana, a „Ryś” porucznika. Do obozu „Bartka” 7 sierpnia 1946 r. łącznik przyprowadził rzekomego przedstawiciela dowództwa NSZ, z którym kontakt zerwano już w styczniu 1946 r., „kpt. Lawinę”. W rzeczywistości był to funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego por. Henryk Wendrowski. „Kpt. Lawina”, powołując się na bezpośrednich zwierzchni-

ków „Bartka”, wydał rozkaz o przerwaniu żołnierzy NSZ na Zachód. Kpt. Flame podporządkował się rozkazom i we wrześniu przystąpiono do operacji „Lawina”. Niestety, on nie mógł wiedzieć, że ta prowokacja w istocie nazywała się Operacją „B” i przygotowało ją Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a nadzorowało NKWD. Od 6 do 26 września 1946 r., w trzech transportach, z okolic Wisły wyjechało pod Grodków i Barut na Opolszczyźnie łącznie ponad 100 żołnierzy NSZ. Wszystkich zamordowano. Pierwszą grupę rozstrzelano na sposób katyński, dwie kolejne grupy zabito, wysadzając zaminowane budynki, w których żołnierze NSZ byli zakwaterowani. Likwidację partyzantów miała przeprowadzić specjalna jednostka NKWD, a kordon ochronny stanowiła wyselekcjonowana grupa 80 funkcjonariuszy UBP i MO.

Śmierć „Bartka”

„Bartek”, który o losie swoich podkomendnych dowiedział się od zbiegłego z pierwszego transportu partyzanta Andrzeja Bujoka „Jędrka”, zaszył się w leśnych bunkrach, mając do dyspozycji kilka grup wypadowych. W grudniu w serii obław rozbito ostatnie grupy wypadowe NSZ. W wigilię Bożego Narodzenia 1946 r. UBP i wojsko przeprowadziły obławę na leśny bunkier „Bartka”. Komendant wyrwał się z obławy i schronił się w bunkrze wybudowanym przez współpracowników NSZ. Spędził w nim całą zimę i ujawnił się z resztą podkomendnych w marcu 1947 r.

Kpt. Henryka Flamego zamordował 1 grudnia 1947 r. w Zabrzegu pod Czechowicami milicjant Rudolf Dadak, prawdopodobnie z inspiracji katowickiego UBP. Stało się to w karczmie, do której Flamego przywieźli tajni współpracownicy bezpieki. W lokalu wśród gości znajdowali się uzbrojeni funkcjonariusze UBP i MO. Obecność Dadaka nie była przypadkowa. Milicjant był krewnym renegatem, na którym NSZ miał wykonać wyrok śmierci. Wykorzystali to funkcjonariusze UBP, którym zależało na doprowadzeniu do konfrontacji. Krótko po godz. 23.00 pijany Dadak zastrzelił „Bartka”. Komunistyczny sąd szybko zatuszował sprawę, a mocodawcy wyroku zatroszczyli się o milicjanta. U mordercy zdiagnozowano niepoczytalność i po półrocznym pobycie w szpitalu psychiatrycznym wrócił do służby i został przeniesiony na wyższe stanowisko. ■

TOMASZ GRENIUCH, doktorant historii, specjalizuje się w zagadnieniach związanych z narodowym podziemiem niepodległościowym po 1944 r., autor publikacji, m.in. *Król Podbeskidzia – biografia kpt. Henryka Flame, Pod komendą Bartka, Natal 1899–1900 i Śmiertelni. Historia oparta na faktach*. Publicysta kwartalnika „Wyklęci”.

¹ M. Gałęzowski, *Orleń Warszawa. Organizacja Orleń Związku Strzeleckiego w Warszawie. Działalność przedwojenna, konspiracyjna i losy powojenne*, Warszawa 2009, s. 96.

² E. Piwowar, *O bracie Henryku Flame ps. „Bartek”*, w: B. Jędrzejec, *Walka i pamięć. Przyczynek do dziejów najnowszych Zagłębia i Śląska*, Rybnik 2008, s. 197.

³ Fotokopia rozkazu wydanego przez dowództwo śląskiego okręgu NSZ, w: J. Kantyka, *Na tropach „Bartka”, „Mściciela” i „Zemsty”*, Katowice 1984, s. 39.

⁴ D. Suchorowska, *Najdłużej stawiali zbrojny opór. Zbrojne podziemie na Podbeskidziu 1945–1950*, Kraków 1993, s. 26.

Operacja „Lawina” była największą pod względem liczby ofiar zbrodnią UBP. Dla ubowców było to rozwiązanie szybkie i ostateczne. Dla rodzin partyzantów NSZ – dziesiątki lat życia bez informacji o tym, co się stało z ich najbliższymi.

MACIEJ NOWAK

Maria Byrdy ze Szczyrku miała dziewięć lat, gdy po raz ostatni widziała brata. Dziewiętnastoletni Jan walczył w partyzantce. Pewnej wrześniowej nocy w 1946 r. przyszedł do domu w wojskowym mundurze, by pożegnać się z rodzicami. Wyjeżdżał na Zachód. Chłopak wziął bochenek chleba i wyszedł. Maria Byrdy już nigdy więcej go nie zobaczyła.

Antoni Walczak ze Szczyrku też nie znał losów brata – Jakuba. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, było to, że brat wyjechał w tym samym czasie ciężarówką na Zachód. O tym, co się później działo, nie wiedział przez długie lata.

Podobne historie może opowiedzieć wiele rodzin z Ciśca, Milówki, Szczyrku czy Węgierskiej Górki. To miejscowości położone wokół Baraniej Góry. Jej zbocza dawały schronienie młodym ludziom, którym nie było po drodze z komunistycznym reżimem, który rozpoczynał panowanie w Polsce na długie lata. Las świetnie kamuflował partyzanckie bunkry i obozowiska. Można się było wtopić w zieleń, uciekając przed oblawą sił bezpieki. Las dawał też możliwości nieskrępowanego kontaktowania się z łącznikami, którzy przynosili chleb i opowiadali o tym, co słychać w wioskach.

W lasach na Podbeskidziu

Jan Byrdy i Jakub Walczak byli żołnierzami oddziału Narodowych Sił Zbrojnych, którym dowodził kpt. Henryk Flame „Bartek”. Lasy na Podbeskidziu pełne były młodych, którzy w ten sposób ratowali się przed pojmaniem przez

funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. „Bartek” miał pod komendą 350 ludzi. Byli dobrze uzbrojeni, zdeterminowani i mieli poparcie mieszkańców Podbeskidzia. Stanowili poważną siłę i mocno dawali się we znaki władzy, która wprowadzała w Polsce nowy ustrój. Zimą schodzili do wiosek i nikt ich nie denuncjował. Mieszkańcy wspierali ich nie tylko udzielając schronienia, lekarstw i żywności, ale także służyli informacjami o ruchach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Podbeskidzkie zgromadzenie NSZ operowało w powiatach: żywieckim, bielskim, cieszyńskim i pszczyńskim. Były to tereny trudno dostępne, góryste, zalesione, co sprzyjało partyzantom. Żołnierze noszący na mundurach ryngrafy z Matką Boską rekrutowali się z miejscowej ludności. Współpracowało z nimi ponad 100 łączników, którzy dostarczali żywność do sztabu. Dojście do obozowiska, w którym stacjonował Henryk Flame, bez ich pomocy byłoby niemożliwe. Większość łączników nie znała całej trasy, tylko poszczególne odcinki. Dlatego, by dotrzeć do „Króla Podbeskidzia”, jak nazywano „Bartka”, trzeba było korzystać z pomocy kilku osób.

Na celowniku partyzantów byli głównie funkcjonariusze UBP oraz konfidenci. Początkowo wobec najaktywniejszych stosowano groźby i ostrzeżenia. Jeśli to nie pomagało, represje zastrzano, do wykonywania wyroków śmierci włącznie. „Bartek” zalecał bezwzględne obchodzenie się z ubowcami. Za współpracę z organami nowego systemu groził wyrok wydany przez

ZABIĆ

ZASYPAĆ ZAPOMNIEĆ

Polana w Barucie. Obok krzyża widoczne są fundamenty stodoły, w której wysadzono żołnierzy „Bartka” z trzeciego transportu.

FOT. MACIEJ NOWAK

partyzancki sąd. Oddziałowi „Bartka” przypisuje się ok. 70 wykonanych wyroków i ok. 300 akcji zbrojnych.

Z czasem jednak UBP, Milicja Obywatelska i żołnierze z KBW coraz bardziej osaczali grupę „Bartka”. Organizowali obławy, wyłapywali łączników i posyłali ich do więzień. Partyzanci stanęli przed dylematem: czy zostać i dać się złapać, czy wyjechać jak najdalej. Wybrali wyjazd na Zachód.

Pojawienie się „Lawiny”

Grupa „Bartka” była niebezpieczna i dlatego ówczesna władza za wszelką cenę dążyła do jej likwidacji. Bezpieka starała się pozyskać współpracowników, którzy mieli dostarczać informacje o składzie i miejscu działania grupy. Do jesieni 1945 r. operacje UBP natrafiały jednak na poważne trudności wynikające ze słabego rozeznania w terenie. Utrudniało je silne poparcie miejscowej ludności dla partyzantki antykomunistycznej. Te czynniki nie dawały nadziei na sukces. Grupa „Bartka” do połowy 1946 r. nie doznała poważniejszych strat. Pierwszymi znaczącymi sukcesami UB mogło się pochwalić dopiero latem 1946 r. Do walki z partyzantami komuniści rzucili wtedy ponad 500 funkcjonariuszy UB i żołnierzy KBW.

Kpt. Flame od dawna czekał na kontakt z przełożonymi. Stracił go kilka miesięcy wcześniej po fali aresztowań, która objęła śląską komendę NSZ. W grudniu 1945 r. aresztowano jednego z głównych łączników. Kilka dni później w ręce UBP trafił Jerzy Wojciechowski „Om”, stojący na czele VII Okręgu NSZ. Wpadł zaraz po tym, jak wrócił z Monachium i... zniknął bez śladu. Te wydarzenia, a także rozbięcie struktur partyzantki w Wielkopolsce wprowadziły chaos w NSZ. UBP zdobyło tyle informacji na temat grupy Flamego, że w kwietniu 1946 r. rozpoczęło akcję kontrolnego rozpracowania pod kryptonimem „Przestępcy”. Akt tej sprawy do dzisiaj nie udało się odnaleźć.

Rozbity sztab Okręgu Śląskiego NSZ w Gliwicach znalazł się pod pełną kontrolą UBP. Na jego czele stanął mjr „Górny” lub „Łamigłowa” – takimi pseudonimami się posługiwał. W rzeczywistości Kazimierz Zaborski był agentem UBP. Zwerbowanie go stało się dla ubowców tak wielkim sukcesem, że meldowali o nim w raporcie przesyłanym do Moskwy, wprost na biurka szefów NKWD.

Henryk Wendowski, występujący pod pseudonimem „Lawina”, pojawił się w strukturach narodowej konspiracji na Górnym Śląsku prawdopodobnie już pod koniec 1945 r. Wprowadzono go do Rady Politycznej Okręgu Śląskiego NSZ. Wiosną następnego roku, podając się za organizatora pracy konspiracyjnej, przeniknął do środowiska opozycyjnego w Gliwicach. W lipcu 1946 r. kpt. Franciszek Wąs „Warmiński”, były szef Wydziału I Okręgu Krakowskiego NSZ, przekazał Wendowskiemu kontakt do dwóch osób, które znał jeszcze z konspiracji antyhitlerowskiej: Karola Krybelta i Jana Kwiczałę „Emila”, jednego z najbliż-



szych łączników „Bartka”. Cenny był zwłaszcza „Emil”, który wstępując w szeregi NSZ w 1944 r., składał przysięgę przed „Warmińskim”, a później sam odbierał przysięgę od „Bartka”. Dalej droga kpt. „Lawiny” na Baranią Górę była już prosta.

„Lawina” po nawiązaniu kontaktu z „Bartkiem”, aby się uwiarygodnić, powiedział, że ma swoich ludzi w aparacie bezpieczeństwa w Katowicach. Zapowiedział, że będą organizowane obławy na partyzantów. Podał gdzie i kiedy. Informacje potwierdziły się. Dzięki nim partyzanci zdążyli przenieść się i uniknąć schwytania. Do obław rzeczywiście dochodziło, ale były one tylko pozorowane. Tydzień po pierwszej wizycie na Baraniej Górze „Lawina” przekazał „Bartkowi” paczkę z lekarstwami i list z instrukcjami. Na przełomie sierpnia i września wprowadził do gry jeszcze jednego funkcjonariusza UB – Czesława Krupowiesia, który wstępował pod konspiracyjnym pseudonimem „por. Korzeń”. Dalej wszystko poszło zgodnie z planem opracowanym przez UB.



2

1. Bracia Alojzy i Antoni Wiznerowie („Lis” i „Brzoza”) zostali skazani przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach na karę śmierci i straceni w styczniu 1947 r.

2. Jan Przewoźnik „Rys”, zastępca „Bartka”, został zastrzelony przez funkcjonariusza UBP Czesława Gęborzkiego na miejscu egzekucji pierwszego transportu.

Trzy transporty

To właśnie „Lawina” zaproponował żołnierzom wyjazd na Zachód. Przekonywał, że wobec nasilonych obław UB jest to dla nich najlepsza alternatywa. Partyzanci najpierw mieli pojechać na Opolszczyznę na nocleg, później w okolice Jeleniej Góry. Stamtąd już łatwiej było dostać się do Europy Zachodniej.

W obliczu coraz trudniejszej sytuacji, nie bez namysłu i dylematów, część partyzantów zdecydowała się na wyjazd. Organizację transportów wziął na siebie „Lawina”. Prosił tylko „Bartka” o zawieszenie wszelkich akcji zbrojnych do momentu wyjazdu, by dodatkowo nie drażnić sił bezpieczeństwa. Obiecał dostarczyć amunicję, pieniądze i leki. Ustalono terminy i szczegóły przerzutów. Pierwszy wyjazd odbył się na początku września 1946 r. Następne w kilkudniowych odstępach. Organizator załatwił amerykańskie ciężarowe studabackery, na podwójnych kołach, przykryte plandekami. Na dwie ciężarówki wsiadła pierwsza grupa partyzantów – ok. 70 osób. Ludzie z oddziału „Bartka” ubrani byli w krótkie bluzy, w kolorze khaki. Na głowach mieli

rogatywki lub berety z orzełkiem, a na rękawach mundurów naszytki NSZ.

Konwój ruszył w stronę Wrocławia. Na pierwszy nocleg partyzanci zatrzymali się w sąsiedztwie poniemieckiego lotniska, nieopodal Starego Grodkowa, leżącego na granicy województw opolskiego i dolnośląskiego. Nocleg przygotowano im w budynku z klinkierowej cegły. Gdy przyjechali, w jednym z pomieszczeń stał już stół. W dwóch innych wyłożono słomę. Gospodarze przygotowali też pięć litrów wódki oraz chleb. Żołnierze spali, a wartownik pilnował drzwi. Gdy zaczynało świtać, został zaszytetyłowany fińskim nożem. Przez okna do budynku wpadły granaty. Partyzanci nie mieli szans. Teren wokół posiadłości był otoczony. Schwymano wszystkich. Kazano im rozebrać się do naga. Pojedynczo prowadzono nad brzeg wykopu. Strzał w tył głowy nie dawał żadnych szans na przeżycie. Do grobu jeden z oprawców wrzucił aluminiowe, żołnierskie blaszki, tzw. nieśmiertelniki. Były już wcześniej przygotowane, dokładnie tyle, ilu było zastrzelonych. Zrobiono to po to, by utrudnić dochodzenie prawdy tym, którzy kiedyś mogliby natknąć się na mogiły.

Drugi transport partyzantów „Bartka” wyruszył spod Baraniej Góry kilka dni później. Mogło w nim jechać ok. 30 osób. Gdy dotarli w okolice poniemieckiego lotniska pod Grodkowem, rozlokowano ich w drewnianym baraku, stojącym na skraju lasu. Nie wiedzieli, że pod barak podłożono miny przeciwczołgowe. Nad ranem doszło do eksplozji.

Po latach tylko jeden z mieszkańców okolicznych miejscowości – Mieczysław Bator – opowiedział, że we wrześniu 1946 r. słyszał nad ranem eksplozję i serię z karabinu maszynowego. Gdy po dwóch dniach poszedł na miejsce, zobaczył tylko zburzony barak i dym, który jeszcze unosił się nad pogorzeliem.

Trzeci transport żołnierzy NSZ wyjechał pod koniec września, kilka dni po drugim. Tym razem dotarł na granicę województw opolskiego i śląskiego do miejscowości Barut. Ciężarówkami jechało co najmniej 60 osób. Mieszkańcy wioski Barut byli zdziwieni widokiem wielkich aut, które przejeżdżały przez wieś w stronę lasu, gdzie na uroczysku Hubertus stała murowana owczarnia. Dostrzegli jedynie, że ciężarówki załadowane były ludźmi w mundurach, w wojskowych czapkach na głowach. Gdy nad ranem mieszkańcy przygotowywali się do prac w polu, ciszę rozerwał potężny huk. Odgłos wielkiej eksplozji przybiegł od



1



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W KATOWICACH (4)

1. Legitymacja żołnierza NSZ Edwarda Michalika „Kanara”.
2. Romuald Czarnecki „Pikolo” zastrzelony podczas starcia z siłami bezpieczeństwa w Czechowicach-Dziedzicach w lipcu 1946 r.



FOT. MACIEJ NOWAK (3)

Szczątki ponad 20 młodych mężczyzn wydobyte z szamba w ruinach pałacu w pobliżu miejscowości Dworzysko, w którym po wojnie placówkę miał UBP. Nie można wykluczyć, że są to szczątki żołnierzy „Bartka” z pierwszego transportu.

strony lasu. Chwilę później zaczęto strzelać, seriami. Nikt nie odważył się podejść do polany, gdyż była otoczona drutem kolczastym. Niektórzy, z kilkuset metrów, dostrzegli jedynie mężczyzn ubranych w bluzy funkcjonariuszy UBP. Wrzucali oni do ogniska strzępy odzieży i fragmenty ciał. Ogień palił się w odległości 10 m od ruin owczarni. W okolicy unosił się mdły zapach, charakterystyczny dla palonych ciał. Oprawcy z UBP zakopywali też ludzkie szczątki.

Gdy po kilku dniach mieszkańcy Barut poszli do lasu, zobaczyli obrazy, które zapamiętali do końca życia. Widzieli kawałki ciał, porozrywane ubrania, czapki rogatywki z orłem w koronie i gwiazdkami. To zdarzenie wywarło na nich wstrząsające wrażenie. Niektórzy nie przyznawali się w domach do tego, co zobaczyli. Lu-

dzie jeszcze długo znajdowali kości w lesie. Zbierali je i zakopywali.

Z końcem września transporty się skończyły, a „Lawina” i „Korzeń” już się więcej nie pojawili na Baraniej Górze.

Poszukiwania prawdy

Przebieg wywozu partyzantów nie jest dokładnie znany. Akcja mogła trwać od 5 do 25 września 1946 r. Nie wiadomo dokładnie, ile osób wywieziono. Według różnych szacunków mogło to być od 100 do 158 osób. Czy były trzy transporty, czy więcej? Po ile osób wsiadało na ciężarówkę? Gdzie są masowe mogiły? Nie znamy dziś żadnego dokumentu UBP, który opisywałby rzeczywisty przebieg morderczej akcji.



Broń, amunicja i ryngraf zarekwirowane przez UBP braciom Wiznerom.

Pewne jest tylko, że partyzanci nie dotarli na Zachód. Nigdy nie napisali listów do bliskich i nie dali znaku życia. Ich rodziny przez prawie 70 lat nie wiedziały nic o ich losie. Prawda zaczęła wychodzić na jaw dopiero po przełomie 1989 r. I nadal jest odkrywana.

Śledztwo w sprawie mordu w Barucie prowadziła Prokuratura Rejonowa w Gliwicach. Potwierdziła, że takie zdarzenie miało miejsce, ale nie ustaliła, ani kto zginął, ani kto mordował. Drugie śledztwo wszczęła Prokuratura Wojewódzka w Opolu. Dotyczyło ono „Zbrodni zabójstwa dokonanej przez funkcjonariuszy byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na członkach Narodowych Sił Zbrojnych ze zgrupowania «Bartka», jesienią 1946 r. w okolicach Łambinowic”. Podstawą wszczęcia sprawy były zeznania złożone przez byłego funkcjonariusza UBP Jana Zielińskiego, który był świadkiem zbiorowej egzekucji.

Dzięki nim wiemy, jak wyglądała część akcji. Zieliński, który przebywał wówczas w domu pomocy społecznej w Chorzowie, postanowił napisać do prokuratury list, w którym stwierdził, że ma informacje na temat zbrodni popełnionych przez UBP. Nie wiadomo, jakie były jego intencje: czy ruszyło go sumienie, czy też chciał się postawić w lepszym świetle, w razie gdyby sprawa i tak wyszła kiedyś na jaw. Opisał siebie jedynie jako świadka wydarzeń, a nie jako czynnego uczestnika.

Minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski w styczniu 1993 r. uchylił klauzulę tajności dokumentów, zwolnił również z zachowania tajemnicy służbowej funkcjonariuszy UB. Ci jednak nie chcieli podzielić się swoją

wiedzą z prokuratorem. Mówili przeważnie, że nie brali udziału w akcji, nie pamiętają, bo to było dawno, albo w ogóle nic im nie wiadomo na temat oddziału „Bartka”.

Opolska prokuratura jeździła z Janem Zielińskim w teren, próbując odnaleźć miejsca, w których znajdują się masowe mogiły. Bez skutku. Nie pozostało nic innego jak umorzyć śledztwo, co nastąpiło 30 grudnia 1993 r. Nie udało się ustalić liczby zamordowanych, miejsca dokonania zbrodni, mogił oraz nazwisk i pseudonimów zamordowanych. Nikomu nie udało się też postawić zarzutów. Część odpowiedzialnych nie żyła, inni wyjechali z Polski. Dowody były za słabe, by zarzucać komukolwiek tak poważną zbrodnię.

To jednak nie był koniec dochodzenia do prawdy. Osiem lat później akta przejął katowicki Instytut Pamięci Narodowej. Połączył wątek opolski i gliwicki. Uznał, że we wcześniejszych postępowaniach „nie wyczerpano wszelkich możliwości dowodowych zmierzających do ustalenia sprawców zbrodni, jak i osób pokrzywdzonych”. Prokuratorowi Piotrowi Nalepie, który prowadził śledztwo w IPN, udało się opisać mechanizm zbrodni. Odpowiedzialnych za morderczą operację należało szukać przede wszystkim w MBP. To tam zapadły kluczowe decyzje. Rozkaz wydał wiceminister Roman Romkowski. Opowiedział o tym w trakcie zeznań sam Henryk Wendrowski, czyli „kpt. Lawina”. Mógł bez konsekwencji obciążyć Romkowskiego, bo ten zmarł w 1965 r. Realizację akcji przekazano Wojewódzkiemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach.

Ze swojej działalności Wendrowski vel. „Lawina” pisał raporty, które składał w MBP w Warszawie. Opisał jak wkraść się do oddziału „Bartka” i jak dwukrotnie odwiedził obozowisko partyzantów. Szczegółowe sprawozdania urywają się jednak kilka dni przed pierwszym przerzutem partyzantów. Realizacja zbrodniczego planu nie została nigdzie opisana. A jeśli nawet taki dokument powstał, to nigdy go nie odnaleziono.

Henryka Wendrowskiego w 1960 r. przeniesiono z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Za ofiarą pracę na rzecz zwalczania wrogów PRL-u nagrodzono go stanowiskiem ambasadora w Kopenhadze. Po przejściu na emeryturę mieszkał w Warszawie. Zmarł w 1997 r.

Sprawcy bez zarzutów

Pracownicy IPN podczas śledztwa wielokrotnie poszukiwali w terenie masowych mogił. Bez ▶

ZAPOMNIEĆ

efektu. W końcu, gdy 2 lipca 2009 r. prokuratorzy i archeolodzy po raz kolejny wrócili na polanę Hubertus w Barucie, pod małym krzyżem, stojącym na fundamentach dawnej stodoły, udało się wykopać troki, sprzączki i podeszwy butów. Najcenniejszym znaleziskiem była jednak kość. Był to pierwszy materialny dowód na to, że na polanie miało miejsce zdarzenie, o którym opowiadali mieszkańcy Barutu.

Prokuratorom IPN udało się przesłuchać 21 żyjących jeszcze członków zgrupowania NSZ, a także 47 najbliższych członków rodzin podkomendnych „Bartka”. Ustalono część nazwisk funkcjonariuszy UBP, którzy brali udział w akcji „Lawina”. Prokurator Nalepa po prawie 10 latach musiał umorzyć śledztwo. Na 40 stronach uzasadnienia wymienił potencjalnych podejrzanych. „Potencjalnych”, ponieważ nigdy nie usłyszeli oni zarzutów udziału w zbrodni komunistycznej stanowiącej zbrodnię przeciw ludzkości.

Zamknięcie śledztwa nie zakończyło jednak poszukiwania miejsc, w których spoczęli partyzanci. Na poniemieckie lotnisko w Starym Grodkowie dotarli ludzie związani z miesięcznikiem „Odkrywca”, współpracujący z emerytowanym prokuratorem Wiesławem Nawrockim. Nawrocki, pracując w opolskiej prokuraturze, prowadził poszukiwania, jeździł z Zielińskim w teren. Po przejściu na emeryturę sprawa nie dawała mu spokoju.

Polana śmierci

Na leśnej polanie odkryli przedmioty wskazujące na to, że tutaj mogą znajdować się mogiły partyzantów NSZ. „Kopiąc powierzchniowo natrafiliśmy na łuski i sprzączki od battle dressu, kawałek blachy z napisem «Kraków» oraz niemiecką latarkę, w której była schowana polska gazeta”¹ – mówił Nawrocki.

Później na polanie pojawiła się ekipa prof. Krzysztofa Szwagrzyka, wiceprezesa IPN. Profesor relacjonował w marcu 2016 r.: „Natrafiliśmy na krzyż harcerski, orzełek, a potem ryngraf. Wtedy mieliśmy pewność, że to jest miejsce, którego szukamy. Jednakże wszystkie artefakty, które tam odnaleźliśmy, błędą przy szczątkach ludzkich. To dla nich tu jesteśmy, na tej polanie”. Archeolodzy pod kierownictwem prof. Krzysztofa Szwagrzyka dokonali przełomowego odkrycia. Odnalezione płytkie groby, a w nich nie tylko szkielety,

ale także ryngrafy i orzełki w koronie, które nosili żołnierze NSZ. Okazało się też, że sprawcy nie wykopali dołów. Wykorzystali leje po ostrzale moździerzowym i rów o szerokości 80 cm, w którym ciała ułożono wzdłuż. Wszystko po to, by było trudniej na niego trafić. W masowej mogile odnaleziono także fragmenty szklanych butelek. To potwierdza zeznania Zielińskiego, który mówił o tym, że partyzantom podano na kolację wódkę zaprawioną środkiem odurzającym.

Wykopano szczątki 30 osób. Kości trafiły do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, gdzie prowadzone są prace nad ich identyfikacją. Jest to proces trudny, bo mamy do czynienia ze szczątkami ludzi, którzy zginęli w wyniku eksplozji 70 lat temu.

Bliżej prawdy

Wrzesień 1946 r. był początkiem końca oddziału „Bartka”. Z operacji „Lawina” bez większych strat wyszedł jedynie pododdział dowodzony przez Antoniego Bieguna „Sztubaka”. Doświadczony partyzant od początku podejrzewał, że akcja przerzutu na ziemie zachodnie może być ubecką prowokacją. Chciał nawet zlikwidować „Lawinę” i „Korzenia”, ale nie zgodził się na to „Bartek”.

Akcje partyzantów z Baraniej Góry, choć jeszcze niepokoiły władze, to nie miały już takiego rozmachu. Zimą 1947 r. władze komunistyczne zarządziły wybory do sejmu. W tym czasie partyzanci nie prowadzili już akcji zbrojnych, tylko propagandowe.

Operacja „Lawina” była największą pod względem liczby ofiar eksterminacją podziemia niepodległościowego przez funkcjonariuszy UBP bez jakiegokolwiek postępowania sądowego. Z perspektywy komunistycznych władz było to rozwiązanie szybkie i ostateczne. Z punktu widzenia rodzin – dziesiątki lat życia bez informacji o tym, co się stało z ich najbliższymi.

Teraz jesteśmy już bliżej prawdy. Znałe jest miejsce egzekucji, odnaleziono pierwsze szczątki ofiar. Trwają też prace poszukiwawcze mające na celu ustalenie pozostałych miejsc pochówku wymordowanych żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. ■

MACIEJ NOWAK, dziennikarz, autor m.in. książki *Operacja Lawina. Dzieje przemilczanej zbrodni UB*, reżyser i scenarzysta filmu dokumentalnego *Ziemia przemówiła*.

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z rozmów przeprowadzonych przez Macieja Nowaka.



Kpt. Henryk Wendrowski, który w operacji „Lawina” odegrał kluczową rolę.



FOT. ZBIORY DR. INŻ. ZBIGNIEWA NITY.

Inżynier Maroszek i jego dzieci

Przy konstrukcji broni palnej najistotniejszym zagadnieniem jest stworzenie wydajnego balistycznie układu lufa-nabój. Rozwiązanie tego podstawowego problemu balistycznego w całkowicie nowej konstrukcji świadczy o wysokim poziomie inżynierskim. W naszej historii było niewielu ludzi zdolnych do podjęcia takiego wyzwania, jednym z nich był inż. Józef Maroszek.

PIOTR KOCYAN

Historia tak udanych konstrukcji jak karabin powtarzalny wz. 32, samopowtarzalny wz. 38, czy wreszcie przeciwpancerny kb Ur zaczęła się 13 lipca 1904 r. w Boglewiczach. Wtedy to w chłopskiej rodzinie Oktawiana i Franciszki Maroszków urodził się syn. Na chrzcie otrzymał imię Józef. Rodzice zadbali o dobre wykształcenie chłopca, posyłając go do kolejnych szkół, aż dotarł do klasy maturalnej Gimnazjum Męskiego Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskiego. Józef był uczniem uzdolnionym technicznie: skonstruował m.in. maszynę parową wyko-

rzystując łuskę naboju artyleryjskiego 155 mm. Ten prosty generator parowy wprawił w zachwyt miejscowego nauczyciela fizyki, który skierował zainteresowania młodzieńca ku naukom technicznym.

Wykształcenie

Odrodzona Rzeczpospolita w latach dwudziestych XX w. borykała się z ogromnymi brakami kadrowymi, zwłaszcza w środowisku technicznym. Sytuacja ta była szansą i zarazem wyzwaniem dla pokolenia początku tego stulecia, do którego należał Józef Maroszek. Po ►

zdanym egzaminie maturalnym przyszły konstruktor Ura rozpoczął studia na Wydziale Mechaniczno-Konstrukcyjnym Politechniki Warszawskiej. W ramach Sekcji Uzbrojenia PW Józef Maroszek uzyskał stypendium od Ministerstwa Spraw Wojskowych na przygotowanie projektu uproszczonego technologicznie karabinu powtarzalnego wz. 29, seryjnie produkowanego przez warszawską Fabrykę Karabinów. Podczas studenckiego stażu Maroszek wykonał w fabryce prototyp karabinu oznaczonego później jako KP 32. Broń odznaczała się mniejszą liczbą części składowych i uproszczonym technologicznie zamkiem. Ostatecznie jednak prototyp KP 32 nie trafił do produkcji seryjnej, gdyż w tym czasie Fabryka Karabinów przechodziła restrukturyzację związaną z przeniesieniem produkcji karabinów do nowo powstałej fabryki w Radomiu oraz koniecznością zmiany procesu wytwarzania broni o kluczowym znaczeniu dla polskiej armii. Praca nad prototypem była jednak ważna dla samego konstruktora z uwagi na doświadczenie zdobyte w trakcie jego projektowania.

Dzięki temu projektowi przyznano Józefowi Maroszkowi w 1931 r. tytuł inżyniera, ale co istotniejsze, w owym czasie wypracował sobie odpowiedni warsztat i poszerzył wiedzę z dziedziny balistyki, wytrzymałości materiałów, mechaniki i technologii wytwarzania. Staż w Fabryce Karabinów i próby karabinka KP 32 ujawniły też wyjątkowy talent strzelecki Maroszka. Okazał się on jednym z niewielu inżynierów uzbrojenia na świecie, który był równie skutecznym konstruktorem, co strzelcem.

Konstruktor mechanik

Rok po obronie inż. Maroszek został pracownikiem Instytutu Badań Materiałów Uzbrojenia, a dwa lata później podjął się konkursowego opracowania karabinu samopowtarzalnego dla WP. Tak powstał przyszły kb wz. 38M, dla potrzeb konkursu oznaczony jako kb sp „Turniej”. Po konkursowych te-



Inżynier Józef Maroszek, 1932 r.



FOT. ARCHIWUM PROF. JÓZEFA MAROSZKA JR. (3)



Legitymacja studencka Józefa Maroszka

stach wojsko wskazało do produkcji dwa karabiny: kb sp ES inż. Edwarda Steckego i kb sp „Turniej” inż. Maroszka. Oba spełniały wymagania, ale o wyborze karabinu Maroszka – jak głosi legenda – zadecydowały jego talenty towarzyskie i strzeleckie. Trudno dziś ocenić, czy jest to prawda, niewątpliwie Józef Maroszek zarówno w okresie przedwojennym, jak i powojennym był postacią powszechnie lubianą i do dziś dobrze wspominaną. Imponował też celnym okiem. W trakcie pokazowego strzelania w 1937 r. z wz. 38M dla szefa Komitetu Uzbrojenia MSWojsk. w obecności gen. Kazimierza Sosnkowskiego doszło do sytuacji, którą sam Maroszek tak wspominał: „Nie tylko byłem konstruktorem, ale i strzel-



KARABIN PRZECIWPANCERNY UR

FOT. MWP W WARSZAWIE



FOT. MUZEUM POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

cem wyborowym. [...] Pokaz wypadł imponująco. 10 strzałów, w dużym tempie oddane i do celów porzucanych w terenie, wszystkie z wynikiem dodatnim. [...] Schwycił mnie [gen. Sosnkowski – PK] jak syna ścisnął. Takich nam więcej potrzeba! Serdecznie gratuluje!”¹.

W 1938 r. wypuszczono partię przedseryjną i do września 1939 r. wyprodukowano ok. 150 szt. tego karabinu. Jedyny fakt użycia bojowego we wrześniu 1939 r. dotyczy samego konstruktora, który w czasie ewakuacji instytutu z własnego karabinu wz. 38M zastrzelił pilota i ranił strzelca pokładowego samolotu, który atakował skład pociągu ewakuacyjnego. Ostatnie egzemplarze tej broni skasowano z magazynów LWP w 1963 r. Do dziś zachowało się jedynie kilka sztuk broni tego typu.

Broń na grubego zwierza

Karabinek wz. 38M nie był jedyną konstrukcją z tego okresu, w której projektowanie był zaangażowany inż. Józef Maroszek. Na początku lat trzydziestych młody inżynier gros czasu poświęcał teorii propagowanej przez ppłk. dr. Tadeusza Felsztyna. Ten znany przedwojenny balystyk w owym czasie badał efekt przebijania pancerzy miękkim pociskiem poruszającym się z prędkością ponad 1100 m/s. Instytut Badań Materiałów Uzbrojenia pod wpływem Felsztyna prowadził badania dotyczące sztuców Halgera, które były bronią przeznaczoną do polowań na słonie i nosorożce. W broni tej wykorzystano tzw. efekt Gerlicha. Niemiecki inż. Hermann Gerlich wykazał, że małokalibrowy pocisk o prędkości powyżej 1100 m/s i dużej masie skupionej penetruje twarde materiały wybijając w nich otwory o średnicy stanowiącej trzykrotność kalibru pocisku. Była to w tamtych czasach stosunkowo nowa teoria w dziedzinie broni strzeleckiej, którą w Polsce podjął właśnie ppłk. Felsztyn. Na podstawie tych prac w 1932 r. powstał eksperymentalny karabin kpt. Edwarda Kapkowskiego, co potwierdzało teorię Gerlicha. Główną wadą prototypu była mała żywotność lufy: można było wystrzelić tylko kilkadziesiąt razy i następowało zakleszczanie łusek. Układ lufa-nabój opracowany w instytucie przy współpracy z Fabryką Prochu w Pionkach był ciągle daleki od doskonałości. W tym okresie do prac włączył się inż. Józef Maroszek. Równoległe prace prowadził też inż. Antoni W. Karczewski. Obaj dostali zlecenie wykonania broni przeciwpancernej z zastosowaniem efektu Gerlicha. W tym czasie Państwowa Wytwórnia Uzbrojenia – Fabryka Amunicji w Skarżysku przygotowała do niej amunicję. Inż. Maroszek podjął ryzykowną decyzję o stworzeniu karabinu o małej masie



1. Suwadło wraz z zamkiem w pozycji odryglowanej – występy zamka znajdują się w wycięciach suwadła

2. Występ ryglowy zamka oparty o tylną część okna wyrzutowego

3. Komora gazowa; dobrze widoczna śruba regulatora gazowego

4. Sygnatury na komorze zamkowej – nazwa wytwórni oraz rok produkcji

5. Celownik karabinu samopowtarzalnego wz. 38M – identyczny jak w standardowych karabinach i karabinach systemu Mausera

własnej z wykorzystaniem wysokowydajnego hamulca wylotowego. Utrzymanie niskiej masy narzucało wykorzystanie stosunkowo krótkiej lufy i wysokiego ciśnienia w komorze nabojowej. To rozwiązanie powodowało jednak problemy z wytrzymałością samych łusek i przewodu lufy. Zapadła decyzja o wydłużeniu lufy i obniżeniu ciśnienia maksymalnego i spłaszczeniu krzywej ciśnienia.

FA w Skarżysku u poddostawcy zamówiła wydłużone łuski o dużej objętości i rozpoczęła elaboracje amunicji prochem progresywnym. Za radą Maroszka zwiększono też długość części walcowej pocisku, aby poprawić jego prowadzenie w gwincie lufy. Nowa prototypowa amunicja 7,92x107 mm z pełnopłaszczowym pociskiem ołowianym DS stała się podstawą dla stworzenia nowej lufy. W samym ogólnym układzie konstrukcyjnym Maroszek powielił rozwiązanie głównych mechanizmów z własnego karabinu KP 32 dostosowując go do innego układu lufa-nabój. Przy obliczeniach wytrzymałościowych lufy wykorzystał teorię krótkotrwałego obciążenia w efekcie minimalizując współczynniki bezpieczeństwa. Dzięki temu uzyskał bardzo smukłą i lekką lufę. Hamulec wylotowy reakcyjny jego autorstwa, oszacowany i przebadany, dał efektywne zmniejszenie siły pchnięcia aż o 65 proc. do poziomu mniejszego od standardowego karabinu wz. 29 przy pomiarze na wahadle. Odczuwalne pchnięcie broni pozostało jednak znaczne. Efektem prac inż. Maroszka było wprowadzenie do produkcji seryjnej karabinu wz. 35 Ur w 1937 r.

Karabin ppanc. Maroszka uzyskał przychylność decydentów dzięki dwóm cechom: niskiej masie i stosunkowo prostej konstrukcji. Nawet dziś kb Ur ważący 9,2 kg, który w swoim czasie uchodził za awangardę konstrukcyjną, jest doskonały. Karabin Karczewskiego, którego wykonanie zarzucono na wstępnym etapie, przegrał głównie z powodu wysokiej masy – ponad 16 kg.

Urugwaj to nazwa, która przyłgnęła do nowej konstrukcji. Nazwa tego południowoame-

rykańskiego państwa posłużyła jako kryptonim użyty podczas zamówienia luf na wydziale wierceń, aby ukryć rzeczywistego odbiorcę końcowego. Pozostawał on w produkcji do wybuchu wojny. Szacowana liczba wykonanych sztuk mogła przekroczyć 7 tys., ale wiadomo, że na pewno wykonano 3,5 tys. egzemplarzy.

Kb wz.35 Ur był otoczony szczególną tajemnicą, a jego produkcję rozdzielono między różne wydziały produkcyjne Fabryki Karabinów w Warszawie. Sam konstruktor wielokrotnie zarówno przed, jak i po wojnie powracał do tej konstrukcji. Ostatnie egzemplarze skasowano ze stanu już LWP w 1963 r. Prawdopodobnie były przejęte z odnalezionych po wojnie licznych magazynów Armii Krajowej i podczas rozbrajania podziemia niepodległościowego. Niemcy swoje karabiny sprzedali. Józef Maroszek tuż przed kasacją zrobił ich pamiątkowe zdjęcie, które przechowywane jest w archiwach rodzinnych. Kolejne fotografie przedstawiają konstruktora w jego gabinecie w momencie, kiedy przywieziono mu Ura. Wtedy też podarowano mu oryginalny nabój łuski 7,92 x 107 mm, którego poszukiwał jako pamiątki od czasu zakończenia wojny. Do dziś zachowało się kilkanaście egzemplarzy. Sensacją ostatniego czasu było odnalezienie Ura w jednej z prywatnych kolekcji w Iraku. W internecie znalazły się bowiem zdjęcia nieznanego pochodzenia i niedatowane, które wyglądają na autentyczne.

Czas wojny

Wprowadzenie do produkcji kb Ur pozwoliło inż. Maroszkowi na powrót do prac nad KP 32 oraz badania i tworzenia teorii budowy hamulców wylotowych, z którego to zagadnienia chciał się doktoryzować. Równocześnie w IBMU prowadził prace nad doprecyzowaniem granatnika wz. 36. Doświadczenia z budowy kb wz. 35 Ur spowodowały, że Maroszek stał się ekspertem od wpływu drgań lufy na celność. Wybuch wojny przerwał wszystkie te prace. Inżynier ewakuował się z IBMU na Wołyń.

KARABIN SAMOPOWTARZALNY WZ. 38M

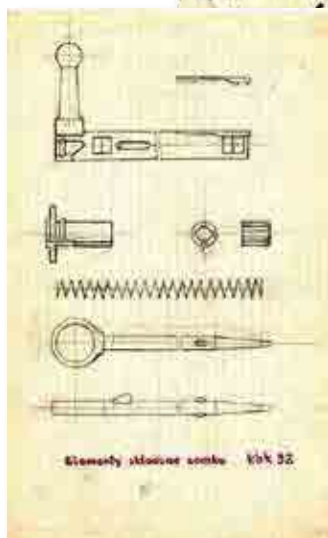


FOT. MUZEUM POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ, ARCHIWUM JÓZEFA MAROSZKA JR.



*W 1964r. w Olsztynie, spotkanie konstruktora zeszytu „
inym przeciwpancernym kal. 72 o $V_0 = 1300 \text{ m/s}$
jektowanym w 1937r.*

Inż. Józef
Maroszek ze swoim
karabinem przeciw-
pancernym



Szkic Józefa Maroszka

Na początku 1940 r. podjęto nieudaną próbę ewakuowania konstruktora do Francji. Pozostał on więc w Warszawie. Pracował kolejno w: Fabryce Wyrobów Żelaznych, Konstrukcji i Ornamentów H. Zieleziński, zakładach Kukiera i Lisowskiego, a do wybuchu powstania warszawskiego był technologiem w firmie Stanisław Krasuski. W tym czasie zajmował się wytwarzaniem elementów broni dla Polskiego Państwa Podziemnego. Produkował m.in. sprężyny oraz przewoził elementy broni i amunicję do punktów przeładunkowych.

Po powstaniu warszawskim znalazł się w obozie przejściowym w Pruszkowie, skąd ewakuował się do rodziny we wsi Sadurki.

Wczesną wiosną powrócił do mieszkania na warszawskim Mokotowie. Kamienica przy ul. Tadeusza Rejtana 3 ocalała. Pałacy się dwukrotnie budynek gasili jego mieszkańcy, którzy przetrwali niemieckie bombardowanie.

W tymże roku powrócił też do pracy w zakładach Kukiera. Pod wpływem prof. Wacława Moszyńskiego rozpoczął pracę dydaktyczną ze studentami. Doświadczenie wojny i okupacji spowodowało radykalną niechęć inż. Józefa Maroszka do

bronioznawstwa, do którego mimo licznych namów nie powrócił. Po wojnie został nauczycielem akademickim, jak sam pisał: „zaczynam doznawać rozmiłowania w dydaktyce, w prowadzeniu prac konstrukcyjnych ogólnego przeznaczenia”². Prowadził w tym czasie na Wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej wykłady i ćwiczenia z rysunku technicznego. Był dwukrotnie prodziekanem do spraw studenckich. W 1975 r. odszedł na emeryturę. W 1979 r. podjął się wykonania ekspertyzy zaworu gazowego, którego awaria doprowadziła do wybuchu w Rotundzie PKO przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie.

Doc. mgr inż. Józef Maroszek zmarł 6 stycznia 1985 r. w Warszawie. Był dwukrotnie żonaty, ale bezdzietny. We wspomnieniach karabiny wz. 38 M i kb ppanc. wz. 35 Ur określał mianem swoich dzieci.

PIOTR KOCYAN, magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w tematyce uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji i produkcji broni w miesięcznikach: „Arsenal” i „W Sieci Historii”.

¹ NAC 33-T-6798.

² M. Dajnowicz, A. Miodowski, T. Wesołowski, *Spółeczeństwo – wojsko – polityka. Studia i szkice ofiarowane Profesorowi Adamowi Czesławowi Dobrońskiemu z okazji 70 urodzin; Wspomnienie o profesorze Politechniki Warszawskiej inż. Józefie Maroszk (1904-1985), konstruktorze karabinów samopowtarzalnych wz. 32, wz. 38 „M” i przeciwpancerne „UR wz. 35,” Białystok 2013, s. 330, cyt. niedatowany w publikacji, <http://hdl.handle.net/11320/411> [dostęp: 27 grudnia 2017 r.].*



GRANATNIK WZ. 36

Samochody

Trudno określić, kiedy pojazdy amerykańskiej marki Cadillac zyskały sympatię Naczelnego Wodza w wojnie Rosji bolszewickiej z Polską. Podczas wyzwania Wilna 19–21 kwietnia 1919 r. Józef Piłsudski jeździł już Cadillakiem.

JAN TARCZYŃSKI

Odtwarzanie historii polskiej motoryzacji z lat II Rzeczypospolitej jest zadaniem trudnym, zważywszy na uszczuplenie zasobów archiwalnych z powodu wypadków dziejowych. Dotyczy to zwłaszcza materiałów źródłowych z dziedziny motoryzacji wojskowej, szczególnie interesujących obu najeźdźców – Niemców i Rosjan we wrześniu 1939 r. Do tej grupy należą przede wszystkim dokumenty o charakterze naukowo-badawczym i konstrukcyjno-produkcyjnym. Zabór archiwaliów dotknął jednak także jednostkę o charakterze usługowym, jaką była utworzona w 1926 r. Samodzielna Kolumna Samochodowa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, obsługująca marszałka Józefa Piłsudskiego jako General-

nego Inspektora i Ministra Spraw Wojskowych. To samo dotyczyło pojazdów służących wcześniej Komendantowi.

Pierwszy był N.A.G.

Pierwszym samochodem Józefa Piłsudskiego, twórcy Legionów Polskich w I wojnie światowej i komendanta ich I Brygady, po przyjeździe do Warszawy z niemieckiego więzienia w Magdeburgu 10 listopada 1918 r., nie był Cadillac, a austro-węgierski N.A.G. z Magistratu m.st. Warszawy. Wóz ten – o numerze rejestracyjnym II – „wydany został 10 listopada 1918 roku do użytku Komendanta Piłsudskiego. Upoważnienie do odbioru wydała Komenda Naczelna Polskiej Organizacji Woj-



LIMUZyna MARszaŁKA

CADILLAC 355D SERIES 30 FLEETWOOD 7 PASSENGERS LIMOUSINE
zamówiony dla marszałka Józefa Piłsudskiego pod koniec 1934 r. po odbudowie zakończonej w listopadzie 2014 r. Ekspонат Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie jest prezentowany w Łazienkach Królewskich w specjalnie zaprojektowanym pawilonie – „kapsule czasu”.

Fot. Zbiory Zbigniewa Nowosielskiego.

Marszałka

skowej (...)”¹. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski używał N.A.G.-a do 28 listopada.

Trudno określić, kiedy pojazdy amerykańskiej marki Cadillac zyskały sympatię Naczelnego Wodza w wojnie Rosji bolszewickiej z Polską. Podczas wyzwolenia Wilna 19-21 kwietnia 1919 r. Józef Piłsudski jeździł już Cadillakiem. W takim samochodzie, z nadwoziem typu landaulet, tj. ze składanym dachem tylnej części zamkniętego nadwozia, przebył kampanię wojenną 1920 r. Był to model „57” z okresu I wojny światowej: duży (rozstaw osi ok. 3600 mm) i ciężki (masa prawie 2 t) z silnikiem ośmiocylindrowym o mocy 70 KM w układzie widlastym, wybrany w Stanach Zjednoczonych do użytku wyższych dowódców. 27 samochodów tego rodzaju, z otwartymi nadwoziami typu torpedo, sprowadzono do Polski w połowie 1919 r. Polska Misja Wojskowa Zakupów nabyła je w maju w amerykańskich składach demobilizacyjnych we Francji.

Według „Wykazu maszyn w bazie samochodowej w Bourg” z 20 sierpnia 1919 r. Polska Misja Wojskowa w Paryżu wysłała do kraju 64 samochody Cadillac, a wśród nich „1 samochód dla Prezydenta do Warszawy”². Trudno określić, czy pod słowem „Prezydent” krył się Ignacy Paderewski, ówczesny prezes Rady Ministrów, tytułowany także „Prezydentem Ministrów”, czy też naczelnik państwa Józef Piłsudski, de facto polski prezydent. Należy przypuszczać, że określenie to dotyczyło naczelnika państwa, gdyż premier Ignacy Paderewski zabrał do Warszawy, użytkowany przez niego podczas konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r., sa-

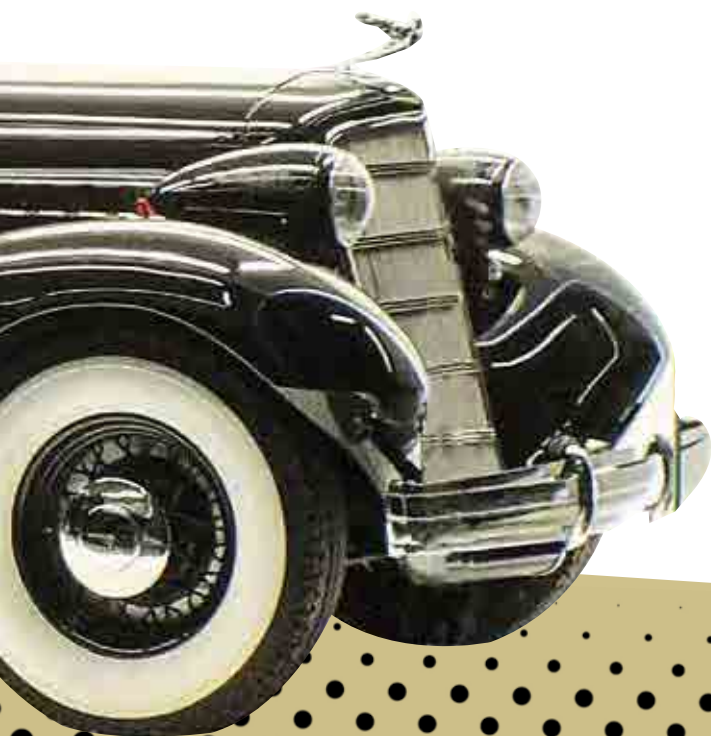


mochód Cadillac w wersji kareta o numerze rejestracyjnym 64, przydzielony przez szefa Polskiej Wojskowej Misji Zakupów we Francji gen. dyw. Jana Romera. Wózek ten, zakupiony w Bourg 14 czerwca 1919 r., 3 września następnego roku znajdował się w garażu Prezydium Rady Ministrów, przekazany Radzie po powrocie Ignacego Paderewskiego do Polski.

Zakupy cadillaców kontynuowano. Na polecenie Sekcji Samochodowej Ministerstwa Spraw Wojskowych Wydział Samochodowy Misji już od stycznia 1920 r. miał „wysłać po 10 wagonów dziennie z każdej bazy [sprzętowej – JT] przy czym ma być przyjęta do wykonania nadesłana kolejność wysyłki [...]: ciężarowe 50% [...], sanitarne 25% [...], osobowe 20%: Dodge, Ford, Cadillac”³. W okresie powojennym dokonywano zakupów uzupełniających stan samochodów Cadillac w Wojsku Polskim, więc po powrocie do służby czynnej Marszałek zastał już zmieniony tabor.

Józef Piłsudski 16 maja 1926 r. objął stanowisko Ministra Spraw Wojskowych. Stał także na czele Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, utworzonego na podstawie dekretu Prezydenta RP z 6 sierpnia 1926 r. Łącząc obie funkcje, rozpoczął pracę trwającą nieprzerwanie przez dziewięć lat, aż do śmierci w maju 1935 r.

Przez cały ten okres służbowymi pojazdami Józefa Piłsudskiego były głównie samochody Cadillac, różnych typów i modeli.



W podległości Biura Inspekcji GISZ działała Samodzielna Kolumna Samochodowa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, administrująca i obsługująca pojazdy mechaniczne przydzielone do Generalnego Inspektoratu.

Trudne początki

W myśl rozkazu gen. dyw. Daniela Konarzewskiego, I wiceministra spraw wojskowych i szefa Administracji Armii, z 5 listopada 1926 r., Kolumnie Samochodowej przydzielono 10 wozów. Z sześciu Cadillaców cztery przeznaczone do obsługi marszałka Józefa Piłsudskiego oraz jego adiutantury garażowały w Samochodowej Kolumnie Prezydenta RP. Były to wozy o numerach rejestracyjnych: 24, 2046, 3945 i 5148 nieokreślonego modelu. Należy przypuszczać, że głównym wozem Generalnego Inspektora był cadillac o numerze rejestracyjnym 24 (na pierwszej pozycji rozdzielnika), a rezerwowym ten o numerze rejestracyjnym 5148 (czwarta pozycja), gdyż do obu „przypisany” był cywilny szofer Zygmunt Malinowski z Kolumny Samochodowej GISZ, osobisty kierowca Marszałka od 1 sierpnia 1926 r. Można domniemywać, że nie były to samochody pierwszej młodości, a numer rejestracyjny „24” nasuwa skojarzenie z samochodami zakupionymi jeszcze w wojennych latach 1919-1920.

Działania zmierzające do wymiany taboru pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego przedstawia cytowany dokument:

„Do Szefa Departamentu V. Inżynierji MSWojsk.
„Przesyłam przy niniejszem ofertę firmy „Zawbor”,

złożoną na ręce Dowódcy Kolumny Samochodowej Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych na sprzedaż Cadillac’a karety, przeznaczonej dla Pana Marszałka. Nadmieniam, że samochód ten na razie znajduje się w garażu kolumny i podczas próbnej jazdy wyjaśniło się, że pałaki znajdujące się w budzie nad samymi głowami siedzących powinny być zdjęte, dno zaś budy w tem miejscu wysłane odpowiednio miętko, celem uniknięcia przykrych następstw, jakie mogą powodować ewentualne wstrząśnienia wywołane złym stanem dróg. Przedstawiciele firmy ustnie zobowiązali się zmiany te przeprowadzić. Szef Bura Inspekcji w/z Janusz Gąsiorowski, Pułkownik Sztabu Gen.”⁴.

Wykaz taboru Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ, sporządzony 21 listopada 1930 r. przez komisję złożoną z oficerów Kolumny pod przewodnictwem jej dowódcy kpt. Mariana Brodzisza, określa główny samochód w dyspozycji Józefa Piłsudskiego – Cadillac 341B torpedo, o numerze rejestracyjnym 6601, z przebiegiem 12 765 km, zakupiony w 1929 r., w stanie technicznym „0”. W takim samym stanie znajdowały się wozy rezerwowe Generalnego Inspektora i Ministra Spraw Wojskowych: Cadillac 314 torpedo, numer rejestracyjny 6004, z przebiegiem 18 504 km, zakupiony w 1927 r. oraz model 314 kareta, także z tego roku, numer rejestracyjny 6206, z przebiegiem 9462 km. Być może zakup ostatniego z wymienionych tu samochodów był wynikiem realizacji wspomnianej już oferty Towarzystwa Przemysłowo-Handlowego „Zawbor” w Warszawie.



Marszałek Józef Piłsudski w samochodzie marki Cadillac 341B (Seven Passengers Touring) z „cywilnymi” tablicami rejestracyjnymi opuszcza przez Bramę Grodzką Zamek Królewski w Warszawie po ceremonii zaprzysiężenia gabinetu premiera Aleksandra Prystora 27 maja 1931 r. Pojazdy Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ miały wymienne tablice rejestracyjne: „cywilne” i wojskowe.

Fot. Zbiory Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

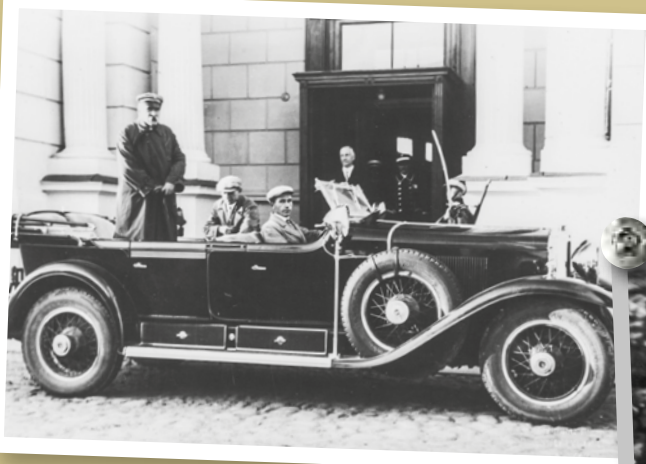
Wóz główny Józefa Piłsudskiego, Cadillac 341B torpedo (Seven Passengers Touring), siedmioosobowy, czterodrzwiowy o numerze silnika 323864, wyprodukowano w 1928 r. Jego cena katalogowa wynosiła 3450 USD. Rezerwowe cadillaki 314 Marszałka (torpedo i kareta), w wersjach nadwoziowych Custom, produkowane na indywidualne zamówienie, powstały w 1926 r. Pierwszy, Seven Passengers Custom Touring, o numerze silnika 118887, miał masę własną 2098 kg i kosztował – według katalogu – 4485 USD. Drugi, Seven Passengers Custom Imperial Suburban, był nieco lżejszy (1955 kg) i tańszy – 3250 USD.

Szczegółowego przeglądu tych samochodów, ich regulacji i napraw od 1 do 8 grudnia 1931 r. dokonywał pracownik Działu Obsługi General Motors International A.S. w Kopenhadze Svend Sorensen. Przegląd i weryfikację elementów samochodów Marszałka wykonano bezpłatnie, a w sprawozdaniu zaproponowano wymianę zużytych lub uszkodzonych części, które – jak stwierdził przedstawiciel General Motors w Polsce – zostaną sprowadzone przez firmę Elis. W głównym wozie typu 341B Generalnego Inspektora elementy układu kierowniczego były nawet przedmiotem zdjęć rentgenowskich w celu sprawdzenia ich stanu wewnętrznego. Ten samochód miał najwięcej usterek mechanicznych, spowodowanych często niewłaściwą obsługą. Najmniej wad miał model 314, zakupiony w 1927 r., z zamkniętym nadwoziem „kareta”. Najważniejsza z nich to „bicia i hałas w nadwoziu. Wóz jest

dość rzadko używany i wobec stałego przebywania w ciepłym garażu, części drewniane nadwozia nadmiernie wysychają. Byłoby pożądane, aby wóz przebywał w garażu podwójnym, gdzie samochody są myte”⁵.

Nowy samochód dla „Pana Ministra Spraw Wojskowych”

Dowódca kolumny kpt. Marian Brodzisz w lipcu 1932 r. miał się udać do Kopenhagi „po zakup nowego samochodu osobowego dla Pana Ministra Spraw Wojskowych”. 6 lipca „rozkaz wyjazdu” rozszerzono na Wielką Brytanię – z Kopenhagi kapitan miał polecieć do Londynu. Należy sądzić, że efekt przyniosła tylko brytyjska część podróży. W skład Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ 17 stycznia 1933 r. wszedł brytyjski superluksusowy siedmioosobowy Rolls-Royce Phantom II torpedo „najnowszego typu z 1933 roku”⁶. Marszałek Józef Piłsudski korzystał z tego wozu sporadycznie i już 27 września 1934 r. Rolls-Royce i Cadillac 341B torpedo, numer rejestracyjny 6601, znajdowały się w grupie 12 pojazdów rezerwowych Ministra Spraw Wojskowych i Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, zaś taborem głównym były samochody amerykańskie: Cadillac o numerze 6206, model 314 w wersji „kareta” oraz Buick 50L z 1928 r. o numerze rejestracyjnym 6804. Widać wyraźnie pewną zmienność przydziałów samochodów Generalnego Inspektora, np. w kwietniu 1933 r. Cadillac 314 „kareta”, numer rejestracyjny 6206, był w dyspozycji Adiutantury GISZ, a wóz o nu-



Wyjazd z Wilna do Pikieliszek w sierpniu 1930 r. Józef Piłsudski stoi w samochodzie Cadillac 341B (Seven Passengers Touring). W wejściu do budynku wojewoda wileński Władysław Raczkiewicz. Fot. Zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Druga połowa lat trzydziestych XX wieku. Opancerzony i podwyższony Cadillac 355D Series 30 Fleetwood 7 Passengers Limousine (V8, 130 KM), zamówiony dla Marszałka Józefa Piłsudskiego w 1934 r., na podwórzu siedziby Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich 1-5 w Warszawie. Na drugim planie, przypuszczalnie Cadillac 341B (Seven Passengers Touring), przydzielony także do Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ. Fot. Zbiory dr. Jana Tarczyńskiego.





Wyjazd marszałka Józefa Piłsudskiego z siedziby Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w Warszawie do Sulejówka 11 lipca 1929 r. Na tylnym siedzeniu samochodu Cadillac 314 Four Passengers Custom Touring obok Marszałka adiutant mjr Konrad Zembrzuski i owczarek alzacki o imieniu Pies. Za kierownicą osobisty kierowca Józefa Piłsudskiego Zygmunt Malinowski, obok wachmistrz Walenty Wójcik. Fot. Zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Amerykański Cadillac model 57 (z nadwoziem landaulet) Józefa Piłsudskiego w Wilnie, oswobodzonym między 19 a 21 kwietnia 1919 r. z rąk bolszewików. Józef Piłsudski w drodze do samochodu. Po prawej stronie, na błotniku, znak Naczelnego Dowództwa i proporzec Naczelnego Wodza. Fot. Zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.



DBAŁOŚĆ O SPRAWNOŚĆ TECHNICZNĄ

☐ Szef Biura Inspekcji GISZ płk dypl. Witold Wartha 21 listopada 1934 r. napisał do II wiceministra spraw wojskowych i szefa Administracji Armii gen. bryg. Sławoja Składkowskiego: „Przedstawiam oferty firm Auto-Service i Elis na zespoły i części zamienne potrzebne do naprawy (utrzymania) taboru samochodowego Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z., wymienionego w załączonym protokole komisji. Zestawienie zapotrzebowanych zespołów i części, jak w ofertach, dokonała Samodzielna Kolumna Samochodowa G.I.S.Z. łącznie z przedstawicielami firm odnośnych marek taboru samochodowego.

Przy dokonywaniu zestawienia wzięto pod uwagę nie tylko obecny stan techniczny samochodów, lecz i najbliższe potrzeby wymiany okresowo zużywających się części, a to ze względu na brak tych części w kraju i długi czas (2-3 miesiące) potrzebny na sprowadzenie materiału z Ameryki. Ze względu na przeznaczenie samochodów Cadillac, części oferowane zostały już zamówione. Proszę Pana Generała o zatwierdzenie ofert i wydanie zarządzenia pokrycia rachunków”.

W: Pismo Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z. płk. dypl. Witolda Warthy z 21 listopada 1934 roku do II Wiceministra Spraw Wojskowych Szefa Administracji Armii. WBH G.I.S.Z., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893.

merze 6004, typu 314 „torpedo”, był samochodem towarzyszącym w podróżach Marszałka.

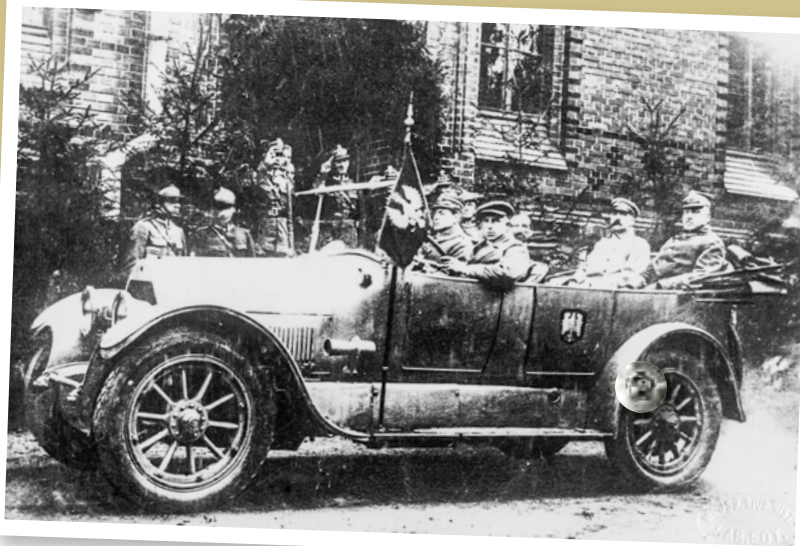
Na początku marca 1935 r. dotarł do Gdyni zamówiony jesienią 1934 r. w Stanach Zjednoczonych nowy wóz marki Cadillac – model 355D w wersji z 1935 r., z nadwoziem zamkniętym i podwyższonym o 10 cm. oraz częściowo opancerzonym, specjalnie przygotowanym dla marszałka Józefa Piłsudskiego. Przed 18 marca był już w dyspozycji Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ. Otrzymał numer rejestracyjny 8311. Ten ostatni samochód twórcy Polski niepodległej przetrwał wojenne perypetie i powojenne zniszczenia. Odrastaurowany przez zespół pod moim kierunkiem jest dzisiaj eksponatem Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie.

Po śmierci Marszałka

Wobec postępującej nieuleczalnej choroby Ministra Spraw Wojskowych i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, która pozbawiła go życia 12 maja 1935 r., pozostawiono także w służbie jego sprawdzony dotychczasowy samochód z zamkniętym nadwoziem – Cadillac 314 „kareta” z 1927 r. o numerze rejestracyjnym 6206, który miał odejść z Kolumny GISZ 7 maja. W tym dniu do „stałej dyspozycji Pana Ministra” dodano także dwa wspomniane już samochody z nadwoziami otwartymi typu „torpedo”: Rolls-Royce Phantom II i Cadillac 341, numer rejestracyjny 6601.

Przyjazd marszałka Józefa Piłsudskiego do Lublińca. W samochodzie Cadillac Model 57 Seven Passengers Touring, obok Józefa Piłsudskiego gen. Jan Jacyna. 27 sierpnia 1922 r.

Fot. Zbiory Wojskowego Biura Badań Historycznych.



Wizyta Józefa Piłsudskiego w Kielcach. Marszałek jedzie samochodem Cadillac 314 Four Passengers Custom Touring.

Fot. Zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego opancerzony Cadillac 355D był przez dwa lata w dyspozycji żony, Aleksandry Piłsudskiej, zaś inne dwa jego wozy marki Cadillac służyły nowemu Generalnemu Inspektorowi gen. dyw. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi, choć już nie jako pojazdy główne. Cadillac 355D z 1935 r. (numer rejestracyjny 8311) był we wrześniu 1938 r. w rezerwie do dyspozycji Szefa Biura Inspekcji GISZ, a wóz model 341B (numer rejestracyjny 6601), dziesięcioletni, stanowił wówczas rezerwę „taboru ochronnego” GISZ. Inne „marszałkowskie” samochody tej marki, biorąc pod uwagę wyposażanie Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ w nowe pojazdy, przydzielono do mniej prestiżowych zadań. Przykładem niech będzie Cadillac 314 „torpedo” z 1927 r. (numer rejestracyjny 6004) użytkowany przez inspektora Armii w Wilnie gen. dyw. Stefana Dąb-Biernackiego. Po rezygnacji Inspektora Armii z korzystania z tego wozu, 19 kwietnia 1939 r. odesłano go do dyspozycji dowódcy Okręgu Korpusu nr III w Grodnie.

Warto przypomnieć, że Józef Piłsudski lubił jazdę samochodem, traktując ją nie tylko jako formę szybkiego przemieszczania się, ale także pewnego rodzaju rozrywkę. Podróże Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i Ministra Spraw Wojskowych miały przeważnie podobny scenariusz. Wspominał to adiutant kpt. Mieczysław Lepecki: „Gdy Marszałek wyjeżdżał samochodem to w ślad za Nim zawsze wyjeżdżało drugie auto z kpt. Ziemiańskim [Bolesławem, ze Szwadronu Ochronnego GISZ z 1 Dyonu Żan-

darmerii w Warszawie, szefem ochrony osobistej J. Piłsudskiego – JT] i wywiadowcami cywilnymi. Musiało ono jednak jechać w takiej odległości od auta Marszałka, aby to nie wzbudziło jego podejrzania. Oczywiście robiono to ze szkodą dla sprawności ochrony, ale nie było na to rady, gdyż Marszałek wpadał zawsze w wielki gniew, gdy jakieś machinacje ubezpieczeniowe dostrzegł. Niejednokrotnie udało nam się zażegnać sytuację wyrażeniem przypuszczenia, że to zapewne, Panie Marszałku, auto gospodarcze, może wiezie prowiant”⁷.

JAN TARCZYŃSKI, Jan Tarczyński, doktor nauk humanistycznych, historyk kultury materialnej, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej, członek zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego oraz Rady Programowej Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. W latach 1996-2010 dyrektor Biura b. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie. Autor 30 książek i kilkuset artykułów z dziedziny historii polskiej techniki motoryzacyjnej i techniki wojskowej.

¹ Notatka w sprawie samochodu miejskiego Magistratu m. st. Warszawy z 19 stycznia 1920 r., WBH I.300.45.7.

² *Polska Misja Wojskowa, Paryż. Wykaz maszyn w bazie samochodowej Bourq.* Paryż, 20 sierpnia 1919 r., WBH I.300.41.52.

³ Jan Tarczyński oraz Krzysztof Barbarski i Adam Jońca, *Pojazdy w Wojsku Polskim 1918-1939*, Londyn-Pruszków 1995, s. 94.

⁴ Pismo Biura Inspekcji G.I.S.Z., wz. Plk. S.G. Janusza Gąsiorowskiego L. dz. 2146/B.J./27 z 14 czerwca 1927 roku do Szefa Departamentu V Inżynierii MSWojsk. WBH G.I.S.Z., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893.

⁵ *Samochód Pana Marszałka Piłsudskiego – przegląd* L. dz. 217/B.J. 32 p z 20 stycznia 1932 roku. Zespół dokumentów w obwolutie. Referat por. (Franciszek – przyp. aut.) Kawala. WBH G.I.S.Z., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893.

⁶ Pismo II Wiceministra Spraw Wojskowych Szefa Administracji Armii wz. Gen. bryg. Władysława Langner, L. dz. 4900/sam. z 27 stycznia 1933 roku do Biura Inspekcji G.I.S.Z. WBH G.I.S.Z., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. „Rolls-Royce typ 1933 rok” – tak określono w specyfikacji technicznej wozu, stanowiącej załącznik do tego pisma.

⁷ Mieczysław Lepecki, *Pamiętnik Adiutanta*, Warszawa 1987, s. 88.

PROPAGANDA

muzą stanu wojennego

W chwili wprowadzania stanu wojennego w Polsce obsługa propagandowa tej akcji była w pełnej gotowości. Plakatowaniem miast w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. zajęło się głównie wojsko, które dysponowało przygotowanymi ludźmi, transportem i łącznością.

SEBASTIAN LIGARSKI

Na ulicach miast pojawiły się obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego. O godz. 6:00 w radiu wyemitowano przemówienie gen.

Wojciecha Jaruzelskiego nagrywane w studiu zaimprovizowanym w jednej z jednostek wojskowych w Warszawie.

Koordinacją i inspiracją prac propagandowych zajmował się Centralny Sztab Informacji i Propagandy, w którego skład wchodził: Stefan Olszowski, Mieczysław. F. Rakowski i gen. Ta-

deusz Szaciło. Centralny Sztab był wspierany przez swoje terenowe odpowiedniki – wojewódzkie sztaby informacji i propagandy, w których skład weszli zastępcy szefów wojewódzkich sztabów wojsko-



wych. Rozpoczęły działalność kierowane przez wojewodów wojewódzkie komitety obrony, które były terenowymi komórkami Komitetu Obrony Kraju. Kierownicy wojewódzkich sztabów wojskowych brali udział w posiedzeniach WKO jako goście doradców. Wojewódzkie sztaby informacji i propagandy zajmowały się także oceną merytoryczną prasy i podejmowały decyzje w sprawach uruchomienia poszczególnych tytułów prasowych, programów radiowych i telewizyjnych, weryfikacją dziennikarzy oraz udzielaniem zezwoleń na uruchomienie urządzeń poligraficznych. Dru-

FOT. ZBIORY SEBASTIANA LIGARSKIEGO



kiem i rozklejaniem obwieszczeń i ulotek zajmowały się tysiące żołnierzy i aktywistów partyjnych dysponujący specjalnie przygotowanymi środkami transportu. Obwieszczenia – poza tymi ze Związku Sowieckiego – przygotowywano w drukarniach polowych lub drukarniach w poszczególnych jednostkach wojskowych rodzajów sił zbrojnych.

Zarząd Propagandy i Agitacji

W wojsku za działalność propagandowo-informacyjną odpowiedzialny był Zarząd Propagandy i Agitacji (tzw. Zarząd II) Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Utworzono w nim nieetatowy oddział informacyjno-propagandowy, który składał się z sekcji: informacyjnej, politycznej, ulotnych materiałów propagandowych, propagandy dźwiękowej i środków masowego przekazu. Dla Terenowych Grup Operacyjnych wykonano materiały informacyjne, plakaty, ulotki, zestaw haseł propagandowych, tezy wystąpień. W celu zwiększenia skuteczności przekazywania materiałów propagandy wizualnej przeznaczonej dla wojska i środowisk cywilnych opracowano i uruchomiono dwa dodatkowe rozdzielniki, co zapewniało szybki kolportaż

antysocjalistycznej oraz mobilizująco-agitacyjne.

Działalność propagandową wyznaczały trzy etapy realizowane mniej lub bardziej precyzyjnie i dopasowywane do aktualnej sytuacji w państwie:

- 13 XII 1981 – połowa stycznia 1982: wyjaśnianie przyczyn i celów wprowadzenia stanu wojennego;
- połowa stycznia 1982 do połowy maja 1982: «stabilizowanie» nastrojów społecznych i «dyskusji» nad kierunkami zmian społeczno-politycznych i gospodarczych;
- od maja do połowy sierpnia 1982 walki z próbami «wzniesienia napięcia społecznego» i propagowania idei «porozumienia narodowego»;
- walka o kształt związków zawodowych².



Zespół ds. „propagandy ulotnej”

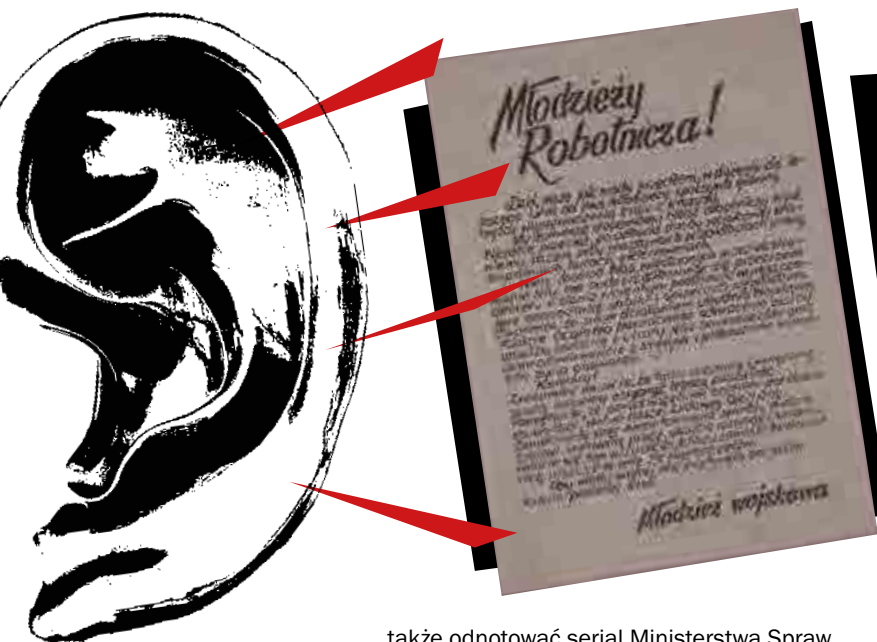
„W celu efektywności działań propagandowo-agitacyjnych Szef GZP WP powołał w zarządzie Propagandy i Agitacji nieetatowy zespół do spraw «propagandy ulotnej», który opracowywał merytorycznie i graficznie materiały propagandowe; średni czas produkcji ulotki wynosił od 24 do 36 godzin. Wydano 374 wzory ulotek w łącznym nakładzie ponad 4 mln egzemplarzy. Podobne, choć na mniejszą skalę, zespoły działały na szczeblu okręgów wojskowych, wydały one łącznie 131 wzorów druków ulotnych³. Interesująco brzmiała ich informacja o wykorzystywaniu m.in. opracowań, publikacji i filmów ukazujących walki na Węgrzech w 1956 r. oraz interwencję w Czechosłowacji w 1968 r. Programy telewizyjne początkowo przygotowywali dziennikarze redakcji wojskowych, którzy zastąpili prezenterów telewi- ►

w relacji pomiędzy Centralą Kolportażu Wydawnictw „Ruch” a wydziałami politycznymi związków taktycznych (równorzędne) i pomiędzy CKW „Ruch” a wojewódzkimi sztabami wojskowymi.

Zarząd Propagandy i Agitacji GZP WP opracował „materiały instrukcyjno-metodyczne, wydrukował 40 plakatów o łącznym nakładzie 500 tys. egzemplarzy, 300 ulotnych materiałów propagandowych o łącznym nakładzie 660 tys. egzemplarzy. Materiały propagandowe opracowywano również w Zarządach Politycznych Okręgów Wojskowych (Rodzajów Sił Zbrojnych), a w mniejszym stopniu w wydziałach i sekcjach politycznych związków taktycznych i oddziałów¹ – pisał historyk Paweł Piotrowski. Plakaty dzielono na: demaskatorskie, skierowane przeciw rodzimej opozycji

zyjnych i radiowych. Kilku cywilnych prezentatorów Dziennika Telewizyjnego na własną prośbę występowało w mundurach wojskowych, m.in. Marek Tumanowicz. Wojskowa Wytwórnia Filmowa „Czołówka” prezentowała dokumenty i cykle publicystyczne *Ofensywa wyzwolenia* i *Dać świadectwo prawdzie*. Warto

gandy i publicystyki powinien być konkretny, przekonywujący i niepodważalny”. I dalej: „Zbyt wiele pozycji programu RTV związanych jest z tematyką wojskową (w tym piosenki i widowiska z Kołobrzegu itp.). Więcej należy nadawać pozycji rozrywkowych, zachęcających ludność do pozostania w mieszka-



także odnotować serial Ministerstwa Spraw Wewnętrznych *Who is who*, który powstał na podstawie materiałów kontrwywiadu i miał prezentować „wywrotową działalność wywiadu amerykańskiego”. Pierwszy z sześciu odcinków wyemitowano 27 stycznia 1982 r. o godz. 20:00.

Pułkownik czyści karmnik

Według Mieczysława F. Rakowskiego Wojciech Jaruzelski 16 grudnia 1981 r. na posiedzeniu tzw. Dyrektoriatu mówił o propagowaniu Terenowych Grup Operacyjnych: „Ponowne wejście TGO przynosi usuwanie wielu nieprawości, biurokratyzmu itp. Zaleca «wymiatanie» urzędów państwowych z «S», w radiu i telewizji tworzyć stan zagrożenia. [...] Trzeba także ludziom pokazać, że nie walczymy z «S», lecz z bałaganem”⁴.

W grudniu 1981 r. w notatce przygotowanej na posiedzenie WRON 23/24 grudnia 1981 r. – według opinii psychologów – wskazywano: „W działalności propagandowej zmienić język. Nie należy przemawiać w taki sposób jak ostatnio gen. Michta w TV. Większość kadry nie aprobeuje takiej praktyki. Przynosi ona więcej szkody niż korzyści. Język propa-

niach”⁵. Do kwietnia 1982 r. niewiele jednak się zmieniło, gdyż w tym okresie zespół psychologów i socjologów oceniających program TV skrytykował „schemat pokazywania ekip wojskowych w telewizji. Chodzi tutaj o TGO, komisarzy wojskowych itp. Twierdzą, że funkcjonuje ciągle ten sam schemat, mianowicie: jest źle, przychodzi TGO i wszystko potem jest już dobrze. Twierdzą, że informacja musi zawierać elementy nieoczekiwane, zmienne, widz musi być zaskakiwany biegiem wydarzeń. Kiedy odbiorca wie, co będzie za minutę, podlega zjawisku psychologicznemu zwanemu redundacją i powoduje to reakcję typu «mają nas za głupich»”⁶. Podkreślano: „Nie należy przedobrażać w pokazywaniu w telewizji wojska. Utrzymywanie prestiżu wojska wymaga tego, aby jego obraz był zawsze związany z czymś ważnym, aby widok wojska nie był dewaluowany. Wobec tego wojska nie może być za dużo, musi się ono ukazywać odświętnie. Należy też zwracać uwagę na to, aby pułkownik nie oczyszczał karmnika, to ewentualnie może zrobić kapral. Jednym słowem, aby nie deprecjonować ani rangi wojska ani jako takiego znaczenia”⁷.

Zespoły propagandowe

Opracowywane przez poszczególne Zarządy Polityczne WP plakaty miały mieć wymowę społeczno-polityczną odnoszącą się do roz-



woju sytuacji w kraju. Pożądane przez komunistyczną władzę były materiały dokumentujące działania opozycji przeciw socjalizmowi oraz mobilizacyjno-agitacyjne. Ich głównymi zaletami miały być komunikatywność i prosta forma. W poszczególnych okręgach wojskowych zarządy polityczne RSZ dokonywały zmian w strukturze organizacyjnej,



powołując specjalne zespoły merytoryczne, np. w Zarządzie Politycznym Warszawskiego Okręgu Wojskowego powołano zespół propagandowy, w skład którego wchodziło 14 oficerów z Oddziału Propagandy, Kultury i Komitetu Okręgowego. Ich głównym zadaniem było: „propagowanie wśród żołnierzy i ludności (opracowanie i rozpowszechnianie) aktualnych treści i różnorodnych materiałów propagandowych na temat podejmowanych działań przez władze partyjne, rządowe i wojskowe w warunkach stanu wojennego oraz prowadzenie stałego rozpoznania przeciwnika, jego akcji na rozwój sytuacji w Polsce i na tej podstawie podejmowanie działań propagandowych w podległych jednostkach”⁸. Podzielono go na trzy podgrupy:

„1. Szkoleniowo-lektorską z trzema oficerami, która przetwarzała informacje z GZP WP i opracowywała własne i rozsyłała po jednostkach;

2. Propagandy specjalnej, czterech oficerów, którzy organizowali regularne nasłuchy radiowe wrogich stacji, kierowali działalnością wozów propagandowych i rozgłośni elektroakustycznych, planowali akcje propagandowe, opracowywali materiały merytoryczne (odezwy, audycje itp.) nadawane przez wozy i radiowęzły;

3. Propagandowo-agitacyjną z ośmioma oficerami zajmującą się opracowywaniem ulotek, odezw, gazetek ściennych dla wojsk własnych i ludności, ściśle współpracą z drukarnią Warszawskiego Okręgu Wojskowego, dystrybucją tych materiałów. Ponadto powołano też zespół oficerów kierunkowych w składzie ośmiu oficerów oraz zespół informacyjny pionu operacyjnego z pięcioma oficerami”⁹.



Plakaty

Plakatów poświęconych bezpośrednio Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego było stosunkowo niewiele. Przeważały afisze, na których umieszczano cytaty z przemówień gen. Jaruzelskiego wygłoszonych 13 grudnia, w momencie wprowadzenia stanu wojennego i 24 grudnia 1981 r., podczas ostatnich strajków na Górnym Śląsku, szczególnie w Kopalni Węgla Kamiennego „Piaśń” w Bieruniu. Później zdominowały je cytaty z posiedzenia Sejmu 25 stycznia 1982 r., który formalnie zaakceptował wprowadzenie stanu wojennego. Do poparcia WRON namawiał plakat Władysława Sierki *Twórzmy front porozumienia narodowego i powszechnego poparcia* oraz plakat *Zjednoczmy nasze działania dla dobra socjalistycznej ojczyzny* (z wizerunkiem słupa granicznego). Tego typu materiały były opracowywane przy ścisłej współpracy Wydziału Informacji Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z GZP WP, gdzie grono oficerów wykonało i opracowało m.in. symbol graficzny WRON. W te prace włączyli się też znani plastycy, tacy jak: Witold Mysyrowicz, Jan Bahusewicz, Ed Goroł, Ewa Czaplicka, Andrzej Barecki.

Aby przekaz spełniał swoją funkcję – manipulowanie społeczeństwem – wykorzystano różne techniki druku oraz specjalnie dobrane kolory czcionek. Pomimo widocznego chropowatego języka przekazu wydaje się, że nie do końca odpowiada prawdzie opinia, że nie dbano o treść i poziom artystyczny wydawnictw. Przygotowywane przez aparat propagandowy druki – szczególnie plakaty i afisze – miały przemyślaną i dobraną szatę graficzną. W wielu wydawnictwach tego okresu widać szczególną dbałość autorów o wykorzystanie symboli, rozmieszczenie tekstu i grafiki na plakatach i afiszach. Starannie dobierano kolory, np. większość afiszów i sztrajfów kierowanych do rolników miała kolor zielony i zawierała elementy rustykalne. Z lubością wykorzystywano symbole narodowe w postaci czerwono-białych elementów, herbu państwowego, zestawień biała karta – czerwony druk. Interesujące było także przywiązanie do koloru niebieskiego używanego do druku wielu sztrajfów i plakatów, szczególnie o tematyce pokojowej.

Do innych działań o charakterze propagandowym i psychologicznym należały m.in.: demonstracyjne przejazdy ►



kolumn wojskowych przez miasta, oddziaływanie na strajkujących robotników z zakładów pracy za pomocą gigantofonów, odtwarzanych nagrań wystrzałów i innych środków mających osłabić opór załóg. Każdy przejazd większych kolumn wojskowych ulicami miast budził grozę i strach oraz falę domysłów.

Propaganda obozu władzy ewaluowała i przenosiła punkty ciężkości. W czerwcu 1982 r. Wojciech Jaruzelski wskazywał na to, że za słabo był eksponowany tak ważny według niego temat – walka o pokój: „Myśmy już wspominali na ten temat [...], ale to musi być wzięte na warsztat, nie tylko na tej zasadzie, że tam Liban, że tam jakieś posiedzenia czy oświadczenie, jakaś demonstracja, ale to muszą być poważne [głosy] przez poważnych dziennikarzy, publicystów, w tym i wojskowi ludzie powinni się znaleźć, w których to dyskusjach trzeba by było przedstawić całą panoramę zagrożenia... Na posiedzeniu 18 czerwca 1982 r. BP KC PZPR zaś mówił: „Trzeba tutaj podać jak najwięcej różnych faktów i nie tylko tam, że w Libanie czy na Malwinach, chociaż to trzeba bardzo podawać, ale pewne uogólnienia wynikające z aktualnej strategii Stanów Zjednoczonych. Polityki reaganowskiej. Rakiety w Zachodniej Europie. To wszystko trzeba, tutaj się oczekuje, też Florek [Siwicki], tam jakoś daj polecenie uruchomić i specjalistów wojskowych, może jakieś publikacje, które by miały taki charakter polityczno-militarny trzeba – wydaje mi się – o tych rzeczach mówić”¹⁰. W propagandzie wizualnej powstał cykl plakatów poświęcony: rozmieszczeniu baz wojsk amerykańskich na świecie, finansowaniu wyścigu zbrojeń, doświadczeniom historycznym i przedstawianiu Stanów Zjednoczonych i ich partnerów z Sojuszu Północnoatlantyckiego jako agresorów. Propagandiści nie wahali się porównywać USA i ich sojuszników z III Rzeszą.

Szczególne nasilenie kolejnych działań propagandowych przypadło na lipiec-wrzesień 1982 r. przed spodziewanymi manifestacjami w drugą rocznicę porozumień sierpniowych. Zastosowano podobne środki jak w grudniu 1981 r. Do większości zakładów pracy na 2-5 dni skierowano grupy oficerów Wojska Polskiego. Przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych województwa, ak-

tyw partyjny, oficerowie WP, przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości i sił porządkowych prowadzili działania informacyjno-wyjaśniające, wskazywali na potrzebę ładu, porządku, spokoju oraz dyscypliny społecznej i zawodowej. Przebywali oni w halach produkcyjnych podczas pracy poszczególnych zmian i prowadzili indywidualne i grupowe rozmowy z robotnikami. Uczestniczyło w nich łącznie 6 tys. oficerów, a odbyło się ich ponad 30 tys.

Wojciech Jaruzelski, podsumowując działania propagandowe, mówił: „Nastąpiła pewna poprawa w propagandzie. Jest ona bardziej zrozumiała – uwzględnia konkretniej odpowiedniego odbiorcę – społeczeństwo takie, jakie ono faktycznie jest oraz sytuację. Nadal powinna być prowadzona bardziej «kontrastowo» (np. pokazywanie «uśmiechów» Reagana i jednocześnie zakładanie kajdanek przywódcom amerykańskich związków zawodowych.”¹¹

W czasie stanu wojennego zastosowano na niespotykaną dotychczas skalę działania propagandowe w stosunku do całego społeczeństwa. W tym okresie zwracał uwagę jeszcze jeden ważny aspekt. Było to odwoływanie się do akcji propagandowych i symboliki lat 1944/45-1956. W podsumowaniu działań polityczno-propagandowych pisało: „We wszystkich etapach działalność partyjno-polityczna prowadzona była w oparciu o pryncypia marksizmu-leninizmu, klasową ocenę sytuacji i charakter walki politycznej w kraju w myśl polityki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jej niewzruszoną podstawą było braterstwo idei i broni z armiami socjalistycznymi – przede wszystkim z armią radziecką oraz nienawiść do polityki i poczynań wobec Polski państw imperialistycznych uosobianych w czołowiec paktu NATO”¹². Decydenci stanu wojennego tam szukali natchnienia, aby powtórzyć działania zmierzające do zniewolenia polskiego społeczeństwa. ■

SEBASTIAN LIGARSKI, historyk, doktor nauk humanistycznych, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie. Autor książek: *W zwierciadle ogłoszeń drobnych. Życie codzienne na Dolnym Śląsku w latach 1945-1949* i *W kleszczach totalitaryzmów. Księżdz Roman Gradolewski i ojca Jacka Hoszyckiego życiorysy niedopowiedziane oraz Wojna o eter. Media elektroniczne od solidarnościowego karawaju do początków rządów solidarnościowych wraz z Grzegorzem Majchrzakiem*; redaktor m.in. publikacji *Środki masowego zakłamania. Gdzinówki w czasie stanu wojennego*. Od 2007 r. koordynator ogólnopolskiego, centralnego projektu badawczego IPN „Władze PRL wobec środowisk twórczych, dziennikarskich i naukowych”.

¹ P. Piotrowski, *Propaganda wojskowa w okresie kryzysu politycznego 1980-1981 i stanu wojennego*, Biuletyn IPN, nr 11 z 2001, s. 32.

² G. Majchrzak, *Drogi do niepodległości*, s. 32. ³ P. Piotrowski, *Propaganda wojskowa...*, wyd.cyt. ⁴ M.F. Rakowski, *Dzienniki 1981-1983*, t. 7, s. 139. ⁵ S. Ligarski, *Stan wojenny w oczach psychologów i socjologów – dokument z 1982 r.*, „Dzieje Najnowsze”, 2007, nr 1, s. 103-105. ⁶ Tamże. ⁷ Tamże. ⁸ A IPN, IPN 1405/99, *Działalność partyjno-polityczna w okresie poprzedzającym stan wojenny, podczas stanu wojennego i po jego zawieszeniu*, 2 XI 1983, k. 160-161. ⁹ A IPN, IPN 1405/99, *Działalność partyjno-polityczna w okresie poprzedzającym stan wojenny, podczas stanu wojennego i po jego zawieszeniu*, 2 XI 1983, k. 160-161. ¹⁰ M. Zaremba, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, Warszawa 2001, s. 391. ¹¹ A IPN, IPN BU 1405/62, *Protokół WRON z 1 IX 1982*, k. 274. ¹² A IPN, 1405/99, *Podsumowanie działalności w zakresie realizacji zadań w okresie obowiązywania stanu wojennego, Działalność partyjno-polityczna w okresie poprzedzającym stan wojenny, podczas stanu wojennego i po jego zawieszeniu*, 2 XI 1983, k. 136.

PolskaZbrojna

PORTAL INFORMACYJNY I MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY O POLSKIEJ ARMII



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja armia – Twoja duma!

Polecamy!

*Izabela Borańska-Chmielewska, redaktor naczelna magazynu
Anna Putkiewicz, redaktor naczelna portalu*

Zdobycwca Brazylii

Krzysztof Arciszewski to postać niezwykła – pierwszy Polak w Brazylii i zarazem jeden z najsłynniejszych dowódców holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej. Na trwałe wpisał się w historię odkryć geograficznych i podboju nowego świata.

ANNA PASTOREK

Był jednym z najwybitniejszych konkwistadorów siedemnastowiecznej Europy, który chwałę na polu walki przekładał nad życie rodzinne i gromadzenie majątku.

Natomiast rzemiosło wojskowe było dlań ważniejsze od sprawy, dla której prowadzono wojnę, co było normą w ówczesnych, najemnych w większości, armiach. Ale był to też człowiek, którego życie naznaczyły tragiczne paradoksy – każde jego zwycięstwo prowadziło do klęski. To fatum towarzyszyło mu już od dzieciństwa.

Przyszły admirał holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej urodził się i wychował w głęboko religijnej arian-skiej rodzinie. Bracia polscy, jak nazywano arian, byli najbardziej radykalnym odłamek reformacji w Rzeczypospolitej. Nie uznawali dogmatu o istnieniu Trójcy Świętej i byli przeciwni wojnom. Nic nie zapowiadało, że – mając takie tradycje rodzinne – Arciszewski stanie się wybitnym dowódcą i zdobywcą nowych ziem w odległej Brazylii.

Burzliwa młodość i wygnanie

Krzysztof Arciszewski przyszedł na świat 9 grudnia 1592 r. w niewielkim majątku szlacheckim w Rogalinie pod Poznaniem. Jego ojciec Elias Arciszewski herbu Prawdzic był gorliwym arianinem. Rozmiałowany w dysputach teologicznych poświęcał się działalności na rzecz rozwoju gminy wyznaniowej. Nadzorowaniem majątku i wychowaniem trójki synów zajmowała się matka Arciszewskiego – Helena z Zakrzewskich. Niebawem rodzina przeniosła się do Nietążkowa k. Śmigła, gdzie Elias poświęcił się działalności na rzecz gminy arian-skiej. Ośrodek braci polskich w Śmiglu był wówczas jednym z najbardziej prężnych w Rzeczypospolitej.

Mimo że ojciec Krzysztofa – jak wszyscy gorliwi arianie – nosił u boku drewniany miecz jako symbol pacyfistycznych poglądów, to syn nie podzielał jego zapatrywań w tej kwestii. Już w dzieciństwie dał się poznać jako porywczy i uparty chłopiec, chętnie uczący się władania bronią.

Elias skupiony na pracy miał niewielki wpływ na synów, a matka przysmykała oczy na wojskowe zainteresowania dziecka.

Młody Krzysztof Arciszewski odebrał gruntowne wykształcenie w znanych z wysokiego poziomu nauczania szkołach w Śmiglu i Rakowie k. Częstochowy oraz na uniwersytecie we Frankfurcie nad Odrą. Rodzice pragnęli, aby zdobył pozycję godną szlachcica. Byli jednak zbyt biedni, aby samodzielnie to sfinansować, dlatego zdecydowali się oddać syna na służbę na dwór magnacki, co było powszechną wówczas praktyką wśród uboższej szlachty. Wybrali dla syna dwór hetmana polnego litewskiego księcia Krzysztofa Radziwiłła w Birzach. Nie bez znaczenia było to, że książę był protestantem (kalwinem). Młody Arciszewski należał początkowo do straży przybocznej Radziwiłła. Jednak szybko znalazł się w gronie bliskich mu osób. Zdobył zaufanie hetmana, który doceniał jego zdolności wojskowe i pracowitość, a także inteligencję i małomówność. Podczas czteroletniej służby u księcia (1619–1623) przebywał m.in. w Warszawie, gdzie zbierał dla swojego pana informacje dotyczące działalności obozu króla Zygmunta III Wazy, a także brał udział w walkach ze Szwedami pod Rygą i Mitawą. Podczas pobytu na dworze księcia Radziwiłła Krzysztof Arciszewski nabył umiejętności wojskowe, a także zyskał obycie w życiu dworskim i sztuce dyplomacji.

Tymczasem majątek jego rodziny w Nietążkowie coraz bardziej malał. Niegospodarność i naiwność Eliasza Arciszewskiego wykorzystał jego sąsiad, członek miejscowej palestry, Kasper Jaruzel Brzeźnicki, uważany za przyjaciela rodziny, a w rzeczywistości sprytny i nieuczciwy człowiek. Na skutek machinacji Brzeźnickiego cały majątek rodzinny Arciszewskich został przez niego przejęty. Krzysztof nie mógł się pogodzić z niesprawiedliwością, która dotknęła jego rodzinę ze strony nieuczciwego sąsiada. Po raz pierwszy spór pomiędzy nim a Brzeźnickim wybuchł w 1618 r. Eskalacja konfliktu, która nastąpiła



Plan zwycięskiej bitwy stoczonej 17 stycznia 1636 r. w Brazylii przez Krzysztofa Arciszewskiego, A. Kraushar: *Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armią koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza. 1592-1656, t.1., Petersburg 1892.*

FOT. POLONA.PL

Plan zwycięskiej bitwy stoczonej 17 stycznia 1636 r. w Brazylii przez Krzysztofa Arciszewskiego, A. Kraushar: *Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armią koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza. 1592-1656, t.1., Petersburg 1892.*

publika była młodym, prężnie rozwijającym się państwem, z silną flotą wojenną i handlową, prowadząca interesy ekonomiczne na odległych kontynentach. W momencie przybycia Arciszewskiego trwała wojna z Hiszpanią, która nie uznawała niepodległości Republiki Zjednoczonych Prowincji.

W północnych Niderlandach Arciszewski miał okazję zdobywać doświadczenie u boku dwóch wybitnych dowódców tamtych czasów – Maurycygo Orańskiego i Fryderyka Henryka Orańskiego. Maurycy Orański był jednym z najwybitniejszych strategów tamtej epoki, poświęcając wiele uwagi fortyfikacjom i sztuce oblężniczej. Fryderyk Henryk Orański zasłynął jako reformator holenderskiej armii i floty wojennej oraz wybitny taktyk. Krzysztof Arciszewski miał okazję uczyć się od najlepszych i – jak pokaże przyszłość – nabytą wiedzę wykorzystać później w Brazylii. Z nauk wyniesionych z Niderlandów szczególnie cenna okazała się wiedza inżynierska z dziedziny budowy fortyfikacji, a także umiejętności wykorzystania artylerii w walce.

Podczas pobytu w Republice Zjednoczonych Prowincji, przerywanego na załatwianie interesów Krzysztofa

Radziwiłła we Francji, Arciszewski cały czas cierpiał z powodu nieregularnych wpływów wynagrodzenia od księcia, co zmuszało go do zaciągania się jako najemnik do wojsk holenderskich. Szczególnie upodobał sobie artylerię i inżynierię. Holenderscy wodzowie szybko przekonali się o zdolnościach młodego Polaka, między innymi w czasie oblężenia Bredy w sierpniu w 1624 r. W karierze wojskowej nie przeszkadzało mu już wyznanie, gdyż w Holandii przeszedł na kalwinizm. Dzięki temu otrzymywał coraz więcej propozycji objęcia stanowisk w wojskach inżynierskich lub artylerii księcia Maurycygo Orańskiego. Jednak przez swoją banicję zmuszony był wybrać służbę w holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej (West-Indische Compagnie, WIC).

Kompania Zachodnioindyjska

Gdy Krzysztof Arciszewski podejmował służbę, Kompania Zachodnioindyjska była stosunkowo młodą spółką. Miała jednak już za sobą wielki sukces, jakim było zdobycie w 1628 r. przez adm. Pieta Heina hiszpańskiej srebrnej floty w porcie w Matanzas u wybrzeży Kuby.

Utworzona w 1621 r. Kompania Zachodnioindyjska była spółką akcyjną, miała monopol żeglugi i handlu niderlandzkiego z Ameryką i Afryką Zachodnią. Na zebranie kapitału obrotowego w wysokości 7 mln guldenów trzeba było dwóch lat. Kompania miała uprawnienia do prowadzenia wojen i zawierania pokojów z państwami, do utrzymywania morskich i lądowych sił zbroj-

nych oraz sprawowania funkcji sądowniczych i administracyjnych na zajętych terytoriach. Na czele Kompanii Zachodnioindyjskiej stało 19 dyrektorów, nazywanych XIX Panami. Od samego początku akcentowano ofensywną rolę WIC w wojnie przeciwko iberyjskiemu imperium atlantyckiemu. Nie przyniosła ona jednak nigdy (z wyjątkiem sukcesu Pieta Heina) takich zysków jak Kompania Wschodnioindyjska.

Działalność floty holenderskiej na półkuli zachodniej przyczyniła się do osłabienia potęgi hiszpańskiej. Zdobyte terytorialne Kompanii Zachodnioindyjskiej w Brazylii i Ameryce Północnej miały raczej krótkotrwały charakter. Większy zysk przyniosły nabytki w basenie Morza Karaibskiego: w 1634 r. zdobyto na Hiszpanach wyspę Curaçao, w 1636 r. Sint Eustatius, w 1648 r. Sint Maarten, zajęto także Arubę i Bonaire. Wyspy antylskie przez cały czas istnienia Republiki Zjednoczonych Prowincji odgrywały ważną rolę jako ośrodek importu i portów tranzytowych niewolników z Afryki, a także jako centrum przemytu do kolonii angielskich i hiszpańskich. W 1613 r. Holendrzy pojawili się w Gujanie i utworzyli nad rzeką Surinam pierwszą faktorię. Podstawą gospodarki Surinamu i bogactwa kolonistów holenderskich w Ameryce były plantacje trzciny cukrowej, później także kawy, na których pracowali niewolnicy.

Zarówno do Kompanii Wschodnio-, jak i Zachodnioindyjskiej napływali ochotnicy z całej Europy. WIC przyciągała poszukiwaczy przygód i bogactw, a także ludzi, którzy z różnych przyczyn, np. politycznych czy religijnych, nie znaleźli miejsca w swoich krajach. W Kompanii Zachodnioindyjskiej nie miała większego znaczenia narodowość, religia, pochodzenie, czy przeszłość człowieka. Liczyli się: talent, umiejętności żeglarskie i zapal do pracy. Krzysztof Arciszewski, oficer artylerii i inżynier z dalekiej Rzeczypospolitej, do tego wygnaniec polityczny, mógł bez problemu odnaleźć się w jej szeregach.

Służba nie była jednak łatwa – podczas długich i męczących rejsów do Indii Zachodnich umierało z powodu chorób i niewłaściwego żywienia wielu członków załogi. Niebezpieczeństwa i trudy podróży powodowały, że na statkach WIC znacznie częściej niż we flocie wojennej czy handlowej operującej na europejskich wodach wybuchały bunt. Dlatego kluczowy był dobór odpowiednich dowódców, umięjęcych zaprowadzić dyscyplinę. Admirałowie

Kompanii Zachodnioindyjskiej, którzy odnieśli sukcesy na morzu lub lądzie, cieszyli się ogromną sławą w Republice Zjednoczonych Prowincji. Przygotowywano im tryumfalne powitania, gdy wracali do ojczyzny, obsypywano pieniędzmi, zaszczytami. Możliwe było także przeniesienie na atrakcyjne stanowisko do marynarki wojennej.

Przykładem bohatera, który tylko dzięki własnej ciężkiej pracy i umiejętnościom osiągnął sukces, był Piet Hein. Pochodził z niezamożnej rodziny. Karierę rozpoczął jako chłopiec okrętowy. Dzięki talentowi piął się coraz wyżej, aż został kapitanem. Już jako admirał Kompanii Zachodnio-

indyjskiej odniósł największy sukces, zdobywając hiszpańską srebrną flotę. Piet Hein był pierwszym, któremu udało się przechwycić ją całą. Dokonał tego, o czym marzyli wszyscy angielscy i holenderscy kaprowie. Po powrocie do Republiki Zjednoczonych Prowincji został głównodowodzącym flotą wojenną – pierwszym holenderskim admirałem, który nie był szlachcicem z pochodzenia. Rok później w 1629 r. zginął, walcząc z kaprami z Dunkierki. Pochowano go z wielkimi honorami w Oude Kerk w Delft. Jego błyskotliwa kariera była przykładem dla wszystkich ambitnych ludzi wstępujących w szeregi Kompanii Zachodnioindyjskiej.

Wtedy zarówno zwycięstwo, jak i porażka miały swą cenę. Hiszpański admirał Juan de Benavides y Bazán, który przegrał pod Matanzas z Pietem Heinem, po ciągnącym się pięć lat procesie został skazany na karę śmierci.

stał skazany na karę śmierci.

Mimo trudów służby, niebezpieczeństw czekających na morzach i oceanach oraz w dalekich egzotycznych, słabo znanych krainach nigdy nie brakowało śmiałków chętnych do zaciągnięcia się do Kompanii Wschodnio- i Zachodnioindyjskiej. Jednym z nich został Polak Krzysztof Arciszewski.

Zamorska sława

W pewnym momencie zdawało się, że Krzysztof Arciszewski po latach wygnania będzie mógł powrócić do ojczyzny i rozpocząć spokojne życie. Od dłuższego czasu rodzice i bracia nakłaniali go do zawarcia ugody z wdową po zamordowanym Brzeźnickim. Książę Radziwiłł wykładał spore sumy pieniędzy, żeby ją udobruchać. Budziło to niechęć Arciszewskiego, który uważał, że lepiej byłoby gdyby jego protektor zainwestował te pieniądze w edukację wojskową Arciszewskiego we Francji.



Krzysztof Arciszewski



LEGENDARNE ŁUPY PIETA HEINA

W 1628 r. w porcie Matanzas u wybrzeży Kuby głównodowodzący flotą Kompanii Zachodnioindyjskiej adm. Piet Hein zdobył hiszpańską srebrną flotę. Łupem Holendrów padło wówczas 177 tys. funtów srebra (ponad 81 t), złoto, 37 375 skór, 361 skrzyń cukru oraz 3 tys. worków indygo i koszeniliny (cenne wówczas barwniki, których wartość materialna była bardzo wysoka). Część przewożonego towaru znajdowała się w skrzyniach opatrzonych napisami: „Por el Rey” – „Dla Króla”, „Por Su Majestad” – „Dla Jego Wysokości” oraz „Dla kolegium jezuitów w Rzymie”. Zdobyto także mniej wartościowe rzeczy: trochę wyrobów luksusowych (najcenniejszym z nich był krucyfiks zdobiony złotem i diamentami) oraz ubrania, książki, wyroby z laki i zawiasy. Zupełnie wyjątkową rzeczą, którą znaleziono na pokładzie jednego z hiszpańskich statków, była relikwia – głowa zamordowanego w Japonii męczennika. Łupem, który z pewnością rozbawił Holendrów, była papuga, która, gdy słyszała dźwięk przesypywania srebrnych monet, wołała po hiszpańsku: „Victoria, victoria, o qué buena va!” – „Zwycięstwo, zwycięstwo, o jak dobrze nam idzie!”. Cenne łupy Holendrzy przeładowali na własne okręty. Było ich tak dużo, że załadunek trwał cały tydzień. Piet Hein zabrał także jako przyz (zdobycz wojenną) do Republiki Zjednoczonych Prowincji cztery duże hiszpańskie galeony („Santa Ana María”, „Santa Gertrudis”, „Nuestra Señora de la Antigua”, „San Juan Bautista”) i jeden mniejszy statek (również „Nuestra Señora de la Antigua”). Wartość towarów zdobytych przez Pieta Heina oszacowano na gigantyczną wówczas kwotę 11–17 mln guldenów. Był to największy łup, jaki zdobyła Kompania Zachodnioindyjska. Nigdy przedtem, ani nigdy później żaden z admirałów WIC nie powtórzył sukcesu Pieta Heina.

Jednak w 1625 r. powrócił do Polski i pojednał się z Brzeźnicką. Wizyta w ojczyźnie nie była jednak radosna. Matka, którą Arciszewski prawdziwie kochał, nie doczekała powrotu syna. Krzysztof odwiedził jej grób w Nietążkowie. Ojciec żył coraz bardziej oderwany od rzeczywistości, pograżał się w żarliwej religijności. Tymczasem książę Radziwiłł postanowił wykorzystać Arciszewskiego do swoich ambitnych planów politycznych. Posłał go na francuski dwór z misją dyplomatyczno-spiegowską, gdzie miał działać na rzecz obsadzenia tronu polskiego przez francuskiego kandydata po obaleniu Zygmunta III Wazy. Gdy intryga wyszła na jaw, sprytny książę wyparł się wszystkiego, a cała wina spadła na Arciszewskiego. W 1628 r. król Zygmunt III Waza wysłał za nim do Belgii list gończy.

Krzysztof po raz kolejny stał się banitą, bez szans na powrót do ojczyzny. Zanim udał się ponownie do Niderlandów, służył w katolickich wojskach kard. Armandu Richelieu, oblegających protestancką twierdzę La Rochelle. Ten epizod z życia Arciszewskiego pokazuje, że zamiłowanie do rzemiosła wojennego było u niego silniejsze niż wartości religijne.

Pod koniec 1629 r. podpisał ostatecznie kontrakt z Kompanią Zachodnioindyjską, a w lutym 1630 r. przypłynął do Brazylii. Dowódcami całej wyprawy byli adm. Hendrick Loncq i płk Diederik van Waerenburgh. Kluczowe było opanowanie jak największych terenów, a zwłaszcza najbogatszej kapitanii Pernambuco. Holendrom zależało na zyskach płynących z uprawy trzciny cukrowej. W XVII w. Brazylia była bowiem największym producentem cukru na świecie.

Kapitanía Pernambuco, położona nad morzem w północnowschodniej Brazylii, obejmowała 60 mil wybrzeża. Na jej terytorium znajdowało się 10 fortów. Stolicą była Olinda, położona nad oceanem, którą Holendrzy postanowili zdobyć w pierwszej kolejności. Nie było to jednak łatwe zadanie, ponieważ położenie miasta sprzyjało prowadzeniu długotrwałych działań obronnych. Od wschodu chroniły je podwodne skały uniemożliwiające okrętom podejście na tyle blisko, by prowadzić w pełni skuteczny ostrzał z artylerii burtowej. Na zachód od miasta rozciągały się bagna, a na południu znajdował się umocniony port Recife, który strzegł dostępu do stolicy prowincji Pernambuco.

Podczas działań pod Olindą kpt. Arciszewski wykazał się umiejętnościami, które spotkały się z dużym uznaniem uczestników wyprawy. Początkowo Holendrzy rozpoczęli ostrzał od strony morza, jednak kule nie mogły wyrządzić miastu większej szkody. Portugalski dowódca, mimo że dysponował skromnymi środkami, zadbał o wzmocnienie obrony. Na wybrzeżu zbudowano podwójną palisadę i wystawiono działa. Wysłał do Portugalii 18 statków wyładowanych cukrem, by nie padły łupem wroga. Na pozostałych umieszczono materiały łatwopalne, aby w razie po-

trzeby wykorzystać je jako brandery. Podczas narady wojennej na okręcie adm. Loncqa dużą rolę odegrał Krzysztof Arciszewski, który przekonał zgromadzonych do swojej koncepcji strategicznej. Zgodnie z jego sugestiami zaatakowano Olindę od północy, prowadząc jednocześnie ostrzał Recife od strony morza, aby odwrócić uwagę Portugalczyków. Zakończone sukcesem działania pod Olindą rozpoczęło 16 lutego 1630 r. Część floty Kompanii Zachodnioindyjskiej ostrzeliwała Recife zgodnie z planem od strony morza, podczas gdy 16 okrętów popłynęło na północ i wysadziło desant osiem mil od Olindy. Portugalczycy w pełni skoncentrowali się na odpieraniu ataku na południu, stąd niespodziewany atak wojsk lądowych na północy całkowicie ich zaskoczył. Olinda wpadła w ręce Holendrów. Krzysztof Arciszewski mógł cieszyć się pierwszym sukcesem w Brazylii. Niedługo potem zdobyto Recife, São Jorge, São Francisco oraz wyspę Antonio Vaz. Arciszewski wykazał się podczas zdobycia wyspy Itamaraki, której znaczenie strategiczne do prowadzenia dalszych działań wielokrotnie podkreślał. Podczas walk wyróżniał się nie tylko uporem i odwagą, ale także znakomitymi umiejętnościami inżynieryjnymi. Za zdobycie wyspy w kwietniu 1631 r. został mianowany na stopień majora.

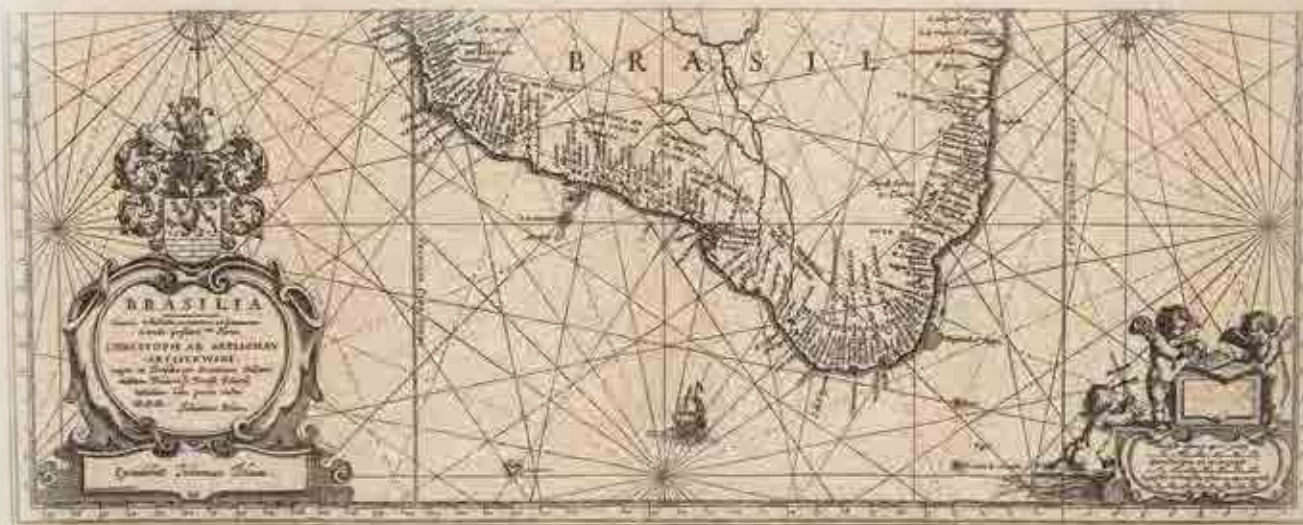
W lutym 1633 r. Arciszewski wypłynął z powrotem do Niderlandów, ponieważ skończył mu się kontrakt zawarty z Kompanią Zachodnioindyjską. Po powrocie do Amsterdamu Rada XIX Panów na znak uznania dla jego dotychczasowych dokonań nie tylko przedłużyła mu kontrakt, ale także nadała stopień pułkownika i wyznaczyła na głównodowodzącego wojsk lądowych WIC podczas kolejnej wyprawy.

W lipcu 1634 r. Krzysztof Arciszewski, dysponując czterema okrętami, wiózł do Brazylii posiłki w liczbie 500 żołnierzy. Wyprawa okazała się dużym sukcesem. W szybkim

tempie zdobyto fort Cunhau, następnie fort na wyspie Dos Frades Bentos, miasta: San Antonio, Santa Catarina i Paraiiba oraz fort Arraial. Podczas zdobywania ostatniego z wymienionych fortów Arciszewski został ranny w ramię. Mimo tego z charakterystycznym dla siebie zapałem i nieustępliwością dowodził dalej ze swojego namiotu, a gdy dowiedział się, że morale jego żołnierzy podupada, dosiadł konia i wrócił do walki. Jego przybycie przywróciło wiarę w zwycięstwo i fort zdobyto.

Krzysztof Arciszewski dbał nie tylko o sprawy wojskowe, ale także zależało mu na rozwoju zdobytych terytoriów. Martwiło go to, że Holendrzy skupiają się wyłącznie na zyskach z handlu, nie angażując się zbyt w zabezpieczenie nowo zdobytych terytoriów. Obawiał się, że mogą paść one ponownie łupem Portugalczyków. Widział wiele wad w systemie dowodzenia. Pisał w raportach, że jako dowódca często skrzepowany jest opieszałością Rady Politycznej w Recife i komisarzy, których każdorazowo musiał pytać o zgodę na dalsze działania. Zwracał uwagę, że te organy władzy podejmują decyzję zbyt późno, a także unikają prowadzenia odważnych działań zaczepnych. Był zwolennikiem jak największych podbojów terytorialnych, które miałyby prowadzić do całkowitego wyparcia Portugalczyków. Zdaniem Arciszewskiego na zbyt małą skalę wykorzystywano także flotę wojenną Kompanii. Sugerował, że cała władza wojskowa powinna skupiać się w rękach jednej osoby, nieograniczonej decyzjami rady i komisarzy. Swoje zdanie, wraz z proponowanymi rozwiązaniami, przedstawił w memoriale, który wysłał do XIX Panów zarządzających Kompanią Zachodnioindyjską z Amsterda-

Mapa fragmentu Brazylii, w: A. Kraushar: *Dzieje...*, wyd. cyt. Fot. Polona.pl



mu. Nie przewidział, że jego słuszne rady obróćą się z czasem przeciwko niemu.

Po zakończeniu kontraktu w kwietniu 1637 r. ponownie wrócił do Niderlandów, gdzie powitano go jak bohatera. Kompania Zachodnioindyjska w pełni doceniła dokonania Krzysztofa Arciszewskiego. Jego podboje terytorialne w Brazylii pozwoliły Holendrom na intratny rozwój handlu cukrem.

Powracające z Brazylii okręty powitały w porcie salwy armatnie i okrzyki wiwatującego tłumu. Burmistrz Amsterdamu na znak uznania dla czynów wręczył płk. Arciszewskiemu i uroczyste zawiesił mu na szyi złoty łańcuch. Zgodnie z panującym wówczas w Północnych Niderlandach zwyczajem robione na specjalne zamówienie złote łańcuchy, których wartość wyrażała się w ich wadze, wręczano admirałom za wybitne czyny na morzu. Następnie jeden z dyrektorów Kompanii Zachodnioindyjskiej wygłosił przemowę chwälącą dokonania Polaka w Brazylii i wręczył mu wybitny specjalnie na tę okazję srebrny medal pamiątkowy z napisem „Przyjmij laur zwycięski” oraz „Nieprzyjaciel Hiszpan porażony”. Znany holenderski geograf Johannes Bleu przygotował z tej okazji mapę Brazylii opatrzoną kolorowym herbem Arciszewskiego. Pułkownik Kompanii Zachodnioindyjskiej w dowód uznania zapraszany był na zebrania Rady XIX. Składali mu wizyty znamienici mieszkańcy Amsterdamu, a także ludzie nauki ciekawi informacji o Brazylii. Na ulicach towarzyszyły mu tłumy wznoszące okrzyki na jego cześć. Krzysztof Arciszewski doczekał się sławy, jaką wcześniej cieszył się słynny adm. Piet Hein.

W sierpniu 1638 r. Rada XIX Panów Kompanii Zachodnioindyjskiej mianowała Krzysztofa Arciszewskiego generałem artylerii, pułkownikiem wojsk lądowych i admirałem floty WIC w Brazylii.

Gorycz rozczarowania

W styczniu 1637 r., a więc jeszcze przed zakończeniem drugiego kontraktu Arciszewskiego, Kompania wysłała do Brazylii hr. Jana Maurycego Nassau-Siegen, bratanka namiestnika Holandii. Był to znak, że XIX Dyrektorów Kompanii pozytywnie ustosunkowało się do sugestii zawartych w memoriale Arciszewskiego. Nassau-Siegen otrzymał tytuł gubernatora i głównodowodzącego wojsk w Brazylii, niezależnego od rady w Recife i komisarzy. Miał być więc koordynatorem działań wojskowych i cywilnych w Brazylii. Oczekiwano przede wszystkim, że będzie sprawnym administratorem, który mądrze pokieruje sprawami kolonii. Szybko okazało się, że rozmówiony w kulturze i sztuce hrabia nie chce słuchać doświadczonych dowódców. W czasie nieobecności polskiego pułkownika wojska hrabiego poniosły klęskę pod Bahią. Wyprawę tę Arciszewski odradzał jeszcze podczas swojego pobytu w Brazylii. Nassau-Siegen nie wysłuchał jednak jego rad. Konflikt osiągnął apogeum po powrocie Krzysztofa Arciszewskiego do

Brazylii w roli admirała Kompanii Zachodnioindyjskiej. Hrabia od samego początku okazywał mu brak szacunku oraz wbrew dyspozycjom, które Polak dostał jako dowódca wojsk lądowych i floty, rozporządzał wojskami bez pytania go o zdanie, rozsyłał żołnierzy do garnizonów i wydawał rozkazy za jego plecami. Ostatecznie umieścił Arciszewskiego w areszcie domowym i odesłał na statku do Europy. W sporze z Nassau-Siegen Arciszewski nie miał szans i z góry skazany był na porażkę. Hrabia postawił sprawę jasno: albo on, albo admirał musi opuścić Brazylię. Lubiany przez żołnierzy, szanowany przez dyrektorów Kompanii Zachodnioindyjskiej Krzysztof Arciszewski przegrał z członkiem rodziny panującej w Republice Zjednoczonych Prowincji dynastii orańskiej. Wpływy hr. Nassau w najwyższych kręgach władzy były zbyt duże, aby Arciszewski mógł się im skutecznie przeciwstawić. Jego kariera w Kompanii Zachodnioindyjskiej dobiegła końca.

Powrót do ojczyzny i śmierć

Sława Arciszewskiego szybko dotarła do Rzeczypospolitej. Wybitny dowódca otrzymał list żelazny od króla Władysława IV, gwarantujący mu nietykalność sądową. Po latach Arciszewski odkupił swoje winy i wreszcie mógł powrócić do ojczyzny. Król chciał wykorzystać jego wiedzę i doświadczenie w licznych toczonych przez Rzeczpospolitą wojnach. W 1646 r. Krzysztof Arciszewski przybył do Polski i otrzymał stanowisko starszego nad armatą, czyli generała artylerii koronnej. Zajmował się modernizacją arsenałów, brał udział w bitwach pod Piławcami w 1648 r. i Zborowem w 1649 r., gdzie zajmował się ubezpieczeniem przemarszu oraz budową przepraw i fortyfikacji polowych. Sfrustrowany niepomyślnym przebiegiem walk z Kozakami, pomijaniem jego rad przez przełożonych oraz konfliktem z kanclerzem Jerzym Ossolińskim odszedł z wojska w 1650 r. i osiedlił się w Arciszewie k. Gdańska.

Ostatnie lata życia spędził w osamotnieniu poświęcając się pisaniu, gdyż przy wszystkich swych talentach był Arciszewski również zdolnym poetą. Zmarł 7 kwietnia 1656 r., a trumna z jego ciałem spoczęła w zborze braci czeskich w Lesznie obok trumien jego rodziców. Nigdy nie założył rodziny. Całe życie poświęcił rzemiosłu wojennemu, które kochał od dzieciństwa. Niestety, generał nie miał spokoju i po śmierci – ciała jego i jego rodziców spłonęły w pożarze miasta, jaki w nocy z 27 na 28 kwietnia wznicił żołnierze kasztelana poznańskiego Krzysztofa Grzymułtowskiego, mszcząc się za wpuszczenie Szwedów do miasta. ■

ANNA PASTOREK doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. Pracuje w Wojskowym Centrum Edukacji Obywatelskiej. Specjalizuje się w dziejach wojen morskich i historii Holandii. Autorka książek *Holenderska flota wojenna 1639–1667. Organizacja i znaczenie oraz Texel 1673*, a także licznych artykułów naukowych i popularnonaukowych.

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!
Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

„Sławny Żyd, Polak prawy”

Po zwycięskiej kampanii księcia Józefa Poniatowskiego w 1809 r. w odbitym z rąk Austriaków Krakowie fetowano długo przyłączenie królewskiego miasta do Księstwa Warszawskiego. Jak notowali ówcześni pamiętnikarze, na bankietach arystokracji mówiono wyłącznie o bitwie pod Aspern, Napoleonie i... Żydzie Berku.

PIOTR KORCZYŃSKI

Nie tylko arystokraci dyskutowali o tym Żydzie „dziwnej odwagi”, który całe życie poświęcił wy-mazanej z mapy Europy Rzeczypospolitej. Z okolic Kocka, gdzie Berek Joselewicz zginął śmiercią bohatera, szły wraz z wędrownymi dziadami na cały kraj pieśni i legendy o żydowskim pułkowniku. I szybko po wsiach zaczęto śpiewać:

„W tem przypadku huncwockim,
Zginął Berko pod Kockiem.
Był to Berko, sławny Żyd.
Człęk sumienny, Polak prawy.
Nie kwaterką, ni szacherką,
Lecz się krwią dorobił sławy”.

Legendą obrósł też pogrzeb bohatera po bitwie. Nie można było z całą pewnością ustalić, w którym miejscu go pochowano. Według okolicznych przekazów doszło do kłótni między Polakami a Żydami, na którym pułkownik ma spocząć cmentarzu. W końcu postanowiono oddać sprawę losowi. Złożono ciało oficera na wozie zaprzężonym w konie i pognano je batem bez furmana. Tam, gdzie się zatrzymały, wykopano mogiłę. Padło na pole przy drodze z Kocka do Białobrzegów. Z tej mogiły w 1935 r. pobrano ziemię i dosypano do Kopca Niepod-

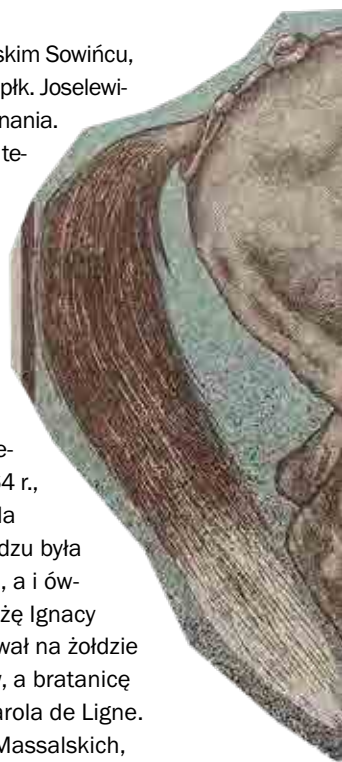


Berek Joselewicz, szef szwadronu lekkiej jazdy Księstwa Warszawskiego

ległości im. Józefa Piłsudskiego na krakowskim Sowińcu, aby podkreślić jak wysoko Marszałek cenił płk. Joselewicza i obywateli polskich mojejżeszowego wyznania. Do dziś trwają dyskusje wśród badaczy, na temat tego, co spowodowało, że młody Żyd z Kresów II Rzeczypospolitej tak mocno zaangażował się w sprawę jej wskrzeszenia.

„Mamy Kościuszkę, Bóg pozwoli”

Odpowiedź na to pytanie nie jest taka trudna, jeśli się pamięta, że litewska Kretynka nad Okmianą, gdzie Berek Joselewicz przyszedł na świat 17 września 1764 r., należała niegdyś do hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Pamięć o tym wielkim wodzu była wciąż żywa wśród mieszkańców Kretynki, a i ówczesny jej właściciel biskup wileński książę Ignacy Massalski był postacią barwną. Utrzymywał na żołdzie pułk zwerbowany aż z dalekich Wogezów, a bratanicę Helenę wydał za francuskiego księcia Karola de Ligne. Słowem Francja była modna na dworze Massalskich, a biskup hołdował zwyczajom francuskiej arystokracji.



Potrafił ponoć z lekkim sercem w jedną noc przegrać w grze karcianej 100 tys. dukatów.

Nie dziwi więc, że zdolny w rachunkach Berek, przysposobiony przez swego wujka Nuchina Telszacha do zawodu faktora, zwrócił uwagę księcia biskupa. O przyjęciu na służbę zaważył jeszcze talent lingwistyczny. Berek – prócz jidysz i polskiego – szybko nauczył się niemieckiego i francuskiego. Był też chłopcem inteligentnym i żywym, poświęcającym każdą wolną chwilę na fechtunek drewnianą szablą. Bp Massalski nie zawiódł się na młodym faktorze i szybko powierzył mu odpowiedzialne misje zagraniczne. Berek

Joselewicz pilnował interesów Massalskich w Saksonii, we Francji i austriackich Niderlandach. Wziął też udział wraz ze swym suwerenem w hucznym na cały Paryż weselu pięknej Heleny z księciem de Ligne. W 1788 r. Berek Joselewicz za ra-

dą Abrahama Hirszowicza, faktora króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, osiedlił się w żydowskiej kolonii Gołędzinów na warszawskiej Pradze. Tutaj handlował końmi i paszą. Dzięki znajomości z bankierem i głównym dostawcą dla armii polskiej Szmulem Zbzytkowerem szybko dorobił się sporego majątku. Wtedy też ożenił się z woli ojca z niejaką Ryfką. Z tego małżeństwa urodził się syn Josel (Józef) i córka Leja.

Mimo to w burzliwych dla Polski i Europy latach dziewięćdziesiątych XVIII w. okazało się, że Berek nie zapomniał młodzieńczych treningów z szablą. „Na swe nieszczęście”, jak podkreślał w listach, wybuch insurekcji w 1794 r. zastał go w rodzinnych stronach, w Kretyndzie. Nie mógł później odżałować, że ominęły go zarówno „wielkanocne powstanie” Jana Kilińskiego w Warszawie, jak i Jakuba Jasińskiego w nieodległym Wilnie. Berek natychmiast wrócił do stolicy i – jak wielu innych Żydów – wstąpił do milicji miejskiej. Służba ta nie odpowiadała jednak ambitnemu faktorowi. Razem z przy-

jacielem Józefem Aronowiczem zgłosił się do komendanta Warszawy gen. Stanisława Mokronowskiego z projektem stworzenia wojskowego oddziału starozakonnego. Generał przyjął ich, ale zamiast oddziału zalecił wyznaczenie 100 Żydów do służby wywiadowczej i zaopatrywania wojska. Mimo niepowodzenia swojej misji dwaj miłośnicy munduru nie poddawali się. Obaj 23 kwietnia 1794 r. wystali do Komisji Porządkowej Województwa Warszawskiego apel w sprawie naboru do wojska ludności żydowskiej. Tym razem w sukurs przyszedł im sam naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej gen. Tadeusz Kościuszko. Dał zgodę na formowanie Lekkokonnego Pułku Starozakonnego, a 17 września ogłosił manifest do ludności żydowskiej, który rozpoczynał się od słów: „Nic bardziej przekonać nie może najpodlejszych narodów, o świętości sprawy naszej, i sprawiedliwości rewolucji teraźniejszej; jak to, że oddzieleni od nas religią i zwyczajami ludzie, dla poparcia powstania naszego, z własnej woli życie w ofierze niosą”¹. Kościuszko jednocześnie mianował Berka Joselewicza pułkownikiem, a on odwdzieczył się Naczelnikowi własną odezwą do żydowskich współobywateli, którą zakończył apelem: „Kochani bracia! Obudźcie się jak lwy i lamparty”.

Z Kasy Narodowej przyznano płk. Joselewiczowi na potrzeby formowanego pułku 3 tys. zł; znaczne sumy na oddział wypłacili również bogaci kupcy żydowscy. Dziś niestety trudno ustalić, ilu żołnierzy liczył oddział Joselewicza. Według różnych źródeł było w nim od 400 do 600



FOT. POLONA.PL (2)

ludzi. Istniał zaledwie miesiąc. Tylko część ochotników zdołano ubrać w czarne mundury z błękitnymi wyłogami. Jedno pozostaje pewne – żydowscy obrońcy Warszawy rzeczywiście okazali się w czasie jej oblężenia przez wojska Suworowa „lwami i lampartami”. Służbę pełnili ofiarnie, „zapominając” w niej nawet o obowiązkach szabatu. Kiedy 4 listopada 1794 r. nieprzyjaciół przystąpił do szturmów generalnych miasta, żydowscy żołnierze i milicjanci odznaczyli się męstwem, które podsycali wieści o tym, co Kozacy wyczyniają z ich rodzinami w zdobytych częściach miasta. Jeden ze świadków tamtych dramatycznych chwil Tadeusz Czacki zanotował: „[Żydzi] nie lękając się śmierci, zmieszani z wojskiem i ludem, dowiedli, że niebezpieczeństwo nie jest im straszne, a sprawa Ojczyzny miła”². Żołnierze starozakonnego pułku polegli albo uciekli z opowanej przez Rosjan Warszawy. Niewoli uniknął także, choć ranny, ich dowódca. Płk Joselewicz przedarł się po upadku miasta do Galicji.

Pod sztandarami Legionów

Zgnębiony klęską, ranny Joselewicz zamieszkał we Lwowie, w mieszkaniu męża swej ciotki, dr. Chaskiela. Austriacy z miejsca objęli byłego pułkownika Tadeusza Kościuszki nadzorem policyjnym. Według wspomnień jego syna był nawet aresztowany. Po pewnym czasie Joselewicz powrócił do handlu końmi. Wiosną 1795 r. poprosił władzę o paszport, by mógł wyjechać do Wiednia. Nieufni urzędnicy Prezydium Rządu Krajowego odrzucili jednak jego podanie, a gubernator wschodniej Galicji Johann von Gaisruck zalecił dalszy nadzór policyjny tego „dawnego rewolucjonisty”. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy we wrześniu następnego roku dotarło do niego pismo Joselewicza, w którym postulował stworzenie... legionu żydowskiego w sile 6000–8000, umundurowanego w „polskie czapki i kurtki oraz węgierskie spodnie” i wysłanie go przeciwko armii włoskiej gen. Napoleona Bonaparte. Można ten projekt skomentować popularnym przysłowiem, że tonący brzytwy się chwyta, gdyż Joselewicz za wszelką cenę chciał wyrwać się ze Lwowa, ale i na ten fortel austriaccy policmajstrzy się nie nabrali.

Zła passa skończyła się już niedługo, bo w 1797r., kiedy to do Galicji zaczęli docierać emisariusze gen. Jana Henryka Dąbrowskiego z wieściami o formowaniu Legionów Polskich we Włoszech. Berek Joselewicz, zlikwidowawszy wszystkie interesy, na wiosnę 1798 r. ruszył wraz z kilkoma współpracownikami w drogę do Italii. Po szczególnej podróży 9 czerwca wysłał z Mediolanu list do gen. Dąbrowskiego: „Równie iak wszyscy dobrzy Polacy Odezwę twoją do Narodu Jenerale wezwany, łączyć się [chcę – PK] z Tobą i Legionami Narodowymi kiedy mi czas, okoliczności i nakłady dozwolą [...]. Proszę abyś mię w liczbę przyjął współbraci, z którymi mi jeden cel



miłości Ojczyzny, od czasu porwania broni wspólnie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi aż dotąd łączy, przyprowadza tu, i ich towarzystwa godnym czyni”³. Na list ten Joselewicz otrzymał odpowiedź 2 lipca. Generał pisał do niego z Rzymu z wyraźną radością: „Z prawdziwym ukontentowaniem doszedł mnie list Twój, obywatelu pułkowniku; spodziewałem się zawsze, że Ty, co pierwszym byłeś zachęcenia ziomków swych podczas ostatniej Rewolucji, aby się jeli oręża w obronie kraju, nie opuścisz i tej drogi służenia Ojczyźnie przez przybycie do Legionów”⁴.

Wobec takiego zaproszenia płk Joselewicz niezwłocznie przybył do Rzymu i zameldował się w kwaterze generała. Ten istotnie przyjął go serdecznie, ale nie mógł zaproponować stanowiska odpowiadającego jego szarży. Pułkownik bez wahania jednak przyjął stanowisko dodatkowego oficera w randze porucznika w I Legii gen. Józefa Wielhorskiego. Pierwszym zadaniem Joselewicza w Legionach było rozporządzanie funduszami przeznaczonymi dla przyjeżdżających oficerów, ale już niedługo wybuchła wojna z Królestwem Neapolu, od której rozpoczęła się kariera starozakonnego kawalerzysty. Wykorzystując kupieckie doświadczenie, odkupił kilkadziesiąt koni ze zdobytej



*Śmierć Borka
Joselewicza,
mal. Henryk
Pillati*

pod Gaetą stadniny, dzięki czemu przystąpiono do formowania legijonowej kawalerii. Jej pierwszym dowódcą został płk Eliaz Tremo, a Joselewicz objął funkcję szefa szwadronu. Kiedy oddział urosł do 1200 szabel, jego dowódcą obwołano gen. Andrzeja Karwowskiego.

Po zdobyciu Gaety 30 grudnia 1798 r. polscy legioniści walczyli z powstańcami w Toskanii, a na początku nowego roku pomaszerowali do północnych Włoch, by dać odpór wojskom austriacko-rosyjskim feldmarszałka Suworowa. Berek Joselewicz miał okazję znowu skrzyżować szable z żołnierzami wodza odpowiedzialnego za rzeź Pragi. Walczył m.in. pod Trebbią, Novi i Bosco. W krwawej bitwie pod Legnano 30 marca 1799 r. Joselewicz „prowadząc kolumnę, gdy ujrzał, że chorąży ciężko postrzelony wypuszcza z rąk chorągiew, porwał ją i dalej żołnierzy do boju prowadził, za co na placu boju dostał nominację na sztabs-kapitana”⁵. W ciężkich bojach Legiony Polskie szybko się wykrywały, a ich kawaleria zmniejszyła się do tego stopnia, że w końcu 1800 r. istniała już tylko formalnie. Toteż przy reorganizacji zniszczonych Legionów Joselewicza z resztkami pułku przeniesiono do tworzącej się nad Renem nowej Legii, nazwanej, by nie drażnić Niemców, nie Legią Nadreńską, lecz Naddunajską, na czele której stanął gen. Karol Kniaziewicz.

Pułkownik – bo mimo niższych rang, tak gen. Jan Henryk Dąbrowski przez cały czas go tytułował – Joselewicz przybył nad Ren w gronie takich przyszłych sław, jak Józef Chłopiczki, Józef Drzewiecki i Stanisław Fiszer. Razem z nimi reklamowany był jako pierwszorzędnny kawalerzysta i oficer, ale niestety nad Renem z powodu braku szlachectwa doświadczył dyskryminacji ze strony oficerów nowo tworzonej jednostki. Gen. Kniaziewicz pisał w tej sprawie z goryczą do przyjaciela gen. Dąbrowskiego: „Zazdrość rang, przesady stanu i urodzenia, wszystko się tu widzieć daje. Berek Joselewicz, co w Polsce był pułkownikiem, co dwie kompanie we Włoszech odprawił, tu przybywszy: tym dobrowolnie starszeństwa odstąpił, którzy tu żadnej kampanii nie odprawili, dlatego jednak prześladować nie przestają, któremu jednak niczego więcej zarzucić nie można, jak to, że się nieszlachcicem urodził”⁶. Berek Joselewicz gorzko odczuwał tę dyskryminację, czemu dawał wyraz m.in. w listach do Kościuszki, ale nie wpływało to na jego udział w walkach. Prócz wielu mniej-

szych potyczek 3 grudnia 1800 r. wziął udział w bitwie pod Hohenlinden, a następnie pod St. Christophe i Salzburgiem.

Na francuskim żołdzie

Po podpisaniu pokoju w Lunéville 9 lutego 1801 r. Berek Joselewicz wraz z szefem batalionu Józefem Seydlitzem przeprowadzili większość kawalerii z powrotem do Włoch, docierając do Mediolanu 27 kwietnia. Tutaj zawiedzione nadzieje, że walka Legionów doprowadzi do oswobodzenia Polski, jeszcze bardziej zaostrzyły „kłótnie i niespokojności” w ich szeregach. Wobec tego Joselewicz w czerwcu 1802 r. poprosił o dymisję i wypłacenie zaległego żołdu. To pierwsze wypełniono szybko i skwapliwie, o czym ze smutkiem pułkownik pisał do gen. Dąbrowskiego, prosząc go jednocześnie o pomoc w kontynuowaniu kariery wojskowej.

Prawdopodobnie to dzięki protekcji generała w 1803 r. Joselewicza mianowano kapitanem-kwatermistrem w pułku dragonów formującego się Legionu Hanowerskiego na żołdzie francuskim. Francuzi docenili także jego poprzednią służbę, przyznając mu Legię Honorową i wynagrodzenie. Joselewicz znalazł też w Hanowerze marszałka Édouarda Mortiera, który cenil go za prace organizacyjne nad kawalerią nowego Legionu (przede wszystkim dostarczanie jej koni). Podarował mu m.in. 500 franków i konia. Według niektórych źródeł Joselewicz w 1805 r. znalazł się we Francji i brał następnie udział w bitwach pod Wertingen i Austerlitz. W drugiej połowie 1806 r. wraz z Legionem Hanowskim przybył do Włoch i tutaj dotarła doń wiadomość o tworzeniu się nowego wojska polskiego.

Powrót do kraju

Usłyszawszy, że znowuż można zaciągać się pod polskie sztandary, Joselewicz dosłownie w jednej chwili porzucił służbę w Legionie Hanowskim. Nie bacząc na konsekwencje – oskarżano go później nawet o dezercję, z czego wybronił go jego niezawodny protektor gen. Dąbrowski – na początku 1807 r. Joselewicz wrócił do Polski. Ten legijonowy weteran 5 marca był już na liście 1 Pułku Lekkiej Jazdy płk. Kazimierza Turny w III Legii gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. A 20 maja otrzymał stanowisko kapitana z rangą szefa szwadronu. W szeregach Pułku walczył pod Tczewem, Gdańskiem, Heilsbergiem (Lidzbarkiem Warmińskim) i wreszcie pod Frydlandem, gdzie polska kawaleria się



FOT. ZBIORY PIOTRA KORCZYŃSKIEGO

Obchody rocznicy śmierci płk. Berka Joselewicza w Kocku, lata międzywojenne

wslawiła szarżując rosyjskie pozycje, a regiment Joselewicza „sześć dział zdobył”. Za zasługi w tej kampanii wraz z pięcioma innymi oficerami Pułku Berek Joselewicz otrzymał 8 marca 1808 r. Order Virtuti Militari.

Po podpisaniu układów tylżyckich cesarz Napoleon podarował Polakom namiastkę wolnej ojczyzny – Księstwo Warszawskie, z własną armią, w której 1 Pułk przemianowano na 5 Pułk Strzelców Konnych. Joselewicz wszedł do elity tej formacji – jako dowódca kompanii wyborczej (wyborowej). Jej żołnierze nosili bermycę z niedźwiedziej skóry i szli zawsze na przedzie pułku uzbrojeni nie w lance, lecz karabinki kawaleryjskie. Ponadto Joselewicz dzierżył stanowisko szefa szwadronu. „Jeden z pierwszych był to wypadków, że żyd w armii europejskiej, w dodatku kawalerji, dzierżył [tak wysoką] rangę”⁷ – podkreślał biograf Joselewicza Ernest Łuniński. Nie jedyne były to zaszczyty, które wymazały niedawne przykrości z Legii Naddunajskiej. Berka Joselewicza zaprosili do loży masońskiej Bracia Polscy Zjednoczeni i to od razu jako „brata wyższego stopnia”, kiedy to jego dowódca płk Turno był jedynie „czeladnikiem”. Joselewicz figurował na liście obok takich „braci”, jak gen. artylerji Wincenty Aksamitowski, mjr Józef Hornowski, czy



*Grób
Berka
Joselewicza*

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

wreszcie sam książę Józef Poniatowski. Łuniński tak opisywał płk. Joselewicza z tego okresu: „Pięknie wyglądał eks-faktor biskupa Masalskiego w ciemno-zielonej kurtce sukiennej, lśniącej epoletami na wierzchach ramion, pokrytej dekoracjami, a że należał do «kompanji wyborczej» nosił okrągłą czapkę niedźwiedzią (bermycę), osłaniającą głowę myślącą o mądrych, bystrych oczach, trochę liśm wyrazie, zdobną w sumiasty, rozstrzępiony wąs”⁸.

W czasie krótkiego pokoju Joselewicz wraz ze swym pułkiem stacjonował w Rawie, następnie w Pyzdrach, by wreszcie stanąć w Warszawie w koszarach mirowskich. Tutaj odwiedzała go żona Ryfka z dziećmi. Joselewicz jeździł

także do rodziny na Litwę. Jednak chwila wytchnienia od wojny nie była zbyt długa – nastał rok 1809.

Ostatnia bitwa

Po wybuchu wojny austriacko-francuskiej na ziemię Księstwa Warszawskiego wkroczył korpus arcyksięcia Ferdynanda i ruszył na jego stolicę. Pułk Berka Joselewicza na początku kampanii 18 kwietnia 1809 r. stał się z Austriakami pod Grzybowem, a następnie zdobył przedmostowe szaniec w Ostrówku. Rozbieżne są relacje pamiętnikarzy na temat udziału w obu potyczkach płk. Joselewicza, ale pewne już jest, że maszerował on na czele dwóch szwadronów w awangardzie kolumny, którą książę Józef Poniatowski skierował na Osieck i Żelechów, ku kordonowi austriackiemu. W czasie postoju w Syrokomi 5 maja gościnnie przyjęli go jej właściciele – rodzina Scypionów, a także miejscowy proboszcz. Joselewicz „zlustrował gruntownie” tamtejszą piwniczkę z winem, gdyż, jak podkreślał jego dowódca płk Turno, Joselewicz był „wcale tęgim i odważnym żołnierzem, szczególnie, gdy dodawał sobie animuszu z manierki”⁹. I w takiej właśnie chwili wrócił podjazd zwiadu, który zameldował Joselewiczowi, że w pobliżu Kocka harcuje dywizjon huzarów węgierskich hr. Magyi dowodzonych przez mjr. hr. Hoditza.

Płk Joselewicz postanowił niezwłocznie uderzyć na węgierskich zagończyków, ale i oni w tym czasie wiedzieli o jego obecności w okolicy. Na najdalej wysuniętej zewnętrznej linii Kocka stanął ze strażą por. Horwath, a rynek niedaleko ujeżdżalni wojskowej obsadził nadpor. Stankowicz. Reszta dywizjonu w sile sześciu plutonów pod dowództwem mjr. Hoditza ukryła się na lewym brzegu rzeki Tyśmienicy za tzw. mostem lubelskim łączącym Kock z Wolą Skromowską. A jednak szarża, którą Joselewicz poprowadził po południu na Kock, zaskoczyła Węgrów. Strzelcy konni bez trudu rozbili oddział Horwatha, a następnie „przeskoczyli” przez huzarów Stankowicza, część z nich zaczęła uciekać w stronę mostu. Tutaj jednak ścigających ich Polaków zatrzymał szlaban, który przytomnie opuścił jeden z ostatnich uciekinierów kpr. Moszelis. Na jeźdźców Joselewicza posypał się grad kul ukrytych w zaroślach żołnierzy mjr. Hoditza. Pułkownik nakazał odwrót na rynek, gdzie pozycje strzeleckie trzymali już pewnie ludzie Stankowicza. W morderczym ogniu część polskich żołnierzy rozpierchła się, a Berek Joselewicz z kilkoma oficerami i garstką strzelców wycofał się do ujeżdżalni. Za nimi wdarły się połączone z rynku i znad rzeki plutony huzarów, a jeden z nich zasunął jeszcze szlabanem wjazd do ujeżdżalni – Polacy znaleźli się w matni. Ich mężny dowódca, mimo nawoływań do poddania się, nie zamierzał jednak kapitulować. Tak ostatnie chwile pułkownika opisywał Ernest Łuniński: „Majestacyjne pasowanie się ze śmiercią trwało spory moment.

Położył mu kres huzar Stefan Toth, ugodziwszy Berka tak potężnie pałaszem w głowę, że spadł z siodła i ducha wyzionął pod kopytami końskimi”¹⁰. W całej potyczce, która trwała kilkanaście minut, Polacy stracili 10 oficerów i ok. 40 strzelców konnych.

O śmierci Berka Joselewicza zrobiło się głośno w całym kraju. Pisano o niej także w Europie, m.in. w miesięczniku Żydów niemieckich „Sulamith”, a nawet w paryskim „Moniteur”. Książę Józef Poniatowski w oficjalnym raporcie z kampanii 1809 r. przesłanym Napoleonowi zaznaczył: „W Kocku straciliśmy pułkownika Berka, z wyznania Izraelitę”.

Tak rozpoczęła się legenda płk. Berka Joselewicza. Warto wspomnieć i jego syna Józefa, który poszedł w ślady ojca, odznaczając się w kampanii rosyjskiej 1812 r. W czasie powstania listopadowego postulował stworzenie żydowskiego oddziału kawalerii. Pisał do swych współwyznawców 21 grudnia 1830 r.: „Pocieszcie cienie nieśmiertelnych bohaterów Machabeuszów, równym ich poświęceniem dla Ojczyzny. Niech was ogrzewa przykład mojego ojca Berko, walczącego jako podpułkownik w r. 1794 za całość Ojczyzny”¹¹. Po upadku powstania Józef Berkowicz wyemigrował do Anglii. Do końca życia podkreślał swoje umiłowanie dla „nieśczęsnej Rzeczypospolitej”.

Na koniec warto przywołać jeszcze jedną ludową przyspiewkę zatytułowaną *Berko Żyd*:

„Gdy nie stało Naczelnika [Kościuszki],
Nie dał się pan Berko zdurzyć
Gdy nie stało Naczelnika,
W rękę pika, na konika,
Z Francuzami wnet się zbierał.
Bonaparte zrobił go szefem,
Więc Moskala znowu łoił,
A którego tylko spletał,
Ten się pewno nie wygoił.
Potem pod księciem Józefem,
Gdy przyszło na Austryjaka,
Bił się w dwójnasób, bo wet za wet,
Za Żyda i za Polaka!”

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna Historia”, publicysta. Autor książek: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945*, *Herbarz szlachty polskiej*, *Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

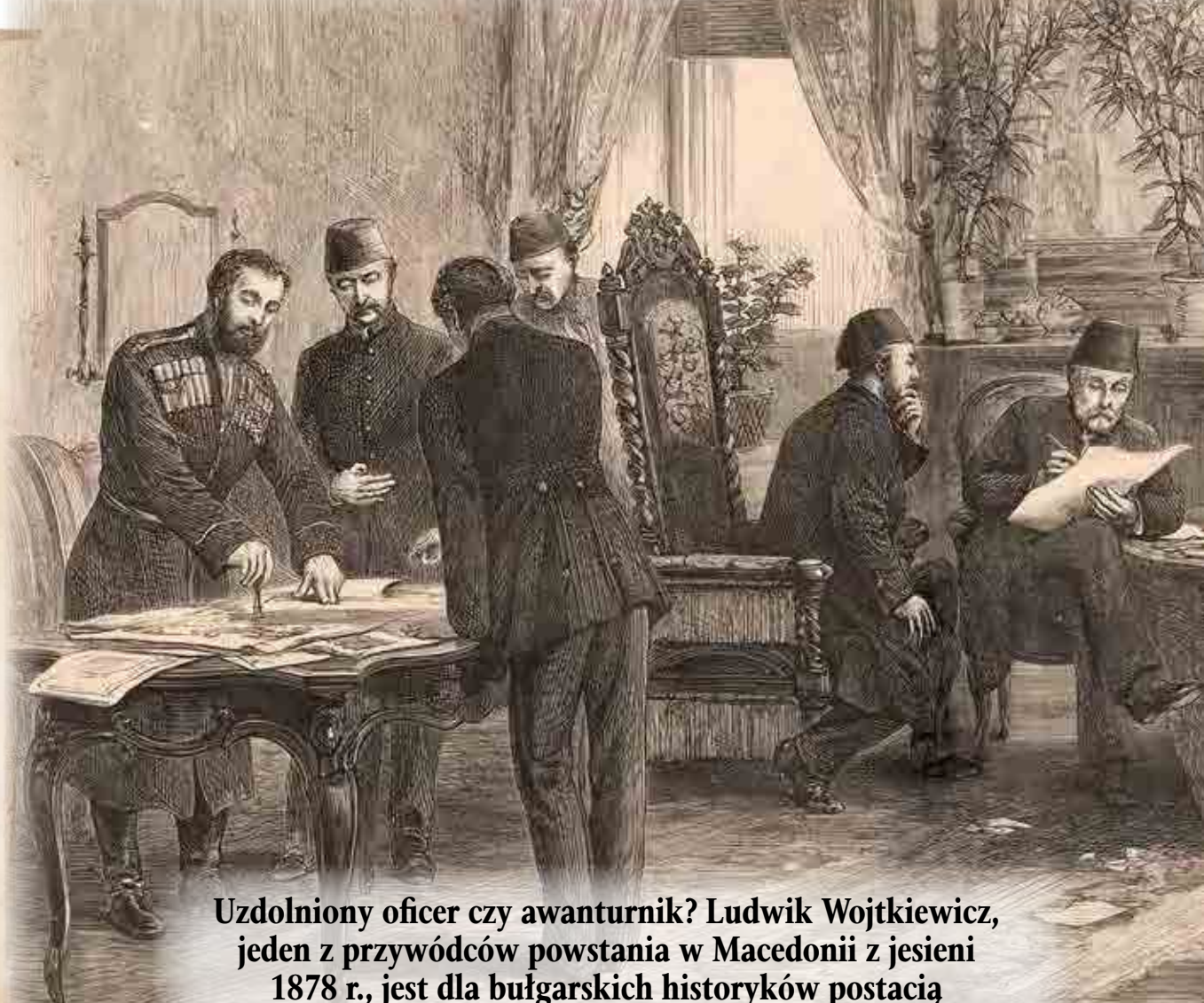
¹ E. Łuniński, *Berek Joselewicz i jego syn. Zarys historyczny*, Warszawa 1909, s. 116–117. ² M. Fuks, *Żydzi w Warszawie*, Poznań–Daszewice 1992, s. 33.

³ M. Bałaban, *Księga pamiątkowa (album) ku czci Berka Joselewicza*, Warszawa 1934, s. 156–157. ⁴ Tamże, s. 157. ⁵ Z. Rappaport, *Pamiętniki Wampira*, tom I, Warszawa 1861, s. 233. ⁶ E. Łuniński, *Berek Joselewicz i jego syn...*, wyd. cyt., s. 28–29.

⁷ Tamże, s. 32.

⁸ Tamże. ⁹ Tamże, s. 56. ¹⁰ Tamże, s. 44. ¹¹ M. Janion, *Pułkownik żydowski – życiorys romantyczny i nieromantyczny*, Kraków 2008, s. 88.

Autor dziękuje dr. Pawłowi Fijałkowskiemu z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie za pomoc w zebraniu materiałów do artykułu.



Uzdolniony oficer czy awanturnik? Ludwik Wojtkiewicz, jeden z przywódców powstania w Macedonii z jesieni 1878 r., jest dla bułgarskich historyków postacią kontrowersyjną. Czy aby nie są to jednak opinie krzywdzące, stworzone przez wrogich agentów austriackich?

Balkańska polskiego

ROBERT SENDEK

Ludwik Wojtkiewicz, powstaniec styczniowy i uczestnik zrywów wolnościowych na Bałkanach, w Polsce pozostaje nieznanym. Jego postać nie jest natomiast obca historykom bułgarskim i macedońskim, choć ich skojarzenia nie są pozytywne. Jako jeden z przywódców tzw. powstania kresneńskiego, antytureckiego zrywu, który wybuchł w Macedonii jesienią 1878 r., jest on obwiniany o awanturnictwo i nieudolność.

Tymczasem badania Zbigniewa Klejna pokazują, że taka ocena działalności Wojtkiewicza jest niesprawiedliwa. Czarna legenda może zaś wynikać z działalności wywiadu austro-węgierskiego, dążącego do udaremnienia powstania.

Niejasne początki

O pochodzeniu i wczesnych latach życia Ludwika Wojtkiewicza niewiele wiadomo. Na po-

Podpisywanie traktatu w San Stefano.

Rycina z epoki, zaczerpnięta
z The Illustrated London News.



awantura powstańca

czątku lat sześćdziesiątych XIX w. miał służyć w wojsku carskim jako oficer. Podczas powstania styczniowego przeszedł na stronę powstańców, potem zaś jako dezerters z armii carskiej emigrował do Francji. Spędził tam kilka lat, podejmując służbę w wojsku francuskim. Na początku lat siedemdziesiątych znalazł się na Bałkanach. Osiadł w miasteczku Veles, gdzie utrzymywał się z udzielania lekcji języka francuskiego. Był kojarzony z Francją do tego stopnia, że dzisiaj w bałkańskich opracowaniach historycznych jego imię podawane jest

w wersji francuskiej, czyli Louis. Szybko wrósł w lokalne środowisko, czego wyrazem było jego małżeństwo z córką Dimityra Karamfilowicza, bułgarskiego działacza społecznego i polityka. Życie rodzinne nie było mu jednak pisane, gdyż nie sprzyjały temu niespokojne czasy. Ale w odróżnieniu od znacznej liczby Polaków, którzy emigrując na Bałkany, podejmowali służbę w wojskach sułtańskich – jak gen. Józef Bem i jego żołnierze – Wojtkiewicz znalazł się w oddziałach, które z Turkami walczyły.

Kocioł bałkański

Bałkany nie były w połowie lat siedemdziesiątych XIX w. miejscem spokojnym. Lokalne konflikty tliły się w różnych regionach półwyspu bez przerwy. Tamtejsze narody dążyły do niezależności, pragnąc wyrwać się spod panowania tureckiego. Swe interesy miały także mocarstwa europejskie, przede wszystkim Austro-Węgry i Rosja, które pragnęły kosztem słabnącej Turcji umocnić wpływy w regionie. Rozpoczęte w lipcu 1875 r. powstanie w Hercegowinie stało się inspiracją dla innych antytureckich wystąpień. Niewiele później w Bułgarii wybuchło tzw. powstanie kwietniowe, potem w czerwcu 1876 r. rozgorzała wojna czarnogórsko-turecka, a następnie pierwsza wojna serbsko-turecka. Efektem walk i powstań wywołanych przez Słowian bałkańskich była następnie wojna rosyjsko-turecka z lat 1877–1878.

San Stefano i Berlin

Na wieść o zrywie wolnościowym w Hercegowinie Wojtkiewicz opuścił Veles i dołączył do powstańców. Rok później – w 1876 r. – był oficerem w sztabie płk. Đury Horvatovicia, jednego z głównych dowódców wojsk serbskich podczas wojny z Turcją. Po wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 r. znalazł się w Bułgarii, gdzie dowodził własnym oddziałem ochotników (czetą). Najważniejszy etap jego działalności na Bałkanach nadszedł jednak dopiero wtedy, gdy wojna między imperium osmańskim a carstwem rosyjskim dobiegła końca.

Kończący wojnę rosyjsko-turecką pokój w San Stefano w marcu 1878 r. zakładał m.in. utworzenie państwa bułgarskiego. Do Bułgarii miały należeć tereny na południe od Dunaju, ale także niemal cała Macedonia i wybrzeże Morza Egejskiego. Przeciwno utworzeniu tak dużego państwa na Bałkanach zaprotestowali przedstawiciele mocarstw zachodnich. Uznali, że kraj utworzony dzięki interwencji rosyjskiej będzie stanowił przyczółek wpływów carskich w regionie. Z tego względu w połowie roku w Berlinie odbył się kongres, na którym dokonano korekty postanowień z San Stefano. Zdecydowano, że zamiast jednego, rozległego państwa ►

bułgarskiego powstaną dwa, położone po obu stronach pasma Starej Płaniny: Księstwo Bułgarskie i tzw. Rumelia Wschodnia ze stolicą w Płowdiwie. Ziemie macedońskie i wybrzeże Morza Egejskiego miały pozostać pod władzą sułtana. Takie rozwiązanie nie zadowalało Bułgarów, dlatego też szybko pojawiła się koncepcja, by zorganizować w Macedonii kolejne powstanie i wyzolić ten teren zbrojnie.

Kozak, sotnik, awanturnik

W Bułgarii przygotowaniami do powstania zajęła się uformowana już w sierpniu 1878 r. organizacja Jedność, która powołała lokalne komitety, m.in. w Sofii. Swoje trzy grosze do przygotowań wtrąciła także tymczasowa administracja rosyjska w Bułgarii, nadzorująca formowanie bułgarskich instytucji państwowych. Na jej czele stał gen. Aleksander Dondukow-Korsakow. Z inspiracji Rosjan jeszcze przed rozpoczęciem działań powstańczych i bez konsultacji z komitetem Jedności do Macedonii wysłano oddział ochotników rosyjskich, dowodzony przez byłego oficera carskiego Adama Kałmykowa.

Kałmykow, który wkrótce stał się głównym konkurentem Wojtkiewicza do przejęcia władzy nad powstaniem w Macedonii, był postacią barwną, ale i kontrowersyjną. Doński Kozak, sotnik w armii carskiej, a przy tym awanturnik i niespokojny duch. Jakiś czas walczył w Serbii podczas wojny serbsko-tureckiej, jednak za znęcanie się nad podwładnymi odsunięto go od dowodzenia. Był uważany za osobę wybuchową i konfliktową. Gen. Dondukow pisał o nim później w jednym ze swych listów, że był to człowiek „nędzny i niezdolny do niczego poważniejszego”¹. Być może właśnie dlatego nieobliczalnego i porywczego Kałmykowa ze wszystkimi jego wadami wybrali działający w Macedonii austriaccy agenci, aby jego rękami doprowadzić powstanie do upadku.

Na czele powstania

Za właściwy początek powstania uznaje się atak na garnizon turecki w pogranicznym miasteczku Kresna 5 października 1878 r. Akcją dowodził miejscowy wojwoda (przywódca) Stojan Karastoiłow. Wziął w niej udział także Kałmykow. Powstańcom udało się pokonać Turków i zająć Kresnę oraz okoliczne wioski. Wkrótce potem ukształtował się sztab powstańczy, który tworzyli: Stojan Karastoiłow, główny wojwoda, Dimityr Popgeorgijew-Berowski, szef sztabu oraz Adam Kałmykow, posługujący się nieznanym na Bałkanach tytułem „atamana”, przyznanym mu zapewne na jego wyraźne żądanie. Jak się wkrótce okazało, Kałmykow uznał, że tym sposobem zdobył władzę najwyższą w dowodzeniu oddziałami powstańczymi.

I tu na scenę wkroczył Ludwik Wojtkiewicz. Zapewne pod wpływem Karamfilowicza, swego teścia, Polak –

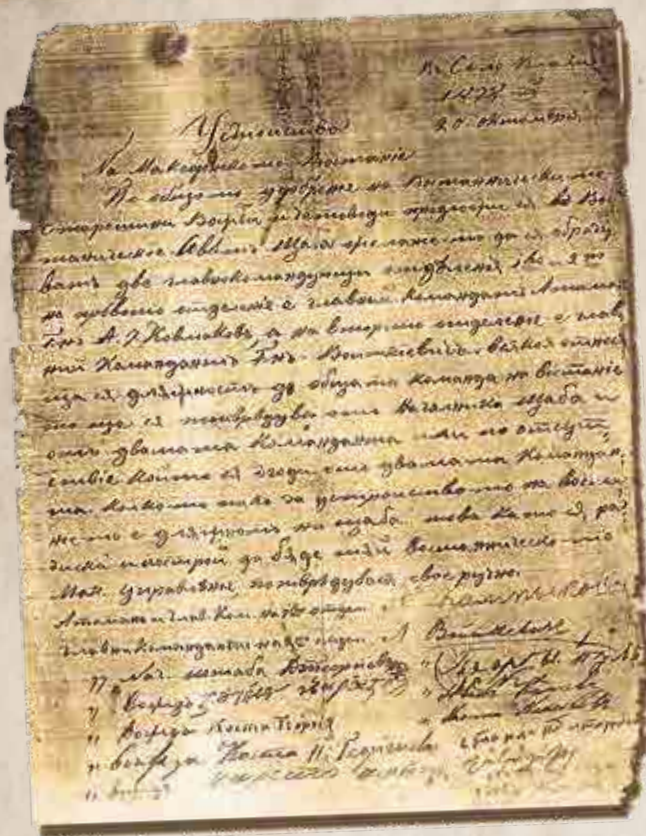


Początek powstania kresneńskiego 1878,
mal. Kole Manev.

weteran walk w Hercegowinie i Serbii, który miał ponadto doświadczenie wojskowe i stopień majora – został mianowany przez komitet Jedności dowódcą oddziału powstańczego. Oddział ten przedarł się przez granicę między Księstwem Bułgarii a ziemiami tureckimi w połowie października. Wojtkiewicz miał przy sobie specjalne pismo, w którym komitet Jedności powierzał mu naczelne dowództwo powstania. Gdy dołączył do działających w Macedonii sił powstańczych, okazało się, że jego przywództwa nie chce uznać Kałmykow. Rozgorzał spór: po jednej stronie stał samozwańczy „ataman” Kałmykow, po drugiej oficjalnie wyznaczony przez komitet Jedności Wojtkiewicz, który domagał się respektowania przyznanego mu dowództwa. Aby rozwiązać kłopotliwą sytuację, sztab powstańczy musiał pójść na kompromis: uznano, że powstanie ma dwóch wodzów naczelnych, dysponujących własnymi oddziałami. Taki układ nie odpowiadał jednak ani Wojtkiewiczowi, ani Kałmykowowi.

Ofiara spisku

Przeciągający się spór o przywództwo nad powstaniem był na rękę Austriakom. Badania bułgarskich historyków, Petyra Mijatewa i Ewdokii Petrowej, jak również ustalenia Zbigniewa Klejna pokazują, że za kłótniami w obozie powstańczym stali agenci austriaccy. Ich działania miały doprowadzić do upadku powstania w Macedonii. Wynikało to z tych samych pobudek, z których odbył się też sam kongres berliński. Ewentualny sukces powstania i możliwe przyłączenie do Bułgarii opanowanych terenów były przez Austriaków oceniane jako rozszerzenie wpływów rosyjskich. Wywiad austriacki próbował zatem podważyć zaufanie do przywódców zrywu, a następnie doprowadzić powstanie do upadku. Rolę austriackich agentów, którzy działali wśród powstańców, dokumentują nadsyłane przez nich raporty. Jeden z nich odnaleziono w archiwum Beniamina Kallaya, austro-węgierskiego polityka, który działał wówczas w Bułgarii.



Dokument powstańczy regulujący obowiązki sztabu oraz wyznaczający dwóch wodzów naczelnych. Na dole po prawej stronie widnieją podpisy „atamana” Adama Kałmykowa jako dowódcy oddziału pierwszego oraz Ludwika Wojtkiewicza jako dowódcy oddziału drugiego.

Raport nie jest podpisany, lecz jego autorem jest – jak się uważa – Walter Schulz. Oficjalnie był on inżynierem i korespondentem prasy austriackiej, nieoficjalnie zaś szpiegiem, pracującym dla rządu austriackiego. Schulz nawiązał kontakt z Kałmykowem tuż po zakończeniu wojny rosyjsko-tureckiej, zdobył jego zaufanie, a następnie został bliskim współpracownikiem. Zawarte w raporcie informacje rzucają nowe światło na spór między Wojtkiewiczem a Kałmykowem o dowodzenie powstaniem. Okazuje się, że konflikt ten był w dużej mierze inspirowany przez Schulza. Austriak podsunął również Kałmykowowi pomysł, by w sporze z Wojtkiewiczem posłużyć się plotką. W celu zdyskredytowania Polaka rozgłoszono mianowicie, że Wojtkiewicz miał być „majorem sztabu tureckiego”. Informacja ta wywołała wśród powstańców oburzenie, niewiele brakło, aby Wojtkiewicza aresztowano i rozstrzelano za zdradę. Przeciagającą się awanturę przerwał sztab powstańczy: zdecydowano, że zarówno Kałmykow, jak i Wojtkiewicz zostaną odwołani ze stanowisk. Odebranie Wojtkiewiczowi władzy powstańczej ukartowali zatem austriacy szpiedzy i nie wynikało ono – jak to do dzisiaj przestawia się w historiografii bułgarskiej i macedońskiej – z jego nieudolności czy awanturnictwa.

Wojtkiewicz, pozbawiony władzy i oddziału, wrócił do Sofii. Wkrótce jednak komitet powierzył mu nowe zadania.

nie. Na początku listopada 1878 r. powstańcze wrzenie ogarnęło także ziemie po drugiej stronie pasma gór Pirin, w kotlinie Razłogu. W ten właśnie rejon walk skierowano Wojtkiewicza na czele nowego oddziału. Swoje przybycie do Banska opisał tak: „Przywódcy i mieszkańcy powitali z wielką radością mnie i moich żołnierzy. Zarządziłem, by spośród bystrzejszych mieszkańców w dolinie Razłogu stworzyć samorząd lokalny i teraz sprawy idą w dobrym kierunku”². Wojtkiewicz objął tam dowodzenie powstaniem i zajął się organizowaniem cywilnej administracji, mając na celu umocnienie się powstańców na zdobytych terenach. Podjął także rokowania z dowódcami miejscowych oddziałów tureckich. Część powstańczych przywódców nie chciała rozmów i nalegała na podjęcie walki. Niektórzy mieli później do niego żal, że nie rzucił ludzi do boju, takie jednak były wytyczne komitetu Jedności. Zadaniem Wojtkiewicza nie była bowiem walka za wszelką cenę, lecz raczej wywołanie hałasu wokół kolejnego powstania na Bałkanach. Kierujący zrywem członkowie komitetu Jedności liczyli przede wszystkim na to, że rozpoczynając walkę, będą mogli wyrzucić presję na rządy mocarstw europejskich w celu korekty postanowień kongresu berlińskiego. Zakładali także, że uda się skłonić rząd turecki do ustąpienia z Macedonii.

Jeszcze jedna zagadka

Tajny raport Schulza zawiera również wyjaśnienie innej zagadkowej sprawy związanej z Wojtkiewiczem. Otóż historycy bułgarscy i macedońscy, podejmujący kwestię dziejów powstania kresneńskiego, za przykład nieudolności polskiego majora podają fakt jego ucieczki z pola walki w okolicach Banska pod koniec listopada 1878 r. Był to czas, gdy Turcy odzyskiwali inicjatywę w walce. Kiedy oddziały tureckie zbliżały się do miasteczka, Wojtkiewicz miał – jak do dzisiaj przedstawia się w bułgarskich opracowaniach historycznych – po prostu zrejetrować z pola walki wraz z liczącym 200 osób oddziałem powstańczym. W tajnym raporcie Schulz wprost jednak stwierdza, że z Banska uciekł nie Wojtkiewicz, lecz Kałmykow. Kto jak kto, ale szef sztabu Kałmykowa miał – jak należy sądzić – dobre informacje na temat czynów swego zwierzchnika. Powstanie w Macedonii ostatecznie upadło wiosną 1879 r. Ślad po Wojtkiewiczach urwał się wkrótce potem. Najprawdopodobniej wyjechał do Rumunii, gdzie spędził resztę życia.

ROBERT SENDEK, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor nauk humanistycznych, slawista, bałkanista, miłośnik historii. Autor przewodników po Bułgarii, Macedonii i Albanii. Interesuje się problematyką językową i narodowościową Bałkanów i kontaktami polsko-bałkańskimi.

¹ Z. Klejn, *Polskie ślady w budowie nowożytnej Bułgarii 1877-1914*, Łowicz 1999, s. 113.

² Dojno Dojnow, *Kresneńsko-razłozko jewstanie 1878-1879*, Sofia 1979, s. 54 (przekład cytatu R. Sendek)



FOT. DOMENA PUBLICZNA (2)

„Draży” droga do Polski

Oddział четників. Na zdjęciu (z fajką) widoczny gen. Dragoljub Michailović. Zdobnienie jego imienia (Draży) posłużyło jako pseudonim Dragana Sotirovicia.

Wojenny los sprawił, że Dragan Sotirović „Draży”, oficer armii jugosłowiańskiej, a następnie jeden z четnickich partyzantów znalazł się w Polsce. Jego zdolności i odwaga szybko zostały docenione w Armii Krajowej. Bił się za Polskę z jej trzema wrogami: Niemcami, Sowieci i ukraińskimi nacjonalistami.

ROBERT SENDEK

Plan był ryzykowny: odbić oficerów AK uwięzionych na posterunku milicji w podkarpackim Brzozowie. Aby wywabić z miasta ochraniających posterunek żołnierzy, rozpuszczono plotkę, że oddział partyzantów ma w pobliżu przeprowadzić atak. W tym czasie na posterunek zgłosiła się trójka umundurowanych żołnierzy eskortujących schwytanych jakoby przez siebie dezertersów i poprosiła o przetrzymanie ich do następnego dnia. Gdy komendant posterunku wpuścił do koszar rze-

komych dezertersów, ci błyskawicznie rozbroili wartowników, a potem uwolnili 11 polskich oficerów AK. Wśród nich byli m.in.: Ignacy Wanic, były komendant Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w Brzozowie oraz Bronisław Budryk, adiutant dowódcy Obwodu AK w powiecie brzozowskim. Akcją, która odbyła się 13 grudnia 1944 r., kierował Feliks Maziarski „Szofer”, lecz jej plan opracowano i wykonano na polecenie Dragana Sotirovicia „Draży”, Serba, który od stycznia 1944 r. walczył jako oficer AK.

Wczesne lata

Skąd się jednak w 1944 r. wziął Serb na Rzeszowszczyźnie? Drogę do Polski Dragan Sotirović miał długą. Urodził się 5 maja 1913 r. w Vranje w południowej Serbii. Wczesne lata życia opisywał w prostych słowach: „Przyszedłem na świat w czasie wojny bałkańskiej. Mój ojciec już walczył na froncie. Powrócił dopiero po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Następnie przyszła szkoła, nauka we Francji, wojsko, początek życia dorosłego mężczyzny, zabójstwo naszego króla Aleksandra I”¹. Dzięki pobytowi we Francji nauczył się francuskiego, który później wielokrotnie przydawał mu się już w Polsce. Z armią jugosłowiańską związany był od początku lat trzydziestych. Nabywał później doświadczenia wojskowego, choć studia oficerskie w akademii wojskowej w Belgradzie zaczął dopiero w 1940 r., niedługo przed tym, jak w wyniku niemieckiej agresji Jugosławia została wciągnięta do wojny.



Dragan Sotirović jako uczeń w Belgradzie.

względem czetników formację podziemną tworzyli jugosłowiańscy komuniści, którymi dowodził Josip Broz „Tito”. Początkowo nieliczni pod koniec wojny, dzięki m.in. wsparciu aliantów i wojsk sowieckich, zdobyli w kraju dominującą pozycję. W pierwszych miesiącach okupacji czetnicy i komuniści podejmowali próby wspólnej walki przeciwko wrogowi. Z czasem jednak wzajemna nieufność narosła do tego stopnia, że nierzadkie były walki między ich oddziałami.

Przeciwko Niemcom

Sotirović dołączył do wojsk płk. Mihailovicia w maju. Swego dowódcę darzył wielkim szacunkiem. W spisanych już po zakończeniu wojny wspomnieniach wielokrotnie i nieco przesadnie nazywał Mihailovicia „pierwszym partyzantem Europy”². Twierdził, że to właśnie Mihailović, a nie alianci, otworzył w Europie drugi front i to już w 1942 r., zmuszając swą działalnością Niemców do zaangażowania w Jugosławii znacznych sił. Zresztą już w Polsce Sotirović jako oficer Armii Krajowej przyjął pseudonim „Draža”, którym posługiwał się Mihailović.

W strukturach wojsk Mihailovicia Sotirović został szefem sztabu oddziałów czetnickich w Szumadii (centralna część Serbii). W listopadzie 1941 r., gdy przygotowywał akcję sabotażową, w Belgradzie rozpoznano i aresztowało go gestapo. Po wielu dniach brutalnych przesłuchań przekazano go serbskiej policji. Na szczęście znał swych oprawców: groźbami zmusił przesłuchujących go serbskich inspektorów, by go wypuścili na początku stycznia 1942 r. Otrzymał wtedy nowe rozkazy. Jak sam pisał: „Miałem zorganizować metodyczny sabotaż przeciwko Niemcom, propagandę antyniemiecką wśród okupacyjnych oddziałów bułgarskich i uzyskiwać informacje wywiadowcze o wszystkim, co interesowało Anglików”³.

Sotirović wpadł ponownie w lipcu 1942 r. Aresztowanego przez gestapo – najpewniej przez pomyłkę – uznano za jeńca wojennego i skierowano do obozu jenieckiego. W transporcie wysłano go do Polski, a następnie wraz z innymi oficerami jugosłowiańskimi trafił do obozu jenieckiego w Rawie Ruskiej. W 2016 r. powstał fabularyzowany dokument „Draža – czetnik. Legenda kresów” poświęcony postaci Dragana Sotirovicia według scenariusza i w reżyserii Jerzego Oleszkowicza. ■

Wojna kwietniowa

Wiosną 1941 r. Jugosławia była w fatalnej sytuacji politycznej i strategicznej: graniczyła wyłącznie z krajami Osi lub ich sojusznikami na Bałkanach. Wojna, zwana kwietniową, rozpoczęła się 6 kwietnia 1941 r. atakiem wojsk niemieckich, włoskich oraz ich sojuszników z Węgier i Bułgarii. Mimo rozpaczliwej obrony jugosłowiańskiej wojska agresorów szybko postępowały naprzód: już 10 kwietnia został zajęty Zagrzeb, a trzy dni później – Belgrad. Widząc beznadziejność sytuacji, zaledwie siedemnastoletni król Piotr II i rząd jugosłowiański opuścili kraj w połowie kwietnia, by udać się przez Grecję na Bliski Wschód, a stamtąd do Londynu. Po 11 dniach od rozpoczęcia inwazji przedstawiciele rządu jugosłowiańskiego podpisali 17 kwietnia kapitulację. Efektem błyskawicznej wojny był całkowity rozpad Jugosławii. Kraj został podbity, a następnie podzielony między Niemcy i Włochy oraz ich sojuszników: Węgry i Bułgarię.

Czetnicy kontra partyzanci

Wkrótce po klęsce kwietniowej w Jugosławii ukształtowały się – najogólniej rzecz ujmując – dwie rywalizujące ze sobą i sobie przeciwstawne siły, które prowadziły walkę z okupantami: czetnicy i komuniści. Czetnikami zwano oddziały podziemia, utworzone przez grupę oficerów armii jugosłowiańskiej pod dowództwem płk. Dragoljuba Mihailovicia, zwanego Drażą. Były to siły deklarujące wierność królowi Piotrowi II i emigracyjnemu rządowi jugosłowiańskiemu w Londynie. Opozycyjną

ROBERT SENDEK, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor nauk humanistycznych, slawista, bałkanista, miłośnik historii. Autor przewodników po Bułgarii, Macedonii i Albanii. Interesuje się problematyką językową i narodowościową Bałkanów oraz kontaktami polsko-bałkańskimi.

¹ D. Sotirović, *Europa na licytacji*, przekład Jerzy Tar, Warszawa 2000, s. 331.

² Tamże, np. na s. 93. ³ Tamże, s. 65.



RYS. RAFAŁ ROSKOWIŃSKI

NIE ŻAŁOWAĆ

Trafił do Polski jako jeńiec wojenny. Bił się z Niemcami, potem wziął udział w walce z Sowietami, gdy zaprowadzali po wojnie swe rządy w Polsce. Dragan Sotirović „Draža” – serbski oficer w Armii Krajowej, kawaler Orderu Virtuti Militari.

ALEKSANDER SZYCHT

Nie jestem Polakiem, ale mnie dusza honorowego, twardego, męczeńskiego Narodu Polskiego przywiązała tak, że całą duszą swoją podjąłem jego krzyż, (...) dałem z siebie to, co dać mogłem i nadal dam, bo przyrzekłem tym, którzy miesiącami gniją [w więzieniach – AS] i w swojej niezmierniej miłości Polski nie żalowali swego życia, ufając Bogu, że ich ofiary nie będą daremne”¹.

Autorem tych słów jest Dragan Sotirović „Draža”, oficer czetników, serbskiej partyzantki, którego wojenny los rzucił do Polski. Ten prawosławny Serb nie odpoczywał pra-

wie nigdy. Ratował Polaków przed Niemcami, na Kresach przed siekierami Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), a jako żołnierz antykomunistycznego podziemia rozbijał posterunki Milicji Obywatelskiej i siedziby Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Przez Francuzów do AK

W lipcu 1942 r. Sotirovicia przewieziono z Jugosławii do obozu jenieckiego w Rawie Ruskiej. Pamiętał dobrze poprzednie doświadczenia z gestapo i tortury. Wtedy zbiegł, korzystając z pomocy strażników, i wiedział, że teraz musi



1. Dragan Sotirović „Draża” zdjęcie z okresu serbskiego.

Fot. Zbiory rodziny Sotirović/Jerzego Oleszkiewicza

2. Czesława Hnatów „Krystyna” sekretarka „Draży”, fotografia z okresu zesłania w Workucie, lata 50. Późniejsza żona Czesława Cydzika, akowca ze Lwowa, inicjatora odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa. Oboje małżonkowie otrzymali później tytuł Kustosza Pamięci Narodowej IPN.

Fot. Archiwum Wschodnie Ośrodka KARTA/ Zbiory rodziny Adamskich.

3. Pistolet VIS, z którym „Krystyna” nie rozstawała się.

Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

ŻYCIA SWEGO

za wszelką cenę wydostać się z oflagu. Biegła znajomość języka francuskiego i urok, który zjednywał mu ludzi, sprawiły, że zaprzyjaźnił się z jeńcami francuskimi. Ci dali mu adres Idy Thom-Vasseux, zaufanej Francuzki, mieszkanki Lwowa. Symulowany atak wyrostka pozwolił mu dostać się do szpitala. W drodze powrotnej na dworcu, korzystając z nieuwagi strażników, zaczął uciekać. „Jeden ze strażników kolejowych miał nieszczęście natknąć się na mnie i próbować mnie zatrzymać”² – z tego niespodziewanego pojedynku na śmierć i życie strażnik już nie wyszedł cało. Sotirović, choć nie znał polskiego, dotarł na ul. J. Kochanowskiego 31. Został zaprzysiężony w polskim podziemiu. Objął dowództwo nad odtwarzanym 14 Pułkiem Ułanów Jazłowieckich Armii Krajowej, mimo że oficjalnie tę funkcję pełnił por. Andrzej Chłoniowski „Łodyga”. To wtedy Sotirović przybrał pseudonim „Draża” na cześć swojego jugosłowiańskiego dowódcy Dragoljuba Michailowicia. Mimo wprowadzenia surowej dyscypliny szybko zdobył sobie uznanie podkomendnych. Za wykroczenia karał bezwzględnie, imponując jednocześnie siłą i odwagą. Wiary nie ukrywał – ściśle przestrzegał postów i był abstynentem. Alkoholu

u żołnierzy nie tolerował. Jego rejon dowodzenia obejmował: Białkę Królewską i Szlachecką, Czyżski, Winniki, wszystkie podlowskie Wólki i Pasięki. Niewielkie niemieckie załogi doskonale wiedziały o dużych siłach polskiej partyzantki, a ponieważ chciały przeżyć, starały się zachować dobre stosunki z ludnością. UPA nie mogła się tam bezkarnie zapuszczać. Samoobrona w Białkach działała aktywnie, ratując miejscową ludność. Ochroniarzem „Draży” był człowiek nie mniej silny niż jego dowódca Władysław Pruczkowski „Bokser” – wysoki, świetnie zbudowany, wysportowany, szybki i energiczny w działaniu. Jak wspomina jeden z kolegów z lwowskiego AK: „Odprowadzał kiedyś z dwoma innymi żołnierzami do Lwowa kpt. «Łodygę». Wszyscy byli uzbrojeni. Gdy minęli siedzibę Gestapo [...], zaskoczyło ich 5 Niemców. Zażądali okazania kennkart. Zanim kpt. «Łodyga» zdołał podjąć decyzję, co wyciągnąć z kieszeni – kennkartę czy pistolet, już rozległa się seria «Boksera». Udało się im ująć szczęśliwie”³. Najwierniejszym przyjacielem „Draży” był Józef Szajda „Belabes”. Jako były żołnierz Legii Cudzoziemskiej przyjął pseudonim od miasta Sidi Bu-I-Abbas w Algierii. Założone przez Francuzów jako miasto woj-

Dragan Sotirović w otoczeniu żołnierzy i przyjaciół obok domu rodzinnego Czesławy Hnatów. Zdjęcie wykonane przed wyjazdem ze Lwowa, jesień 1944 r.



FOT. ZBIORY RODZINY ADAMSKICH/JERZY OLESZKIEWICZ

skowe, stało się następnie główną siedzibą Legii. To zapewne znajomość francuskiego uczyniła z „Belabesa” nieodłącznego towarzysza „Draży”. Oryginalność oddziału podkreślała sekretarka Sotirovicia Czesława Hnatów „Krystyna”. Ta prześliczna dziewczyna o blond włosach zachowywała się raczej jak chłopak i wymusiła respekt wśród członków oddziału.

Legendarny dowódca

Dowodzenie „Draży” i świetną organizację wspomina inny zbieg z obozu jenieckiego, Francuz i również żołnierz AK, Emil Lege: „Przybywamy do celu naszej podróży, do wioski Wólka. Tu oczekuje nas kilkunastu młodych ludzi, uzbrojonych w karabiny i pistolety maszynowe, z pistoletami i granatami u pasa. Prowadzą nas do jakiejś stodoły, gdzie czeka na nas solidna przekąska i gdzie możemy odpocząć aż do przybycia kpt. X [...] Pod wieczór robi się ruch, wszyscy zrywają się, nadchodzi kapitan! [...] Gdy wchodzi do stodoły, pada suchy rozkaz i wszyscy zastygają w pozycji na baczność. Jestem zdumiony, ponieważ nie spodziewałem się tak ścisłej dyscypliny wśród młodych partyzantów”⁴. Swoich żołnierzy „Draża” nazywał „Orlętami” i choć polskiego dopiero się uczył, mówiąc podówczas łamaną polszczyzną, to doskonale wczuł się w patriotyczne obowiązki Polaka. „Krystyna” pisała i redagowała razem z nim rozkazy po polsku. Po latach żartobliwie wspominał: „Pewnego dnia uprzedzono mnie, iż ok. godziny pierwszej w nocy miałem otrzymać zrzut na moim terenie.

Dwie informacje powinny to jeszcze potwierdzić. [...] Pierwszym sygnałem byłaby melodia tanga lwowskiego uprzedzająca, że samolot jest już na pasie gotowym do startu. Drugim popularna piosenka polska «O mój rozmarynie rozwijaj się» nadana w momencie startu maszyny. Po ojcu odziedziczyłem ucho raczej słoniowe, kazałem więc cały dzień śpiewać tę melodię moim żołnierzom, którzy zachodzili w głowę, dlaczego nagle ogarnęła mnie nagła pasja do piosenek ich kraju”⁵. Prócz broni z pobożewisk przechowywanej od 1939 r. i kupowanej od Niemców jego ludzie mieli też broń zrzuconą: przeciwpancernie wyrzutnie PIAT, amerykańskie pistolety maszynowe Thompson i brytyjskie Sten, rewolwery 9 mm Smith-We-sson oraz brytyjskie ręczne granaty obronne. Alianci wysyłali akowcom także zdobytą na froncie niemiecką broń, np. MG-42, która dla nich była bezużyteczna, a do której akowcom łatwiej było zdobyć amunicję. Serbski dowódca odebrał później w Czystkach „defiladę” swoich żołnierzy niosących zrzucony sprzęt. Z zrzutów oddziały „Draży” miały także battledressy. Noszono je równoległe z polskimi mundurami i – jak wspominał Dragan Sotirović – podczas wyzwolenia Lwowa przez AK nieprzyjaciele podejrzewali, że wylądowali tam alianci, co ułatwiało działania.

„Szarża” ułanów na Szołomyję

Ostatnim, najpoważniejszym działaniem „Draży” przed rozpoczęciem planu „Burza”, było uderzenie na ukraińską wieś Szołomyja, gdzie stacjonowały bojówki UPA nękające

polską ludność. Akcja miała charakter odwetu za ich zbrodnie, równocześnie stanowiła uderzenie prewencyjne. Żołnierz lwowskiej AK Wiesław Krasnodębski mówił o innym jeszcze kontekście akcji: „Podciągnęli [OUN-UPA – AS] już swoje siły pod Lwów. Spodziewaliśmy się, że [skoro] będzie akcja wojskowa ze strony polskiej we Lwowie i oni chcieli manifestować ukraińskość miasta też”⁶.

Jerzy Węgierski, historyk lwowskiej AK, traktuje akcję wyłącznie na poziomie: odwetu i przeciwuderzenia. Jednak nawet jego słowa można interpretować w podobny sposób. „Powtarzające się napady na ludność polską podlwowskich wsi świadczące o coraz bliższym podchodzeniu UPA pod Lwów, spowodowały, że dowództwo AK we Lwowie postanowiło wznowić akcje represyjno-zapobiegawcze”⁷. Podchodzenie UPA pod Lwów, niezależnie od banderowskich planów, mogło skończyć się jej koncentracją i poważnymi konsekwencjami, nie tylko w postaci zbrodni, ale i pokrzyżowania planu „Burza”. Choć „Draża” przeprowadzał zwiad osobiście, udając w okolicach wsi człowieka pracującego w polu, a sama akcja z 10 na 11 czerwca 1944 r. była jego błyskotliwym sukcesem, to nie wspominał jej dobrze. Wcześniej nakazał modlitwę, zaś na krótko przed podejściem do wsi wygłosił mowę, przypominając o krwawych zniwach UPA. Jeden z plutonów 14 Pułku Ułanów AK atakujących Szolomyję, którym dowodził osobiście, natknął się od razu na placówkę ukraińską uzbrojoną w karabin maszynowy. Na zawołanie „Stij! Kto ide?” jego ludzie odpowiedzieli po ukraińsku. Zaskoczonych upowców zlikwidowano błyskawicznie bez strat własnych. Całą wieś, oprócz cerkwi, gdzie schroniła się ludność cywilna, spalono. I choć część mieszkańców uciekła, to nie obyło się bez ofiar. Według akowców rozpuszczano plotki o możliwym ataku. To był najbardziej traumatyczny moment dla Sotirovicia i jego żołnierzy. „Ukraińcy starali się później przedstawiać Polaków jako prowokatorów odpowiedzialnych za masakry, ale bitwa o Szolomyję rozegrała się w 1944 roku, a do tego czasu już 150 tysięcy Polaków zostało zmasakrowanych przez ukraińskie hordy. Zbrodnia nie popłaca”⁸ – pisał po latach „Draża”.

Zdobycie Lwowa i sowiecki cios

Sotirović zetknął się z Armią Czerwoną, kiedy jego ludzie wyzwalali Lwów: „Oprócz oficera ubranego bez zarzutu były to raczej istoty przypominające zwierzęta. Nie wiem, czy Hunowie mieli wyraz twarzy bardziej niehumanoidalny niż oni”⁹.

Podczas obrony lwowskich Pasiek przed usiłującymi się przebić do swoich Niemcami został ranny w nogę. Ponieważ w pobliżu nie było lekarza, jeden z żołnierzy wydobył kulę brzytwą.

Z zażenowaniem opisywał sowiecką sztukę wojenną, gdy podczas ataku na cegielnię jedyną strategią było wykorzystanie przewagi liczebnej i prowadzenie młodych Sowietów pod ogień. Wtedy „Draża” wykonał manewr oskrzydlenia obrony niemieckiej, co zakończyło walkę. Otrzymał za to sowiecki medal Czerwonej Gwiazdy. Najcenniejszym odznaczeniem był jednak dla niego Order Virtuti Militari, który przyznano mu za udział w wyzwoleniu Lwowa.

Sowieci szykowali już wówczas operację aresztowania dowództwa lwowskiej AK w kwatrze przy ul. Kochanowskiego 27 i zaproponowali wspólną odprawę. Oficerowie zebrali się, czekając na delegację swoich sowieckich odpowiedników. Wspominał ten moment o. Władysław Kiernicki „Dziunio”: „Przyszedł do sztabu również Jugosłowianin Draża. Był to dzielny kapitan, który miał swój oddział partyzancki w pobliskich lasach. Bardzo równy chłop. Więc siedzimy i czekamy. W końcu przyjechało dwóch sowieckich oficerów i oznajmiło nam, że marszałek jest bardzo zajęty i prosi, byśmy przyjechali do niego”¹⁰. Zamiast gości przybyły oddziały NKWD, które otoczyły siedzibę. Wyżsi dowódcy wraz z „Drażą” podejrzewali, co nastąpi i postanowili wyprowadzić niższych oficerów liniowych, a sami poddać się losowi. Opór nie miał sensu. Przyjęli więc zaproszenie Sowietów, by zmienić miejsce obrad i zostali przewiezieni amerykańskimi Willisami do Pa-

łacu Biesiadeckich we Lwowie. „Zostało 20 osób wraz ze mną. Był z nami i Draża. Zaczęliśmy



dawać propozycję, żeby pojechali tylko zastępca szefa sztabu i jeszcze parę osób. Ale zastępca wstał i powiedział: «Ja jadę, a kto ma pietra – niech zostaje». [...] Jak tylko wsiedliśmy do gazików, te zerwały się z miejsca jak konie, które mocno dostały ostrogami i popędziły w dół do Kochanowskiego. Skręciliśmy w prawo i z gwizdem opon przejechaliśmy koło Halickiego placu i wjechaliśmy w podwórze pałacu Biesiadeckich. Poprosili grzecznie, abyśmy wysiedli. Cały plac był obstawiony żołnierzami celującymi do nas z «pepesz»¹¹ – wspominał „Dziunio”. Tam nastąpiło słynne aresztowanie ostatniego polskiego dowództwa wojskowego we Lwowie, a pojmanych, w tym „Drażę”, przewieziono do willi Uwiery, zajętej przez NKWD. Serbowi dawano różne propozycje współpracy. Pomimo, że mógł zrobić karierę i w Jugosławi, i w Armii Berlinga, to odmówił. Opisał śmierć szefa sztabu lwowskiej AK mjr. Kornela Stasiewicza „Taśmy”. Był on chory na cukrzycę, a Sowieci nie chcieli mu zrobić zastrzyku z insuliny. „Wlewałem mu nadal kompot do ust, nie wiedziałem co robić, miałem ochotę krzyczeć jak szalony”¹² – wspominał „Draża”. „Po paru dniach zobaczyliśmy «Drażę». Spacerował po podwórku w swojej panterce, podczas przysługującej więźniom 10-minutowej przechadzki. Wzywali nas na krótkie przesłuchania i nic więcej. Siedzieliśmy tam też około miesiąca” – relacjonował „Dziunio”. Przesłuchania Sotirovicia kontynuowano w Moskwie na Łubiance, dokąd wkrótce został wywieziony.

Sprytniejszy niż NKWD

W trakcie przesłuchań podkreślał, że został pojmany jako oficer polski. Odmawiał założenia munduru, innego niż miał na sobie jako żołnierz AK. Podczas pobytu na Łubiance modlił się żarliwie. Jak wspominał, prosił wówczas

o łaskę wypicia kielicha goryczy do końca, o siłę, aby się nie złamał i nie dał skusić propozycjami, ale jeśli to możliwe, by Bóg zwrócił go synowi, który już przez zawieruchę wojenną w Serbii stracił matkę. Spokój, jak pisze, powrócił i nadzieja odradzała się nawet w takim miejscu. „Piękne

jest jego wspomnienie, jak w więzieniu NKWD w Moskwie odtwarza odebrany mu krzyżyk. Wycięte z pudełka zapalek listewki wiąże nitką wyprutą z koszuli”¹³. Nieoczekiwanie swoimi zeznaniami spowodował, że w celu konfrontacji przetransportowano go z powrotem do Lwowa. Nadal kulał i chodził z bólem po celi. Widział to zostawiony z nim pod bronią enkawudzista. Nie czuł się zagrożony i by zapalić papierosa, zdjął rękę z broni. „Draża” rzucił się wtedy na niego, lewą ręką chwycił za broń, a prawą za gardło i unieszkodliwił go. Założył jego płaszcz i czapkę, a następnie wyszedł z ręką na pistolecie schowanym w kieszeni. Spokojnie, lecz śmiało pokonał dwa piętra, na których stali strażnicy NKWD. Po ucieczce pozostali na wolności lwowscy dowódcy AK i żołnierze nie chcieli mu od razu uwierzyć, że zdołał wydostać się z Łubianki. Początkowo ufała mu jedynie „Krystyna”. Ostatnią akcją „Draży” we Lwowie, jak wspomina, było palenie plakatów dotyczących nowej wschodniej granicy Polski bez Lwowa. Zagrożony aresztowaniem po pożegnalnym spotkaniu ze znajomymi u „Krystyny” wyjechał na Rzeszowszczyznę. Czesława Hnatów odprowadzała go do pociągu z bukietem hortensji, w którym ukryła pistolet VIS. Widziała go po raz ostatni. „Draża” miał już nigdy nie powrócić na ziemię lwowską, ani też nie miał zobaczyć ukochanej Serbii.

Ostatnie chwile w drugiej ojczyźnie

Po przekroczeniu linii demarkacyjnej stał się jednym z dowodzących w Zgrupowaniu „Warta”. Powstało ono na Rzeszowszczyźnie dla odsieczy Lwowa w razie akcji ukraińskiej, gdyby miasto zostało przyznane Polsce. W rezultacie poszczególne oddziały skupiały się jednak na obronie ludności przed UPA, Sowietami i „władzą ludową”. W dokumentach UBP, znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej, skwapliwie odnotowano, że „Draża” po przybyciu z Lwowa działał przeciwko jej utrwaleniu. Członkowie lokalnej AK, którzy byli już zbyt znani funkcjonariuszom bezpieczeństwa, by uczestniczyć w akcjach, posługiwali się „Drażą” i lwowiakami do rozbijania posterunków MO oraz do walki z UB i NKWD. Jednym z incydentów, które ubecy zarejestrowali, było uderzenie ludzi „Draży” pod dowództwem „Belabesa” na posterunek MO w Hyżnem. Bezpieka podejrzewała, że „Draża” miał tam współpracowników. Pięć osób zdezerterowało do oddziału, a stawiających



opór milicjantów zastrzelono. Funkcjonariusze UBP wiedzieli, że służy u niego wielu dezertorów z MO i Wojska Polskiego. Podówczas „Draża” miał już mówić poprawnie po polsku, choć z lekkim akcentem. Jego ludzie – tak jak całe podziemie niepodległościowe – karali kolaborantów i donosicieli. W czasie jednej z akcji Sotirović rozbił oddział NKWD i zabrał polskie akta dotyczące przedwojennej policji, wojska i urzędów państwowych, które w pośpiechu spalono, by uniknąć potencjalnych aresztowań. Przywrócił porządek w oddziale Aleksandra Łaby „Groźnego” i podporządkował go sobie. Wcześniej zdarzały się przypadki, że ludzie z oddziału „Groźnego” okradali ludność. Lokalem konspiracyjnym „Draży” był wówczas dom zakonny w Ujazdach w powiecie brzozowskim. Tam też zorganizowano na niego obławę. Podczas ucieczki, skacząc z okna, złamał nogę. Schwytyany i umieszczony w szpitalu „wkrótce został przez bandę uprowadzony i przewieziony na leczenie do miejscowości Sokołów powiat Kolbuszowa”¹⁴.

Ratuje swoich żołnierzy

O sprawności, wszechstronności i energiczności działania „Draży” świadczy to, że w drugiej połowie 1945 r. funkcjonariusze bezpieki dowiedzieli się, że część jego żołnierzy miała karty ekspatriacyjne, delegacje służbowe na fałszywe nazwiska i rozproszyła się po różnych miastach, w których otrzymała posady w rozmaitych urzędach. Część została mundurowymi. Wykryto 60 takich przypadków. Dla siebie i najbardziej zagrożonych aresztowaniem zaplanował ucieczkę na Zachód. Jego doskonały francuski po raz kolejny miał się przydać. „Draża” i jego ludzie udawali Francuzów, którzy chcieli wracać do domu. I w ten sposób „wszedł w porozumienie z Vojanem Henrykiem pracownikiem Misji Wojskowo-Repatriacyjnej z Francji w Polsce, który miał udzielać niezbędnej pomocy w formie przygotowania fałszywych dokumentów i transportu”¹⁵. Udało się oszukać Sowietów i przejść przez ich kontrolę, a następnie francuskim pociągiem ekspatriacyjnym udać się przez Czechosłowację do Murnau w Niemczech. W czasie przesiadki w Pradze nie obyło się bez niespodzianki. Większość jego żołnierzy nie mówiła po francusku. Tymczasem „francuski przedstawiciel przyszedł nas przyjąć ze wszystkimi honorami. Byli też Sowietci. Zbledliśmy i postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę.

Podszedłem do Francuza, który wydał mi się najważniejszy. Nie jesteśmy Francuzami – powiedziałem mu, ale polskimi partyzantami. [...] proszę nam pomóc! [...] drapał się po głowie mrucząc Merde!... Merde!... aż jakaś gruba kobieta nosząca krzyż Lotaryński odezwała się doń: Na co Pan czeka Rosjanie się na nas patrzą!... Niech Pan ich wsadzi na ciężarówkę”¹⁶.

Po dojechaniu do celu podróży spotkali się z Armią Polską na Zachodzie. „Draża” nie zapomniał o tych, którzy zostali. W kolejnych grupach sprowadzał ich na Zachód. Rząd emigracyjny awansował go do stopnia majora. Bezpieka komunistycznej Polski interesowała się nim i historią jego oddziału aż do lat osiemdziesiątych. Każdy z jego żołnierzy, który pozostał przy życiu i przebywał w Polsce, był przez lata skrupulatnie inwigilowany. Jak odnotowywali funkcjonariusze: „element lwowski jest podatny na wrogą robotę”. W jednym z dokumentów znajduje się informacja z 2 kwietnia 1951 r. adresowana do naczelnika Wydziału III Wojewódzkiego UBP w Katowicach, że „sam «Draża»” jest szefem Biura Wymiany Informacji Szpiegowskich w Paryżu. W związku z tym istnieje możliwość wykorzystania czł. «Draży» w kraju w celu prowadzenia roboty dywersyjno-szpiegowskiej w Polsce”¹⁷. Bezpieka starała się też ustalić jego zagraniczny adres.

„Draża” miał spokojną, szybką i piękną śmierć – równie niezwykłą jak jego życie. Zmarł nagle w 1987 r., podczas corocznej pielgrzymki na grecką górę Athos. ■

ALEKSANDER SZYCHT, historyk, dziennikarz i redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”, specjalizujący się w tematyce nacjonalizmu ukraińskiego.

¹ AIPN Rz 04/359, s. 7. ² J. Węgierski, *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989, s. 113. ³ Tamże, s. 122. ⁴ E. Lege, *Zone mortelle*, Memoires, Melun 1972, za: J. Węgierski, *W lwowskiej...*, wyd. cyt., s. 126. ⁵ D. Sotirović, *Europa na licytacji*, Warszawa 2000, s. 111. ⁶ Archiwum Wschodnie Ośrodka KARTA, AW I/ 181 s. 24-25.

⁷ J. Węgierski, *W lwowskiej*, s. 160. ⁸ D. Sotirović, *Europa na licytacji*, wyd. cyt., s. 110. ⁹ Tamże, s. 128. ¹⁰ Wspomnienia bp. Władysława Kiernickiego „Dziunia” w: *Biuletyn Informacyjny Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego*, rok XI, nr 6/127, czerwiec 2001, s. 2-3. ¹¹ <http://www.lwow.home.pl/spotkania/burza1.html#micinski> [dostęp: 8 grudnia 2017]. ¹² D. Sotirović, wyd. cyt., s. 178.

¹³ S. Rostworowski, *Zeszyty Historyczne WIN-u*, nr 17/2002, s. 317. ¹⁴ AIPN BU 0183/1, s. 49. ¹⁵ AIPN BU 0184/38 s.6. ¹⁶ D. Sotirović, wyd. cyt., s. 309.

¹⁷ AIPN Ka 02/332 t. 2, s. 24.

Autor dziękuje Jerzemu Oleszkiewiczowi, rodzinie Adamskich, Instytutowi Pamięci Narodowej i Ośrodkowi KARTA za udostępnienie materiałów.

Posagi lwów sprzed Cmentarza Obrońców Lwowa

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe
Panorama Lwowa
Fot. Domena publiczna



Amerykanie w Zamościu

Podczas II wojny światowej niebo nad Polską przemierzały brytyjskie i amerykańskie samoloty bombowe wykonujące tu bojowe zadania.



DRAMATYCZNE ZDARZENIE

NIEBO NAD BLACHOWNIĄ.
Trafiony Liberator rozpadł się.
W tę przestrzeń wpadł lecący
za nim kolejny Liberator, który
– ciężko uszkodzony –
musiał potem lądować
w Zamościu

WOJCIECH KRAJEWSKI

Czterosilnikowe B-17 Latające Fortece i B-24 Liberatory lotnictwa Stanów Zjednoczonych

Ameryki Północnej oraz bombowce brytyjskiego RAF-u bombardowały obiekty przemysłowe, stocznie i lotniska. Ich celem były: Szczecin, Połice, Świnoujście, Krzesiny pod Poznaniem, Gdańsk, Gdynia, Malbork i inne stocznie i lotniska leżące na granicach dzisiejszej Polski. Nad Polskę w 1944 r. i 1945 r. docierało też wiele samolotów rozbitków. Były to maszyny brytyjskie i amerykańskie, które podczas nalotów na cele położone w III Rzeszy zostały uszkodzone i nie mogły wrócić do bazy na Wyspach Brytyjskich. Gdy znajdowały się niedaleko ziem polskich, ich załogi próbowały dotrzeć do linii frontu, by wylądować po rosyjskiej stronie. Wiele z nich zakończyło lot w okupowanej Polsce. Natomiast samoloty bombowe 15 Armii Powietrz-

nej USA, startujące z południowych Włoch, prowadziły od lipca do grudnia 1944 r. nad południową Polską powietrzną „bitwę o benzynę”. Jej celem było zniszczenie rafinerii i zakładów chemicznych produkujących paliwo dla niemieckiej maszyny wojennej w Blechhammer (Blachowni i Kędzierzynie-Koźlu), Odertal (Zdzieszowicach), Oświęcimiu i Trzebinie. Były to jedno z najdalszych, a tym samym najdłuższych i najniebezpieczniejszych lotów.

Trudna misja

Załogi bombowców spędzały w powietrzu po 10 godzin. Ponocono znaczne straty. Szacuje się, że utracono w tych dalekich wyprawach ok. 220 samolotów bombowych. Z tej liczby nad Polskę zakończyło lot najprawdopodobniej kilkadziesiąt maszyn. Pozostałe zestrzelono nad Czechami, Węgrami i Jugosławią. Atakowały je nie



- 1. Jedyne znane zdjęcie uszkodzonego Liberatora na lotnisku Mokre pod Zamościem. Przed samolotem amerykańscy lotnicy i żołnierze rosyjscy. Fot. Zbiory Wojciecha Krajewskiego**
- 2. Spotkanie dwóch światów – sowiecki żołdat przed samolotem B-17G latającą Forteca pod Krakowem. Fot. Zbiory Jacka Nowickiego**
- 3. Lotnik Barnie, członek ekipy naprawczej w kabinie Liberatora na lotnisku w Mokrem. To prawdopodobnie on ewakuował ten samolot do Połtawy. Fot. Zbiory Krzysztofa Czubary**
- 4. Samolot B-24 Liberator z 783 Dywizjonu Bombowego 465 Grupy Bombowej. Fot. Zbiory Wojciecha Krajewskiego**



3



tylko myśliwce Luftwaffe, przede wszystkim były narażone na ostrzał artylerii przeciwlotniczej. Załogi, których maszyny były poważnie uszkodzone, kierowały się na wschód. Tam niebezpieczna lotnicza przygoda miała dalszy ciąg. Uszkodzone bombowce nie zawsze mogły pokonać 200-250 km, by dotrzeć do linii frontu leżącej w tym czasie w rejonie Jasła-Dębicy. Niekiedy załogi musiały awaryjnie lądować lub skakać ze spadochronami nad terenami wciąż zajętymi przez Niemców. Na ziemi lotnicy, o ile natychmiast nie zostali ukryci przez miejscową ludność lub partyzantów, na ogół nie próbowali uciekać. Wiedzieli, że bez pomocy Polaków nie mają żadnych szans przetrwania. Byli zdeorientowani, nie wiedzieli, gdzie dokładnie są, nie znali terenu ani języka, nie mieli cywilnych ubrań ani dokumentów. Z relacji amerykańskich weteranów wiadomo, że na ogół wyznawali zasadę „moją bronią jest samolot; nie mam samolotu – poddaję się i dalej nie walczę”. Wielu pilotów celowo nie brało ze sobą nawet broni osobistej, by po zestrzeleniu nie dawać Niemcom pretekstu do strzału. Mówili oni: „moim zajęciem jest pilotowanie samolotu, a nie strzelanie do kogoś”. Poddawali się więc bez stawiania oporu niemieckim żołnierzom. W zde-

cydowanej większości przypadków byli bezpiecznie odstawiani do przejściowego obozu jenieckiego Dulag Luft w Oberursel na przesłuchanie przez wywiad Luftwaffe, a następnie do któregoś z obozów jenieckich dla alianckich lotników. Tam na ogół bezpiecznie czekali do wyzwolenia przez wojska rosyjskie wiosną 1945 r. W zdecydowanie gorszej sytuacji byli ci, którzy uczestniczyli w nalotach na niemieckie miasta oraz obiekty przemysłowe i tam ich zestrzelono. W takich przypadkach ich los zależał od tego, w czyje ręce się dostali. Co prawda chroniła ich konwencja genewska, ale zdarzały się przypadki samosądów i mordów dokonywanych przez rozwścieżoną bombardowaniami niemiecką ludność cywilną, nadgorliwych lokalnych funkcjonariuszy NSDAP, a nawet przez niemieckich żołnierzy, którzy stracili bliskich w nalotach.

Równie niepewny był los lotników, którzy zdołali dotrzeć do linii frontu rosyjskiego. Zdarzały się przypadki ostrzelania samolotów amerykańskich przez rosyjską artylerię przeciwlotniczą i myśliwce. Wśród członków załóg były ofiary śmiertelne. Przeważnie jednak nawigatorzy i piloci potrafili odnaleźć lotniska zajęte przez Rosjan i tam lądowali. Tu też wiele zależało od tego, w czyje rę-



Samoloty B-24 Liberator z 783 Dywizjonu Bombowego 465 Grupy Bombowej w locie.

FOT. ZBIORY JACKA NOWICKIEGO

ce się dostali. Byli co prawda „sojuźnikami” (sojusznikami), ale mimo to u Rosjan zawsze pozostawała, wpajana latami przez sowiecką propagandę, ugruntowana nieufność wobec Amerykanów przybyłych z obcego ustrojowo, a więc „wrogiego”, kapitalistycznego mocarstwa, jakim były Stany Zjednoczone. Rosjanie podejrzewali też, czy przypadkiem amerykańscy lotnicy nie są zakamuflowanymi niemieckimi „szpionami” (szpiegami), zrzuconymi na spadochronie nad rosyjskim zapleczem lub nawet wysłanymi tam na zdobytym wcześniej amerykańskim samolocie. Podczas przesłuchania wystarczyło zwykłe nieporozumienie, by mogło się to zakończyć tragicznie dla lotnika usiłującego gorączkowo wyjaśnić, kim jest. Zdarzały się więc niewyjaśnione do dziś wypadki zastrzelenia lotników, z którymi nie potrafiono się porozumieć. Bezpieczniej było, gdy na rosyjskim lotnisku lądował samolot z załogą. Zwykle po pierwszym przesłuchaniu w dowództwie przydzielano im w miarę wygodną kwaterę i goszczono na zakrapianych alkoholem przyjęciach. Spotkanie z Rosjanami było dla amerykańskich lotników kontaktem z ludźmi z innego świata, czy wręcz innej cywilizacji. Rosjanie zaś konsekwentnie uniemożliwiali Amerykanom kontakty z polską ludnością. Obawiali się wymiany informacji.

Trafieni nad Blechhammer

Jedną z takich dramatycznych, lotniczych przygód nad Polską przeżyła załoga samolotu B-24 Liberator o numerze seryjnym 44-41142, oznaczonego wymalowaną na kadłubie wielką czerwoną literą „R” z 783 Dywizjonu Bombowego 465 Grupy Bombowej. Uczestniczyła ona 20 listopada 1944 r. w dalekiej wyprawie ciężkich bom-

bowców 15 Armii Powietrznej USA w celu zniszczenia zakładów IG Farben w Blechhammer Süd, czyli w obecnym Kędzierzynie-Koźlu w Polsce. Załogę samolotu stanowiło dziewięciu lotników: pierwszy pilot 1st Lt. Joe Norman Jr., drugi pilot 1st Lt. Robert F. Wills, nawigator 2nd Lt. Robert L. Kaiser, mechanik pokładowy T/Sgt. Thurman Atkinson, radiooperator S/Sgt Theodore Deitsch oraz strzelcy: S/Sgt. Mike Urda (tylna wieżyczka), S/Sgt Richard D. Block (górną wieżyczka), S/Sgt. Frank D. Love (przednia wieżyczka), S/Sgt. Robert E. Crist (dolna wieżyczka).

W 1998 r. odwiedził Polskę pilot tego samolotu Robert F. Wills, jedyny wówczas żyjący członek jego załogi. Przyjazd do Polski i odwiedzenie miejsc, gdzie 50 lat wcześniej wylądował jesienią 1944 r., było marzeniem ostatnich lat jego życia. Tę sentymentalną wycieczkę zafundowała mu córka z zięciem, którzy przybyli wtedy wraz z nim do Polski.

Pilot weteran Robert Wills, wspominając wydarzenia z lotu 20 listopada 1944 r., opowiadał, że kilka sekund przed zrzutem bomb lecący tuż przed nimi Liberator został trafiony i eksplodował, a ich samolot musiał wlecieć w miejsce eksplozji. Spadły na nich resztki zniszczonego samolotu, dlatego odnieśli wiele poważnych uszkodzeń. Chwilę później trafiła ich celnie strzelająca artyleria przeciwlotnicza. Mimo to zrzucili ładunek bomb i oddali się od celu. Byli jednak w poważnych tarapatach. Mieli niesprawne dwa silniki i wiele przestrzelin, przez które wyciekało paliwo. Powrót do Włoch był niemożliwy. Robert Wills wspominał, że pierwszy pilot Norman był tak przerażony, że cały czas się modlił i żegnał znakiem krzyża. Lotnicy postanowili lecieć tak długo, jak tylko się da na wschód, aby dotrzeć nad tereny zajęte przez Rosjan.



**Żałoga por. Joe Normana
przed swoim Liberatorem
na lotnisku we Włoszech.**

FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO

W niewoli u sojuszników

Nie wiedzieli, gdzie są, ale w pewnym momencie dostrzegli małe lotnisko i stojące na nim samoloty oznakowane czerwonymi gwiazdami. Zrobili rundę i wylądowali w tumanach kurzu. Pojawienie się dużego, czterosilnikowego samolotu wywołało wśród Rosjan wielkie zamieszanie. Pilot Robert Wills wspomina, co stało się dalej: „Po lądowaniu przez chwilę próbowałem dojść do siebie. Spojrzałem do tyłu w kierunku komory bombowej i tam w dole zobaczyłem jakiegoś starszego mężczyznę w futrze, z futrzaną czapą na głowie i z dużą brodą. Wyglądał na 75-80 lat. Główny problem polegał na tym, że miał w rękę wielki karabin wycelowany prosto w naszą kabinę. Nie trzeba dodawać, że na ten widok bardzo szybko opuściliśmy samolot. Wyszliśmy przez otwartą komorę bombową. Oczywiście człowiek ten nie znał angielskiego. My nie znaliśmy rosyjskiego. Nastąpił impas”¹.

Okazało się, że miejscem lądowania było lotnisko w miejscowości Mokre pod Zamościem w Polsce. Gdy wyszli z samolotu, okazało się, że

brakuje dwóch strzelców pokładowych, którzy wyskoczyli ze spadochronami kilka minut przed lądowaniem. Przywieziono ich dopiero po dwóch dniach. Opowiadali, że przejęto ich polskie wojsko. Zrewidowano ich i zabrano im to, co mieli, włącznie z przedmiotami osobistymi, zegarkami i pieniędzmi. Zostali przesłuchani. Na szczęście zdołali udowodnić, że nie są niemieckimi szpiegami. Odwieziono ich do Zamościa, gdzie 22 listopada dołączyli do załogi.

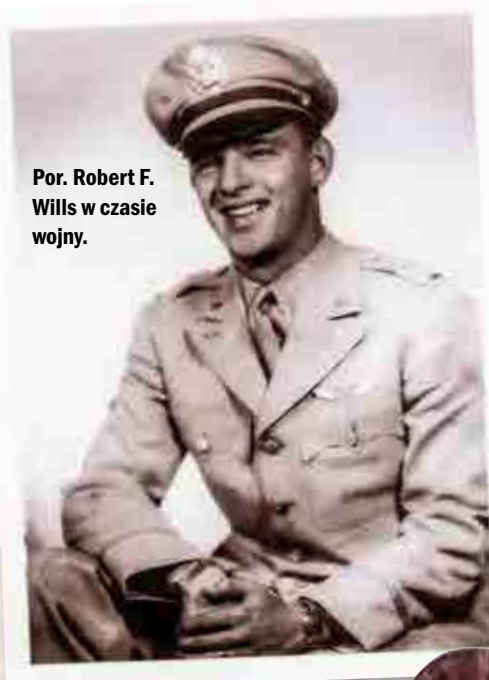
Lotników zaprowadzono do budynku dowództwa, gdzie zostali przesłuchani. Porozumiewano się „na migi”. Rozdzielono ich na dwie grupy. Trzech oficerów zamieszkało u rodziny Boguckich, a sześciu podoficerów u rodziny Pulikowskich w pobliżu lotniska. Warunki mieli dobre, ale ograniczono im swobodę poruszania się. Rosjanie tłumaczyli, że nie wolno im chodzić do miasta ze względu na napady „polskich bandytów”. Przed drzwiami postawiono wartowników z bronią. Lotnikom zakazano kontaktowania się z Polakami. Taki sam zakaz wydano polskim mieszkańcom. Dwa razy dziennie przychodził oficer NKWD, który zabierał ich na posiłki. Ame- ▶

rykanie nie wytrzymali tego długo – zaczęli samowolnie wymykać się na zewnątrz przez okno. W końcu uzyskali zgodę na wyjścia do miasta w towarzystwie uzbrojonych wartowników. By się ich pozbyć, stopniowo rozdzielali się na mniejsze grupki gubiąc w ten sposób „ochronę”. Grupa, przy której zostali wartownicy, zawracała na kwatery, a reszta uwolniona od obstawy miała kilka godzin swobody. Amerykańskich lotników zapamiętało w Zamościu kilku mieszkańców. Sprzedawczyni ze sklepu wspominała po latach, że ofiarowali jej parę dolarów i rękawiczki. Zachowywali się bardzo grzecznie, nie tak jak Rosjanie, którzy nie dość, że pili na umór, to nie płacili rachunków i kradli. Trudno było się jednak z nimi porozumieć ze względu na barierę językową i strach przed funkcjonariuszami NKWD i UB, którzy za kontakty z Amerykanami zabierali ludzi na przesłuchania. Zapamiętano, że lotnicy byli ubrani w „skafandry na kozuchu”, a nisko na biodrach, w otwartych kaburach nosili wielkie rewolwery. Według jednej z relacji odbyły się zawody strzeleckie między Amerykanami a Rosjanami: „Lotnicy zrobili furorę kowbojskim strzelaniem z biodra, w dodatku z coltów jeszcze większych niż rosyjskie naganty [...]. Jeden okazał się mistrzem nad mistrze [...]. Oko nie nadążyło za ruchem jego dłoni [...] walił raz za razem, tak że strzały zlewały się w jeden ciągły huk, a rozstawione przed nim puste butelki i opróżnione z konserw puszki pryskały jak bańki mydlane”².

Amerykanie domagali się od Rosjan, by powiadomili ich dowództwo, gdzie się znajdują i prosili o ewakuację z Polski. Ci jednak nic w tej sprawie nie robili. W końcu informację o pobycie lotników w Zamościu potajemnie przekazała Brytyjczykom Armia Krajowa za pomocą radiostacji, ci zaś dowództwu 15 Armii Powietrznej USA we Włoszech.

Powrót do swoich

Na początku grudnia 1944 r. do załogi w Zamościu Rosjanie dołączyli kilkunastu innych zestrzelonych lotników. Powiedziano im, że zostaną zabrani do amerykańskiej bazy lotniczej w Poławie. Rzeczywiście



Por. Robert F. Wills w czasie wojny.

FOT. ZBIORY ROBERTA F. WILLSA

Rozbity pod Poławą i ewakuowany z Zamościa B-24 Liberator. Prawdopodobnie skreślono go ze stanu i złomowano.



FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO



Inne ujęcie rozbi-
tego pod Połtawą
Liberatora ewaku-
owanego z Zamo-
ścia.



Nieśmiertelnik mechanika
pokładowego T/Sgt Thur-
mana Atkinsona z załogi
Liberatora pozostawiony
na pamiątkę rodzinie Puli-
kowskich w Zamościu.
Obecnie w zbiorach Wojcie-
cha Krajewskiego.

FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO (2)

9 grudnia na lotnisku w Mokrem wylądował samolot transportowy C-47. Przylecieli nim dwaj amerykańscy oficerowie, którzy znali dobrze język rosyjski. Wśród lotników wybuchła radość. Amerykanie pozostawili rodzinie Pulikowskich, u których mieszkali, lotniczy worek wypchany m.in. elementami umundurowania i papierosami. Ukryli go w sianie w stodole, by nie znaleźli go Rosjanie. Polacy zrewanżowali się dwoma przedwojennymi pocztówkami z ilustracjami scen z *Potopu* Henryka Sienkiewicza opatrzonymi dedykacjami po polsku, autografami i datą 9 grudnia 1944 r. Samolot z lotnikami odleciał do bazy w Poławie następnego dnia. Tam lotników odswadzawiono i przesłuchano. Traktowano ich jak ważne osoby. Zorganizowano też wielkie dobrze zakrapiane alkoholem przyjęcie. Jak stwierdzał pilot Wills, było mnóstwo jedzenia, w tym nawet kawior. Amerykańscy lotnicy 12 grudnia odlecieli z Poławy i przez Machaczkałę, Teheran, Kair, Afrykę Północną i Maltę dotarli w końcu do Włoch do swojej bazy w Pantanella. Był 20 grudnia 1944 r. Ich odyseja zakończyła się.

Liberator z literą „R”

Uszkodzony Liberator pozostawiony na wojskim lotnisku nie wrócił śladem swojej załogi do służby. Wprawdzie wysłana specjalnie z Poławy do Zamościa grupa mechaników do końca grudnia 1944 r. dokonała niezbędnych napraw i samolot wzbił się w powietrze. Jednak z dokumentów archiwalnych i zachowa-

nych zdjęć wiadomo, że 7 stycznia 1945 r. Liberator ten rozbił się podczas lądowania w Poławie. Skreślono go ze stanu i złomowano na rosyjskiej ziemi.

Por. Robert Wills po powrocie do macierzystej jednostki we Włoszech uczestniczył jeszcze w siedmiu lotach na bombardowania celów w Niemczech, Austrii, Włoszech i na Węgrzech. Po zakończeniu tury 35 lotów bojowych został zdemobilizowany i powrócił do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie pracował jako handlowiec w branży sprzętu sportowego. Przylatując do Polski w 1998 r., przywiózł pocztówki, które lotnicy dostali od Polaków w 1944 r. Wróciły one do ofiarodawców, czyli rodziny Pulikowskich. Okazało się, że w rękach tej rodziny zachowało się do dziś kilka elementów umundurowania i wyposażenia, które pozostawili im amerykańscy lotnicy w 1944 r.

Lotnik weteran Robert F. Wills zmarł 27 stycznia 2008 r. w Pasadenie w Kalifornii w USA. Powojenne losy pozostałych członków załogi zamojskiego Liberatora pozostają nieznane.

WOJCIECH KRAJEWSKI, archeolog, historyk i muzealnik; kustosz Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Badacz miejsc katastrof samolotów i poszukiwacz lotników zestrzelonych nad Polską podczas II wojny światowej. Zajmuje się też archeologią dawnych pól bitew i historią powstania listopadowego. Autor kilku książek, kilkudziesięciu artykułów i kilkunastu wystaw.

¹ Relacja R.F. Willsa złożona Wojciechowi Krajewskiemu w 1998 r.

² K. Czubara, *Kennedy z Zamościa. Nie tylko wojenne tajemnice minionego wieku*, Zamość 2007, s. 94.



3



Ucieczka jachtem „Strzelec II” do Szwecji

Po rozpoczęciu działań wojennych w 1939 r. oddziały niemieckie szybko odcięły obrońców polskiego Wybrzeża od reszty sił polskich. Mimo blokady przez okręty i samoloty niemieckie we wrześniu i w październiku 1939 r. podjęto liczne próby wydostania się drogą morską i powietrzną do państw neutralnych.

PIOTR SYKUT

Jednej z pierwszych udanych ucieczek dokonało pięciu ludzi na jachcie „Strzelec II”, należącym do Oddziału Morskiego Związku Strzeleckiego. W składzie załogi jachtu znaleźli się dwaj członkowie Klubu Żeglarskiego „Gryf” i jednocześnie pracownicy Warsztatów Portowych Marynarki Wojennej w Gdyni: Edward Skrzypek i Michał Przepierczyński, dwaj piloci portowi w Gdyni: kpt. ż.w. Jerzy Lewandowski i kpt. ż.w. Władysław Grabowski oraz mechanik Bruno Wyględacz.

Wszystko stracone

We wspomnieniach Michał Przepierczyński tak przedstawił moment podjęcia decyzji o ucieczce: „W warsztatach płatnik Krukowski zebrał wszystkich pracowników i powiedział nam. «Wszystko jest stracone». Jesteście zwol-

nieni, i wypłacił każdemu 150 złotych.

Ja z Edkiem mieszkaliśmy na ulicy Portowej w Gdyni naprzeciw starego dębu w środku ulicy. Postanowiliśmy z Edkiem że cokolwiek się stanie to my się nie poddamy Niemcom.

13 września Niemcy już na przedmieściach Gdyni. Pozostało nam tylko morze by wydostać się z Gdyni. Po zbadaniu sytuacji w basenie jachtowym, zauważyliśmy że chociaż zatopiono barkę w wejściu do basenu, został tam mały przesmyk przy molu. Przesmyk ten okazał się dostateczny do przeciągnięcia pomiędzy mołem i barką, jeden z małych jachtów. Wybraliśmy mały jacht „Strzelec II”¹.

W nocy z 12 na 13 września oddziały Łądowej Obrony Wybrzeża opuściły Gdynię, wycofując się na Kępę Oksywską. W tym samym czasie Władysław Grabowski i Jerzy Lewandowski



1. Widok basenu portowego w Gdyni. Fot. Domena publiczna
2. Uczestnicy kursu harcerskiego YKPG. Fot. Domena publiczna
3. Jacht w Gdyni wypływa w morze. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe
4. Bsm. Michał Pearson Przepierczyński. Fot. Arch.

pełnili funkcje pilotów gdyńskiego portu i jednocześnie oficerów dyżurnych, których zadaniem było utrzymywanie łączności z centralą na Oksywiu. Rano, 13 września dyrektor Urzędu Morskiego w Gdyni inż. Stanisław Łęgowski zakończył pracę Urzędu Morskiego i Kapitanatu Portu w Gdyni, zwalniając pracowników, w tym również Władysława Grabowskiego i Jerzego Lewandowskiego. Obaj otrzymali trzymiesięczną pensję i polecenie dołączenia do wojsk polskich lub floty handlowej, której część przebywała na wodach terytorialnych Szwecji.

Na północ czy na południe?

Jerzy Lewandowski we wspomnieniach opisał sytuację, w której podjęto decyzję o ucieczce drogą morską: „W głowie mieliśmy dwie wersje wydostania się z Gdyni: przez las z ulicy Szczecińskiej na południe Polski, lub jachtem przez morze na północ do Szwecji. Z Urzędu Morskiego pojechaliśmy na rowerach do Basenu Jachtowego zbadać sytuację. Oglądając jachty spostrzegliśmy dwóch młodszych od nas ludzi, którzy również krążyli przy jachtach. Byli to Edward Skrzypek i Michał Przepierczyński. Wtedy nie znaliśmy ich. Po krótkiej naradzie, [Władysław – PS] Grabowski zwrócił się do nich i zapytał: «co wy tu chcecie robić?» Odpowiedzieli: «to samo co i wy». Po krótkiej rozmowie z nieznanymi, umówiliśmy się wieczorem na jachcie «Strzelec II». Zamia-

rem było popłynąć do Szwecji i zaokrętować się na jakiś polski statek”².

Władysław Grabowski i Jerzy Lewandowski, wracając z basenu jachtowego, spotkali na ul. 10 Lutego inż. Władysława Milewskiego i kpt. K. Macierewicza, który doradził im, aby koniecznie uciekali jachtem do Szwecji. Po dotarciu do mieszkania przy ul. Szczecińskiej 34 rozpoczęli przygotowania do ucieczki, pakując do plecaków bieliznę i żywność. Podczas rozmowy z inż. Nowakowskim, u którego mieszkali od chwili częściowego zniszczenia podczas nalotu ich mieszkania w Domu Pilota przy ul. Chrzanowskiego, zauważyli z okna mieszkania oddziały niemieckie i natychmiast po zejściu do garażu, gdzie stały rowery, pojechali ul. Leśną w kierunku morza.

Po przybyciu do basenu jachtowego Władysław Grabowski i Jerzy Lewandowski zauważyli grupę ok. 20 młodych mężczyzn, którzy zamierzali przedrzeć się do Szwecji na motorówce „Delfin”. Przyłączyli się do nich. Nie udało się jednak uruchomić motoru, a wśród niedoszłych uciekinierów nie było żadnego mechanika. Władysław Grabowski i Jerzy Lewandowski wrócili więc na jacht „Strzelec II”, na którym wraz z wcześniej poznanymi Edwardem Skrzypkiem i Michałem Przepierczyńskim zaczęli przygotowywać się do wypłynięcia z portu. Wtedy dołączył do nich mechanik Bruno Wyględacz, kolega szkolny Jerzego Lewandowskiego. Był z nimi jeszcze jeden człowiek, ale w ostatnim momencie zrezygnował i wyskoczył na molo. Niektóre źródła podają, że człowiekiem tym mógł być Józef Lesiak. Mężczyźni, którzy chcieli uciekać motorówką „Delfin”, odradzali im ucieczkę jachtem twierdząc, że za falochronem natkną się na niemieckie okręty.

W górę żagle

W ciągu godziny przygotowali jacht do podniesienia żagli. Pogoda sprzyjała uciekinierom, zapadła już noc, padał deszcz i wiał dość silny południowo-zachodni wiatr, a widoczność była ograniczona. Po odcięciu cum rufowych, klucząc między innymi jachtami, przeciągnęli swój przy molo, ponieważ wejście do basenu blokowała zatopiona barka, podnieśli żagle i w końcu „Strzelec II” po wyjściu z basenu skierował się na północno-wschodni cypel Zatoki Gdańskiej – Brüsterort. Ponieważ siła wiatru wzrastała, jacht zalewały coraz potężniejsze fale. Wachta przypadła Lewandowskiemu i Skrzypkowi – obaj pełnili ją przy sterze. Zmienili ich Grabowski i Przepierczyński. Wyględacz cierpiał w tym czasie z powodu choroby morskiej. Przepierczyński palił jednego papierosa za drugim, aby oświecić różę kompasową, ponieważ nie włączono na jachcie światła z obawy przed wykryciem.

Gdy zrobiło się widno, zmieniono kurs na północno-zachodni. Jacht płynął w kierunku latarni morskiej ▶

Utklippan. Uciekinierzy zamierzali wpłynąć do szwedzkiego portu Karlskrona. Rano pogoda zaczęła się poprawiać, wiatr osłabł, a około południa zaczęło świecić słońce wcześniej schowane za chmurami. Cała załoga jachtu leżała na pokładzie i suszyła przemoczone ubrania. Wtedy doszło do niespodziewanego spotkania z niemieckim statkiem handlowym, który minął „Strzelca II” spokojnie, gdyż dzięki sprytowi i pomysłowości Edwarda Skrzypka powiewała na nim już bandera szwedzka. Edward Skrzypek, który zabrał bandery szwedzką i fińską, prawdopodobnie zapobiegł zatrzymaniu jachtu przez niemiecką załogę statku.

Światło latarni

Wreszcie po dwóch dniach żeglowania zobaczyli w nocy światło latarni Utklippan. Wtedy zaczął wiać z północy silny wiatr, który zmusił załogę do reflowania żagla. W końcu nastał szczęśliwy dzień – rankiem 16 września 1939 r. „Strzelec II” wpłynął na szwedzkie szkiery. Ponieważ załoga nie miała mapy tego rejonu, nie można było prowadzić dalej nawigacji. Skończyła się także żywność, nafta do prymusa i zapalniczki. Gdy jacht otarł się o kamienie, rzucili kotwicę w pobliżu domku na wybrzeżu. Było to gospodarstwo rybaka, który po pewnym czasie dopłynął do jachtu łodzią wiosłową. Proszony o wskazanie drogi do Karlskrony odmówił, oświadczając, że tylko pilot może wprowadzić jacht do portu. Zaproponował pomoc w wezwaniu pilota przez telefon, który miał w domku.

Z rybakami popłynął Jerzy Lewandowski, który wezwał pilota. Rodzina rybaka okazała się gościnną i zaprosiła Polaka na kawę i ciastka, a przed powrotem na jacht podarowała butelkę nafty i zapalniczki. Wkrótce przybył pilot, podniesiono kotwicę i jacht zaczął płynąć do Karlskrony. Podczas rejsu członkowie załogi się ogolili i przygotowali do zejścia na ląd. Po wpłynięciu do portu, sprawnym dobiciu do brzegu i zacumowaniu jachtu pojawił się człowiek, który zaprosił członków załogi do miejscowego posterunku policji, gdzie mieli złożyć wyjaśnienia. Tam ich zatrzymano, ponieważ przekroczyli granicę nielegalnie, bez wiz i paszportów. Jerzy Lewandowski wspominał, że posadzono ich przy stole i „przyniesiono dużo półmisek kartofli, jajek na twardo, chleba i dzban mleka, które później nazywaliśmy szwedzkim winem, ponieważ podawane było do każdego jedzenia. Mieliśmy wilcze apetyty i w mgnieniu oka wszystko

zniknęło, ku uciechu policjantów, którzy patrzyli na nas z ciekawością”³.

Przepierczyński podkreślał, że ich pobyt przypominał bardziej rodzinną gościnę niż internowanie. Na spacerach i na obiady do dobrej restauracji jeździli samochodem komendanta policji, a towarzyszył im policjant w cywilnym ubraniu. Chodzili również do kina. Przepierczyński ze Skrzypkiem żeglowali nawet z jednym z policjantów na jego jachcie w pobliżu Karlskrony. Ponieważ w miejscowych bankach nie można już było wymienić polskich pieniędzy na inne waluty, Szwedzi przeprowadzili zbiórkę na zakup rzeczy potrzebnych Polakom: mydła, ręczników i żyłek. Internowanie zakończyło się po 30 dniach, gdy dostarczono im paszporty z Ambasady RP w Sztokholmie. Cała piątka pojechała pociągiem na południe Szwecji do Malmö, a potem do Lund, gdzie zamieszkali w hotelu turystycznym.

Tam pozostawili po sobie pamiątkę w postaci wpisu do hotelowego albumu z rysunkiem jachtu autorstwa Bruno Wyględacza i wierszem zatytułowanym *Pięcioraczki*, który napisał Władysław Grabowski. Podczas pobytu w Lund zaopiekował się nimi prof. Łakociński, lektor języka polskiego na tamtejszym uniwersytecie. Następnie uciekinierzy pojechali pociągiem do Sztokholmu. W polskiej ambasadzie poinformowano ich o przydzieleniu na motorowiec „Rozewie”, którego kapitanem był Stanisław Lehr. Jerzy Lewandowski został pierwszym oficerem, Władysław Grabowski drugim, Bruno Wyględacz mechanikiem, a Edward Skrzypek i Michał Przepierczyński marynarzami. Statek płynął do Bergen w Norwegii, po drodze zatrzymując się w porcie Uddevalla, w którym załadowano na niego celulozę. Po kilkudniowym postoju w Bergen polski statek z piątką uciekinierów ok. 20 grudnia 1939 r. dopłynął w konwoju do Rochester u ujścia Tamizy w Wielkiej Brytanii.

Dalsze losy załogi jachtu „Strzelec II” to temat na inne opowiadanie. Natomiast jacht został sprzedany przez polskiego konsula szwedzkiemu żeglarzowi, który nadał mu nazwę „Polska”.

JACHT „STRZELEC II”



Należał on do serii 26 jednostek typu „Konik Morski” zbudowanych w latach 1937–1939 w Stoczni Yachtowej w Gdyni. „Konika Morskiego” zaprojektował już w 1936 r. Leon Tumilowicz, wzorując się na amerykańskich konstrukcjach jachtów. Miał on długość 9,60 m, szerokość 2,72 m, zanurzenie 1,53 m, wyporność 4,5 t, a powierzchnia żagla wynosiła 40 mkw. Na podstawie: W. Głowacki, *Dzieje żeglarstwa polskiego*, Gdańsk 1989,

PIOTR SYKUT, historyk wojskowości, absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się najnowszą historią powszechną, historią wojskowości, w tym Polskiej Marynarki Wojennej z lat 1918–1945 oraz obroną Wybrzeża w 1939 r.

¹ M. Przepierczyński, *Wspomnienia żeglarza, Michała Przepierczyńskiego na Obczyźnie*, Archiwum Jachtu Klubu Morskiego „Gryf”, s. 2–3. ² J. Lewandowski, *Z marynarskich wspomnień kapitana ż.w. Jerzego Lewandowskiego. Dwie ucieczki*, „Morze”, 1984, nr 2, s. 28. ³ J. Lewandowski, *Z marynarskich wspomnień kapitana ż.w. Jerzego Lewandowskiego. Dwie ucieczki*, „Morze”, 1984, nr 2, s. 28.

B O L E Ś Ł A W K O W A L S K I „ W I C H E R ”

#RycerzeBialoCzerwonej

Jak burzliwe były losy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w XX wieku, wie najlepiej mjr Boleśław Kowalski „Wicher”, stuletni kombatant, artylerzysta 9 Pułku Artylerii Lekkiej, jeden z ostatnich żyjących uczestników bitwy pod Kockiem. Mimo porażki wojny obronnej 1939 roku nie złożył broni, ale od listopada w konspiracji kontynuował walkę o Polskę. Z takich obrońców Ojczyzny możemy być dumni.

My też możemy do nich dołączyć!



Ostatni rejs „Orła”

ORP „Orzeł” po przedarciu się do Wielkiej Brytanii stał się wzorem nie tylko dla polskiej Marynarki Wojennej, ale i dla potężnej Royal Navy. Mało który okręt mógł się w tak krótkim czasie poszczycić tyloma sukcesami. Tym bardziej tragiczna była wieść o jego zaginięciu.

ANNA PASTOREK

Kierownictwo Marynarki Wojennej 13 czerwca 1940 r. wydało rozkaz dzienny, w którym poinformowało załogi polskich okrętów o utracie ORP „Orzeł”: „Marynarze. Nową ponieśliśmy stratę – w walce z nieprzyjacielem zginął ORP „Orzeł” wraz z całą załogą. Dowódca i załoga zapisali się jedną z najchlubniejszych kart w historii Polski i legenda o ich czynach przetrwa wieki. Pokolenia przyszłej Polski na tej legendzie wychowywać się będą. Ona scementuje więzy nierozdzielne Narodu z morzem. Dziś ORP „Orzeł” jest symbolem wielkości Narodu Polskiego, który mając takich Synów jak

jego załoga – zginąć nie może. Cześć pamięci bohaterów”¹.

8 czerwca „Orzeł” nie powrócił ze swojego szóstego patrolu bojowego. Dwa dni później, w związku z brakiem jakichkolwiek informacji od zaginionej jednostki, admiralica brytyjska uznała okręt za stracony. Gdy tylko podano oficjalnie informację o utracie okrętu, w brytyjskich gazetach natychmiast ukazały się artykuły przypominające historię jego służby – internowania i brawurowej ucieczki

POSZUKIWANIE „ORŁA”

Czy kiedykolwiek dowiemy się, jaki był koniec otoczonego wojenną sławą ORP „Orzeł”? Co tak naprawdę stało się z kapitanem Janem Grudzińskim i jego bohaterską załogą? Są ludzie, którzy wierzą, że uda się to wyjaśnić i niezrażeni niepowodzeniami wciąż organizują nowe wyprawy badawcze.

W dniu 20 maja 2017 roku z portu w Gdyni w ramach projektu „Santi Odnaleźć Orła” wyruszyła czwarta ekspedycja badawcza, której celem było odnalezienie wraku sławnego polskiego okrętu podwodnego ORP „Orzeł”. Członkowie projektu zamierzali w ciągu trzytygodniowego rejsu ostatecznie zweryfikować hipotezę, według której przyczyną zatonięcia polskiej jednostki był atak bombowy brytyjskiego samolotu. Grupa LOTOS dostarczyła do zbiorników

statku badawczego 20 ton paliwa żeglugowego. Uczestnikom wyprawy nie udało się odnaleźć polskiego okrętu podwodnego, choć przebadano ponad 1000 kilometrów kwadratowych dna morskiego. Podczas poszukiwań natrafiono na 34 wraki i znaleziono prawdopodobnie wrak okrętu brytyjskiego HMS „Narwhal”. Tegoroczna wyprawa została przeprowadzona z wykorzystaniem statku badawczego „Mewo Nawigator”. Pozyskany dla ekspedycji 26-metrowy statek, pływający z prędkością do 10 węzłów,

z Tallina do Wielkiej Brytanii oraz walki w składzie Royal Navy z Kriegsmarine. Zbudowana w holenderskiej stoczni N.V. Koninklijke Maatschappij „De Schelde” we Vlissingen, nowoczesna jak na ówczesne czasy jednostka, 2 lutego 1939 r. podniosła banderę polskiej Marynarki Wojennej. Podczas swojej krótkiej służby „Orzeł” stał się jednym z najsłynniejszych polskich okrętów wojennych.

Na swój ostatni patrol ORP „Orzeł” wyszedł 23 maja 1940 r. między godziną 20.05 a 23.00. Okoliczności jego zaginięcia, podobnie jak wielu innych okrętów podwodnych w czasie II wojny światowej, nie są znane. Istnieje kilka hipotez. Jednak dopóki nie zostanie odnaleziony wrak, nie będziemy mogli z całą pewnością potwierdzić żadnej z nich. W czasie II wojny światowej zwalczaniem okrętów podwodnych strony przeciwnej zajmowały się głównie jednostki nawodne oraz lotnictwo, rzadziej okręty podwodne. Atak przeprowadzano zazwyczaj przy użyciu pocisków artyleryjskich, bomb głębinowych lub torped. Nie brakowało sytuacji, w których omyłkowo, na skutek błędnego rozpoznania lub braku rozpoznania, atakowano własne jednostki. Należy pamiętać, że wobec poważnego zagrożenia, jakie stwarzały okręty podwodne, stosowano wówczas zasadę, że okręt nierozpoznany to okręt strony przeciwnej.

Z LOTOSEM

przystosowany jest do prowadzenia prac hydrograficznych, w tym poszukiwania wraków. Dzięki wsparciu Instytutu Morskiego w Gdańsku statek został wyposażony w nowoczesny zintegrowany system nawigacji morskiej oraz specjalistyczny sprzęt badawczy, w tym echosondę wielowiązkową (MBES) umożliwiającą skuteczne badanie dna morskiego w paśmie o szerokości nawet do 400 metrów. Został też doposażony w zestaw urządzeń poszukiwawczych i inspekcyjnych, m.in. w holowany sonar boczny umożliwiający szczegółowe zobrazowanie ewentualnych znalezisk, stanowiący zarazem rezerwę na wypadek awarii sondy wielowiązkowej, a także zdalnie sterowany, zaawansowany technicznie pojazd podwodny (ROV), wyposażony w kamerę i oświetlenie, umożliwiający przeprowadzenie szczegółowych inspekcji kolejnych odkrytych w trakcie wypawy wraków.

„Zgromadzone w tym roku przez członków fundacji środki finansowe pozwoliły nam na przeprowadzenie najdłuższej trwających poszukiwań w historii dotychczasowych wypraw, mówi Tomasz Stachura, szef ekspedycji i właściciel firmy „Santi”, będącej tytułarnym sponsorem wyprawy. „Obszar dna, jaki zbadaliśmy, jest olbrzymi, to

Realnym niebezpieczeństwem dla jednostek podwodnych były także zagrody minowe oraz miny dryfujące. Wejście na minę, czyli zetknięcie z miną pływającą lub kotwiczną miną kontaktową albo pobudzenie miny dennej lub kotwicznej miny niekontaktowej, powodowało znaczne uszkodzenie lub zatonięcie okrętu.

Według najnowszych badań, uwzględniających brytyjski, niemiecki i francuski materiał archiwalny, do najbardziej prawdopodobnych hipotez zatonięcia „Orla” należy: atak lotnictwa niemieckiego, wejście na minę lub awaria systemów i urządzeń okrętowych powodująca utratę pływalności, ewentualnie zderzenie z przeszkodą podwodną (skała, wrak). Niewykluczone jest również zatopienie okrętu przez brytyjski samolot, który w czasie rejsu „Orla” zgłosił zatopienie okrętu podwodnego, którego zidentyfikował jako U-boota. ■

DR ANNA PASTOREK, historyk wojskowości, Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej.

¹ Cytat za H. Jando, ORP „Orzeł”. Historia i hipotezy jego zatonięcia, Gdynia 2015, s. 153.



Członkowie ekspedycji poszukiwawczej obok statku badawczego „Mewo Navigator”

odpowiednik ponad trzykrotnej powierzchni aglomeracji Trójmiasta”.

Tegoroczna ekspedycja miała na celu weryfikację hipotezy, według której ORP „Orzeł” zatonął na Morzu Północnym, na pozycji umiejscowionej około 120 mil morskich na wschód od szkockiego portu Rosyth – ówczesnej bazy polskich okrętów podwodnych. Śmiertelny atak przeprowadzony 3 czerwca 1940 r. przez brytyjski samolot Lockheed Hudson miał nastąpić w wyniku błędnej identyfikacji okrętu podwodnego, który został uznany za niemieckiego U-boota. Członkowie ekspedycji przebadali około 1350 kilometrów kwadratowych dna morskiego w pobliżu miejsca ataku lotniczego, uwzględniając akwen już wcześniej przeszukany podczas zorganizowanych przez siebie ekspedycji, obejmujący obszar dna wyznaczony z uwzględnieniem błędów nawigacyjnych, jaki mogła popełnić w 1940 r. załoga samolotu przy ustalaniu wspomnianej pozycji.

Bitwa pod Krzykawką

W starciu tym 5 maja 1863 r. zginął włoski pułkownik w polskiej służbie Francesco Nullo. Był jednym z wielu cudzoziemskich ochotników biorących udział w powstaniu styczniowym. Śmierć na polu bitwy zapewniła mu miejsce w pamięci lokalnej społeczności, a on sam stał się symbolem przyjaźni polsko-włoskiej.

ANDRZEJ ŁYDKA

Najdłuższe i najkrwawsze polskie powstanie XIX w. rozpoczęło się 22 stycznia 1863 r. Źródła rosyjskie wymieniają 688 potyczek, a polskie 930. Szacowano, że czynny udział w zrywie wzięło ok. 50 tys. ochotników. Jak na liczące 5 mln ludności Królestwo Polskie to niewiele. Powstanie wsparli również cudzoziemscy ochotnicy. Jednym z nich był garibaldczyk płk Francesco Nullo.

Niespokojny duch

Francesco Nullo był wyjątkowo niespokojnym duchem. Dbał przy tym o swój *image*. Nosił wypiełgnowane i sięgające aż do uszu wąsy. Podczas Wiosny Ludów w 1848 r. walczył w Mediolanie i dosłużył się stopnia chorążego. Rok później bronił Rzymu, dowodząc Lansjerami Śmierci. W 1860 r. należał do „tysiąca czerwonych koszul” Giuseppe Garibaldiego. Sam przeprowadził mu 200 ochotników z rodzinnego Bergamo. Wtedy poznał innego garibaldczyka Mariana Langiewicza, wykładowcę Polskiej Szkoły Wojskowej w Cuneo. Podczas wyprawy Garibaldiego na Sycylię wstawił się samotną szarżą na barykadę w Palermo. Rok później maszerował na Rzym, lecz w drodze został wzięty do niewoli. Po wypuszczeniu powrócił do Bergamo. W styczniu 1863 r. na wieść o wybuchu powstania w zaborze

rosyjskim postanowił ruszyć z posiłkami dla Langiewicza walczącego w Małopolsce. Na punkt zborny ochotników z Włoch wyznaczył Kraków, a termin zbiórki na 1 maja 1863 r. Niestety większość ochotników wyłapali Austriacy, pamiętający Magentę i Solferino, i odesłali do Włoch.

Nullo zgolił charakterystyczne wąsy i dzięki temu udało mu się dotrzeć do Krakowa, gdzie sformował Legię Cudzoziemską zwaną czasami Legionem. W jej skład weszło 16 Włochów, siedmiu Francuzów, ośmiu Polaków i jeden Inflantczyk. Tymczasowy Rząd Narodowy mianował go generałem, ale tego awansu nie przyjął. Stopień generalski dla Francesco Nullo potwierdziła w 1919 r. Komisja Weryfikacyjna dla Weteranów z 1863 r.

Młody pułkownik Miniewski

Józef Miniewski był jednym z lepiej wyszkolonych oficerów powstańczych. Ukończył Niżańską Szkołę Inżynierii oraz Akademię Inżynierii Wojskowej w Petersburgu. Ponieważ był członkiem spiskowego Koła Oficerów Polskich, to uznano go za rewolucjonistę. Z tego powodu w 1861 r. złożył dymisję.

W styczniu 1863 r. na początek powstania był szeregowcem ochotnikiem w oddziale Józefa Śmiechowskiego, później rotmistrzem. Pod Małogoszczą 2 lutego został kontuzjowany. W kwietniu, kiedy formował swój oddział w Krakowie, występował już w stopniu pułkownika.

FOT. POLONA.PL (2)



Plk. Francesco Nullo



Z ODDZIAŁU ŻUAWÓW ROCHEBRUNA.
Wierzbicki żołnierz... Cywiński chorąży... Czaderski kapitan.

W powstańczej armii było wielu młodych pułkowników; Miniewski urodził się w 1841 r.

Formowanie w Krakowie

Oddział, który sformował Miniewski, liczył razem z Legią Cudzoziemską płk. Nullo i żuawami mjr. Stanisława Lesińskiego, ok. 500 żołnierzy. Nazywany był Korpusem Mazowieckim. Powstańcy byli dobrze uzbrojeni. Mieli ok. 500 nowoczesnych belgijskich sztucerów. Zakłady Zieleniewskiego w Krakowie wyprodukowały dla oddziału dwie armaty polowe, które jednak trafiły do gen. Ludwika Mierosławskiego. Pieniądze na formowanie oddziału wyłożył Adam Józef hr. Potocki z Krzeszowic. Dzięki temu powstańcy nie musieli ciągnąć za sobą wozów taborowych, bo za wszystko płacili gotówką. Kwatermistrzostwo dobrze umundurowało oddział, dostarczyło również czerwone „garibaldzkie” koszule dla legionistów Nulla. Jednak większość oddziału stanowili nieostrzelani i niewyszkoleni ochotnicy.

Potyczka w Podlesiu

Maszerujący z Krakowa oddział Miniewskiego zajął 4 maja 1863 r. pozycje pod Podlesiem (obecnie dzielnica Bukowna). O godz. 8.30 ubezpieczenia oddziału zatrzymały i odrzuciły rosyjską jazdę. Miniewski cofnął oddział do lasu, gdzie zajął pozycję na wzgórzach. Wysłał następnie na rekonesans dwa plutony żuawów dowodzone przez kpt. Wierzbickiego. Rosjanie zaczęli zbliżać się do pozycji powstańców. Od czoła nacierała piechota, a na skrzydłach Kozacy. Od godz. 14 do godz. 17 trwał pojedynek ogniowy. Legioniści Nulla byli w odwodzie. O zwycięstwie powstańców zdecydowały kilkukrotne ataki na bagnety żuawów śmierci dowodzonych przez mjr. Lesińskiego. Rosjanie uszli w kierunku Olkusa, pozostawiając ciała 10 zabitych. Ciała ok. 50 zabitych i rannych zdołali zabrać ze sobą. Powstańcze straty od rosyjskiego ognia to kilkunastu zabitych i rannych. Pewna liczba nieostrzelanych jeszcze powstańców opuściła kolegów i powróciła do Krakowa. Oddział okrzepł. Po tym starciu Miniewski nocnym marszem doprowadził oddział pod Krzykawkę i o godz. 5 rano na polanie rozbił obozowisko.

Bitwa pod Krzykawką

Godzinę później pod polanę podeszła od strony Olkusa kolumna piechoty rosyjskiej z korpusu gen. kniazia Aleksandra Szachowskiego. Podobno Rosjanie dowiedzieli się o marszu powstańców od miejscowego chłopca zdrajcy. Miniewski sformował linię obrony, której podstawą był wał ziemny z kompanią strzelców na prawym skrzydle, Legionem pośrodku i żuawami na lewym skrzydle. Powstańcy odparli pierwszy atak i wywiązała się trwająca prawie 6 godzin wymiana ognia. Kiedy płk Nullo objeżdżał konno wał ziemny, wzywając do ataku, jego koń został trafiony. Koń,

upadając, pociągnął jeźdźca za sobą. Nullo zdążył jeszcze zeskoczyć, ale trafiła go kula i zachwiał się. Do pułkownika podbiegł Giuseppe Clerici i żuaw Julian Pikuziński, ranny pod Podlesiem. Podtrzymali go, lecz wtedy druga kula trafiła w rękę żuawa, przeszła pas od szabli i trafiła pułkownika w serce. Skonał na rękach adiutanta Ludwika Caroli. Sprawcą śmierci Nulla był kozak, który niezauważony podczołgał się rowem i z niewielkiej odległości strzelił do niego.

Po śmierci Nulla w szeregi powstańcze wkradły się płocho i panika. Miniewski zarządził odwrót w stronę Błędowa. Powstańcy wycofywali się w kierunku rzeki Białej. Podczas przeprawy przez nią wielu z nich utonęło. Rosjanie wzięli tam 31 jeńców, w tym dziewięciu Włochów i pięciu Francuzów. Z raportu kniazia Szachowskiego wynika, że: „Szajka, która przeszła granicę około Poręby, w liczbie 600 ludzi, ścigana 23 kwietnia (tj. 5 maja) około Sławkowa w lesie Królikowskim (Krzykawieckim) rozbita i rozproszona, porzuciwszy broń i dobytek. Zabity Nullo, wzięto do niewoli 31 ludzi, pomiędzy nimi 14 Francuzów i Włochów. Po naszej stronie 2 zabitych i 2 raniono”¹. Wziętych do niewoli obcokrajowców skazano na śmierć. Po ulaskawieniu zamieniono im karę śmierci na kłunastoletnią katorgę na Syberii. Nie wszyscy doczekali amnestii w 1866 r.

Pogrzeb z honorami wojskowymi

Kniaz Aleksander Szachowski zdecydował, że trzech powstańców: płk Francesco Nullo, Władysław Romer i nieznany z nazwiska Julian zostaną pochowani z honorami wojskowymi na olkuskim cmentarzu. „Dnia 7 maja o godz. 8.00 rano odbył się pogrzeb bohaterów. Na czele orszaku niósł ubogi starzec krzyż. Przed krzyżem jechał oddział konnicy rosyjskiej, następnie za krzyżem szli księża Józef Ćwikliński – proboszcz, ks. Władysław Kuczyński – wikary i organista Józef Nowakowski. Za nimi na trzech wozach wieziono trumny z poległymi. Jeden z Polaków zwał się Władysław Romer. Za trumnami kroczył oddział piechoty, a dalej wielkie tłumy ludu, którego na cmentarz nie wpuszczono. Po modłach kapłańskich, rozległy się trzy salwy karabinowe i obrońca wolności, Włoch Nullo, leży w polskiej ziemi na wieki”².

Grób pułkownika Nullo

W 1908 r. grupa mieszkańców Olkusa postanowiła postawić na mogile powstańczej nagrobek w kształcie strzaskanego pnia dębu. Przejawy kultu powstania styczniowego drażniły Rosjan, dlatego postanowiono postawić pomnik jednej nocy. Stawianie pomnika włoskiemu oficerowi, który poległ, walcząc razem z powstańcami przeciwko caratowi, musiało zostać wzięte za antycarską patriotyczną demonstrację. Dokładnie zaplanowaną akcję zrealizowano. Aby odwrócić uwagę carskiej policji i urzędników, powiatowy lekarz dr Stefan Buchowiecki zaprosił, pod pre-



Jedna z bitew powstania styczniowego

tekstem swoich imienin, wszystkich Rosjan pełniących urzędy w Olskuszu na solidnie zakrapiany bankiet do swojej willi. Kilka dni wcześniej pomnik, uprzednio wykonany na zamówienie w zakładzie kamieniarskim w Dąbrowie Górniczej, przetransportowano pociągiem do Olskusza, gdzie czekał na wyładunek. Tego wieczoru przewieziono go wozem zaprzężonym w silne perszerony z dworca kolejowego na odległy o kilkaset metrów cmentarz. Przygotowana grupa murarzy i pomocników w ciągu kilku godzin wybudowała fundamenty, ustawiła cokół i pomnik oraz tablicę. Rano wszystko już było posprzątane,

a pomnik obłożony świeżą darnią. Potem czekano na reakcję Rosjan. Dopiero po kilku dniach rosyjski naczelnik powiatu w wąskim gronie skwitował to wydarzenie słowami:

„Żałuję, że byłem w podróży służbowej, kiedy naszemu miastu przybył piękny nabytek w postaci pamiątki Nullo”³. Był to chyba pierwszy pomnik upamiętniający powstańca styczniowego postawiony pod zaborem rosyjskim. Nie trzeba dodawać, że stał się najbardziej rozpoznawalną mogiłą na tym cmentarzu.

W obecności pododdziału Legionów Polskich 20 stycznia 1915 r. dokonano poświęcenia pomnika nagrobnego. Jak donosiła ówczesna prasa: „Bohaterski pułkownik pół wieku czekać musiał na poświęce-

nie swego nagrobka. Czekał długo – lecz czekanie to sobie zostało mu nagrodzone: nie płaczki bowiem, nie orszak żałobny towarzyszył aktowi poświęcenia; kapelan wojskowy polski dokonał ceremoniału, a żołnierze powstańcy, dzieci duchowe z tych, z których był Nullo – salwami z karabinów hołd mu złożyli”⁴.

Spadkobiercy imienia

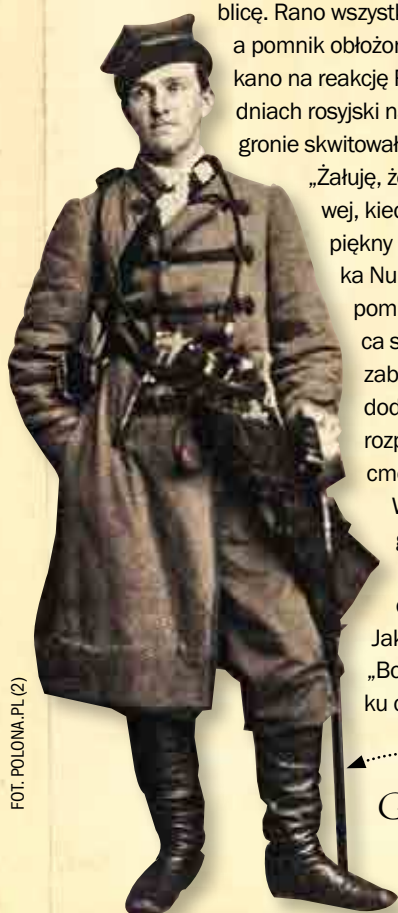
W ostatnich dniach grudnia 1918 r. we włoskim obozie wojskowym La Mandria Di Chivasso sformowano pułk polski im. płk. Francesco Nullo z Polaków – byłych jeńców austriackich. Rok później 29 stycznia pułk otrzymał sztandar ufundowany przez mieszkańców Bergamo. Razem z innymi pułkami formowanymi we Włoszech został przetransportowany do Francji, gdzie po reorganizacji w ramach armii gen. Józefa Hallera wszedł w skład 3 Dywizji Strzelców Polskich jako 8 Pułk Strzelców Polskich im. płk. Francesco Nullo. Po powrocie do kraju otrzymał nazwę 50 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych im. płk. Francesco Nullo. Walczył w wojnie polsko-sowieckiej, a po jej zakończeniu stacjonował w Kowlu. Przestał istnieć jako zwarta jednostka 3 września 1939 r. po zaciętych walkach w Borach Tucholskich. Odtworzono go w styczniu 1944 r. w ramach akcji „Burza”. Dowodzony przez mjr. Jana Szatowskiego „Kowala” brał udział we wszystkich walkach toczonych przez 27 Dywizję Piechoty Armii Krajowej. Pięćsetkilometrowy szlak bojowy zakończył 25 lipca 1944 r. podstępnie rozbrojony przez Sowietów pod Skrobowem. Dekretem z 11 listopada 1968 r., na wniosek Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari, 50 Pułkowi Piechoty im. Francesco Nullo Armii Krajowej nadano Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Drugim oddziałem, którego nazwa upamiętniała płk. Nullo, był sformowany 11 listopada 1918 r. w Olskuszu z członków Polskiej Organizacji Wojskowej oraz młodzieży gimnazjalnej V batalion strzelców olskuskich „Odsiecz Lwowa” im. płk. Fr. Nullo. Podczas wojny polsko-ukraińskiej, 5 maja 1919 r., w rocznicę śmierci płk. Nullo, wszedł w skład 9 Pułku Piechoty Legionów jako jego III batalion.

Imię płk. Francesco Nullo noszą od 1963 r. Szkoła Podstawowa nr 4 w Olskuszu, a od 1993 r. Szkoła Podstawowa w Krzykawce. Przy grobie pułkownika na Starym Cmentarzu odbywa się większość uroczystości patriotyczno-religijnych upamiętniających wydarzenia z bogatej historii ziemi olskuskiej. Pamięć trwa.

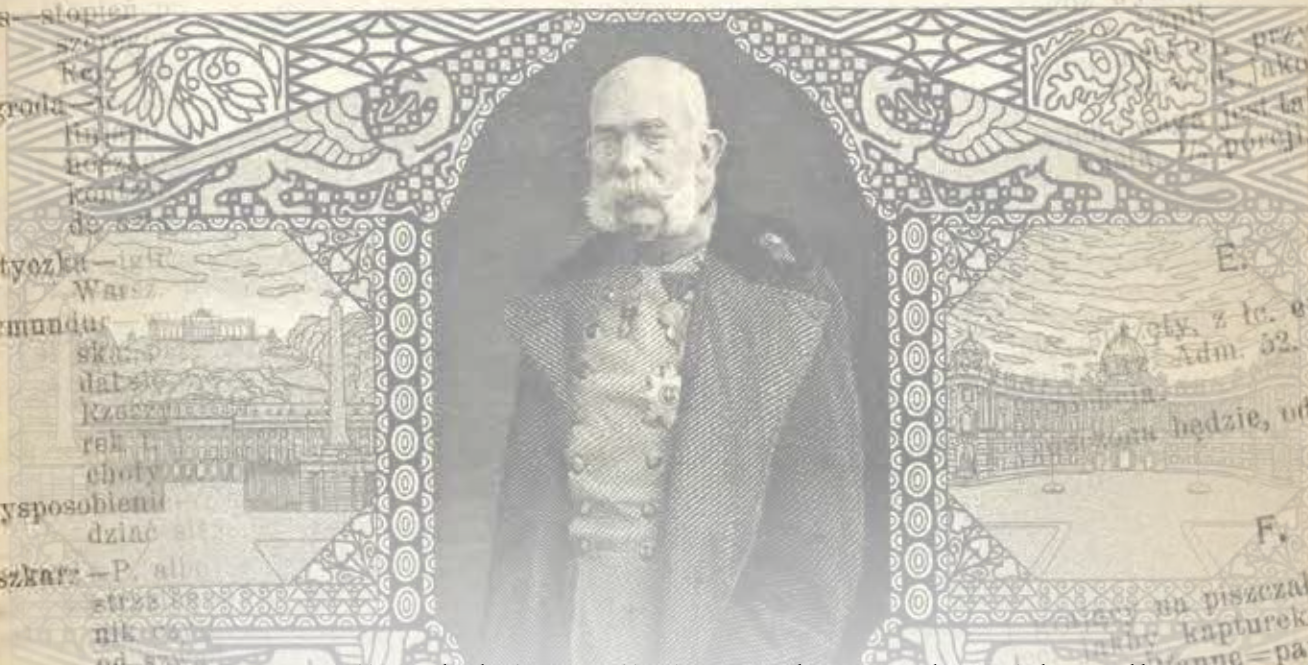
ANDRZEJ ŁYDKA, podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i w jednostkach logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu polska-zbrojna.pl.

¹ Żurnal wojennych dziejstw, 1863, nr 20, s. 5, cyt. za J. Liszka, *Pamięć Powstania Styczniowego 1863 na ziemi olskuskiej*, Bukowno 1996, s. 42. ² J. Wiśniewski, *Histeryczny opis kościołów, miast, zabytków w Olskusiu, Marjówka Opoczyńska 1935*, s. 203-204. ³ J. Liszka, *Pamięć Powstania Styczniowego 1863 na ziemi olskuskiej*, Bukowno 1996, s. 271. ⁴ *Wiadomości polskie*, 1915, nr 14-15, s. 10-11.



Plk Józef Miniewski

Asenterować, narukować i fasować



W armii prababci Austrii nie powoływano do wojska, tylko asenterowano. Żołnierz nie szedł do wojska, tylko narukował do regimentu, czyli pułku. W regimencie pobierał z magazynu, czyli fasował mundur i kupkę – pas.

ANDRZEJ ŁYDKA

W terminologii wojskowej c. i k. armia stworzyła coś w rodzaju wojskowego esperanta zwanego *Armeeslawisch*, czyli specjalnego żargonu będącego dziwnym zlepkim wyrazów niemieckich, czeskich, polskich, słowackich, rusińskich, węgierskich i rumuńskich. Był on niezbędny do porozumiewania się niemieckiej kadry oficerskiej z wielonarodowym *Mannschaftem* służącym w c. i k. armii. Ten *Armeeslawisch* przeniknął również do Legionów Polskich. Ale wydawane jeszcze przed wybuchem wojny regulaminy i instrukcje dla Związku Strzeleckiego, dzięki merytorycznemu wsparciu dr. Mariana Kukiela

i prof. Wacława Tokarza z Uniwersytetu Jagiellońskiego, przeniosły w XX w. polską terminologię wojskową jeszcze z czasów Armii Królestwa Polskiego lat 1815–1831. Oczywiście w technice wojskowej i sztuce wojennej dokonał się znaczny postęp od czasów powstania listopadowego.

Polska terminologia wojskowa pełna jest zapożyczeń, np. karabin maszynowy pochodzi od niemieckiego *Das Maschinengewehr*. W latach trzydziestych XX w. próbowano spolszczać niektóre wyrazy. Płk Adam Sawczyński zaproponował, aby „karabin maszynowy” zastąpić bardziej polskim „samopalmem”, ale nowa nazwa nie uzyskała akceptacji i się nie przyjęła.

FOT. ZBIORY ANDRZEJA WITKOWSKIEGO



Msza św. w katedrze św. Jana
w Warszawie przed pogrzebem
Niezanego Żołnierza, 1925 r.

Pogrzeby wojskowe

Przez wieki kształtował się ceremoniał związany zarówno z pożegnaniem bohatera, obrońcy, współtowarzysza broni, jak i z oddaniem szacunku przeciwnikowi walczącemu dzielnie i z honorem.

MARIUSZ KUBAREK

Od początku istnienia armii śmierć żołnierza była czymś szczególnym. Nie tylko dlatego że wypełniając swój obowiązek osiągała go z dala od domu, bliskich i rodziny, ale dlatego że oddawał życie w imię wyższej wartości – w imię ojczyzny. I choć prawie na całym świecie uroczysty pogrzeb żołnierza łączy wiele cech wspólnych, jak m.in. oddanie salwy nad grobem, postępek honorowy przy trumnie, to każdy kraj stworzył własny rytuał związany z tradycją narodową i zwyczajami.

W Polsce najbardziej znanymi i bogato rozbudowanymi ceremonialnie pogrzebami wojskowych były uroczystości złożenia do grobu Niezanego Żołnierza

w 1925 r. oraz marszałka Józefa Piłsudskiego w 1936 r. Te dwie ceremonie z okresu dwudziestolecia międzywojennego wpłynęły na obecny ceremoniał wojskowy i do dziś są traktowane jako wzorce opracowywanych scenariuszy i rozwiązań.

Tryzna i pochówek na polu bitwy

We wczesnośredniowiecznej Polsce wojowników chowano według zwyczajów pogańskich. Ceremonia tryzny polegała na spaleniu zwłok i złożeniu urny do grobu wykopanego przy drodze, w polu albo w lesie. Zwyczaj ten praktykowany był do czasów Bolesława Chrobrego. Razem z ciałem grzebano przedmioty, które mogły się zmar- ▶



Uroczystości pogrzebowe marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Kondukt pogrzebowy na Krakowskim Przedmieściu.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)



Uroczystości pogrzebowe marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Wyprowadzenie trumny z katedry św. Jana, widoczny m.in. minister Marian Zyndram Kościałkowski (pierwszy z lewej niosący trumnę).

Uroczystości pogrzebowe marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Eksportacja zwłok Józefa Piłsudskiego z Belwedru do katedry św. Jana.

łemu przydać w zaświatach. Urządzano także igrzyska na jego cześć. Brali w nich udział najlepsi wojowie, którzy swymi zmaganiem oddawali cześć poległemu towarzyszowi.

Później poległych chowano na polu bitwy. W przypadku dużych bitew grzebano ich w miejscu, gdzie spotkała ich śmierć, rzadziej we wspólnych mogiłach, którymi mogły być kurhany ziemne lub doły grzebalne. By zebrać ciała poległych i dokonać pochówków, zawierano krótkie rozejmy. Tak pogrzebani wojownicy pozostawali na zawsze bezimiennymi uczestnikami walk. Do miejsc rodzinnych przewożono tylko ciała władców i znamienitszych rycerzy, później na szczególny i indywidualny pochówek mogli liczyć tylko dowódcy i oficerowie. Działo się tak przez całe stulecia, również w okresie powstań narodowych.

Żołnierzy insurekcji kościuszkowskiej grzebano na polach bitew pod Raclawicami, Szczekocinami i Maciejowicami w zbiorowych mogiłach powstałych zaraz po

bitwie. Podczas powstania styczniowego, gdy była taka możliwość, poległych chowali towarzysze broni i odbywały się krótkie egzekwie pogrzebowe. Jeszcze wówczas dowódców i oficerów grzebano w poświęconej ziemi z zachowaniem odrębnych mogił i z większymi honorami niż szeregowych.

Cmentarze wojskowe i wojenne – udział asysty wojskowej

Ujednolicony wojskowy ceremoniał pogrzebowy, bliski współczesnemu, zaczął powstawać dopiero na początku XX w. wraz z tworzeniem cmentarzy wojskowych i wojennych. Jednym z pierwszych dokumentów w formacjach polskich normujących udział asysty w pogrzebach był *Regulamin wewnętrzny. Służby szczególne. Oddawanie honorów. Uroczystości*, wydany nakładem Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego w maju 1916 r. w Piotrkowie (Rozdział VIII §44 Porządek w cza-

sie pogrzebów). Dokument ten normował wielkość składu asysty w zależności od rangi osoby chowanej i wyszczególniał, komu pogrzeb wojskowy się należy. Uwzględniono wszystkich żołnierzy służby czynnej, ale już w przypadku byłych żołnierzy wymieniono tylko inwalidów wojennych i oficerów.

Regulamin przewidywał, że wszyscy oficerowie tworzący kondukt mają być przepasani szarfą z krepy z prawego ramienia na stronę lewą, pozostali uczestniczący mają tylko opaskę z krepy na lewym ramieniu. Na trumnie okrytej czarnym materiałem układano pas oficerski lub ładownicę, czapkę i broń boczną wyjętą z pochwy złożoną na krzyż i owiniętą wstęgą z krepy. Ustalony był też szyk konduktu. Na czele szedł komendant konduktu z połową obecnego wojska, a za nimi orkiestra. Później podążał żołnierz z krzyżem, duchowieństwo, następnie karawan ze zwłokami w szpalerze żołnierzy, za trumną rodzina, przybyli żałobnicy i na końcu pozostali żołnierze. Salwa honorowa – o ile było to możliwe – oddawana była z dział armatniego. Dla ministra wojny, marszałka i szefa Sztabu Generalnego – 24 wystrzały, generała zbrojnego – 8, a marszałka polnego – 4. W pozostałych przypadkach 1 wystrzał. Kiedy nie można było wystawić dział, pluton strzelał jedną salwą z karabinów.

W dokumencie przewidziano, że „na pogrzebach generałów, powinien przed krewnymi za karawanem iść rycerz w pancerzu z dobytym mieczem w dłoni, przed duchowieństwem zaś koń okryty czarną materą”. W okresie tym nie wystawiano posterunków honorowych przy zmarłym, szpaler towarzyszący trumnie tworzyli zaś wyłącznie podoficerowie i szeregowi.

W niepodległej Polsce

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości prawdopodobnie oficjalnie nie wydano żadnego dokumentu opisującego ceremonie pogrzebowe. Stosowano jednak, wydany w formie projektu, *Regulamin służby wewnętrznej*. Część X. *Uroczystości, obchody i przyjęcia* z 1919 r. Choć dokument nie był oficjalnie wprowadzony, korzystano z niego i powoływano się na niego jeszcze w 1941 r. w *Regulaminie służby wewnętrznej*, część IX, wydanym w Wielkiej Brytanii, gdzie zapisano: „pkt 31. Oddawanie honorów przez warty podaje część VII, a podczas pogrzebów wojskowych część X *Regulaminu służby wewnętrznej*”. O wadze dokumentu niech świadczy to, że korzystano z niego przy organizacji najważniejszych pogrzebów i uroczystości w dwudziestolecu międzywojennym.

W rozdziale C *Honory wojskowe przy pogrzebach*, w 24 punktach opisano zasady organizacji i przebieg pogrzebów wojskowych. Podobnie jak w poprzednim dokumencie honory wojskowe należały się wszystkim żołnierzom w służbie czynnej oraz oficerom i inwalidom

wojennym w stanie spoczynku. Dodatkowo uwzględniał wszystkich odznaczonych krzyżem *Virtuti Militari*. Bardzo szczegółowo określony był skład asysty:

„dla generała broni (admirała) i szefa sztabu generalnego: 2 bataliony piechoty z chorągwią, 3 szwadrony ze sztandarem, 2 baterie po 4 działa. Szpaler tworzą: 1 oficer, 8 starszych podoficerów, do niesienia trumny 6 szeregowców i szeregowiec do niesienia krzyża. [...] Te kondukt prowadzi generał równy stopniem lub o stopień niższy od zmarłego”;

„dla dowódcy pułku wszystkie oddziały pułku z chorągwią (sztandarem) znajdujące się w miejscu zgonu lub pogrzebu”;

„dla kapitana piechoty jedna kompania artylerji, jedna bateria z 4 dział, dla rotmistrza jeden szwadron”;

„dla szeregowych jeden pluton piechoty, jazdy względnie artylerji. Szpaler: 1 niższy podoficer, 4 szeregowców, 6 szeregowców do niesienia trumny, jeden szeregowy do niesienia krzyża. [...] Kondukt szeregowców i starszych szeregowców prowadzi kapral”.

W *Regulaminie* opisano ubiór, którym jest mundur paradny lub garnizonowy z czarną opaską na lewym ramieniu. Wskazano, że „chorągwie i sztandary owijają się krepą żałobną, bębny okrywa się czarnym sukrem, trąbki sygnałowe zaopatruje się w tłumiki i owijają krepą”. Nie zmieniło się nic w przepisach w dziedzinie przybrania trumny, natomiast pojawiły się posterunki honorowe. „Przy zwłokach Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych wystawia się dwa honorowe posterunki oficerskie z dobytą szablą, przy zwłokach innych osób wojskowych [...]. 2 honorowe posterunki podoficerskie, z bronią u nogi, względnie z dobytą szablą. Posterunki te stoją u podnóża trumny (katafalku) i nie oddają honorów. [...] Jeżeli zwłoki leżą w kościele, honorowe posterunki wystawia się tylko Naczelnemu Wodzowi”.

Pogrzeby cywilne

Pierwszy raz pojawia się również zapis, że minister spraw wojskowych może podjąć decyzję o udziale wojska w pogrzebie osób cywilnych szczególnie zasłużonych dla wojskowości.

Porządkowe znaczenie miał zapis dotyczący salwy honorowej. Jedną salwę oddawano przy pogrzebach oficerów liniowych w stanie spoczynku, inwalidach wojennych i oficerach liniowych służby czynnej, którzy nie brali udziału w walkach. W pozostałych przypadkach strzelano trzykrotnie. „Artylerja oddaje salwę honorową jednym wystrzałem z każdego działu. W razie gdy na pogrzebie osób wymienionych w p. 23 lit. A [Wódz Naczelny, Minister Spraw Wojskowych – MK] wyrusza więcej jak 24 dział to daje się salwę honorową tylko z 4 dział”.

Założenia regulaminu z 1919 r. były stosowane do większości oprawy wojskowej pogrzebów okresu między-

wojennego. Był też wyjątek. Zgodnie z pkt. 32 Ceremoniał przy pogrzebie Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza czy udział wojska w nim będzie określony specjalnymi rozkazami. Z tej możliwości – choć nie dotyczyła wymienionych w przepisie osób – korzystano wielokrotnie, m.in. od 29 października do 2 listopada 1925 r. na podstawie specjalnego rozkazu odbywały się uroczystości związane ze sprowadzeniem z Lwowa do Warszawy i pochowaniem w arkadach Pałacu Saskiego szczątków Nieznanego Żołnierza. Ceremonia tego przedsięwzięcia wykraczała poza wszelkie ramy regulaminów. Bezimiennego bohatera potraktowano w sposób wyjątkowy. Były oficerskie warty w Bazylice we Lwowie i Archikatedrze w Warszawie. Trumnę okryto szkarłatnym całunem z wizerunkiem Orła Białego. Niesiona była przez bohaterów wojennych – kawalerów Orderu Wojskowego Virtuti Militari. Podczas składania ciała do grobu na pl. Saskim artyleria oddała 24 salwy armatnie.

Pogrzeby lotników Żwirki i Wigury oraz marszałka Piłsudskiego

Również podczas pogrzebu por. Franciszka Żwirki i inż. Stanisława Wigury 15 września 1935 r. zapisy regulaminu traktowano dość swobodnie. Trumnę pilota nieśli oficerowie, nie szeregowi. Obie okryto białoczerwonymi flagami, nie czarnym materiałem, a złożone były na kadłubach samolotów ciągniętych przez zaprzęgi konne.

Pogrzeb marszałka Józefa Piłsudskiego był przygotowywany z ogromnym rozmachem. Uroczystości trwały od 13 do 18 maja 1935 r. Zaraz po ustąpieniu w Belwederze trumny z ciałem Marszałka na katafalku, okrytym szkarłatnym płótnem z Orłem Białym, wystawiono wartę honorową, którą pełniło czterech oficerów, dwóch podoficerów i dwóch szeregowych. Po mszy w katedrze św. Jana trumnę przewieziono na Pole Mokotowskie, gdzie odbyła się wielka defilada, po której generałowie przenieśli ją na lawetę umieszczoną na wagonie kolejowym stojącym na specjalnie wybudowanych torach. Generałowie przeciągnęli wagon sznurami do stojącej w pobliżu lokomotywy. W kondukcje pogrzebowej podążającym ulicami Krakowa, oprócz doboszy i orkiestry, szły poczty sztandarowe wszystkich pułków Wojska Polskiego i 16 Pułku Piechoty z Rumunii, niesiono wieńce żałobne i odznaczenia, potem szło duchowieństwo. Przed lawetą prowadzono

konie Piłsudskiego okrytego kirem, podążali też weterani powstania styczniowego i żołnierze I Kompanii Kadrowej. Trumna marszałka przykryta była chorągwią Rzeczypospolitej. Złożenie ciała w katedrze wawelskiej oznajmiło 101 wystrzałów armatnich.

Podczas pogrzebu Stefana Żeromskiego 23 listopada 1925 r., który był wielką manifestacją narodową, wojsko oddało hołd wielkiemu pisarzowi wystawiając kompanię honorową na dziedzińcu Zamku Królewskiego, skąd była wynoszona trumna, zaś sam pogrzeb odbył się bez wojska.

W (L)WP

Wraz z tworzeniem się w okresie II wojny światowej ludowego Wojska Polskiego powstawał nowy ceremoniał pogrzebowy. Na czele konduktu pogrzebowego maszerowała kompania honorowa z orkiestrą, za nią delegacje z wieńcami i kapelan. Trumnę przykrywała biało-czerwona flaga, a z chwilą opuszczania jej do grobu strzelana była trzykrotna salwa honorowa. Szczególną oprawę nadawano pogrzebom po wojnie, zwłaszcza wtedy, gdy chowano żołnierzy poległych w walce z podziemiem niepodległościowym.

W okresie powojennym ceremoniał pogrzebów z udziałem wojskowej asysty honorowej nie ulegał znaczącym zmianom. W odróżnieniu od lat wcześniejszych zaczęto natomiast angażować wojsko jako ozdobnik pogrzebów działaczy partyjnych i osób cywilnych zasłużonych władzy, takich jak: przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki, działacz ruchu ludowego Stefan Dybowski. Wojskowy charakter pogrzebu i udział w nim żołnierzy nadawał dodatkowego uroczystego charakteru i podkreślał zasługi dla państwa.

ASYSTA WOJSKOWA

Wojsko wystawiło kompanię honorową na dziedzińcu Zamku Królewskiego podczas pogrzebu Stefana Żeromskiego w 1925 r. Pogrzeb odbył się już bez wojska.



FOT. POLONA.PL

Obecny stan prawny

Obecnie dokumentami regulującymi zasady przydziału asysty i przebieg pogrzebu z udziałem wojska jest: *Obwieszczenie Ministra Obrony Narodowej z dnia 18 czerwca 2013 r. w sprawie ogłoszenia jednolitego tekstu rozporządzenia Ministra Obrony Narodowej w sprawie utworzenia, przekształcenia i zniesienia garnizonów oraz określenia zadań, siedzib i terytorialnego zasięgu właściwości ich dowódców* (DzU 2013, poz. 1118), które określa odpowiedzialność terytorialną dowódców garnizonów przy przydzielaniu asysty oraz Ceremoniał Wojskowy – załącznik do decyzji



Pogrzeb serca Józefa Piłsudskiego w Wilnie. Kondukt pogrzebowy na ul. Wielkiej. Na lawecie pod sztandarem trumna ze zwłokami matki Marszałka Marii z Billewiczów Piłsudskiej.



Pogrzeb mjr. Stefana Rago poległego podczas zajmowania okręgu Jaworzyny. Wyniesienie trumny z kościoła garnizonowego po nabożeństwie.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

nr 392/MON Ministra Obrony Narodowej z dnia 30 września 2014 r. (poz. 317), zawierający opis zasad udziału w uroczystości żołnierzy i przebieg pogrzebów.

Asystę honorową wyznacza się do ceremonii pogrzebowych zmarłych: członków najwyższych władz państwowych oraz innych osób zasłużonych dla państwa, dam i kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari i Orderu Krzyża Wojskowego, kombatanów i weteranów, uczestników walk o wolność i niepodległość Polski, kombatanów i weteranów misji wojskowych poza granicami państwa, żołnierzy w służbie czynnej, byłych żołnierzy zawodowych, szczególnie zasłużonych pracowników wojska. O udziale asysty dla osób szczególnie zasłużonych dla państwa decyduje minister obrony narodowej, w pozostałych przypadkach dowódca, do którego wpłynął wniosek.

Nie ma teraz określonej wielkości składu asysty honorowej. Może to być: kompania honorowa (pododdział honorowy z poczem sztandarowym lub pododdział bez pocztu sztandarowego), żołnierze wyznaczeni na posterunek honorowy, żołnierze do niesienia poduszek z odznakami orderów i odznaczeń, żołnierze do niesienia wieńców i wiązanek, żołnierze do posługi liturgicznej, orkiestra wojskowa, trębacz i werblista. Skład zależy głównie od możliwości danej jednostki. Paradoksalnie łatwiej wystawić pododdział 24 żołnierzy ze sztandarem w małym garnizonie, gdzie jest jedna jednostka, ale też pogrzeby zdarzają się rzadko, niż w dużym garnizonie jak Warszawa, gdzie pogrzeby są trzy-cztery razy dziennie na różnych cmentarzach, skład asysty jest więc dużo skromniejszy. Podobnie jak w poprzednich okresach historycznych trumny osób szczególnie zasłużonych i żołnierzy poległych w czasie za-

dań służbowych przykrywa się flagą. Elementem nowym dla współczesnych ceremonii jest składanie jej po pogrzebie i przekazywanie rodzinie. Zwyczaj ten wprowadzono na wzór armii Stanów Zjednoczonych wraz z pracami nad nowelizacją Ceremoniału Wojskowego w 2009 r. Zgodnie z przepisami flaga po zdjęciu z trumny i złożeniu jej przekazywana jest rodzinie tylko w przypadku pogrzebu żołnierza poległego w czasie wykonywania obowiązków służbowych.

Pomimo tego, że dzisiejszy Ceremoniał Wojskowy jest w przeciwieństwie do przepisów międzywojennych dokumentem obowiązującym, to nadal nie przewiduje wszystkich możliwych rozwiązań i podobnie jak w II Rzeczypospolitej wymaga czasami dość swobodnej interpretacji jego zapisów. Tak było podczas pogrzebów po tragedii smoleńskiej, gdy opracowywano scenariusze ceremonii dla pary prezydenckiej i dowódców rodzajów sił zbrojnych. Dzieje się tak też przy pogrzebach Żołnierzy Niezłomnych, których szczątki odnajdywane są po latach, jak miało to miejsce w przypadkach pptk. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” i Danuty Siedzikówny „Inki”.

Polska tradycja prowadzenia uroczystości pogrzebowych z udziałem wojskowej asysty honorowej – kształtowana głównie w okresie międzywojennym – w ciągu lat zyskała indywidualne cechy narodowe. Obecnie nikt chyba nie może sobie wyobrazić pogrzebu wojskowego bez sygnału *Śpij Kolego* i salwy honorowej. Nawet przy obecności niewielu żołnierzy jest to uroczystość poruszająca, która w godny sposób pozwala pożegnać zmarłego.

MARIUSZ KUBAREK, pułkownik, szef Oddziału Protokołu Wojskowego

Chorągwie konfederatów barskich

Najpopularniejszym motywem umieszczanym na chorągwiach konfederackich były wizerunki Najświętszej Marii Panny.

JAROSŁAW PYCH

Chorągiew
z wyobrażeniem
aktu zawierzenia
konfederacji
Matce Boskiej



Konfederacja barska, uważana za pierwszy zryw niepodległościowy w długim ciągu powstań narodowych, obrosła przez kolejne stulecia legendą i symbolami, które do dziś stanowią kanon narodowej tradycji. W powszechnej świadomości Polaków zapisali się głównie bohaterowie tego zrywu opiewani w poezji. Znane są pieśni konfederatów, a za jeden z najważniejszych symboli utożsamianych z konfederacją uważa się ryngraf z wizerunkiem Matki Bożej.

Mniej znane, a dla żołnierza bodaj najważniejsze, są inne symbole – chorągwie konfederatów barskich – znaki, pod którymi toczyli boje i potyczki w obronie wolności i wiary katolickiej. Nie dziwi więc częste odwoływanie się do tradycji chrześcijańskich w symbolice chorągwi.

NMP i krzyż kawalerski

Jednym z motywów pojawiających się na chorągwiach konfederackich jest krzyż kawalerski nawiązujący do tradycji rycerskiej, bardzo często występujący na chorągwiach i proporcach husarskich. Pojawia on się na jednej z chorągwi, uzupełniony zmienioną dewizą orderu Orła Białego PRO FIDE LEGE ET PA[tria] (za wiarę prawo i ojczyznę). Wyraz „Rege” (za króla) z oryginalnej dewizy zamieniono na słowo „Patria” na skutek aktu detronizacji króla Stanisława Augusta, uchwalonego przez Radę Generalną Stanów Skonfederowanych Konfederacji Barskiej (Generalność) 13 października 1770 r.

Najpopularniejszym jednak motywem umieszczanym na chorągwiach konfederackich były wizerunki Najświętszej Marii Panny. Charakteryzo-

wały się one bardzo dużą różnorodnością wątków ikonograficznych. Popularne były zwłaszcza wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, ale zdarzały się także inne, czasem bardzo oryginalne motywy maryjne. Na jednej z zachowanych chorągwi wyobrażenie Marii Panny trzymającej serce gorejące w skrzyżowanych dłoniach namalowane jest na piersi białego orła na obu stronach płata. U góry po jednej stronie jest napis „Sub tuum Praesidium confugimus” (Pod twoją obronę uciekamy się), a na drugiej „Sub umbra alarum tuarum protege nos. Ps. XCI” (W cieniu skrzydeł swoich osłaniaj nas).

NMP i krzyż konfederatów, buława, akt konfederacji

Równie ciekawa jest chorągiew z wyobrażeniem nawiązującym do wizerunku krzyża konfederatów. Na obu stronach biało-czerwonego płata umieszczono czerwono-biały krzyż kawalerski. Na krzyżu z jednej strony jest malowany i aplikowany wizerunek Marii Panny z Dzieciątkiem, z koronami na głowach i atrybutami królewskimi – berłem w dłoni Marii i jabłkiem w dłoni Dzieciątka. Wzdłuż górnego boku chorągwi znajduje się napis MONSTRATE ESSE MATREM (Pokażać Matkę), a na ramionach krzyża dewiza PRO FIDE REGE ET LEGE (Za wiarę króla i prawo). Z drugiej strony płata na krzyżu kawalerskim jest wyobrażenie św. Józefa i fragmenty napisu ...JOSEPH ORA PRO NOBIS (...Józefie módl się za nami).

Chorągiew konfederatów z województwa podlaskiego na karmazynowo-niebieskim płacie z jednej strony umieszczony miała wizerunek Matki Boskiej w bogato zdobionej tarczy rokokowej, a na drugiej stronie w równie ozdobnych tarczach wizerunki Orła i Pogoni pod koroną oraz napis na wstędze PALATINATUS PODLACHIAE (województwo podlaskie).

Na innej chorągwi zachowały się szczątki wyobrażenia Marii Panny Niepokalanego Poczęcia na tle złocistych promieni.

Wśród zachowanych chorągwi konfederackich najciekawsza jest ta z wyobrażeniem aktu zawierzenia konfederacji Matce Boskiej. Ma ona bardzo rozbudowaną symbolikę na obu stronach płata. Na jednej stronie chorągwi u góry na tle namiotu znajduje się postać Marii Panny z piorunami w obu dłoniach. Przed nią klęczą dwie postacie w strojach polskich w asyście dwóch żołnierzy z chorągwią i piką. Postać z lewej strony podaje Matce Boskiej

buławę, w drugiej ręce trzyma szablę. Postać z prawej strony trzyma rozwinięty arkusz papieru, prawdopodobnie akt konfederacji z 29 lutego 1768 r. Poniżej widać oddziały konne wojska konfederackiego, a w głębi za namiotem scenę bitwy. Na drugiej stronie u góry scena zwycięstwa nad złymi mocami przedstawiająca Marię Pannę z gromami w uniesionej ku górze ręce i aniołami kłującymi zdzidami duchy ciemności. Poniżej widać wojska konfederackie i trzy symboliczne postacie – jedna leżąca, oparta rękoma na wielkiej księdze, druga stojąca z białą wstęgą i trzecia także stojąca z rozwiniętą kartką papieru. Symbolika całości jest dość łatwa do interpretacji, pomimo wielowątkowości i natłoku scen. Postacie wręczające Marii Pannie buławę i akt konfederacji to najprawdopodobniej marszałek związku wojskowego konfederacji barskiej Józef Pułaski i marszałek generalny konfederacji w Koronie Michał Hieronim Krasiński. Wręczana buława i akt konfederacji są tu symbolami oddania się w opiekę i duchowe przywództwo Marii Panny nad konfederacją. Zwycięstwo aniołów nad złymi duchami ma zaś symbolizować szlachetne pobudki i cele walki toczzonej przez konfederatów. Chorągiew ta jest jedyną o tak rozbudowanej warstwie ideowej, gdzie symbole religijne ściśle wiążą się ze świecką, militarną warstwą znaczeniową. Jest niemal kwintesencją celów, które stawiali sobie konfederaci. Śmiało można przypisać jej charakter propagandowy.

Niewiele dziś można powiedzieć o losach chorągwi konfederackich. W annałach historii nie znajdziemy informacji o tym, kto je wykonał i w jakich bitwach powiewały nad walczącymi oddziałami. A dane o ich dalszych dziejach są nader skąpe.

Jedna z chorągwi konfederackich przetrwała wszystkie burze dziejowe. Pozostawała w prywatnych rękach jako cenna relikwia. Potem trafiła do zbiorów muzealnych i od 1925 r. przechowywana jest w Muzeum Wojska Polskiego. Większość z zachowanych chorągwi konfederackich na wiele dziesięcioleci trafiła do Petersburga, skąd rewindykowano je w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Tylko jedna znalazła się tam jako łup wojenny, zdobyta przez Rosjan pod wsią Siedliszcz 9 maja 1768 r.

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylogicznego i Komisji Historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor licznych publikacji z dziedziny weksylogii i historii kolekcjonerstwa polskiego.



FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO

SZTANDAR w rękach wroga

Sztandary pułkowe, które przetrwały kampanię wrześniową, eksponowane są dzisiaj w muzeach. Zdjęcia wykonane przez niemieckiego fotografa pozwalają poszerzyć nieco wiedzę dotyczącą historii jednego z tych znaków, których losy są dotąd nieznane.

TOMASZ ZAWISTOWSKI

G en. bryg. Zygmunt Podhorski, jeden z najslawniejszych polskich kawalerzystów, tak zdefiniował sztandar pułkowy: „symbol majestatu Rzeczypospolitej, wierności służby Ojczyźnie i trwałości istnienia pułku. Sztandarom wojskowym oddaje się także honory, jak Przenajświętszemu Sakramentowi i Głowie Państwa. Pułk jako zwarty oddział spotyka i żegna sztandar hymnem narodowym i prezentowaniem broni. Wobec sztandaru każdy żołnierz przysięga na wierność Rzeczypospolitej i pułkowi. Po przysiędze całuje sztandar. Sztandar to widomy znak istnienia i trwania pułku. Na wojnie sztandar nie opuszcza walczących szeregów pułku, bierze on udział we wszystkich potrzebach i bojach pułku. Dopóki żołnierze są skupieni wokół swego sztandaru, dopóty pułk trwa. Pułk, którego sztandar dostał się do rąk wroga, przestaje istnieć i zostaje rozwiązany. Choćby garstka żołnierzy, skupiona wokół sztandaru, uważana jest za pułk nadal istniejący i mający prawo do uzupełnienia swoich przetrzebionych szeregów i odrodzenia się na nowo”¹.

Opis ten oddaje w sposób tradycyjny istotę roli sztandaru jako symbolu ciągłości istnienia pułku i wyjaśnia, dlaczego sztandar musi znajdować się przy swojej jednostce niezależnie od tego, dokąd skierują ją rozkazy. Pozostawienie sztandaru w koszarach wobec przewidywanej walki byłoby zaprzeczeniem jego roli, sprowadziłoby go do funkcji czysto dekoracyjnej. Okazuje się jednak, że w połowie ubiegłego stulecia tradycyjny sposób pojmowania zna-

ku pułkowego zaczynał już powoli odchodzić w przeszłość. Kpt. Eugeniusz Buczyński, oficer łączności 39 Pułku Strzelców Lwowskich, odnotował we wspomnieniach, że rozkaz dowódcy Okręgu Korpusu, nakazujący odesłanie sztandaru do Ośrodka Zapasowego w chwili wyruszenia Pułku na front, wywołał poruszenie wśród oficerów. Wzburzenie w Pułku było tak duże, że zawiązał się spisek mający na celu wykradzenie sztandaru. Grupa oficerów i podoficerów doprowadziła do tego, że sztandar ukryto na wozie kapelana Pułku i wysłano na pozycję. Konspiracja trwała krótko – już 3 września jeden z batalionów Pułku defilował przed sztandarem. Nikt ze „spiskowców” nie zdawał sobie wówczas sprawy z tego, jaką rolę znak ten będzie miał niebawem odegrać.

39 Pułk Strzelców Lwowskich

39 pp wchodził w skład 24 Dywizji Piechoty. W tym składzie toczył walki w kampanii wrześniowej, ponosząc przez ►

FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO (2)



U góry: Sztandar 39 Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich, strona prawa. Fotografia wykonana w Landshut w Bawarii.

Po lewej: Trofea z kampanii wrześniowej prezentowane w Zeughausie. Na zdjęciu z 14 października 1939 r. nie widać ani jednego polskiego sztandaru.

pierwszy tydzień znaczne straty, wskutek których jego siły zostały zredukowane do dwóch batalionów. 13 września 24 DP otrzymała od dowódcy Armii Małopolska gen. Kazimierza Sosnkowskiego rozkaz podjęcia forsownego marszu w kierunku Lwowa z zadaniem osłonięcia pogranicza rumuńskiego na odcinku Dniestr–Stryj. Następnego dnia rano batalion 39 pp nawiązał kontakt z nieprzyjacielem i uderzył z zaskoczenia na oddział rozpoznawczy 2 (niemieckiej) Dywizji Górskiej. Do 24 DP dołączyły 155 Pułk Piechoty i pozostałości batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Żytyń”. Oddziały niemieckie, wspierane przez ogień artylerii i lotnictwo, przeszły do kontrataku, a celem natarcia były Boratycze. Sytuacja strony polskiej stała się krytyczna. Jak wspominał kpt. Eugeniusz Buczyński: „Niemcy rzucają do natarcia dwa następne bataliony. Wspiera je huraganowy ostrzał artylerii oraz lotnictwo, które bombarduje i ostrzeliwuje z broni pokładowej. [...] Natarcie niemieckie idzie na dwór Tyszkowice, gdzie znajduje się dowództwo 24 Dywizji. Oddziały zmęczone trzygodziną walką nie wytrzymują uderzenia, zwłaszcza że Niemcy na naszym prawym skrzydle omijają stanowiska i podchodzą już pod stanowiska dział 75 mm, zagrażając oskrzydleniem znajdujących się tu oddziałów. Obrońców zawodzą nerwy, powstaje panika, obsługa dział rzuca się do ucieczki, pociągając za sobą znajdujące się obok dwie obsługi CKM-ów oraz kompanię strzelecką. Teraz ucieka cały odcinek. Za wszelką cenę trzeba opanować panikę! Do akcji wkracza pluton regulacji ruchu i spieszony zwiad konny, muszą zatrzymać uciekających, choćby siłą. Nagle wśród zamieszania słychać dźwięki trąbki, to sygnał Wojska Polskiego. Na pole walki wchodzi dwóch trębacz, a za nimi pojawia się chorągiew pułku – symbol Majestatu Rzeczypospolitej Polskiej. Chorągiew niesie starszy sierżant Kłęk w otoczeniu pocztu, podporucznika Wańczyckiego, sierżanta Bajorskiego i plutonowego Babiarsza. To oficer operacyjny, widząc grozę sytuacji, polecił wprowadzić pułkową chorągiew. Panika zostaje opanowana. Strzelcy zatrzymują się, wracają i porwani przez swych dowódców plutonów i drużyn uderzają na bagnety na, jak się wydawało, już zwycięskich Niemców [...] Równocześnie z ukazaniem się chorągwi na polu bitwy, na lewym skrzydle aż drży powietrze od głośniego «Hurra!!!» To ruszają do natarcia bataliony rezerwowego 155 Pułku, I/39 majora Böhma i resztki batalionu KOP «Żytyń»². Ta pełna dramatyzmu scena, wyjęta jakby z zamierzchłej przeszłości, z historii ku pokrzepieniu serc pisanej, dowodząca, że i w połowie XX w. znaczenie sztandaru nie zostało zredukowane jedynie do roli ozdoby pokojowych uroczystości, nie była jedynym w kampanii wrześniowej przypadkiem pojawienia się sztandaru na polu bitwy, niemniej mogła być przykładem najbardziej dramatycznym. Tym bardziej warto zainteresować się późniejszymi losami tegoż właśnie sztandaru spod Boratycz.



Sztandary w niemieckich rękach

W czasie kampanii wrześniowej Niemcom nie udało się zdobyć najbardziej pożądanego trofeum, jakim był polski sztandar pułkowy. Wszystkie wojskowe sztandary zniszczono, wywieziono bądź ukryto. Mimo to w wyniku intensywnych poszukiwań prowadzonych na okupowanym terenie pewną liczbę sztandarów udało się wrogowi odnaleźć. Prawdopodobnie jako pierwszy wpadł w ręce niemieckie znaki 54 Pułku Piechoty, ukryte w wieży kościelnej w okolicach Iłży, a wydany Niemcom w październiku 1939 r. przez organistów folksdojczy. W podobny sposób Niemcy pozyskiwali kolejne egzemplarze. Publikowali później zdjęcia tych rzekomych trofeów bitewnych w prasie i broszurach propagandowych.

Kolejne niemieckie kampanie dostarczały coraz więcej pamiątek, które eksponowane były na wystawach organizowanych na dziedzińcu berlińskiego Zeughausu, zbrojowni mieszczącej się przy Unter den Linden. Pierwszą z serii wystaw otwarto w październiku 1939 r.; składała się z elementów uzbrojenia i zestawów mundurowych zdobytych w Polsce. Zdjęcia niemieckiej agencji prasowej, wykonane na zlecenie naczelnego dowództwa Wehrmachtu i datowane na 14 października 1939 r., dowodzą, że oprócz kilku drugorzędnych weksyliów na wystawie tej nie było ani jednego polskiego sztandaru bojowego.

Trofeum dla Niemców niebawem stało się ważnym, symbolem ustanowienia nowego ładu przez kończący I wojnę światową traktat wersalski, była tzw. tablica z Sarajewa, upamiętniająca miejsce zamachu na arcyksięcia Ferdynanda Habsburga dokonanego w 1914 r. przez Gavrilo Principa i uznawanego za symboliczny *casus belli* Wielkiej Wojny. Była ona dla Adolfa Hitlera symbolem równie nienawidzonym, co słynny wagon z Compiègne, w którym podpisano kapitulację Cesarstwa Niemieckiego w 1918 r. Wagon Niemcy spalili, a tablicę zdemontowali uroczystie zaraz



FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO

Wystawa niemieckich zdobyczy wojennych w berlińskim Zeughausie. W centralnym punkcie zdjęcia widać tzw. tablicę z Sarajewa, a także sześć polskich sztandarów z kampanii wrześniowej, licząc od lewej: 64 pp, 42 pp, 2 p. szwol., 8 p.a.c. 62 pp i 66 pp. Fotografia wykonana w ostatnich dniach kwietnia 1941 r.

po zajęciu miasta przez Wehrmacht w kwietniu 1941 r. i natychmiast ofiarowali swemu führerowi na 52. urodziny. Obdarowany postanowił, że udostępni ten prezent swemu narodowi jako główny element ekspozycji trofeów w Zeughausie. Zachowały się zdjęcia prasowe z uroczystości odsłonięcia nowej wersji wystawy, z tablicą otoczoną innymi zdobyczami wojennymi, wykonane w ostatnich dniach kwietnia 1941 r. (datowanie na podstawie: „Völkischer Beobachter” nr 120, 30 kwietnia 1941 r.). Widać na nich rozmieszczone dookoła tablicy zdobycze z kolejnych kampanii niemieckich, a wśród nich sześć polskich sztandarów pułkowych. Eksponowane były one na wystawie do czerwca 1943 r., kiedy to, po śmiałym włamaniu do Zeughausu, w wyniku którego odebrano Niemcom buławę marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, ze względów bezpieczeństwa przeniesiono je do magazynów.

Niemieccy żołnierze chętnie fotografowali się z trofeami. Prywatne albumy ze zdjęciami stanowią obecnie cenne, a nierzadko jedyne źródło informacji o nich. Na prywatnych fotografiach uwieczniono nawet te zdobycze, które nie trafiły na łamy prasy ani na oficjalne wystawy. Dzięki odnalezieniu serii trzech nieznanych dotąd odbitek można dzisiaj dodać kolejny element do historii sztandaru 39 Pułku Strzelców Lwowskich.

Po walce

Cztery dni po opisanej wcześniej bitwie pod Boratycza mi i Husakowem biorące w niej udział polskie oddziały, a wśród nich 39 Pułk Strzelców Lwowskich, zostały okrą-

żone. Podjęto decyzję o ukryciu sztandaru pułkowego; po opakowaniu i zabezpieczeniu zakopano go w okolicach leśniczówki pod Rzęsną Ruską.

Prowadzone po wojnie poszukiwania nie dały pozytywnego rezultatu. Jak pisze badacz historii polskich sztandarów płk dr Kazimierz Satora w pracy *Na tropach wrzesniowych sztandarów*, dopiero w roku 1980 red. Lech Alexandrowicz odnalazł w paryskim Musée de l'Armée głowicę polskiego sztandaru z numerem 39 na puszcze. Francuzi na różne sposoby unikali rozmowy na temat zwrotu tego zabytku, mimo że na karcie muzealnej podano wyraźnie, iż trafił on do Paryża w 1947 r. z... berlińskiego Zeughausu, omyłkowo uznany wówczas za zabytek francuski z epoki napoleońskiej. Argumenty strony francuskiej sprowadzały się do wykretów i były niezbyt wiarygodne. Brakowało ponadto potwierdzenia przejęcia przez Niemców płatu sztandaru.

Obecnie, dzięki odnalezieniu trzech odbitek fotograficznych, można z całą pewnością stwierdzić, że sztandar 39 Pułku Strzelców Lwowskich wpadł w ręce Niemców wraz z drzewcem i głowicą. Miejsce wykonania zdjęć jest łatwe do zidentyfikowania – to Schoch-Kaserne, koszary noszące imię gen. Alberta von Schocha, znajdujące się w bawarskiej miejscowości Landshut. Trudniej ustalić datę – odbitki nie są opisane. Wprawdzie sztandar 39 pp nie widać na kwietniowych zdjęciach z Zeughausu, niemniej nie ma na nich również sztandaru 54 pp, który z pewnością w tym czasie znajdował się w rękach niemieckich. Najwyraźniej nie wszystkie polskie znaki były prezentowane na ekspozycji w 1941 r.

Polskie sztandary, które Armia Czerwona zdobyła w 1945 r. w berlińskim Zeughausie, według niepotwierdzonej, lecz dość wiarygodnej informacji, zwrócono w 1952 r. do... Zeughausu właśnie, przemianowanego w tym czasie na Niemieckie Muzeum Historyczne (Museum für Deutsche Geschichte). W 1967 r. z niemieckiej inicjatywy zwrócone zostały Polsce dwa sztandary z kampanii wrześniowej, zaś w 1971 r. – po przypadkowym odkryciu dokonanym w niemieckich magazynach przez wicedyrektora Muzeum Wojska Polskiego – odzyskaliśmy kolejne siedem sztandarów wrzesniowych i jeden wcześniejszy. Co stało się z płatem i drzewcem sztandaru 39 Pułku Strzelców Lwowskich? We francuskiej karcie głowicy z liczbą 39 podano, że w 1947 r. znajdowała się ona w Zeughausie. Skoro tak, to można się spodziewać, że i pozostałe elementy sztandaru spod Boratycz trafiły z Landshut do Berlina. Gdzie są dzisiaj? Czy leżą w berlińskim magazynie i czekają na swego odkrywcę? ■

TOMASZ ZAWISTOWSKI, miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*.

¹ Z. Podhorski Zygmunt, *Kolejni sztandarowi*, „Przegląd Zrzeszenia Kół Pułkowych Kawalerii”, Londyn, nr 2, rok 1956, s. 49. ² E. Buczyński, *Smutny wrzesień*, Kraków 1985, s. 133–134.

Żołnierze spod Kocka

W szeregach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” piechur maszerował obok spieszonego kawalerzysty, lotnika i marynarza Flotylli Pińskiej. Wszyscy zjednoczeni dowództwem gen. Franciszka Kleeberga do końca bronili ojczyzny w 1939 r.

PAWEŁ ROZDŻESTWIEŃSKI

Walki pod Kockiem na przełomie września i października 1939 r. stały się symboliczną klamrą kończącą pięć tygodni kampanii 1939 r. w Polsce. Październikowa odyseja gen. dyw. Franciszka Kleeberga i jego Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” do dziś jest uważana za ostatni akord zbrojnej walki regularnych i zorganizowanych oddziałów Wojska Polskiego w 1939 r.

SGO „Polesie” stanowiła mieszankę różnych oddziałów i pododdziałów, które przyłączały się, aby brać udział w walkach najpierw z oddziałami sowieckimi, dywersantami komunistycznymi, żydowskimi i ukraiński-

PODPORUCZNIK MARYNARKI WOJENNEJ

Należący do oddziałów Flotylli Pińskiej walczących w SGO „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Czapka oficerów marynarki wojennej wz. 1920 (wykonanie z lat trzydziestych XX w.), ciemnogranatowy wierzch, czarny jedwabny otok, czarny lakierowany daszek ze złotym pojedynczym galonem (oficer młodszy), czarna lakierowana podpinka z nasuwką podporucznika marynarki – jedną złotą gwiazdką, emblemat oficerski – wyszywany na czarnej podkładce: srebrny orzeł z niebieskim polem pelti oraz złotą kotwicą, całość otoczona złotym wieńcem z liści laurowych. Naramienniki na płaszczu oficerskim wz. 1936 ciemnogranatowe ze złotym galonem ułożonym w pętlę Nelsona oraz złotym guzikiem marynarki wojennej, pod galonem doszyta jasnoniebieska żyłka w barwie korpusu rzeczno-brzegowego (Flotylla Pińska). Jako że istniała również możliwość występowania marynarzy ze stopniami armii lądowej, to obok naramiennika marynarki wojennej prezentujemy również naramiennik podporucznika od płaszcza wz. 1936.



mi, a następnie z Niemcami. Dlatego w oddziałach tych znajdowali się nie tylko żołnierze regularnej armii: kawalerzyści, piechurzy, artylerzyści, spieszeni lotnicy i marynarze, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, ale również junacy i ochotnicy stołecznego Batalionu Przysposobienia Wojskowego oraz wcieleni w polskie szeregi sowieccy jeńcy.

Na drogach, które prowadziły do ostatniej bitwy kampanii 1939 r. w Polsce, zobaczyć więc było można zarówno młodych chłopaków w cienkich drelichowych kożuszkach, jak i marynarzy w marynarskich czapkach, którzy w batalionach marszowych dotarli pod Kock aż z dalekiego Pińska. Hełmy piechoty wz. 1931 piechurów mieszały się z grzebieniastymi hełmami wz. 1915 kawalerzystów. Ponadto pod koniec września dnie i noce były coraz chłodniejsze, więc żołnierze chętnie zakładali płaszcze i kożuszki. Cechą tych oddziałów była swoista różnorodność mundurowa, która charakteryzuje mieszaninę oddziałów pierwszego rzutu i improwizowanych. Między mundurami weteranów, które nosiły ślady wielotygodniowego używania, lśniła nowością i świeżością umundurowanie szwadronów i batalionów marszowych.

W chwilach zwątpienia, podczas odwrotu, często ci, którym nie było dane posmakować zwycięstwa i nadziei, widząc dumnie maszerujące oddziały, znów stawali się żołnierzami.

Por. Bogusław Cereniewicz z 1 Pułku Piechoty Legionów tak 27 września 1939 r. zapamiętał spotkanie z oddziałami Dywizji Kawalerii „Zaza”: „I nagle obserwujemy obraz, który nam dech w piersi zapiera. [...] Wojsko wyjeżdża ze skraju lasu w szykach luźnych, szeroko po całym polu rozrzuconych. Jadą dziesiątki taczanek z karabinami, wężącymi lufami po niebie, jadą armatki przeciwpancerne i jadą, jadą bez przerwy polscy ułani. Wojsko jak spod igły. Lśnią na koniach żółciutki, świeżo z magazynów pobrane rzędy. Rysztunek jest przepisowo i dokładnie stoczony. Wszystkie szeregi wyrównane i pokryte. Wszyscy żołnierze kompletnie wyposażeni i uzbrojeni. Nad ławą francuskich czółenkowych hełmów sterczą lance, proporce. Na czele pododdziałów jadą oficerowie. Lśnią zatknięte przy siodłach szable. Słychać gwizdki, trąbki, widać rękami podawane znaki. Wszystko to nacechowane prawdziwie wojskowym duchem, twardą dyscypliną”¹.

PAWEŁ ROZDŻESTWIENSKI, historyk, publicysta, rekonstruktor historyczny, dyrektor Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą. Przygotowuje pracę doktorską w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk na temat umundurowania żołnierzy Wojska Polskiego z czasów II RP. Jest współtwórcą internetowego portalu dla środowiska rekonstruktorów: dobroni.pl.

¹ Cytat pochodzi z wydanych przez Centralne Archiwum Wojskowe zbiorów relacji żołnierzy SGO „Polesie”.



KAWALERZYSTA

Kawalerzysta z jednego z oddziałów kawalerii walczących w SGO „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Żołnierz ma na głowie rogatywkę polową wz. 1937 z haftowanym orzełkiem. Na sukienny mundur założony kożuszek kawalerski i oporządzenie składające się z dwóch potrójnych ładownic do karabinka Mauser wz. 1898 oraz bagnetu wz. 1927 i łopatki. Na lewym boku założona maska przeciwgazowa w metalowej puszcze typu RSC. Karabinek wz. 1898 z nałożonym bagnetem wz. 1927 i pasem skórzanym noszonym wzdłuż boku broni. Spodnie wz. 1919 z wysokimi butami juchtowymi wz. 1931, w kolorze naturalnej skóry i ostrogami żołnierskimi.

RYŚ. JAROSŁAW WRÓBEL (2)

PORTRET JÓZEFA

„W portrecie znalazła spełnienie nadzieja na pokonanie śmierci absolutnej i u samych korzeni sztuki portretowej tkwi właśnie wiara w odrodzenie życia”¹ – pisał Wojciech Sztaba.

M. RENATA WILEWSKA

Portret to sztuka niezwykła. Jego geneza sięga odległej starożytności i ma wymiar eschatologiczny. Z upływem czasu zmieniała się jego forma i funkcja. Starożytna Grecja stworzyła portret idealizowany zarówno malarski, jak i rzeźbiarski, Rzym zaś wykreował wspaniałe portrety realistyczne. We wczesnym średniowieczu nastąpił regres, który przeminął z wiekiem XV. Portret zaczął odradzać się w epoce renesansu.

Malarstwo portretowe w Polsce ukształtowało się jako samodzielny gatunek sztuki w czasach Zygmunta I, wyzbywając się gotyckiej stylistyki za Zygmunta Augusta. Portretowano królów, książęta, osoby duchowne, przedstawicieli stanu szlacheckiego i mieszczaństwa. Rozwój malarstwa portretowego nastąpił w XVII w. w okresie baroku, a szczególnie w czasach Jana III Sobieskiego. Wizerunki monarsze i magnackie miały charakter reprezentacyjny i heroizowały osobę. Rozkwit oryginalnej kultury sarmackiej wytworzył typ portretu realistycznego, czasami schlebającego za pomocą ubioru i orężnych atrybutów.

Wykształcił się też typ portretu rycerskiego. Rycerza przedstawiano w uzbrojeniu ochronnym, błyszczącej zbroi, najczęściej typu zachodnioeuropejskiego, z jej elementami: w kolczudze, napierśniku w delji lub narzuconym na ramiona płaszczu (atrybucja berło buława, buzdygan, szabla). Wizerunki tego okresu emanują bojowością i rycerskością. Dzielą się na: rycerskie i mundurowe.

Osiemnastowieczne portrety, z czasów, gdy krystalizował się jednolity ubiór wojska polskiego, charakteryzują się bogactwem barwnych mundurów noszonych przez bohaterów

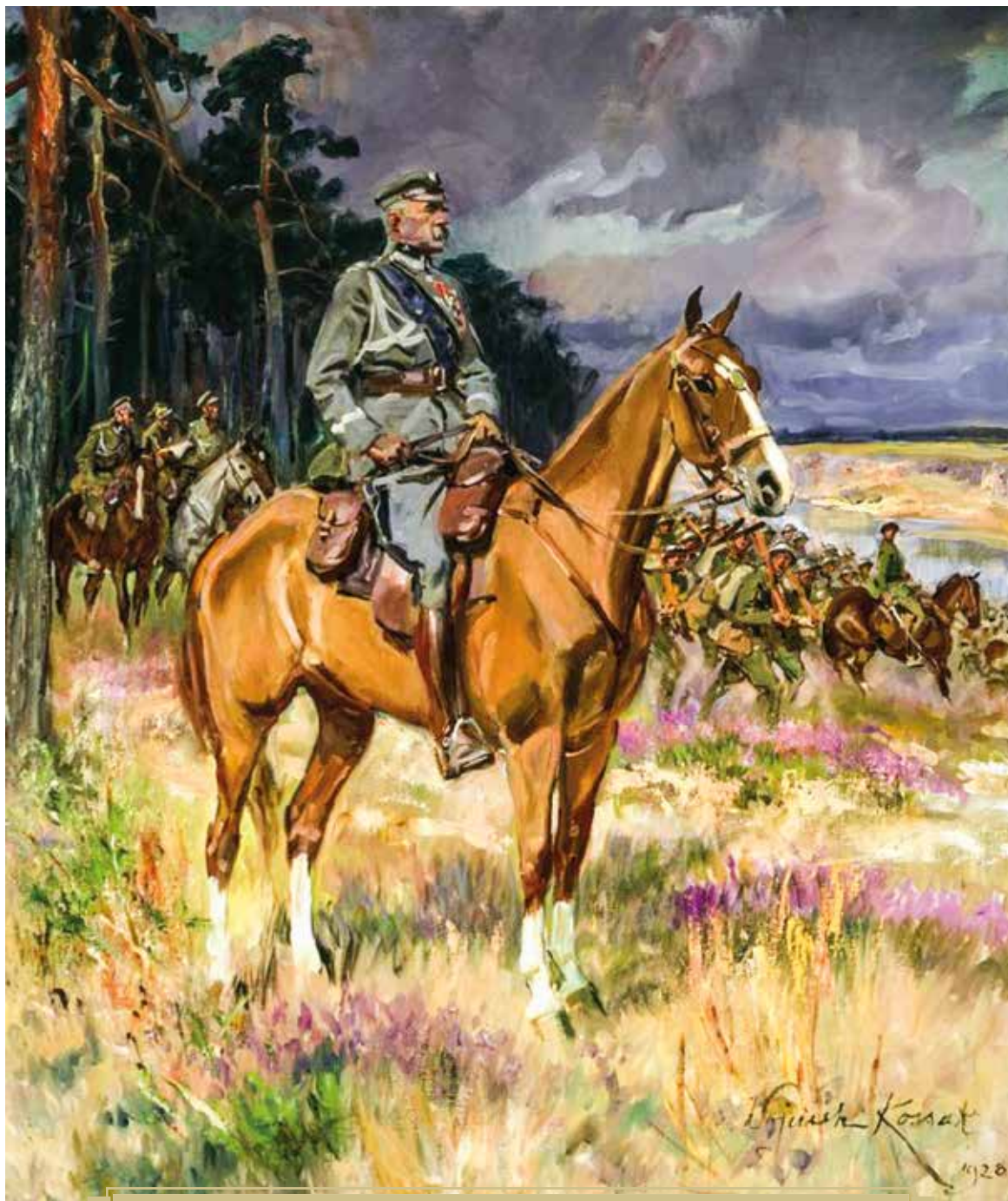
narodowych, naczelnych wodzów (Tadeusz Kościuszko, Józef Poniatowski), generalicję, dowódców i żołnierzy różnych formacji wojskowych. Okres portretu mundurowego jako takiego skończył się po powstaniu listopadowym z przyczyn politycznych (upadek powstania, brak wojska), społecznych i kulturowych (wynalezienie dagerotypu, rozwój fotografii, nowe prądy w sztuce odchodzące od realistycznego sposobu portretowania).

Portret wojskowy w sztuce polskiej powrócił w czasie I wojny światowej. W Legionach Polskich służyło wielu artystów. Powstały wtedy liczne rysunki portretowe legionistów, dowódców, a także brygadiera Józefa Piłsudskiego. Niestojący okres walk o granice, kolejne powstania, wojna 1920 r. i wysiłek zbrojny odrodzonego wojska polskiego budowały autorytet armii. Wszystko to skłaniało do upamiętniania bohaterów walk o niepodległą Polskę. W licznych portretach odzwierciedlenie znajdowała historia wojska tego okresu. Świadczyły one również o kontynuacji kierunku w sztuce, który wyrósł z wielowiekowych tradycji zarówno artystycznych, jak i patriotycznych.

Portret konny

Z tego też nurtu wywodzi się najpopularniejszy portret marszałka Józefa Piłsudskiego na Kasztance, namalowany w 1928 r. przez Wojciecha Kossaka, a znajdujący się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Do 1939 r. wisiał on w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie. Artysta, aby upamiętnić marszałka, wybrał formę portretu konnego, najbardziej odpowiednią dla wielkiego wodza. Godność Marszałka

PIŁSUDSKIEGO



Portret marszałka Józefa Piłsudskiego na Kasztance, namalowany w 1928 r. przez Wojciecha Kossaka, a znajdujący się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Do 1939 r. wisiał on w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie. Artysta, aby upamiętnić marszałka, wybrał formę portretu konnego, najbardziej odpowiednią dla wielkiego wodza.



Józef Piłsudski przyjął 19 marca 1920 r., a buławę wręczono mu 14 listopada.

Poza i usytuowanie modelu w przestrzeni obrazu są zawsze istotnymi elementami każdego portretu. Ustalają relacje między portretowanym a oglądającym i w zasadniczy sposób wpływają na odczytanie intencji i interpretację portretu.

Marszałek, jego sylwetka, ujęty w trzech czwartych, zwrócony

w prawo (głowa z profilu), siedzi wyprostowany w siodle (polskie kawaleryjskie wz. 25), przytrzymując obiema rękami wodze, z prawą nogą w strzemieniu. Ma na sobie kurtkę szaroniebieską, spiętą pasem i spodnie z lampasami, wpuszczone w długie buty typu kawaleryjskiego, w maciejówce na głowie.

Szczegóły umundurowania potraktowane są dość swobodnie: hafty białe, czyli srebrne – zamiast złotych, a na naramienniku zarys skrzyżowanych buław marszałkowskich. Oryginał kurtki znajduje się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Na piersi Marszałka widnieje wstęga Krzyża Wielkiego Orderu Wojskowego Virtuti Militari, niebieska z czarnym paskiem wzdłuż brzegów, przełożona przez prawe ramię do lewego boku. Order nadano – jak zapisano w dyplomie: „na wniosek Ministra Spraw Wojskowych i na mocy Kapituły z dnia

13 kwietnia 1923 r. [...] Twórcy Armii Polskiej i Wodzowi w Bojach o Niepodległość Ojczyzny Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu jako Wodzowi Naczelnemu za zwycięską wojnę Polsko-Bolszewicką”².

Na lewej piersi czerwieni się wstążka najprawdopodobniej

Krzyża Walecznych, nowego odznaczenia ustanowionego 11 sierpnia 1920 r. przez Radę Obrony Państwa w trudnym okresie trwającej wojny, którym Marszałek był odznaczany czterokrotnie. Na repre-

zentacyjnych portretach Piłsudski występuje z tym właśnie odznaczeniem. Wstążka orderowa na obrazie Kossaka powinna być amarantowa. Wyrazista czerwień i śladowa biel kojarzyć się mogą także z Orderem Odrodzenia Polski. Krzyż Komandorski tego orderu Józef Piłsudski otrzymał w maju 1923 r. Wiadomo, że Kossak popełniał niejednokrotnie błędy dotyczące szczegółów wyposażenia i umundurowania. Osoba Piłsudskiego, człowieka silnego charakteru przedstawiona została w pełni powagi i dostojeństwa.

Ulubiona Kasztanka, maści jasnokasztanowej z białymi nadpęciami stoi spokojnie, usytuowana w centrum, zwrócona w prawą stronę, namalowana

z dbałością o kształt całej sylwetki. Scena sprawia wrażenie, że Marszałek zatrzymał się na chwilę przy porośniętej wrzosami polnej drodze i z uwagą spogląda przed siebie. **Scenerię obrazu wzbogaca po lewej stronie fragment sosnowego lasu, z którego wylania się trójka**

kawalerzystów w czapkach z oto-

kami w kolorach: amarantowym (prawdopodobnie 1 Pułku Szwoleżerów), złotym (3 Pułku Szwoleżerów), i granatowym (19 Pułku Ułanów). **Po prawej stronie, nieopodal rzeki, przechodzi oddział piechurów prowadzony przez dowódcę na koniu.**

Kompozycyjnie portret Piłsudskiego przypomina akwarelowy portret *Tadeusz Kościuszko na czele kosynierów pod Racławicami 4 kwietnia 1794* Juliusza Kossaka. Obrazy oczywiście różnią się w szczegółach: koń na płótnie Juliusza także jest piękny, ale bardziej dynamiczny w ruchu; założenie i układ posta-



ci są jednak identyczne. Wojciech miał dobre wzory i nic dziwnego, że czasami do nich sięgał.

Konna postać Józefa Piłsudskiego na tle pejzażu z sylwetkami żołnierzy ma bardziej swojski i rodzajowy charakter. Marszałek nie traci jednak nic z dostojności i można doszukać się w tym przedstawieniu odniesień do stylistyki dawnych portretów reprezentacyjnych i panegirycznych.

W dorobku Wojciecha Kossaka po 1920 r. odnajdujemy wiele portretów. Artysta malował je z dużą łatwością. Cieszyły się wielką popularnością i przysporzyły mu znacznego rozgłosu. Pochlebną opinią francuskich krytyków cieszyły się portrety francuskiej generacji – konny gen. Maksima Weyganda, a także marszałka Ferdynanda Focha. Z uznaniem przyjmowało je środowisko znawców koni. Kossak miał dar, czytelny zwłaszcza w portretach osób wojskowych, umiejętnego zespolenia jeźdźcy z koniem. Jak pisze jego biograf Kazimierz Olszański: „umiał tak posadzić na koniu jeźdźcę, nawet takiego, który nigdy w życiu nie siedział w siodle”³. Ta umiejętność jest także czytelna w niniejszym portrecie i nie bez znaczenia była z pewnością powszechnie znana sympatia i przywiązanie Piłsudskiego do przydzielonego mu wierzchowca.

Najsłynniejszy koń II RP

Wojciech Kossak malował Marszałka wielokrotnie, i to w różnych okolicznościach: pieszo (1928 r., 1929 r.), na Kasztance (1928 r., 1930 r., 1933-1937), przed Belwederem (1929 r.), podczas defilady (1934 r.) i przed frontem wojska (1936 r.). Dwa portrety dla zaprezentowania swoich zdolności malarza portrecisty zawiózł do Stanów Zjednoczonych. W jednym z listów napisał jednak, że ma już dosyć tych krajowych „Marszałków” i „Kasztanek”. Na wielu portretach pojawia się koń Marszałka, który nie tylko był towarzyszem na wojennym szlaku, ale także partnerem w dialogu.

Kasztanka była najsłynniejszym koniem II RP. Jej historia jest powszechnie znana. Towarzyszyła Piłsudskiemu przez 13 lat. Ostatni raz dosiadał jej podczas uroczystości z okazji 11 listopada – święta odzyskania niepodległości – na pl. Saskim w Warszawie 24 listopada 1927 r. Przewożona po rewii w wagonie kolejowym do Mińska Mazowieckiego doznała tak poważnych urazów wewnętrznych (pęknięcie dwóch ostatnich kręgów grzbietowych), że nie było już szans na jej uratowanie. Spreparowaną przechowywano naj-

pierw w Muzeum Belwederskim, a w czasie II wojny światowej w Muzeum Wojska, gdzie z powodu nieodpowiednich, wojennych warunków niszczała.

We wrześniu 1945 r. Muzeum wizytował ówczesny marszałek Michał Rola-Żymierski. Rozpoznał Kasztankę, która go kiedyś kopnęła, i wydał polecenie, aby ją zniszczyć. Mimo podjętych przez pracownika Muzeum prób, nie udało się jej uratować.

Wizerunki Marszałka pochodzące z różnych okresów jego życia były bardzo popularne, wykonywano je w różnych technikach i formie: obrazy olejne, rysunki, rzeźby, medale, plakiety i odznaki. Były wyrazem uznania dla Józefa Piłsudskiego i częstokroć stanowiły ozdobę niejednego domu. Malowali go m.in.: Jacek Malczewski, Konrad Krzyżanowski, Leopold Gottlieb, Ignacy Pinkas, Stanisław Zawadzki, Józef Świrysz-Ryszkiewicz, Stefan Garwatoski, a rzeźbili: Konstanty Laszczka i Franciszek Strykowski.

Bogatą ikonografię dotyczącą Piłsudskiego uzupełniają pomniki konne z portretowo ujętą postacią. Jeszcze za życia Marszałek doczekał się pomnika konnego, który jako pierwszy stanął w Komorowie k. Ostrowi Mazowieckiej na terenie Szkoły Podchorążych Piechoty. Jego autorem był legionista mjr Antoni Miszewski. Pozostałe, zaprojektowane przed wojną, wykonali współcześni artyści. Pomnik z 1937 r. według projektu chorwackiego artysty Autuna Augustinića postawiono w 1993 r. na pl. Bolesława Chrobrego w Katowicach, a według przedwojennego projektu Jana Raszki, wykonany przez Krzysztofa Skórę, stanął na pl. Lubelskim w Lublinie w 2001 r.

I tak pamięć o Józefie Piłsudskim, ostatnim polskim Marszałku II Rzeczypospolitej, który dosiadał konia, została zapisana trwale w dziełach sztuki lat minionych i współczesnych.

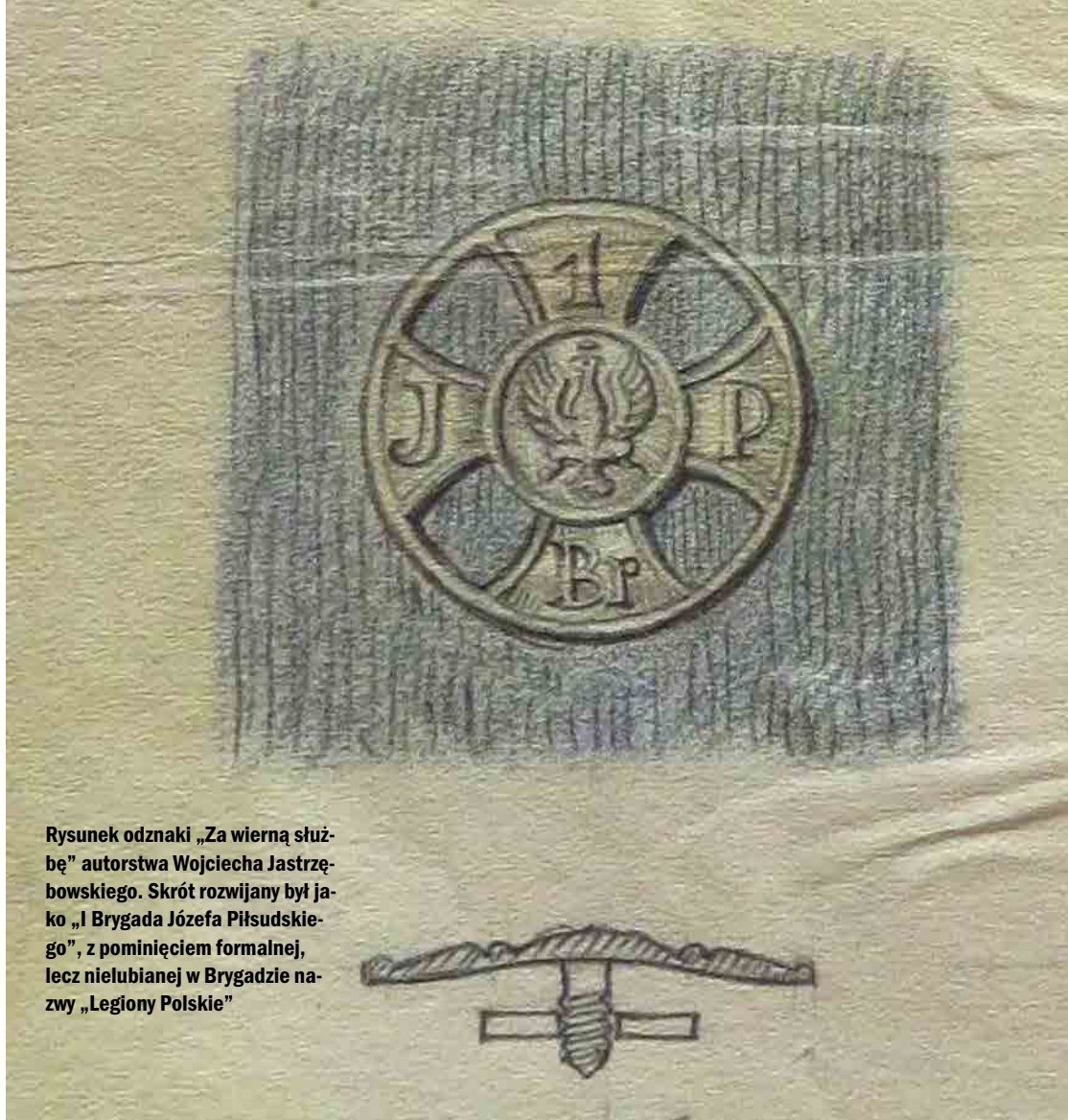


M. RENATA WILEWSKA, historyk sztuki. Wieleletni pracownik Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, kurator Działu Zbiorów Głównych i zastępca dyrektora ds. naukowych. Organizatorka wystaw o tematyce historyczno-wojskowej. Autorka katalogów, artykułów i opracowań dotyczących sztuki i historii wojskowości. Organizatorka wystaw o tematyce historyczno-wojskowej jak *Barwy polskiego oręża* (Warszawa, Zachęta Narodowa Galeria Sztuki) oraz *I podaje wiek wiekowi. Tradycje chrześcijańskie w dziejach polskiego oręża* (Warszawa, Muzeum Wojska Polskiego). Autorka opracowań dotyczących sztuki i historii wojskowości, m.in. albumu *Kolekcja Heleny i Tadeusza Kwiatkowskich w Stanach Zjednoczonych*, artykułów („Muzealnictwo Wojskowe”) i katalogów wystaw czasowych Muzeum WP.

¹ W. Sztaba, *Portret, wszystko o...*, Warszawa 1976, s.5.

² Z. Puchalski, *Dzieje polskich znaków zaszczytnych*, Warszawa 2000, s. 124.

³ K. Olszański, *Wojciech Kossak*, Wrocław-Kraków 1982, s.38.



Rysunek odznaki „Za wierną służbę” autorstwa Wojciecha Jastrzębowskiego. Skrót rozwijany był jako „I Brygada Józefa Piłsudskiego”, z pominięciem formalnej, lecz nie lubianej w Brygadzie nazwy „Legiony Polskie”

FOT. ARCHIWUM RODZINY JASTRZĘBOWSKICH

Za wierną służbę

Istnieją dokumenty archiwalne, których forma materialna – obok podstawowej treści – ujawnia wartościowe informacje. Należy do nich projekt pierwszej polskiej odznaki wojskowej, opatrzony zatwierdzającym go podpisem twórcy I Brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego.

TOMASZ ZAWISTOWSKI

W dużej części zachowanych w żołnierskich wspomnieniach opisów wręczenia odznak „Za wierną służbę” wymieniona jest jako miejsce uroczystości Kolonia Dubniaki.

Kłopot polega na tym, że większość tych relacji jest wtórna, zapisana ze słyszenia przez autorów, którzy w samej dekoracji nie brali udziału. Wachmistrz Michał

Osiński „Brzek”, osobiście dekorowany tego dnia przez komendanta, również pisze o tej właśnie miejscowości, ale najpewniej pamięć zawiodła go tak samo jak przy opisie pogody tamtego dnia. Nazwa Kolonii Dubniaki, w której stacjonował sztab I Brygady, wymieniona została w odczytanym wieczorem 6 sierpnia 1916 r. we wszystkich oddziałach rozkazie komendanta, którym za-

pewne posiłkowali się autorzy wspomnień. Dwie najbardziej szczegółowe relacje sugerują, że dekoracja odbyła się we wsi Piaseczno, położonej 5 km na zachód od Dubniaków. Pisał o niej Felicjan Sławoj-Składkowski, podówczas naczelnym lekarz 7 Pułku Piechoty w stopniu kapitana, dodając informację, że „obywatel Komendant został chwilę w chałupie, gdzie mieści się zakład sanitarny brygady”. Szczegół ten dobrze koresponduje z – zamieszczoną 18 sierpnia 1916 r. w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” – bardzo plastyczną relacją naocznego świadka, kronikarza I Brygady, chor. Juliusza Kaden-Bandrowskiego, według którego uroczystość miała miejsce „obok zakładu sanitarnego I. Brygady przy grupie chałup, stojących samotnie przed wsią P. [...] deszcz zaczyna padać. Przyjechał ze swą żoną Piłsudski i schronił się do chaty szpitalnej. W sieni, w której siedzi Piłsudski, nabrało się sporo ludzi. Deszcz pluska o próg, trzepie po żółtym fartuchu medyka. Dwaj ranni żołnierze, wsparci na laskach, wyglądają ku czworokątowi wojska”¹. Połączenie tych relacji pozwala typować Piaseczno jako najbardziej wiarygodną lokalizację uroczystości.

6 sierpnia 1916 r.

We wspomnianej przez Kaden-Bandrowskiego chatce szpitalnej w „kącie izby przy oknie na pudle pisze ppor. [Andrzej – TZ] Nałęcz-Korzeniowski, małe dyplomy do odznaki za „wierną służbę”. Jest błąd i wzruszony, a oczy mu wpadły jeszcze głębiej. Jego zimne ręce nabrały w mroku izby niebieskawy odcień”. Do uroczystej dekoracji przez komendanta przewidziano wszystkich żyjących jeszcze z dawnej Kompanii Kadrowej i z Siódemki Beliny, a także wyróżnionych delegatów z pozostałych oddziałów I Brygady. Pogoda nie sprzyjała świętu, w czasie kazania padał zimny i obfity deszcz, wymuszając skrócenie uroczystości. Po mszy polowej, gdy deszcz ustał, komendant osobiście odznaczył wszystkich delegatów. Wachmistrz Osiński zapisał: „Nie potrafię opisać, co czuje żołnierz, gdy Wódz – za którym poszedłby w ogień piekielny – udekoruje go własnoręcznie, ścisnie dłoń, spojrzysz w oczy. Wierz mi, że kto raz pochwycił przeznaczone dla siebie spojrzenie Piłsudskiego, ten nie zapomni nigdy tego momentu. [...] Czuję się dumny i szczęśliwy, bo chociaż odznaka przysługiwała każdemu, co nie mniej jak rok przesłużył na froncie w szeregach I Brygady, to nie każdemu przypinał ją sam Piłsudski”².

Rozkaz komendanta „na drugą rocznicę wojny” odczytano wieczorem we wszystkich oddziałach I Brygady zajmującej w tym czasie pozycję na linii frontu.

AUTOR PROJEKTU ODZNAKI

PPOR. WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI, autor projektu odznaki „Za wierną służbę”. Zdjęcie wykonane w 1918 r. lub 1919 r. przez wileńskiego fotografa Jana Bułhaka.



FOT. ARCHIWUM RODZINY JASTRZĘBOWSKICH

„W następnych dniach wszyscy, którzy mieli prawo do tego odznaczenia, otrzymali je wraz z legitymacją drogą służbową przez swe bataliony i kompanie. Toteż z dumą przypinaliśmy je sobie do naszych zniszczonych kurtek żołnierskich, gdyż otrzymanych dotąd austriackich «Verdienstkreuzów» i niemieckich «Eisernerkreuzów» nikt nie nosił”³ – zanotował sierż. Roman Starzyński. Wszystkie legitymacje, również te rozsyłane drogą służbową, nosiły datę 6 sierpnia 1916 r., miały okrągłą pieczęć Komendy I Brygady i odręczny podpis komendanta, co zauważali i doceniali dekorowani, a odnotował we wspomnieniach sierż. Adolf Kotarba: „Jest to krzyż żelazny «za wierną służbę» z monogramem I Bryg. i inicjałami naszego Wodza J. P. W najbliższych dniach otrzymamy dyplomy do tych odznaczeń, z własnoręcznym podpisem Komendanta, z czego się ogromnie cieszymy”⁴. Wydaje się mało prawdopodobne, by dowódca I Brygady znalazł czas na podpisanie ponad 4 tys. legitymacji. Znamienna jest relacja Kazimierza Iłakowiczówny, sekretarki Józefa Piłsudskiego w latach 1926–1935:

„ – Miałem – mówi powolutku Marszałek – takiego adiutanta – co doskonale mnie podpisywał... Dosko-

nale... – i patrzy na mnie z oczekiwaniem i wesoło.

– Ja bym tego nigdy nie zrobiła – odpowiadam surowo. Przecie to oszustwo wobec tych proszących o autografy.

– Masz rację, masz rację, oj to to, oszustwo – mówi pan Marszałek i wzdycha ciężko i do brotliwie nad pisaniną. – Właśnie, oszustwo. I nagle nie wiem – mam wrażenie, że nie zdałam jakiegoś egzaminu”⁵. Słowa Iłakowiczówny, uwielbiającej marszałka bez mała bałwochwalczo, brzmią tu dość wiarygodnie.

Zatwierdzam: Józef Piłsudski

Uroczystość w Piasecznie zbiegła się ze schyłkiem Legionów Polskich. Odznaczani żołnierze nie wiedzieli jeszcze, że ich komendant właśnie podał się do dymisji. Jakże zmieniła się sytuacja od chwili, kiedy zatwierdzał projekt tej odznaki, którą obecnie im

wręczał. To było trzy miesiące wcześniej, przed ofensywą Brusilowa, przed najkrwawszą bitwą Legionów, przed Kostiuchnówką, w zupełnie innej sytuacji politycznej.

Józef Piłsudski 29 kwietnia 1916 r. powrócił do swych żołnierzy z urlopu spędzonego w Zakopanem. I Brygada w tym czasie zajmowała pozycje na froncie nad Styrem, budując tam umocnienia nazwane Redutą Piłsudskiego. Po powrocie do zajęć jej dowódca prowadził ożywioną korespondencję polityczną, ale mimo to 20 maja 1916 r. znalazł czas na podpisanie ważnego dokumentu, którego oryginał na szczęście przetrwał do naszych czasów.

Mała karteczka z barwnym, odręcznym rysunkiem odznaki na tle niebieskoszarego munduru, została naklejona na arkusz papieru z odręcznym opisem. Dokument ten jest istną skarbnicą wiedzy o narodzinach pierwszej polskiej odznaki wojskowej w XX w. Po pierwsze: ujawnia jej pierwotną nazwę, która musiała ulec zmianie między majem a sierpniem 1916 r.; zamiast „Za wytrwałą służbę” odznakę ostatecznie nazwano „Za wierną służbę”. Po drugie: komendant zaakceptował rysunek, lecz uznał średnicę 24,5 mm za zbyt małą. Można przypuszczać, że ostateczna rozmowa odbywała się w kancelarii operacyjnej Komendy I Brygady w wołyńskiej osadzie zwanej Legionowem i wygląda na to, że na pytanie o odpowiedni rozmiar komendant musiał, sięgnąwszy do biurka, udzielić odpowiedzi: „O, taki jak ta pieczęć”. W nietypowym jak na odcisk pieczęci miejscu, na krawędzi karteczki z rysunkiem odznaki, odbita została okrągła, tuszowa pieczęć I Brygady Legionów Polskich ze średnicą zaznaczoną literką „a”, zaś na samym dole dokumentu znalazła się adnotacja „Rozmiar większa, jak pieczęćka (a)”. Za wzór wymiaru posłużyła ta sama pieczęć, której odcisk umieszczano później na legitymacjach odznaki. Po trzecie: inną ręką – wliczając podpis, to już czwarty charakter pisma na dokumencie – dodano w lewym, dolnym rogu nakład: 5000 sztuk. Po czwarte: z góry określono, że odznaka ma zostać wykonana z żelaza, czyli precyzyjnie ze stali węglowej. W związku z tym nasuwa się pytanie o to, w jakim stopniu idea odznaki nawiązuje do niemieckiej koncepcji „żelaznych czasów”, do skądinąd pięknej tradycji Krzyża Żelaznego, którym odznaczano też naszych legionistów. Jan Kruk-Śmigła z 1 Pułku Piechoty uważał to porównanie za oczywiste: „Zobaczyłem też odznakę, która mi

Projekt odznaki „Za wierną służbę” zatwierdzony 20 maja 1916 r. przez Józefa Piłsudskiego



FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO



Odznaka „Za wierną służbę” zdobiąca dziób MS „Piłsudski”

się bardzo podobała. Jest zrobiona w kształcie żelaznego krzyża niemieckiego, tylko połączona kółkiem i w środku z polskim orzełkiem⁶. Po piąte: już na etapie projektu za-
twierdzono koronę na głowie orła, a pamiętać należy o tym, jak ambiwalentny stosunek do niej mieli żołnierze „demokratycznej” I Brygady. Po szóste wreszcie: nie sposób nie zwrócić uwagi na to, jak profesjonalnie przewidziano w projekcie zarówno sposób mocowania odznaki na słupek gwintowany z nakrętką, jak i jej krzywiznę, uwi-
docznioną na przekroju poprzecznym.

Wyprodukowanie pierwszej serii odznak powierzono warszawskiej firmie grawerskiej Józefa Chylińskiego. Zamówienie zrealizowano dokładnie według założeń projektu – wybite ze stali, lekko wypukłe odznaki miały średnicę 32 mm, czyli dokładnie tyle, ile mierzyła okrągła pieczęć Komendy I Brygady. Poniżej skrzydeł orła umieszczono inicjały autora projektu: W.J. Był nim – noszący w 1916 r. stopień starszego żołnierza – Wojciech Jastrzębowski, przed Wielką Wojną znany i wielokrotnie nagradzany artysta plastyk, który dołączył do I Brygady w 1915 r. w szeregach Batalionu Warszawskiego Polskiej Organizacji Wojskowej. Pełnił służbę w mundurze aż do końca 1921 r., po czym powrócił do działalności artystycznej. W okresie międzywojennym był profesorem, a później rektorem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nie sposób wymienić tu nawet ważniejszych z jego licznych dzieł, ale warto wspomnieć te, które miał w rękach dosłownie cały naród. Prof. Jastrzębowski był bowiem projektantem orłów na

przedwojennych monetach 10-, 20- i 50-groszowych i na powojennej pięciogroszowej z rybakami.

Projekt odznaki „Za wierną służbę” nie był jedynym dziełem Wojciecha Jastrzębowskiego powiązanym z nazwiskiem komendanta. Jako przewodniczący komisji odpowiedzialnej za wyposażenie MS „Piłsudski” profesor miał okazję powrócić do swej pracy z 1916 r., ozdabiając dziób polskiego transatlantyku odznaką I Brygady o trzymetrowej średnicy. Po śmierci marszałka podjął się udekorowania sal pałacowych Belwederu jako kaplicy żałobnej, a także przybrania kirem kaplicy św. Jana. Jego projektu była też srebrna trumna umieszczona w krypcie św. Leonarda na Wawelu. Równie minimalistycznie jak starszy żołnierz Jastrzębowski ozdobił odznaką I Brygady jedynie inicjałami komendanta, tak laconicznie prof. Jastrzębowski go pożegnał. „Trumna ta przez jakiś czas posiadała z boków i z góry szyby kryształowe, które pozwoliły widzieć twarz zmarłego. Potem okazało się, że przez nie przenika wilgoć i szyby te zostały usunięte i zastąpione srebrną blachą. Na trumnie wryto dwa słowa: Józef Piłsudski”⁷.

¹ Juliusz Kaden-Bandrowski, 6 sierpnia 1916 r. na froncie, w: „Ilustrowany Kurier Codzienny”, Kraków, 18 sierpnia 1916. ² Michał Tadeusz Brzęk-Osiński, *Legionista i piłsudczyk 1905-1939*, Warszawa 2003, s. 130. ³ Roman Starzyński, *Cztery lata wojny w służbie Komendanta*, Tetragon 2012, s. 322. ⁴ Adolf Kotarba, *Pamiętnik żołnierski sierżanta I-szej Brygady Józefa Piłsudskiego*, Warszawa 1939, s. 265. ⁵ Kazimiera Włakowiczówna, *Ścieżka obok drogi*, Warszawa 1939, s. 232/233. ⁶ Jan Kruk-Śmigła, *Za wierną służbę ojczyźnie. Dziennik legionisty I Brygady*, Krosno 2004, str. 105. ⁷ Wacław Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, Warszawa 1989, tom II, s. 521.

Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921

Tylko niewielki procent uczestników działań wojennych z lat 1918-1921 w odrodzonej ojczyźnie wyróżniono za męstwo i dzielność. Dla odznaczonych był to oczywisty powód do dumy, natomiast setki tysięcy żołnierzy zdemobilizowano bez żadnego znaku podziękowania za ich wojenne trudy.

TADEUSZ JEZIOROWSKI



*Awers
Medalu
Pamiątkowego
za Wojnę
1918-1921*

inicjatywa wyróżnienia uczestników stoczonych bojów specjalnym odznaczeniem pojawiła się w końcu 1924 r. Wystąpił z nią ppłk Artur Oppman, redaktor „Żołnierza Polskiego”. Przedstawił władzom wojskowym memoriał, precyzując nie tylko ideę wyróżnienia obywateli, którzy z bronią w ręku służyli ojczyźnie, ale i konkretny wygląd postulowanego odznaczenia. Zasugerował, żeby na licu medalu umieścić wizerunek orła, takiego jak na Rocznikach Wojskowych wydawanych w latach 1817-1830 oraz współczesnych Dziennikach Rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na odwrotnej stronie miała być dewiza „Ojczyzna żołnierzowi 1918-1920”, a wstążka w białoczerwone prążki.

Dyskusje i ustalenia

Do 1926 r. trwały kolejne ustalenia. Za sugestią kpt. Stanisława Łoży, referenta w Referacie Orderów Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, dewizę zmieniono na „Ojczyzna Słemu Obrońcy”. Łoża przekonywał także do zmiany koloru wstążki na niebieski z sześcioma białymi prążkami, co miało odpowiadać sześciu literom w słowie POLSKA. W projekcie przedstawionym Radzie Ministrów w 1925 r. przez ministra spraw wojskowych gen. Władysława Sikorskiego daty na proponowanym medalu były już inne, odzwierciedlały rzeczywisty czas wojny, mianowicie lata 1918-1921. Natomiast według sugestii historyka wojskowości i twórcy Muzeum Wojska płk. Bronisława Gembarzewskiego wstążka zamiast prążków białych miała mieć czarne. Jeszcze jednej zmiany

dokonano na początku 1926 r., już w oficjalnym projekcie rządowym przedstawionym Sejmowi: mianowicie na medalu zamiast orła historycznego miał być wizerunek orła państwowego wz. 1919. Sprawy jednak przeciągnęły się, a wypadki majowe spowodowały odłożenie projektu. Wrócono do niego na przełomie lat 1927 i 1928 w związku ze zbliżającą się dziesiątą rocznicą odzyskania niepodległości.

Wyróżnienie, ustanowione ostatecznie Rozporządzeniem Rady Ministrów z 21 września 1928 r., otrzymało nazwę Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921 i było odznaczeniem wojskowym o charakterze pamiątkowym. Intencję jego ustanowienia określono zaraz w pierwszym paragrafie: „W celu przekazania pamięci potomnych wysiłku Narodu o utrwalenie niepodległości i zabezpieczenie granic Ojczyzny w wojnie 1918-1921”¹. Myślano o żołnierzach liniowych i ochotnikach z 1920 r., dlatego okres wymaganej służby określono pierwotnie od 1 listopada 1918 r. do 18 marca 1921 r. Rok później przesunięto jednak końcową datę na 31 grudnia 1921 r., uwzględniając także uczestników działań w powstaniu wielkopolskim i w powstaniach śląskich. Podstawowym kryterium dla żołnierzy była służba frontowa przez trzy miesiące, a dla ochotników – dwa miesiące. Jednakże od początku na pierwszym miejscu wymieniono poległych lub rannych bez względu na czas trwania ich służby, podobnie zmarłych w związku z działaniami. W myśl tej samej zasady uznano zasługi osób cywilnych współdziałających z wojskiem, na pierwszym miejscu wymie-

FOT. DOMENA PUBLICZNA

niając poległych i zmarłych. Współdziałanie powinno było trwać co najmniej przez pięć miesięcy, a poza frontem minimum 10 miesięcy. To samo dotyczyło żołnierzy i osób cywilnych w szeregach powstańczych lub z nimi współdziałających. W tym przypadku medal przysługiwał za dwa miesiące służby w oddziałach powstańczych lub co najmniej trzy miesiące współpracy. Można go było nadać także współdziałającym z wojskiem polskim cudzoziemcom.

W rezultacie, dzięki takiemu poszerzeniu, nadaniami medalu objęto parusettyśieczną grupę, w większości już w rezerwie lub stanie spoczynku, i z tego względu całej akcji nie zdążono dokończyć przed wybuchem wojny w 1939 r. Znaczna liczba rozdanych medali sprawiła, że było to jedno z najpopularniejszych odznaczeń polskich najczęściej prezentowane na mundurach żołnierzy w służbie czynnej, z dumą noszone także przez byłych uczestników działań wojennych.

Wzór odznaki

Odznaką Medalu Pamiątkowego za Wojnę 1918-1921 był okrągły medal średnicy 35 mm, wybitý zgodnie z pierwotnym założeniem w jasnym brązie, z obustronnie zaznaczoną krawędzią, mający na licu wizerunek orła – godło z herbu państwowego, ale już według nowego wzoru z 1927 r. Udostojniono go zawieszonym na szyi Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego „Virtuti Militari”. U dołu, pod skrzydłami orła, ułożono po łuku daty: „1918-1921”. Na odwrocie, w wieńcu z liści dębiny z przewiązką krzyżową u dołu, widniał majuskułowy napis: POLSKA/ SWEMU/ OBRONICY. Zawieszenie składało się z uszka w kształcie poprzecznie mocowanej barylki i kółka, przez które przeciągnięto wstążkę. Wstążka była, tak jak w projekcie płk. Gembarzewskiego, niebieska z czarnymi prążkami, lecz o wzbogaconej kompozycji. Na trzydziestosiedmiomilimetrowej wstążce niebieski był tylko trzynastomilimetrowy pasek pośrodku i jednomilimetrowa krawędź wstążki. Prążki czarne o szerokości dwóch mm, ale pojedyncze, biegingy wzdłuż paska niebieskiego, a po ich bokach dodano pięciomilimetrowe paski amarantowe z białymi, dwumilimetrowymi prążkami po bokach.

Wizerunek orła odzwierciedlał orła państwowego wprowadzonego niecały rok wcześniej Rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z 13 grudnia 1927 r. Na licu medalu, a więc stronie eksponowanej, był to symbol państwa obchodzącego w tym samym roku co ustanowienie medalu dziesięciolecie odzyskanej niepodległości – niepodległości wywalczonej i obronionej podczas zakończonej kilka lat wcześniej wojny. O czasie trwania wojny świadczyły daty 1918-1921. Liczono zatem wszystkie działania zbrojne od zarania odzyskiwanej niepodległości

*Orzeł z druków wojskowych
z lat 1815-1830 i 1918-1929*



oraz wojnę polsko-bolszewicką toczoną od 1918 r. Choć stylizyka nowo wprowadzonego orła państwowego wielokrotnie budziła dyskusje, to na medalu pełnił on rolę jednoznacznej identyfikacji państwa polskiego honorującego swoich obywateli.

Spory i kontrowersje

Dyskusja dotyczyła w zasadzie szczegółów. Kwestionowano przedstawioną koronę, a niezrozumiałe rozetki na skrzydłach orła odczytywano jako pięciopromienne gwiazdki. Największe spory wywołał kształt korony – różnej od korony dotąd wieńczącej głowę orła państwowego we wzorze 1919. W dyskusjach publicystycznych, prowadzonych bez znajomości historii polskiego godła, podnoszono usunięcie krzyża z korony, interpretując to jako symbol postępującego zeświecczenia państwa. Tymczasem od 1295 r., kiedy po raz pierwszy ukoronowany orzeł ozdobił pieczęć wykonaną na koronację króla Przemysła II, aż do drugiej połowy XVIII w., czyli przez sześć stuleci, korona na głowie orła była koroną heraldyczną. Zgodnie ze sztuką heraldyczną nie miała kabłąków, była tzw. koroną otwartą. Korona zamknięta, a więc złożona z diademem z kabłąkami, których zwornikiem było jabłko królewskie z krzyżem jak we wzorze 1919, nie miała uzasadnienia heraldycznego. Do wizerunku orła państwowego wyobrażanego na pieczęciach dawnej Rzeczypospolitej wprowadzono ją na stałe dopiero w 1764 r. z początkiem panowania Stanisła- ▶



*Piewers
Medalu
Pamiątkowego
za Wojnę
1918-1921*

wa Augusta. Był to czas odejścia od kanonów sztuki heraldycznej. Krzyż z korony orła nie został zatem usunięty; na koronie heraldycznej bowiem nigdy nie występował.

Drugim zarzutem było wprowadzenie na końcach przepaski na skrzydłach orła zamiast trójliscia pięciolistnych rozetek. Z racji ich kształtu odczytywano je jako zakamuflowany symbol pięciopromiennych, a więc masonskich, *eo ipso* bolszewickich, gwiazd. Podkreślano, że był to wpływ środowisk masonskich na ówczesne życie polityczne, argumentem tym dyskredytując podjętą przez rząd sanację państwa. Mimo tych nieprzychylnych głosów konsekwentne wprowadzenie we wszystkich instytucjach nowego orła państwowego doprowadziło do stonowania wystąpień oponentów. Do spopularyzowania nowego wzoru orła niewątpliwie przyczyniła się również znaczna liczba nadań Medalu Pamiątkowego za Wojnę 1918–1921, którymi objęto dużą część służących czynnie wojskowych, ale jeszcze większą dawnych uczestników bojów o niepodległość. To ich – mieszkańców miast, miasteczek i wsi – oglądano z medalami na piersiach.

Odwołania do wcześniejszej symboliki

Udostojnienie Orła Białego Krzyżem Virtuti Militari było już znane w symbolice państwowej. Przypominał o tym ppłk Oppman. Do historycznego wizerunku orła z Krzyżem Virtuti sięgnięto, umieszczając go od 1918 r. na wojskowych drukach urzędowych odradzającego się państwa. Powtórzono tu wygląd orła używanego również na drukach wojskowych, tyle że ze wcześniejszych lat (1817–1830). Orzeł z dumnie uniesioną, ukoronowaną głową i ze wzniesionymi skrzydłami miał na piersi zawieszony Krzyż Orderu Wojskowego Polskiego na wstędze o długich rozwianych końcach. Krzyż tego samego Orderu Wojskowego, który wznowiony w 1919 r., otrzymał nazwę Order Wojskowy „Virtuti Militari”.

Powiązanie orła z Krzyżem Virtuti świetnie odzwierciedlało ideę zasługi wojskowej rzeszy zmobilizowanych do udziału w wojnie o niepodległość. Wszak łacińska dewiza orderu – Virtuti Militari – znaczy także „zasłudze wojskowej”. I to żołnierz polski zdecydował o zwycięstwie prowadzony do niego przez dowódców i wodza. Z tego powodu Krzyż Virtuti Militari na szyi nowego orła zawieszono na wstędze wysoko jak komandoria, znak przynależny wyższym dowódcom.

Umieszczony na odwrocie medalu wieniec z liści dębiny to symbol nagrody męstwa. Otoczono nim piękną dewizę mającą odniesienie do insurrekcji kościuszkowskiej, a więc wcześniejszej walki w obronie Rzeczypospolitej. Dewiza medalu w brzmieniu POLSKA/SWEMU/OBRONCY jest transwestacją dewizy polskiego odznaczenia wojennego – złotych obrączek z napisem OYCZYNA OBRONCY SWEMU, wprowadzonych w 1794 r. przez Tadeusza Kościuszkę jako Najwyższego Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej. Kościuszko zastąpił nimi dopiero co, w styczniu 1794 r., ponownie zakazany przez targowiczian Order Wojskowy, czyli Virtuti Militari. Obrączki stały się wysoko cenną nagrodą, były też pierwszym polskim odznaczeniem z numerowanymi odznakami.

Po latach, w 1945 r., dewizę z Medalu Pamiątkowego za Wojnę 1918-1921 powtórzono na ustanowionych dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie medalach wojennych – Medalu Wojska, Medalu Morskim i Medalu Lotniczym. W 2007 r. powtórzono ją raz jeszcze na – ustanowionych przez Sejm na wniosek Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego – Wojskowym, Morskim i Lotniczym Krzyżu Zasługi z Mieczami oraz na Wojskowym, Morskim i Lotniczym Krzyżu Zasługi.

Ostatnim symbolicznym przesłaniem Medalu Pamiątkowego za Wojnę 1918-1921 były jego barwy. Wstążka medalu stanowi połączenie barw dwóch polskich odznaczeń wojennych: Orderu Wojennego Virtuti Militari (tak brzmi obecna nazwa) i Krzyża Walecznych. Order Wojenny to najcenniejszy znak zasługi żołnierskiej na polu chwały. Krzyż Walecznych ustanowiła Rada Obrony Państwa w gorących dniach sierpnia 1920 r. Rozdany w większej liczbie szybko zyskał uznanie w wojsku i odtąd jest niejako niższym stopniem przed Krzyżem Virtuti. Połączenie barw obu odznaczeń w jedno to znak tej różnorodności zasług żołnierza w toczonych bojach. Znak nagrody za krew, trudy i znoje w walce i poświęcenie dla Niepodległej. ■

Faktografia dotycząca etapów przygotowania odznaczenia według: Z. Puchalski, *Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921 oraz Krzyż Ochotniczy za Wojnę i Medal Ochotniczy za Wojnę* w: Muzealnictwo Wojskowe, 5, Muzeum Wojska Polskiego, Warszawa 1992, s. 266-278.

TADEUSZ JEZIOROWSKI, kierował Wielkopolskim Muzeum Wojskowym w latach 1973-2012, od 1991 r. jako kurator; członek Komisji Heraldycznej przy MSWiA, w Kancelarii Prezydenta RP członek zespołu do opracowania projektu nowego odznaczenia wojskowego nadawanego za wybitne czyny bojowe, obecnie zespołu do opracowywania i opiniowania spraw związanych z orderami i odznaczeniami, heraldyką i weksylogią.

¹ Monitor Polski nr 233 z 9 października 1928 r., poz. 533; rozporządzenie podano do wiadomości w wojsku *Dzien. Rozk. MSWojsk.* nr 32 z 9 listopada 1928 r.



JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



Szwoleżerowie walczą do końca

„Mój dom był żydowski, ale patriotyzm polski był na pierwszym miejscu”
– mówi Henryk Prajs.



Panorama Góry
Kalwarii, 1939 r.



HENRYK (ABRAM CHAIM) PRAJS urodził się 30 grudnia 1916 r. w Górze Kalwarii. Jest żołnierzem 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich i strażnikiem żydowskiej pamięci w rodzinnym mieście oraz polskich tradycji kawalerskich.

Przed wojną Góra Kalwaria za sprawą mieszkających w niej cadyków była jednym z ważniejszych centrów chasydyzmu nie tylko w Polsce. Ściągały do niej pielgrzymki z całego świata. Jak Pan wspomina swoje dzieciństwo w tak wyjątkowym mieście i relacje z rówieśnikami?

Mówiąc obiektywnie i jako patriota polski, Góra Kalwaria dzięki cadykowi była wyróżniona spośród innych małych miasteczek w Polsce. Cadyk, który rzeczywiście był słynny na całym świecie, miał też wielki autorytet – nie tylko religijny. Sam prymas Polski August Hlond go odwiedził.

Góra Kalwaria miała też przed wojną mądrego wóldarza, burmistrza, nazywał się Dziejko. On potrafił utrzymać zgodę między wszystkimi mieszkańcami naszego miasta. Mój dziadek Izrael Messing był radnym w Górze Kalwarii, a po nim jego syn – Salomon pełnił tę funkcję do 1939 r. Przyjaźnił się on bardzo z komendantem miejscowej policji – Janem Janicą, także nieprzeciętnym człowiekiem.

W dzieciństwie miałem wielu kolegów zarówno żydowskich, jak i polskich. Pamiętam, jak wszyscy na naszym podwórku bawiliśmy się w wojsko, razem też chodziliśmy do szkoły, a z niektórymi poszedłem później do praw-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

dziwego wojska. Tutaj muszę Panu opowiedzieć coś bardzo ważnego już z czasu służby wojskowej. Mianowicie o moim spotkaniu z gen. Franciszkiem Kleebergiem. W czasie jednej z jego inspekcji w naszym pułku zapytał mnie, dlaczego ja tak chwalę wojsko. A ja odpowiedziałem: „Panie Generale, bo tak mnie wychowano, bo ja pochodzę z patriotycznej rodziny. To była biedna rodzina, Panie Generale, ale patriotyczna. Mój dziadek, Izrael Messing, w 1918 r. rozbrajał w Górze Kalwarii Niemców razem z Szymonem Adamcem, który był głównym dyrektorem wszystkich szkół, jakie były na terenie naszego rejonu”. I ta odpowiedź generałowi tak się spodobała, że mnie zapamiętał. Kiedy żegnał nas pod Kockiem, to zapytał o mnie: „Czy jest tutaj kapral Prais z 3 Pułku Szwoleżerów?”. Generała wspominam bardzo dobrze. To był bardzo sympatyczny, a przy tym skromny człowiek.

Kiedy miał Pan 13 lat, wstąpił Pan do Poalej Syjon – Prawica. Można stwierdzić, że bardzo wcześnie określił Pan swoją przynależność ideową. Co zdecydowało, że został Pan syjonistą?

Jako świadomy dzieciak i jako patriota zawsze czułem się trochę pokrzywdzony. Myślałem sobie: „Przecież Żydzi to nie jest głupi naród; dlaczego nie możemy mieć swojego państwa?”. I wstąpiłem najpierw do skautów zrzeszających młodzież do 16. roku życia. Następnie przeszedłem do starszej grupy o nazwie Fraj – Wolność. Później w wojsku na ten temat bardzo mało mówiłem. W Wojsku Polskim służyli wtedy żołnierze kilku narodowości. Prócz Polaków mieliśmy Białorusinów oraz Niemców, którzy byli wtedy w Wojsku Polskim bardzo wyróżniani, kadra się z nimi wyraźnie liczyła, a także Żydów, Ukraińców i nawet Rosjan. Nie uważam tego za słabość lub że to było złe. Wszyscy uważaliśmy się za pełnowartościowych żołnierzy polskich. Miałem

w swym szwadronie najwięcej kolegów Białorusinów, więcej nawet niż Polaków. W wojsku byłem lubiany, bo chciałem być lubiany. Do tego świadomie dążyłem. Często w niedzielę po wizycie w bożnicy szedłem z kolegami do kościoła. Warto podkreślić, że w ówczesnym wojsku zwracano uwagę na niuanse religijne. Ja, na przykład, jako Żyd, nie musiałem jeść obiadów, w zamian otrzymywałem diety. Śniadanie i kolacje, czyli kawę i chleb, jadłem z innymi, a na obiady wychodziłem do miasta. Miałem godzinę na to, żeby zjeść i wrócić z powrotem na ćwiczenia. Udało mi się też skończyć bez problemu szkołę podoficerską i zostać kapralem.

W 1937 r. rozpoczął Pan służbę w 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. Pułkownika Jana Hipolita Kozietulskiego należącym do Suwalskiej Brygady Kawalerii. Podkreśla Pan, że dwa lata spędzone w Wojsku Polskim należą do najlepszych w życiu. Dlaczego Pan tak uważa?

Tak – i zdania nie zmienię. Jak mówiłem wcześniej, pochodziłem z biednego domu. Ojca zabili mi bandyci, kiedy miałem dwa lata. Matka była krawcową, z rodzeństwem miała nas trójkę dzieci. Jak mogła, tak starała się, żeby zapewnić nam wykształcenie. Jak ktoś przed wojną skończył siedem klas szkoły powszechnej, to był gieroj. Ja przed wojskiem miałem dobre wychowanie w domu. Pomimo że dom był żydowski, koszerne jedzenie itp., ale patriotyzm polski był na pierwszym miejscu. Zawsze mój dziadek Izrael Messing podobnie jak mama i cała nasza rodzina, która notabene mieszkała blisko nas, podkreślała swoje przywiązanie do Polski. W czasie wspólnych obiadów słyszałem napomnienie: „Pamiętaj jedno, żebyś nie należał do tych komunistów, abyś tylko nie miał z nimi nic wspólnego”. Zresztą, Żydzi w Górze Kalwarii, ci wierzący, a nawet niewierzący, byli bardzo mało podatni na komunistyczną propagandę. Pod tym

Szwoleżerowie z 1 Pułku Szwoleżerów podczas manewrów pod Warszawą, sierpień 1928 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



3



FOT. ARCHIWUM RODZINNE HENRYKA PRAJS

1. Wyjazd z Góry Kalwarii cadyka rabina Abrahama Mordechaja Altera na kurację do Karlsbadu. W drodze do pociągu eskortuje go policja, 10 czerwca 1931 r.

2. Obchody dziesięciolecia 3 Pułku Szwoleżerów im. płk. Jana Kozietulskiego w Suwałkach. Prezydent Ignacy Mościcki odsłania pomnik płk. Jana Kozietulskiego na dziedzińcu koszar. Widoczny także m.in. adiutant prezydenta RP rtm. Wacław Cielewski (na lewo od prezydenta), lipiec 1937 r.

3. Kpr. Henryk Prajs

względem też współpracowali z policją. Pamiętam sprawę Mendla Cykerta, albo Cukerta, który po wskazaniu policji komunistów z Góry Kalwarii musiał uciekać z miasta przed ich zemstą, bo chcieli go zabić.

A po przyjeździe do wojska nie miał Pan żadnych obaw związanych ze swym pochodzeniem?

Muszę przyznać, że w pierwszych chwilach w wojsku miałem obawy. Oczywiście wiedziałem już wtedy, co oznacza antysemityzm. Wtedy też zmieniłem imiona z Abram Chaim na Henryk. Bezsprzecznie miałem obawy, musiałem poznać ludzi. Wówczas miałem 21 lat i byłem już ukierunkowany politycznie. Jak większość Żydów w Polsce bardzo ceniłem i lubiłem marszałka Józefa Piłsudskiego. Póki żył, do 1935 r., antysemityzm w Polsce był bardzo ograniczony. Niestety, po 1935 r. zmieniło się na gorsze pod tym względem. Edward Śmigły-Rydz nie miał ani tego autorytetu, ani tej siły, by zahamować na przykład poczynania Falangi.

A jak Pan wspomina kadrę swego pułku?

Byłem „pistoletem”, jak to się mówi w wojsku. Nigdy nie mogli i nie zarzucali mi niczego złego, wręcz przeciwnie. Kiedy wizytował nasz 4 szwadron gen. Juliusz Rómmel w czasie pierwszego roku mojej służby, to zdziwił się, kiedy ja, młody żołnierz, bezbłędnie mu się zameldowałem: „Panie Generale, szwoleżer Henryk Prajs zgłosił się na rozkaz!”. Był wy-

rażnie zdziwiony, że tak młody chłopak, pewnym głosem mu się melduje. Byłem wtedy w wojsku trzy-cztery miesiące, ale już po przysiędze. Podał mi rękę i wyraźnie zadowolony zakomenderował: „Możecie odejść”.

Po nocy z 2 na 3 września 1939 r. należał Pan do tych nielicznych żołnierzy polskich, którzy mogli poszczycić się wypadem na terytorium wroga – do Prus Wschodnich. Jak Pan zapamiętał tę akcję?

Do tej akcji wyznaczono mnie ze względu na znajomość języka niemieckiego. W wojsku wielu żołnierzy było wtedy analfabetami, jeśli w plutonie znalazło się trzech-czterech po kilku klasach szkoły powszechnej, to już było bardzo dobrze. Z rozkazu dowództwa szwadronu szkoliłem młodych żołnierzy, by chociaż umieli rozpoznawać stopnie wojskowe, by wiedzieli, komu mają zasalutować.

Po mobilizacji w 1939 r. dołączono do nas wielu rezerwistów. Między nimi był wachm. pchor. rez. Erazm Głuski, który objął dowództwo 3 plutonu naszego 4 szwadronu. Nazywaliśmy go „Razik”. On zauważył, że wyróżniam się wśród innych żołnierzy. Byłem przystojnym chłopakiem, a i mundur tak sobie sam przerebiłem, że wyglądał na mnie dobrze. A jak jeszcze dowiedział się, że znam niemiecki, to trzymał mnie już przy sobie, bo sam wtedy uczył się tego języka. I kiedy zorganizowano ten wypad 2 i 4 szwadronu do Prus, przekazał mnie do dyspozycji dowódcy 2 szwadronu rtm. Jana Chłudzińskiego jako tłumacza. Chłudziński nie znał niemieckiego, więc idąc w forpoczcie często brał mnie za rękę jak dziecko i mówił: „Tłumacz!”. Tak też było w czasie tego wypadu na wieś Reuss (obecnie Ciemochy).

W czasie tego wypadu jedyną ofiarą śmiertelną po stronie szwoleżerów był Pański kolega.

Tak, to był kolega z mojego plutonu, Wacek Błusko, biedny dzieciak, półsierota wychowana w sierocińcu. Ale on był bardzo odważny. Mówili mu: „Wacek, uważaj, padnij!”, a on „Nie” i dostał śmiertelny postrzał. Akcja wyglądała tak, że nocą pozostawiając konie po polskiej stronie, spieszeni zaskoczyliśmy niemiecką strażnicę. Na rozkaz dowódcy uspokoiłem przerażonych strażników, a żołnierze zrzucili ze strażnicy niemieckie tablice informacyjne i godło. Po dojściu do Reuss, czyli ok. 7 km od naszej granicy, okazało się, że we wsi jest kantyna wojskowa. Nasz atak zaskoczył kompletnie zgromadzonych tam Niemców. Rozkaz do ataku dał nam nie rtm. Chłudziński, ale właśnie wspomniany pchor. Głuski. Pamiętam, był z nami jeden starszy szwoleżer z 3 szwadronu, do dziś nie wiem, jak on znalazł się między nami; bardzo silny chłop. On chwycił granat i przez okno rzucił go między biesiadujących żołnierzy niemieckich. Panika wybuchła straszna, a my wzięliśmy wtedy do niewoli dwóch Niemców – feldfebla, kawał chłopca, i szeregowca. Szkoda tylko, że Wacek zginął... Z jeszcze jednym żołnierzem dostałem rozkaz od rotmistrza, by ich pilnować. Ci Niemcy byli z nami prawie do końca, można powiedzieć, że się nawet zakolegowaliśmy. Wolność darował im nasz dowódca pułku płk Edward Milewski, ale oni... nie chcieli odejść.

Później dzielił Pan los swego pułku, który otrzymał rozkaz przedzierania się na południe, na ramię Warszawy. Kolejna znacząca noc na Pańskim szlaku bojowym to ta z 12 na 13 września, kiedy doszło do boju z niemieckimi pancernikami pod Olszewem. Czy odpieraliście w tej potyczce ataki niemieckich wozów pancernych?

Nie. Pod Olszewem był bój spotkaniowy i nocny; wtedy w nocy czołgi nie walczyły, ale sama walka była zacięta. Szliśmy tam na bagnety. Pamiętam, że kiedy dotarliśmy do Olszewa, to rtm. Chłudziński nawet nie dawał nam znaków, tylko wziął ode mnie bagnet i tym bagnetem zlikwidował jednego z wartowników niemieckiej czujki. Drugi wartownik musiał jednak usłyszeć charczenie konającego kolegi i wystrzelił. Tak zaczęła się ta bitwa. Niemcy na nas uderzyli, odparliśmy ich i ruszyliśmy do kontrataku. Ranny został wtedy między innymi dowódca pułku płk Milewski, a zginął mój wachmistrz pchor. Głuski.

Razem ze swoją sekcją – pamiętam nawet nazwiska niektórych moich żołnierzy: Stańczyk, Cacek, Radziejewicz – wspieraliśmy dowódcę 2 plutonu szwadronu ckm, pchor. rez. Jerzego Staniszkisa, który ostrzeliwał Niemców ze swego cekaemu. Ten ciężki bój trwał parę godzin. Kilka razy dochodziło do niemieckich ataków, na które odpowiadaliśmy kontratakami.

Został pan wtedy ranny?

W Olszewie pierwszy raz kula otarła się o moją głowę. Poważniejszą ranę otrzymałem w nogę – ta unieruchomiła mnie na długo, a odłamek wyciągnął mi dopiero w 1945 r. albo na początku 1946 r. dr Chwaliński z Góry Kalwarii.

Wojaczkę rozpoczął Pan od wypadu do Prus Wschodnich, a zakończył pod Kockiem na początku października 1939 r. jako żołnierz gen. Franciszka Kleeberga. Jak Pan wspomina ostatnie chwile armii II Rzeczypospolitej?

Jedno można stwierdzić na pewno, że duch wśród żołnierzy był silny do końca. I tutaj nie było żadnej różnicy, czy to był Polak, Żyd, Ukraińiec, czy Białorusin. Chcieliśmy jednego – zwyciężyć. Zdarzali się też żołnierze, Niemcy z pochodzenia – i w większości oni także do samego końca byli w porządku, wierni żołnierskiej przysiędze. W moim szwadronie, podobnie jak w pozostałych trzech, była mieszanka narodowościowa: prócz Polaków, Białorusinów i Ukraińców było czterech Żydów i dwóch Niemców – Wrac i Zoler. Żaden z nich nie zdezerterował – szwoleżerowie bili się do końca.

Pan pod Kockiem leczył się cały czas z tej rany w nodze?

Tak. Byłem unieruchomiony i nie mogłem brać udziału w bitwie. Ale pod Kock, do swoich starałem się dotrzeć, czym mogłem – najczęściej na chłopskiej furmance. Furmani, widząc rannego żołnierza, litowali się i podwozili mnie, ile mogli. Za wszelką cenę pragnąłem dostać się pod dowództwo gen. Kleeberga. ➤

A jak Pan zapamiętał dzień kapitulacji pod Kockiem?

W bitwie nie walczyłem, ale kontakt z żołnierzami miałem przez cały czas po dotarciu do swojej jednostki. Koledzy odnaleźli mnie na kwaterze i pomogli dołączyć do pułku. Wtedy – 6 października – okazało się, że to ostatnia zbiórka przed kapitulacją. Nie mogliśmy się z tym pogodzić – wszyscy jak staliśmy, oficerowie, podchorążowie i my, zwykli żołnierze. Wtedy do rozsądku przemówił nam gen. Kleeberg: „Słuchajcie chłopcy, dalsza walka teraz nie ma sensu, nie mamy już czym walczyć i nasza grupa jest izolowana, a wy Oj-

Miał Pan niesamowite szczęście spotkania dobrych i pomocnych ludzi podczas tułaczki i ukrywania się. Jak Pan dziś na to patrzy?

Dzisiaj na to tak patrzę – kiedy tutaj z Panem rozmawiam i proszę to zapisać, by jak najwięcej Polaków to przeczytało – że Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata powinno dostać nie 6 czy nawet 10 tys. Polaków, ale milion. Milion Polaków. Ale jednocześnie musimy pamiętać, że było wielu szmalcowników i nikt mnie nie przekona, że było inaczej. Nie dość, że byli złymi, to jeszcze kiepskimi Polakami. Jednak nie mogą przysłać tych ofiarnych ludzi, którzy narażają

GEN. FRANCISZEK KLEEBERG ZAPYTAŁ MNIE, DLACZEGO JA TAK CHWAŁĘ WOJSKO. A JA ODPOWIEDZIAŁEM: „PANIE GENERALE, BO TAK MNIE WYCHOWANO, BO JA POCHODZĘ Z PATRIOTYCZNEJ RODZINY.”

czyżnie będziecie jeszcze potrzebni, bo Polska nie zginęła i nie zginie!”.

Po kampanii wrócił Pan do rodzinnego miasta. Ale kiedy w nocy z 25 na 26 lutego 1941 r. Niemcy przystąpili do likwidacji żydowskiego getta w Kalwarii, Pan roztropnie zdecydował się na ucieczkę w nieznane. Co Pana skłoniło do takiego kroku?

Do domu, podobnie jak pod Kock, wracałem różnymi drogami. W Pasotyczach dostałem się do sowieckiej niewoli, a dokładnie sam się zgłosiłem, bo oni pojedynczych żołnierzy raczej nie chwyтали. Nie miałem wyjścia, byłem ranny i w mundurze... W niewoli sowieckiej przebywałem około sześciu tygodni, a następnie znalazłem się w grupie jeńców do wymiany z grupą wyselekcjonowaną przez Niemców i tak wróciłem do domu.

A w Kalwarii szybko przekonałem się, co oznacza być Żydem pod niemiecką okupacją. Dużo pomógł mi aryjski wygląd, dobrze mówiłem po polsku i... byłem w wojsku. Nie opuszczała mnie fantazja szwależera. Myślałem sobie: „Ja, wojskowy chłopak, miałem tyle sprytu, żeby przeżyć niejedną walkę, więc teraz też zaryzykuję!” – i poszedłem w nieznane. Po drodze spotkałem znajomego z Magnuszewa – Janka Cwyla i on pomógł mi na początku. Tak się zaczęła moja okupacyjna odyseja.

własne życie ratowali bliźnich, między innymi mnie. Oni nie tylko przywrócili mi wiarę w człowieka, ale i umocnili mój patriotyzm. Nigdy nie widziałem w Polaku wroga, lecz rodaka. Kiedy dziś słyszę o rasizmie w Polsce, to pytam: „Polacy, po co nam to?” Czy nie jesteśmy mądrym i kulturalnym narodem; pięknie jest w Polsce bez rasizmu.

Pierwsze moje kroki po powrocie w 1945 r. do Góry Kalwarii skierowałem na cmentarz, gdzie jest pochowana prawie cała moja rodzina. Później poszedłem w stronę swojego domu. Jego już nie było – został spalony, ale sąsiedzi przyjęli mnie serdecznie. Pamiętam, jak moja koleżanka z dzieciństwa, Zosia Nojkowa, krzyczała z radości: „Oj, Abramek przyszedł! Abramek wrócił!”.

Na koniec chciałbym jeszcze dodać, że w naszej jednostce – 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich – równocześnie ze mną służył praprawnuk płk. Berka Joselewicza – Berkowicz. To dopiero jest przykład konsekwentnego, by nie powiedzieć genetycznego, patriotyzmu polskiego.

Miałem propozycję wyjazdu do Izraela od mojego stryja Jankiela, który przeżył wojnę i zamieszkał w Netanii. Odmówiłem, bo jestem polskim patriotą i moje miejsce jest tutaj, w Górze Kalwarii. Mam już ponad 100 lat, dzięki Bogu przetrwałem straszne wojenne lata. Myślę, że czasem imiona naznaczają los człowieka. A jedno z moich imion brzmi Chaim, czyli życie. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński



Testament gruzińskiego oficera

Choć pochodził z dalekiego Kaukazu, walczył
w polskiej armii. Walery Krzyżanowski
– człowiek „twardy jak krzemień”.

ANNA DĄBROWSKA

Chcę wyjaśnić pewną tajemnicę. Nazywam się Walerian Tewzadze. Jestem podpułkownikiem dyplomowanym Wojska Polskiego. Urodziłem się w Gruzji¹ – napisał w 1985 r. w testamencie Walery Krzyżanowski, dziewięćdziesięcioletni mieszkaniec Dzierżoniowa.

Gruziniński oficer urodził się 10 lutego 1894 r. Walczył w I wojnie światowej o niepodległość swojego kraju jako kapitan 8 Pułku Strzelców Kaukaskich, a następnie tworzył armię Demokratycznej Republiki Gruzji. Po napaści w 1921 r. bolszewików na Gruzję został ewakuowany z kraju. Przyjął, jako jeden z ponad 100 oficerów, zaproszenie marszałka Józefa Piłsudskiego do służby w polskiej armii.

Skończył studia w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie i został oficerem kontraktowym polskiej armii. Wykładał w Centrum Wyszczolenia Piechoty w Rembertowie i służył w Wojskowym Instytucie Geograficznym, gdzie opublikował książkę poświęconą geografii Kaukazu. Po wybuchu II wojny światowej dowodził północnym odcinkiem obrony Warszawy obejmującym tereny od fortu Bem a aż po brzeg Wisły. Jego żołnierze ułatwili przejście do Warszawy resztek jednostek polskich przebijających się przez Puszcę Kampinoską po zakończonej bitwie nad Bzurą.

„Skromny, łagodny, dobry człowiek, ale jak krzemień twardy. Nie zawiódł zaufania, mimo niezwykle trudnych warunków. Był wzorem pod każdym względem”² – opisywał oficera płk Tadeusz Tomaszewski, szef Sztabu Dowództwa Obrony Warszawy. Za obronę stolicy gen. dyw. Juliusz Rómmel, dowódca Armii „Warszawa”, uhonorował Gruzina Srebrnym Krzyżem Wirtuti Militari.

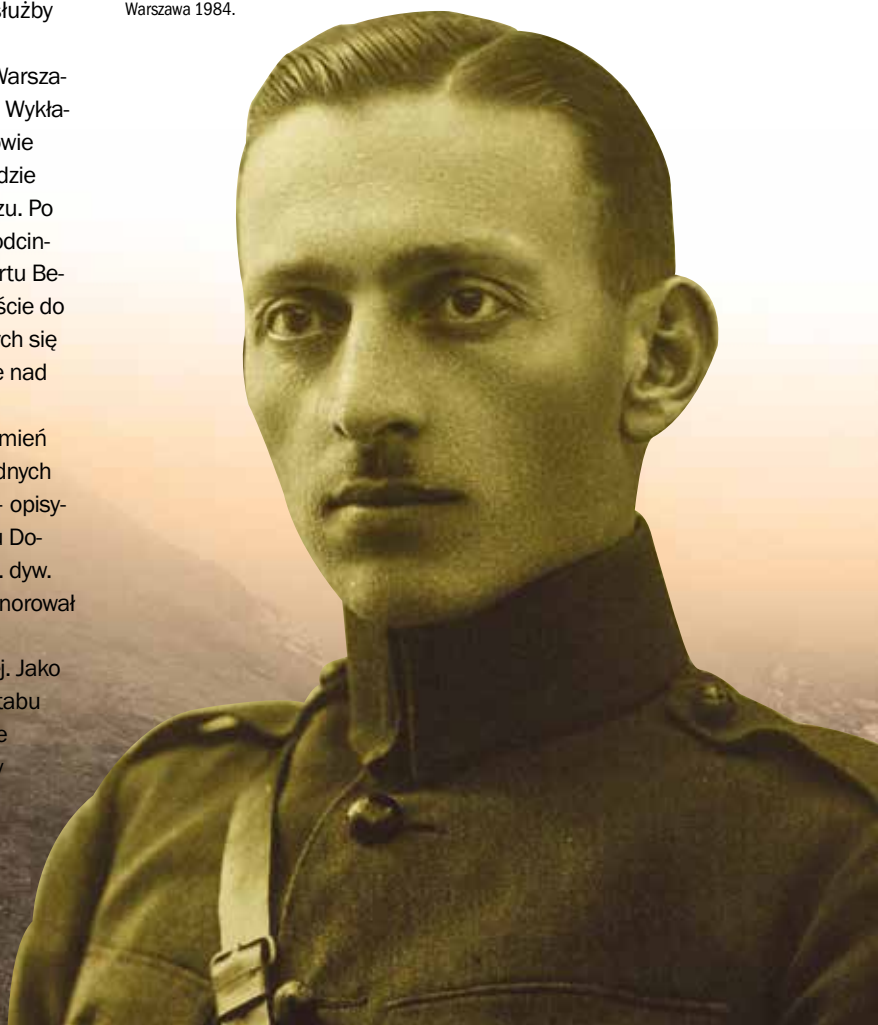
Podczas okupacji oficer działał w Armii Krajowej. Jako „Tomasz” stał na czele Referatu Operacyjnego Sztabu Inspektoratu AK Częstochowa. W 1944 r. w czasie akcji „Burza” był szefem sztabu 7 Dywizji Piechoty AK. Po wkroczeniu Armii Czerwonej w obawie

przed represjami NKWD postanowił się ukrywać. Jako Krzyżanowski osiedlił się na Dolnym Śląsku i pracował w zakładach włókienniczych. „Jako Gruzini chciałbym być pochowany w Gruzji, ale jestem szczęśliwy, że będę pochowany w ziemi szlacheckiej i dzielnej Narodu Polskiego” – wykuto na jego nagrobku na cmentarzu w Dzierżoniowie, na którym zgodnie z jego wolą znalazło się też jego prawdziwe nazwisko.

ANNA DĄBROWSKA, dziennikarka portalu polska-zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.

¹ Jarosław Kiesa, *Tewzadze: gruziniński obrońca Warszawy*, Dzierżoniów 2014.

² Tadeusz Tomaszewski, *Byłem szefem Sztabu Obrony Warszawy w 1939 roku*, Warszawa 1984.



Przewodnik po miejscach,

Ujazdów, część II

Ujazdów to gród z niewykorzystanymi możliwościami i z tragiczną przeszłością. Dlaczego nie został stolicą Mazowsza? Jakie tajemnice skrywają Aleje Ujazdowskie? Na co miała wpływ kapryśna Wisła?

ROBERT MARCINKOWSKI

Osadnictwo na terenie Jazdowa miało niebagatelny wpływ na rozwój późniejszej Warszawy, zwanej w początkach istnienia Warszową, najprawdopodobniej od rycerza Warsza, który był właścicielem osady. Gród ów założono ok. 4 km w dół rzeki na tzw. surowym korzeniu, czyli bez przeszłości osadniczej, według z góry określonych zasad, w tym przypadku regulowanych prawem chełmińskim.

Gród obronny

Jazdów wzniesiono głównie w celu ochrony przed nieproszonymi gośćmi kluczowego elementu ważnego szlaku komunikacyjnego wiodącego przez Wisłę, jakim był pobliski bród. W owych czasach – ok. 1200 lat temu – gród obronny i tak powstałby w najbliższej okolicy jako element sieci kaszteli wznoszonych w ramach nowo tworzących się zrębów państwowości. O tej konkretnej lokalizacji zdecydowało wspomniane wypłylenie, określane też mianem jazdu.

Osada powstała w 800-900 r. Informacje o początkach jej istnienia czerpiemy głównie z badań archeologicznych; źródła pisane z tego okresu dotyczące Polski należą bowiem do rzadkości. Pierwsze wzmianki w zapiskach pojawiają się dopiero w drugiej połowie XIII w. i dotyczą najazdu Litwinów na Mazowsze w 1261 r. W jego wyniku cały region został spustoszony. Zniszczeniu uległ też Jazdów. Nieprzyjaciół być może wcale nieprzypadkowo uderzył podczas obchodów pogańskiego święta Kupały w noc letniego przesilenia. Zaskoczenie mieszkańców było zupełne, a stra-

ty ogromne. Najazdy Litwinów, Prusów i Jadźwingów powtarzały się wielokrotnie. Ten był jednak o tyle znamienity, że podczas niego spalono gród, śmierć poniosła większość mieszkańców, a w niewolę wzięto pozostałych. Ścięto też księcia Siemowita i porwano jego sukcesora Konrada II.

Grodzisko, o trudnej dziś do ustalenia lokalizacji, znajdowało się najprawdopodobniej na terenie obecnego Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Stopniowo Jazdów tracił na znaczeniu. Nękany ciągłymi najazdami nie mógł się rozwijać chociażby tak jak Czersk, który z czasem stał się stolicą południowej części Mazowsza. W podobnie złej sytuacji był Płock, jednak tam nie doszło do regresu osadnictwa i upadku miasta.

Siedziba władcy

Jazdów powoli zaczął przeistaczać się w letnią siedzibę władcy, zmieniając jednocześnie funkcje z militarno-obronnych na reprezentacyjno-okolicznościowe. Sprzyjał też temu rozkwit Warszawy. Istotne znaczenie miała też powódź, w wyniku której Wisła odsunęła się od Czerska. Utracił on przez to na zawsze strategiczne znaczenie, a dwór książęcy wraz z ośrodkiem władzy przeniesiono do Warszawy. To w jej cieniu cały czas pozostawał Jazdów. W 1494 r. posiadłości Jazdowa nadano zakonowi warszawskich Augustianów. Siedziba monarsza w dawnym grodzie z czasem w ogóle przestała istnieć. Z podgrodzia rozwinęła się zaś dość spora wieś, rozciągająca się od miejsca, w którym stał drewniany kościół, a dziś wznosi się Belweder, aż po dzi-

których już nie ma



FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

Belweder: podmiejska willa magnacka, pełniąca obecnie funkcje rządowej rezydencji. Ostateczny kształt zyskała na początku XIX w. z inicjatywy namiestnika carskiego księcia Konstantego, który po gruntownej przebudowie wprowadził się tu po 1822 r. Wówczas to rozebrano należący do Jazdowa, a stojący nieco na południe, drewniany kościół z końca XVI w. Pocztówka z ok. 1900 r., bez obiegu. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



Wejście do Łazienek Królewskich od strony Alej Ujazdowskich (starego traktu do Czerska) ukazuje miejsce domniemanego podgrodzia Jazdowa. Na pierwszym planie płotki do przywiązywania koni, za którymi można dostrzec strażnicę wojskową z żołnierzem, pilnującym wstępu do rezydencji, podówczas carskiej własności niedostępnej dla postronnych osób. Zdjęcie stereoskopowe z ok. 1905 r. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

siejszy park Ujazdowski. Ów kościół, z osobno stojącą dzwonnica, ufundowała Anna Jagiellonka w 1594 r. Znajdował się na skrawku terenu pozyskanym od Augustianów w zamian na inne grunty. Jak twierdzą niektórzy badacze, królowa przeniosła kościółek z Solca, zniszczonego podówczas kolejną wielką powodzią. Solec znajdował się wtedy w nieco innym niż obecnie miejscu, prawdopodobnie znacznie bliżej Jazdowa. Kościół stanął więc na skarpie i tam przeniesiono parafię. Na północ od tej niewielkiej świątyni założono cmentarz, a dalej wzdłuż meandrującej drogi, w miarę pokrywającej się z dzisiejszymi

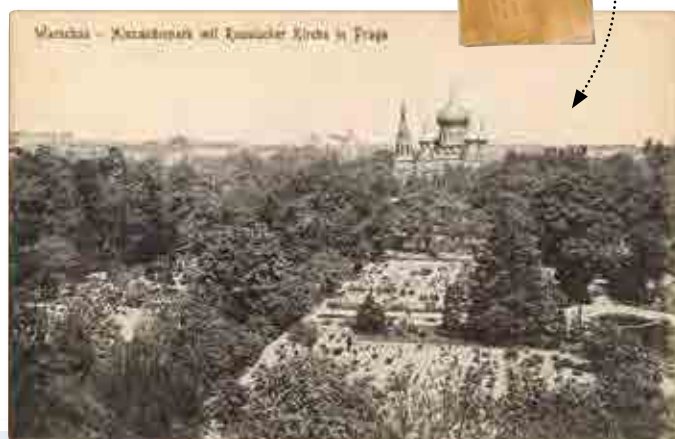
Alejami Ujazdowskimi, rozłożyła się wieś, w której ponoć nawet warzono piwo. Od wschodniej strony zabudowę ograniczała skarpa, a od zachodniej wspomniany trakt z Zakroczymia do Czerska, poza którym hen w dal ciągnęły się pola orne. Sytuacja taka trwała aż do początku XIX w., kiedy to powstał istniejący do dziś Ogród Botaniczny. ■

ROBERT MARCINKOWSKI, absolwent Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Z wykształcenia i zawodu kartograf, a z zamiłowania warsawianista. Wieloletni członek Komisji ds. Nazewnictwa Miejskiego Rady m.st. Warszawy. Wyróżniony odznaką „Zasłużony dla Warszawy”. Autor kilkunastu książek, w tym *Ilustrowanego Atlasu Dawnej Warszawy*.

Aleje Ujazdowskie o poranku, w letni słoneczny dzień, widoczne w części na północ od Belwederu. Uwagę zwracają pojazdy na ulicy: ruszający z przystanku tramwaj i dorożka. Wart zainteresowania jest też stojący po lewej stronie, zgrabny w formie, transformator słupowy – taki odrestaurowany zabytek techniki można podziwiać obecnie nad Wisłą przy pomniku Syrenki. Pocztówka z ok. 1910 r., bez obiegu. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



Widok z ok. 1910 r. zreprodukowany na pocztówce z okresu I wojny światowej. Niemiecki wydawca błędnie opisał kartę jako obrazek z Pragi. Tymczasem jest to panorama z dachu Obserwatorium Astronomicznego przy Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W tle, ponad terenami pokrytymi zielenią w miejscu dawnej wsi ujazdowskiej, widać na pl. Na Rozdrożu cerkiew garnizonową pw. św. Michała Archanioła Archistratega. Pocztówka z ok. 1915 r., bez obiegu. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

Świat



ANDRZEJ WITKOWSKI

filokartystyki

Ten urokliwy zimowy widok uwieczniony na pocztówce z 1908 r. przedstawia budynek, który 10 lat później stał się jednym z symboli odrodzonej Polski.

Aleksandryjsko-Maryjski Instytut Wychowania Panien przy ul. Wiejskiej w Warszawie od 1863 r. aż do opuszczenia miasta przez Rosjan w 1915 r. mieścił w swych murach drugą najważniejszą instytucję edukacyjną w Królestwie Polskim po Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Instytut, wzorowany na podobnych placówkach znajdujących się w Cesarstwie Rosyjskim,

pełnił rolę żeńskiej szkoły średniej o jawnie rusyfikacyjnym charakterze. Panny szlachećnie urodzone nabywały tu wiedzę m.in. z: arytmetyki, historii i geografii, sztuk pięknych, uczyły się dobrych manier. Wysokiemu poziomowi edukacji towarzyszyła równie wysoka dyscyplina. Rozkład dnia był ściśle unormowany, za nieprzybycie na nocleg nieszczęsnej pannie groziło zaś wydalenie z murów uczelni.

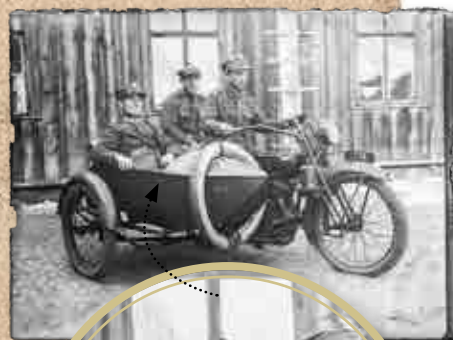
W niepodległej Polsce pilną sprawą stało się znalezienie siedziby dla nowego parlamentu. Wybrano kompleks budynków dawnego Instytutu, które pospiesznie dostosowano do nowej funkcji. Już 10 lutego 1919 r. z mównicy usytuowanej w dawnej jadalni przemawiał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, który otworzył pierwsze posiedzenie Sejmu II Rzeczypospolitej.

Do 1927 r., kiedy to obok dotychczasowej siedziby oddano do użytku nowo wybudowaną obszerną salę posiedzeń Sejmu, parlamentarzyści – w gorącej często atmosferze politycznych sporów – w murach dawnej szkoły żeńskiej rozstrzygali o najważniejszych sprawach państwa. Polityczny temperament, który podczas tych debat ponosił posłów i senatorów, zapewne nie byłby do zaakceptowania przez panny i to nie tylko te szlachećnie urodzone.

ZAGADKA DLA
CZYTELNIKÓW

W poprzednim numerze „Polski Zbrojnej. Historia” pokazaliśmy zdjęcie żołnierza, który wystąpił w reklamie naszego kwartalnika.

W tym zamieszczamy kolejną, nigdy wcześniej niepublikowaną fotografię wykonaną ze szklanego negatywu udostępnionego przez kolekcjonera Edwarda Szymczaka. Znamcom techniki militarnej nie trudno rozpoznać motocykl. Maszyny legendarnej amerykańskiej marki Harley-Davidson – na zdjęciu Model J z 1917 r. – zasiłowały bazę sprzętową odrodzonej polskiej armii dzięki Polskiej Misji Wojskowej Zakupów w Paryżu. W 1920 r. we Francji nabyła ona bowiem kilkaset motocykli z demobilu (nie tylko Harleyów). Jednak było to wciąż za mało i wojsko kupiło Harleye m.in. od pierwszego w Polsce przedstawiciela tej marki Aleksandra Andrzejewskiego, który w 1923 r. otworzył firmę przy ul. Świętokrzyskiej 2 w Warszawie. Motocykl od Andrzejewskiego widoczny jest na niniejszej fotografii wykonanej prawdopodobnie w Rembertowie. Czy ktoś z Państwa rozpoznaje żołnierzy ze szklanego negatywu sprzed ponad 90 lat?





FOT. STUDIO MTJ

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA SEKRETARZ REDAKCJI

**SEJM RP OGŁOSIŁ, ŻE ROK 2018
BĘDZIE ROKIEM JUBILEUSZU
100-LECIA ODZYSKANIA PRZEZ
POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI.**

W Compiègne pod Paryżem 11 listopada 1918 r. państwa ententy zawarły rozejm z Cesarstwem Niemieckim. Zakończyła się I wojna światowa. W Warszawie Rada Regencyjna przekazała władzę Józefowi Piłsudskiemu. Polska po 123 latach niewoli odzyskała niepodległość.

Obchody rocznicy tego wydarzenia ewaluowały tak, jak zmieniała się dalsza historia Polski. W latach 1919–1936 uroczystości miały charakter wojskowy i odbywały się w Warszawie. Od 1926 r. do 1934 r. Józef Piłsudski dokonywał przeglądu pododdziałów i odbierał defiladę na pl. Saskim w Warszawie.

Dwa lata po śmierci Marszałka Sejm RP w ustawie z 23 kwietnia 1937 r. uznał, że Święto Niepodległości obchodzone będzie 11 listopada „jako rocznica odzyskania przez naród polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego wodza narodu w walkach o wolność ojczyzny”. Do wybuchu II wojny światowej tego dnia w całym kraju odprawiano nabożeństwa w intencji ojczyzny, organizowano akademie i wieczornice oraz parady wojskowe.

W latach 1939–1943 święto obchodzono jawnie jedynie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i w instytucjach RP na Uchodźstwie. W Polsce w części okupowanej przez Niemców o rocznicy przypominało podziemie niepodległościowe w prasie konspiracyjnej i w formie tzw. małego sabotażu, a w świątyniach odbywały się nabożeństwa.

Nie łatwiej było po zakończeniu wojny. Polska Partia Robotnicza i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zorganizowały 11 listopada 1944 r. obchody Święta Niepodległości. Wykorzystały je jednak do publicznej krytyki Józefa Piłsudskiego i rządów sanacji.

W 1945 r. władze komunistyczne zniósły Święto Niepodległości. Mimo to środowiska patriotyczne przygotowywały obchody nielegalne. Najczęściej uroczystości odbywały się w kościołach. W Krakowie w latach siedemdziesiątych Związek Legionistów Polskich zamawiał msze św. Jego członkowie składali kwiaty w krypcie na Wawelu, gdzie pochowano Józefa Piłsudskiego. Towarzyszył im kard. Karol Wojtyła. Pod koniec lat siedemdziesiątych organizowano zakazane marsze w różnych miejscach w Polsce. O święcie pamiętali również Polacy za granicą.

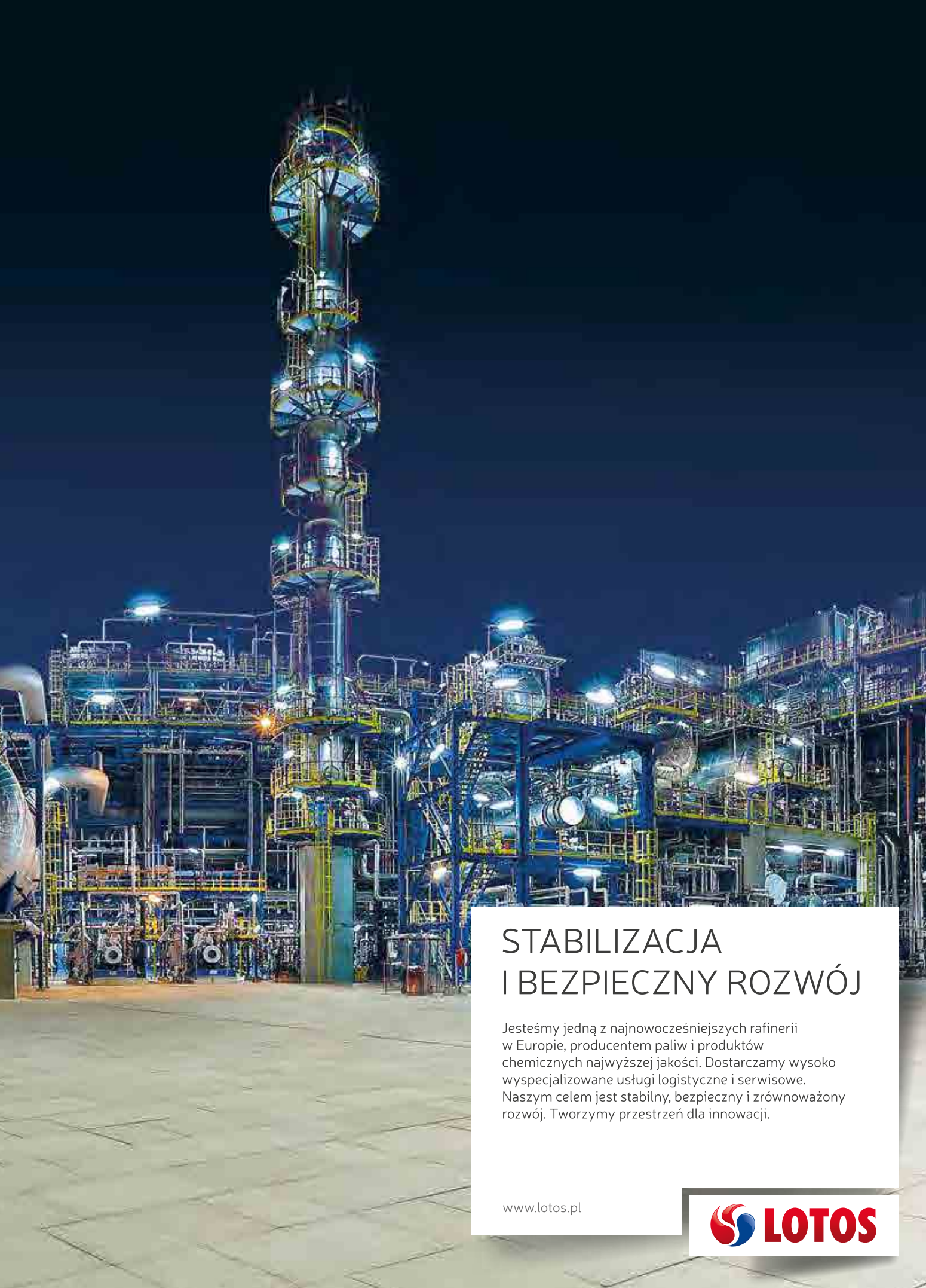
W karnawale Solidarności udało się przywrócić pamięć o rocznicy odzyskania niepodległości. W latach 1980–1981 w uroczystościach uczestniczyło najwięcej osób w historii PRL-u. Od wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. święto wróciło do statusu zakazanego. Ale 11 listopada 1988 r. władze komunistyczne – podobnie jak w 1944 r. – włączyły się w organizację obchodów. Święto odzyskania niepodległości przywrócono ustawą sejmową z 15 lutego 1989 r. pod nazwą Narodowe Święto Niepodległości. Od tej pory 11 listopada w całym kraju odbywają się oficjalnie uroczystości. W roku 2018 minie 100 lat od momentu, gdy Polska – po okresach rozbiorów, rusyfikacji i germanizacji, po narodowych powstaniach – powróciła wolna na mapę świata. To szczególny czas, by pokłonić się bohaterom z pól bitew i herosom codziennych zmagani o zachowanie polskości. ■

P Ł K W Ł A D Y S Ł A W R O K I C K I

#RycerzeBiałoCzerwonej

Służba żołnierska to dla niego najwyższy wymiar patriotyzmu.
Prezentując taką postawę i godząc się na ryzyko utraty życia dla niepodległej Polski,
pułkownik zasłużył na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

